JÓZEF IGNACY

KRASZEWSKI

POWIEŚCI HISTORYCZNE

WYDAWNICTWO
M. ARCTA
W WARSZAWIE

J. I. KRASZEWSKI

KRÓLEWSCY SYNOWIE

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE

BIBLJOTEKA WIELKICH PISARZÓW
SERJA I: J. I. KRASZEWSKIEGO POWIEŚCI HISTORYCZNE
10 TOMÓW KWARTALNIE

KRÓLEWSCY SYNOWIE

M. ARCT, ZAKŁADY WYDAWNICZE, SP. AKC. W WARSZAWIE

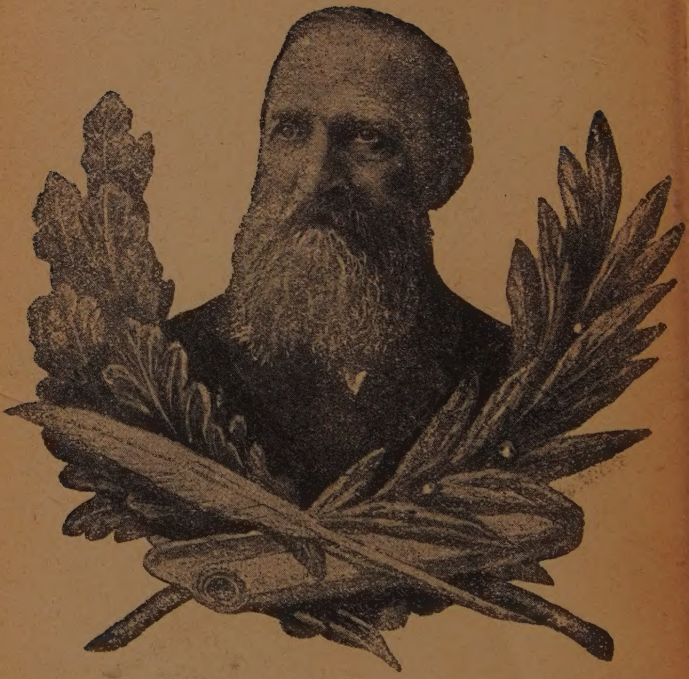

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

ur. 1812 r. † 1887 r

POWIESCI HISTORYCZNE – Tom XIII

J. I. KRASZEWSKI

KRÓLEWSCY SYNOWIE

CZASY WŁADYSŁAWA HERMANA

i

BOLESŁAWA KRZYWOUSTEGO

CZĘŚĆ I

1929

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE

PRINTED IN POLAND

DRUKARNIA ZAKŁADÓW WYDAWNICZYCH
M. ARCT, SP. AKC. W WARSZAWIE
CZERNIAKOWSKA 225.

I.

Słońce zachodziło za lasy, złocąc niebiosa, które się gorzeć zdawały; tam nawet, gdzie bladły jego blaski, lazur się mienił w barwę ołowianą, jaką po skwarach przybiera. Wieczór był duszny, najmniejszego ruchu w powietrzu. Niebo bez chmurki nie zapowiadało zmiany.

Na starych drzewach, które cichy klasztor otaczały, liście wisiały, jakby powiędłe od gorąca. Co żyło — szukało cienia, a w nim spoczynku i orzeźwienia.

W klasztorze i poza tynem, który opasywał jego podwórza, cisza panowała głucha; niekiedy szmer, jakby powolnego znużonego chodu ludzkiego przerywał ją na krótką chwilę i ginął gdzieś wdali. Ukośne promienie słońca, zabarwione gorąco, padały na czoło małego kościołka, na mury i ściany klasztorne, silnemi cieniami odznaczając każde wgłębienie, gzyms, kamień, zarysowaną powłokę.

Jak pustka wyglądały teraz te budowy ze drzwiami pozamykanemi, z pozasuwanemi oknami, około których ani człowiek, ani zwierz, ani nawet mała ptaszyna nigdzie się nie pokazywała. Wszystko, co żyło, chroniło się w mury, czekało, aż wieczór odżywi powietrze rosą, a noc świeżość z sobą przyniesie.

Klasztor, stojący wśród puszcz niedawno przetrzebionych, choć na owe czasy rozległy, wspaniałej nie miał powierzchowności. Znać na nim było i trudności budowania i pośpiech może i małą troskę o kształty

jego zewnętrzne. Kościół się niewiele nad nim podnosił, a w skromnej wieżyczce jego zaledwie para z blachy kutych dzwonów wisiała. Mury, z których się składały budowy, były z kamieni polnych grubo i niebardzo foremnie polepione. Część budowli do nich przytykająca, z drewnianych brusów, zaledwie ociosanych, złożona, ciemniejszą barwą odbijała od ścian kamiennych.

Obok tych gmachów, dość rozległych a niepozornych, znać jednak było w podwórcach i ogrodach przytykających troskliwą rękę, która około nich chodziła. Bujnie tu rosły pozasadzane krzewy, którym dostarczano wody ze studni, jak świadczyły leżące na ziemi korytka; nieznane pod północnem niebem rośliny kwitły tu, rozwijały się na podziw bujnie i pięknie. Na wbitych w ziemię kołach obwijały się latorośle winne, między liśćmi, wśród których zafarbowały się już ciemne grona; na grzędach rozścielały się zioła, wonią aromatyczną napełniające powietrze.

Wpośród sadu założonego na pochyłości wzgórza, ku południowi zwróconego, ręka, co trzebiła las tam niegdyś rosnący, pozostawiła kilka starszych drzew rozłożystych, ocieniających szerokie przestrzenie, zielonią okryte murawą. Pod kilku z nich stały ule z pszczołami, pod innemi leżały kamienie dla spoczynku; lecz teraz ani pszczół, około ulów, ni ludzi na siedzeniach widać nie było.

W rogu sadu, gdzie zostało kilka lip starych, a krzaki pod niemi promieni słońca nie dopuszczały, stał przyparty do parkanu daszek, słomą okryty, a pod nim leżała ława z jednego kloca drzewa.

Dwóch ludzi ukrytych tu siedziało w milczeniu. Oba odziani byli w suknie czarne, braciszków klasztornych odznaczające; nie mieli jednak ani kapturków, ni zwierzchnich sukni kapłańskich. Oba młodzi byli, a choć ubiorem nie różnili się od siebie, najmniej wprawne oko musiało w nich dojrzeć, jeśli nie różnicę stanu, to charakterów i usposobienia.

Jeden z nich siedział w rogu ławy, sparty na rę-

kach, które na kolanach trzymał jak wbite; drugi, patrzący nań, z rodzajem obawy i podziwienia, nieco opodal się umieścił i z oka go nie spuszczał. W rysach twarzy jego malowała się zarazem litość, podziwienie i trwoga.

Ten drugi miał twarz wyrazu łagodnego, bladą, oczy niebieskie, włos jasny, krótko postrzyżony, ciało wątłe i delikatne i ręce małe. Suknia czarna, zbyt dlań obszerna, w szerokich a grubych fałdach opadała z wychudzonych jego ramion, pas, którym był ściśnięty, osuwał się i zdawał rozpuszczać.

Ten, na którego patrzał, jakgdyby tylko co mówić poprzestał, a ostatniemi słowy trwogą napełnił towarzysza — mimo sukni zakonnej nie miał pozoru mnicha. Odzież, którą miał na sobie, zdawała się dlań za ciasną i wyszarzaną była, jakby obchodzeniem się z nią niedbałem i dzikiem; w kilku miejscach widać było na niej dziury, jakby gałęźmi wyszarpane, plamy od tłuszczu i kurzawy, która przylgnęła do niej. Twarz i postać cała stan ten sukni tłumaczyły.

Chłopiec był zaledwie zmężniały, bujno się jeszcze rozrastający, na wojownika może bardziej stworzony, niż na spokojnego mnicha. Ręce, wystające z rękawów, silne były i do dźwigania miecza lub siekiery jakby ulane; kark obnażony, ogorzały, ponad kołnierz wychodzący, nadawał głowie charakter zwierzęcej jakiejś siły. Wyrazistszą jeszcze nad te kształty była głowa sama z twarzą bladą, długą i wielką, która miała w sobie coś dzikiego. Ponad nią jeżył się włos obcięty, twardy i poplątany.

Mimo wieku młodego, oblicze było prawie starc, zbladłe, zżółkłe i patrzące srogo a szydersko. Rysy jego niepiękne, wyciosane grubo a twardo, odpychały dumą i jakby złością tłumioną, trawiącą wnętrze człowieka. Duże usta warg nie miały prawie, jednym wąskim pasem przecinając policzki. Nad oczami brwi zmarszczone, pofałdowane, ruchome — wisiały, jakby je myśl jakaś ściągnęła gniewna. Z bladych oczów, patrzących bystro, grozę tylko tłumionej złości można

było wyczytać. Z pod sukni wysunięte nogi w chodakach zaniedbanych i okurzonych, tak silnie wryły się w ziemię, jakby je w nią gniew jakiś i miotanie się wkopało.

Na całym też młodzieńcu widać było wyraz buntowniczy bezsilnego oporu.

Milczeli tak dwaj pod daszkiem siedzący dosyć długo; ostatnie promienie słońca zapadały za lasy, a ogród okrywał się półmrokiem, zwiastującym chłód wieczorny.

— Wracajmy do celi — rzekł wkońcu cicho, bojaźliwie niemal młodszy brat, siedzący na rogu ławy.

Zadumany smutnie młodzian odwrócił ku mówiącemu głowę i potrząsnął nią tylko na znak, że tego uczynić nie myśli.

Po niejakim czasie towarzysz znowu cicho powtórzył toż samo żądanie. Usłyszawszy je, jakby gniewem zatrząsł się słuchający i nagle, zwracając się cały do mówiącego, zawołał:

— Nie chcę! Dosyć się w niej nasiedzę... Dusi mnie ta celka wasza, zdaje mi się w niej, żem w trumnie.

— Bracie Aleksy, — ozwał się łagodnym głosem drugi — bracie Aleksy, jużby wam czas było z tem się położeniem oswoić, a o dawnem zapomnieć. Co być nie może, tego się daremnie spodziewając — człowiek dręczy się tylko... Trzeba się poddać...

— Tak! tak! — dziwnym, bełkotliwym głosem wybuchnął brat Aleksy, w którym czuć było razem złość i szyderstwo — chcecie, to wam powiem to, co wy mnie mieliście mówić? Rozum mieć trzeba, rezygnację mieć należy, głowę skłonić, całować rękę, co chłoszcze, milczeć, uśmiechać się, jakby to było szczęściem, co jest karą i tyrańskwem... Hę?

— A tak, tak! — potwierdził młody, który słuchał z trochą podziwienia, — wyrwaliście mi to z ust. A czemuż nie czynicie tego, co tak dobrze znacie?

— Bo nie mogę! — zawołał brat Aleksy. — Bo nie jestem bratem Aleksym, tak jak wy jesteście bratem Łukaszem, ale księciem jestem i królewskim synem!

Na mnicham się nie rodził, suknia ta cięży mi i ściska jak żelazna, pali jak ogień, parkany te mnie duszą, klasztor mi się wydaje więzieniem, wy katami i stróżami, a ojciec przełożony — oprawcą...

Z trwogą obejrzał się młodszy i, załamując ręce, zawołał:

— Na Boga! Coście to rzekli! Idźcie i spowiadajcie się ze słów waszych, bunt to grzeszny!

— Idź, idź, zdradź mnie, powiedz, że mi się te słowa wyrwały, jeśli chcesz — krzyknął, wstając z ławy i napowrót się na nią rzucając królewski syn, z miną pogardliwą.

Braciszek Łukasz zarumieniony spuścił głowę i zamilkł.

— Nie potrzebuję was zdradzać — odezwał się po przestanku łagodnym głosem politowania — wy się co dzień zdradzacie sami mową, wzrokiem, milczeniem nawet. Żal mi was!

— A co mi po twojej litości! — rozśmiał się królewicz. — Ona mi tej sukni nie ściągnie i nie da swobody!

Westchnął ciężko.

— Gdybym choć zapomnieć mógł dziecinnych lat i moich nadziei, i czyja to krew płynie we mnie, i co mi wydarto!

— Zapomnieć byście mogli, gdyby wola — odezwał się brat Łukasz. — Wy się daremnie tem trujecie i jątrzycie. Wszystko to sny są tylko i marzenia niezdrowe.

— Jakie sny! — wybuchnął królewicz, znowu zrywając się z ławy i opadając na nią. — Matka moja była tak dobrze żoną królewską czy książęcą, jak Judyta, dla której ją precz odegnano, gdyby nałożnicę. Ojcem moim był król, czekało mnie panowanie! Cóż z tego, że z książęcego nie szła rodu, kiedy łoże pańskie podzielała przez lat tyle! Gdybym nie był królewskim synem, gdyby się mnie nie bali, — czyby mnie byli postrzygli i gwałtem zaparli w tych murach obrzydłych?

Brat Łukasz ruszał tylko ramionami.

— Ach! — rzekł cicho — czyż może być większe szczęście nad to, jakie my tu mamy? Zaprawdę, jabym go na żadną stolicę książęcą nie mieniał. Czegóż nam brak? Jesteśmy sługami największego z panów, Pana panów, nie znamy trosk życia, w ciszy możemy chwalić Boga, zarabiając na królestwo niebieskie. Na tronie, na wojnie, żadna chwila życia niepewna, brat morduje brata, wrogi cię otaczają, wojna sieje niebezpieczeństwy...

— Tak — odparł szydersko królewicz, — a tu, co za rozkosze? W murach ciasnych jedne ścieżki o jednej codzień wydeptywać godzinie, milczeć, śpiewać, pościć, słuchać i powoli umierać. Tak, bracie Łukaszu... Dla ciebie to wszystko dobre, ale nie dla mnie, nie dla mnie! Mnie należało i należy panowanie, mnie wydarto ziemie moje, imię moje, godność moją, starszeństwo moje, cześć matki, prawo, własność... wszystko!

Brat Łukasz wstał, stanął przed mówiącym i przypatrywał mu się bacznie.

— A nie powinniście Bogu dziękować, że wam, jak drugim, życia albo oczów nie wydarto?

Podniósł głowę z groźnem wejrzeniem królewicz.

— Ty, mały człecze, — krzyknął — tyś się gdzieś rodził w ubogiej chacie; tobie przystało za wszystko dziękować, boś nie miał nic! A ja się burzę, bo mi wydarto wszystko! Rozumiesz?! Dość tego!

— Zaraz zadzwonią na chór wieczorny — rzekł Łukasz — chodźmyż już.

— Idź — jam chory, zostanę w ogrodzie, — rzekł, na ręku się podpierając, królewicz.

— Bez was mi się nie godzi.

— Boście do mnie łańcuszkiem przykuci, stróż mój — zaśmiał się królewicz. — Weźże mnie siłą! nic chcę i nie idę!

— Siły nie mam, a gdybym i miał — nie użyłbym jej — rzekł Łukasz.

— Widzisz, żeś stworzony do niewoli — zaśmiał się złośliwie drugi. — Ja, gdybym mógł, gdyby się to

na co zdało, choć cię lubię, zdusiłbym cię, jak żabę, aby być wolnym. Ciebie, twoją bracię zakonną i samego przełożonego.

— Człowiecze! — krzyknął przerażony brat Łukasz.

Królewicz śmiał się złośliwie, — wstał z siedzenia, wyciągnął się tak silnie, że ciasna suknia zakonna pękać na nim poczęła, ręce do góry podniósł z dłoniami zaciśniętemi, popatrzał z pogardą na towarzysza i zdawał się mimo to, co mówił, zabierać do pochodu; gdy nagle, jakby zmieniwszy postanowienie, by mieć przyjemność dręczyć dodanego mu towarzysza, znowu padł ciężko na kłodę i położył się na niej.

Odetchnął całą piersią; powietrze zaczynało ostygać nieco, otarł czoło, po którem krople potu spływały... Łukasz stał, zdając się niecierpliwie oczekiwać na niego, spozierając niekiedy ku klasztorowi.

Mrok padał, ptastwo w gałęziach ruszyło się, przed snem czyniąc przygotowania, około gniazd polatując z krzykiem. Jaskółki po ały się górą, szybując ponad ich głowami, leciuchny wietrzyk zaszmerał w gałęziach.

— Chodźmy już, — prosił brat Łukasz.

— Iść i w dusznych murach się zamknąć teraz, gdy właśnie jest tu czem odetchnąć. Bodaj was wszystkich z tym waszym klasztorem!

Zamilkł, wziął liść z drzewa i odwilżył nim usta, ale wnet zębami poszarpał go w kawałki i odrzucił.

— Co wam dziś jest? — zapytał stojący i oczekujący braciszek.

— Dziś? A! macie słuszność — odparł żywo królewicz — prawda! Dziś jestem gorszy, rwę się z powroza jak cielę, które do rzeźni prowadzą. Wiesz, czemu?

— Cóż się nowego stało?

— Miałem sen — odparł królewicz.

— Sen? — Sny zsyłają złe duchy, aby kusiły ludzi. Snom nie potrzeba dawać wiary — rzekł Łukasz.

— Nieprawda, są sny prorocze — zawołał króle-

wicz. — Nie czytałeśże w bibiji o snach wykładanych przez Józefa?

— Ale wy nie jesteście faraonem — szepnął braciszek.

— Jestem synem królewskim! — odparł z dumą zagadniony. — Sen był straszny, dziwny, wstałem po nim, jakbym wyszedł z łaźni, długo oprzytomnieć nie mogłem. Śniła mi się dawno zmarła matka moja; widziałem ją przed sobą tak, jak oto was widzę; taką piękną, silną, zdrową, jak ją niegdyś pamiętam. Ale miała włos rozpuszczony, szaty podarte, wzrok z gniewu ciskający pioruny. Choć uśmiechała się do mnie, straszna była. Wyciągnęła rękę ku mnie i poczęła głosem, w którym gniew mieszał się z płaczem, choć po ustach jej śmiech się przesuwał. — Zbyń! — tak mnie nazywała. — Zbyń! wstawaj! zrzuć tę suknię plugawą, zbroje wdziej, drzwi wyłam, koń tam stoi i czeka na ciebie. Idź! śpiesz! Pamiętaj, że wolność ci dam na to, abyś się mścił na nich wszystkich, wszystkich do ostatniego, na ojcu nawet, tak, na własnym ojcu. Mścij, mścij!

— A, okropny sen! — zawołał kleryk drżący.

— Dopiero nad ranem okrutną tą męczarnią znękany zerwałem się z krzykiem! Dzwon na jutrznią wołał do chóru; obejrzałem się — matki nie było, ale głos jej, głos ten mam jeszcze w uszach, w pamięci...

— Sen mara, Pan Bóg wiara! — szepnął braciszek. — Było się przeżegnać i pomodlić, ustąpiłyby siły nieczyste.

Słów tych domawiał, gdy nagle królewicz się zerwał.

— Tst! — krzyknął głosem stłumionym — tst! Słyszysz?

Milczeli oba.

Na drodze, wiodącej do klasztoru, która przechodziła poza parkanem ogrodowym, słychać było coraz wyraźniej zbliżający się tętent koni. Ucho królewicza rozróżniało już brzęk rycerskich zbroi i mieczów, głosy jakieś obce. Lice mu się mieniło.

Gościńcem jechali niewidzialni, bo parkanem zakryci jeźdźcy jacyś, których kilkunastu lub kilkudziesięciu być musiało. Długo tak słychać było wolne stąpanie koni, pobrzękiwanie oręża i zbroi.

Królewicz uczepił się ławy, aby spojrzeć na drogę, ale dach, spuszczający się na ogrodzenie nie przepuścił wzroku. Ciche jakieś szepty dostawały się od tej gromady jeźdźców do sadu klasztornego. W dźwiękach ich zdawał się królewicz rozpoznawać mowę znaną, tę pierwszą, którą z ust matki słyszał w dzieciństwie. Po czole jego przepływały światła i cienie.

Teraz już i on chciał co rychlej do klasztoru powracać, bo rzeczą było pewną, że ktokolwiek byli ci podróżni, pod noc znajdujący się na gościńcu, wśród lasu, musieli u mnichów szukać spoczynku i do gościnnej furty zapukać. Królewski syn rad był zobaczyć tych obcych ludzi rycerskich, coś od nich posłyszeć, zwłaszcza, że z pochwyconych kilku wyrazów, domyślał się Czechów lub Polaków.

— Chodźmy! — odezwał się, krokiem szybkim wyprzedzając towarzysza — chodźmy, żywo!

Brat Łukasz z trudnością mógł za nim podążyć, tak szybko przesuwał się królewicz przez wąskie ścieżki między krzewami i zielem zostawione, ciągle towarzysza swego i stróża wyprzedzając.

Właśnie bramą drewnianą przez całą szerokość klasztoru z sadu na dziedziniec wiodącą, dostawali się w pierwsze podwórze, gdy do zewnętrznych wrót stukać zaczęto.

Odźwierny, człek stary, wlókł się, mrucząc powoli z pękiem kluczy; nie otworzył jednak zrazu bramy, wstąpił na wschodki przy furcie, z których gościniec widać było i wyjrzał za wysokie ogrodzenie.

Rozmowy, która się między nim a podróżnymi rozpoczęła, dosłyszeć nie było można. Stary zdawał się wahać z otwarciem i układać z podróżnymi o warunki, gdy przyszedł mu w pomoc zakonnik drugi.

Układano się jeszcze; naostatek odźwierny zstąpił

i otworzył nie wrota całe, ale furtę z boku, przez którą jednego z przybyłych wpuścił do wnętrza.

Cały wychylony, rozciekawiony, oczyma pożerał przybywającego brat Aleksy.

Ten, który wszedł, niemłodym był już mężczyzną, silnym, rycerskiego oblicza, w żelazne blachy odzianym, z hełmem kowanym na głowie, mieczem u pasa, ostrogą u nogi, cały kurzem okryty. Znać przybywał zdaleka...

Barwy jego włosów dla pyłu rozpoznać nie było można, twarz też ogorzała pomalowała się dziwnie, bo pot, który po niej spływał, jakby zaschłem popstrzył ją błotem. Widać było tylko wąs ciemny i brodę na kaftan spływającą, siwizną już pomalowaną.

Odźwierny starzec został u furty na straży, a drugi zakonnik powiódł gościa do przełożonego. Nim jednak zaprowadzono go do klasztoru, rycerz ów zwrócił się ku swoim i głośno do nich zawołał:

— Stać i czekać na mnie, aż wrócę!

Słowa te zadźwięczały dziwnie w uszach słuchającego królewicza: mowa to była, której nie słyszał od lat kilku, a która mu dziecinne przypomniała lata. Ręce zacisnął silnie, twarz oblała się krwią, jasne oczy ogniem zapałały. Byłby się rzucił naprzeciw gościa, gdyby go kleryk, stojący przy nim, strwożony coraz bardziej, oburącz objąwszy, gwałtem nie powstrzymał całą siłą.

— Na miłość Bożą, do celi! Chodźmy do celi, bracie Aleksy — błagać począł, obejmując go rękami. — Do celi. My tu nic do czynienia nie mamy, to do nas nie należy.

Zrazu wyrwał mu się królewicz i zdało się, jakby chciał przebojem iść, potem spuścił głowę, jakby go jakaś myśl złamała i, słowa nie mówiąc, dał się prowadzić.

Ciemnemi wschodkami poczęli wstępować na piętro. Tu wąski korytarz, ciemny także, ciągnący się przez całą długość budowy, zaledwie kilku wąskiemi otworami od podwórza oświecony, wyciągał się przed

nimi cichy, pusty i smutny ze swym więziennym mrokiem i milczeniem pustki.

Tuż przy wschodach były dwie cele obok siebie. Do jednej z nich, jakby z rozpaczą jakąś, rozdrażniony wpadł królewicz, a brat Łukasz, widząc go w takim stanie, po krótkim namyśle, wcisnął się za nim.

Cela była zakonna, nie lepsza od innych, po mniszemu urządzona. Jedno w niej okno na sad wychodzące, zasunięte okiennicą, natychmiast z trzaskiem gwałtownie otworzył przybyły. W półświetle, które izbę oblało, widać w niej było łoże twarde, prosty klęcznik z krzyżem nad nim, dzban u drzwi gliniany, drewnianą misę i skrzynię, której wieko napół stało otworem.

Królewski syn był tu niczem więcej, jak ubogiem dziecięciem św. Benedykta.

Królewicz, popatrzywszy przez okno, odskoczył od niego, rzucił się na twarde łoże, siadł na niem i głowę zanurzył w dłonie. Poruszony był, niespokojny, rozgorączkowany. Przybycie tych rycerzy po śnie nocnym rodziło w nim przeczucie i nadzieje.

Milczał trochę, potem głowę podniósł i począł głosem niespokojnym.

— Słyszałeś? To są Krakowianie, to moi są! Po mowie ich poznałem. Skąd oni tu? poco? Między Sasami? jak? dlaczego?

— To może Czesi od Pragi — odparł Łukasz. — Onić tak samo mówią i rozpoznać ich od Polan trudno... Czesi się tu często zapędzają.

— Och! och! — począł królewicz — co ty mi mówisz? Czeska mowa pieszczona inaczej brzmi niż nasza. Słowa jedne, a śpiew inny. Moje ucho nawet Ślązaka rozróżni od Krakowianina, co dopiero Czechów od Polan. To są moi Krakowianie — począł, rozgorączkowując się coraz bardziej — moi są! sen mój! sen! — konie stoją za wrotami. Siadaj, jedź, mścij! mścij!

Bełkotał coraz żywiej i pięściami bił po kolanach.

Cisza panowała w klasztorze, a że korytarz sąsied-

ni na podwórze wychodził, słyszeć stąd było można, co się na niem działo.

Po chwili zaskrzypiały szerokie wrota: braciszkowie rozpoznali tętent koni, wchodzących na dziedziniec tłumnie, wrzawę, brzęk żelaza, rozmowę gwarną, to cichszą, to głośniejszą.

Królewiczowi twarz się paliła, nastawiał ucha, serce mu biło, zrywał się po kilkakroć z siedzenia, jakby chciał biec, a towarzysz łagodnie, chłodno, ale uparcie spychał go na łoże, wpół prośbą, pół musem zmuszając go do pozostania na miejscu.

— Cierpliwość miejcie! — dodał. — Jeżeli ich tu już wpuszczono, toć i do refektarza poproszą, nocleg tu pewnie mieć będą. Zobaczycie ich, posłyszycie, choćby jutro na mszy świętej w kościele, boć bez niej przecie odjechać nie mogą.

Zamilczał brat Aleksy, ale usta zagryzając, rzucał się niecierpliwie.

Szmer, który słyszeli w dziedzińcu, zrazu cichy, wzmógł się, głosy jakieś gwałtowne podnosić się zaczęły, brzmieć groźno. Zdawało się, jakby spór jakiś powstał między wpuszczonymi gośćmi a zakonnikami.

Brat Łukasz rozpoznawał podniesiony głos ojca przełożonego, potem odpowiedź nań hałaśliwą, niecierpliwą i okrzyk. Rycerze wtórowali swojemu, znowu mówił przełożony, potem wszyscy razem rwali się wrzawliwie, głusząc jedni drugich. Po krótkich ciszy przestankach następowały jakby wybuchy i milczenie, to znowu krzyki uparte i postukiwania oszczepami o ziemię. Można się było domyśleć, że spór o coś zajść musiał.

Brat Łukasz drżał, Aleksy podchodził ku drzwiom, uśmiechał się, siadał na łóżko, zrywał się.

Po burzliwej owej rozmowie nastąpiło łagodniejsze mruczenie i umiarkowańsze głosy, ustał spór, wróciło znowu milczenie klasztorne, tak dziwnie i niespodzianie przerwane.

Wtem na korytarzu dały się słyszeć szmer i kroki, brat Łukasz niespokojny podbiegł ku drzwiom, gdy

się one otwarły szeroko i ojciec Abdon, przełożony, wszedł z twarzą chmurną, krokiem powolnym. Widać było na nim, że tylko co do gniewu był pobudzony i teraz dopiero odzyskiwał spokój zwykły i powagę.

Niespodziane jego zjawienie się w celi jednego z braciszków było tak dziwnym wypadkiem, iż ujrzawszy go, królewicz już nawykły do karności, napół zachowując regułę klasztorną, która z przyklęknięciem i pocałowaniem ręki witać przełożonego nakazywała, — napół się z niej wyłamując, pochylił się tylko i nie zgiąwszy kolan, zapytał:

— Ojcze przewielebny — ojcze! To moi, Krakowianie są!

Opat spojrzał nań surowo, zatrzymał wzrok na nim, usta mu się litościwie uśmiechnęły i rzekł z westchnieniem.

— Bogu jednemu wiadomo, ażali wy się tem cieszyć macie, czy smucić. Tak, Polanie to są i Czesi, którzy, nie mając prawa, gwałtem wymóc chcą na mnie, abym im was dał... Ja wojny z nimi prowadzić nie mogę. Wdarli się tu, jako goście, a postąpili jako gwałtownicy.

Królewicz, zaledwie dosłuchawszy, krzyknął z radości. Radość ta była z początku tak wielką, iż padł na kolana i rękę opata, niechętnie mu podaną, ucałował, ale wnet zerwawszy się z ziemi, począł wołać:

— Sen mój! Matka moja! Koń stoi! Ja jechać muszę z nimi! Muszę!...

Rzucił się, nie patrząc na starszego, ku drzwiom, wypadł niemi i słychać było, jak biegł po wschodach.

Opat zwolna, zamyślony, poszedł za nim.

II.

W wielkiej izbie na dole, w której zakonnicy zwykli byli przyjmować gości, zdawna tak tłumno i hucznо nie było, jak tego wieczora. Przy blasku kilku kaganków widać było kilkunastu zbrojnych ludzi, którzy

stali, oczekując, pozdejmowawszy hełmy z głów, oblanych potem, z kurzawy twarz i odzieże swe ocierali.

Byli to tylko co przybyli goście, do których biegł królewicz.

Za każdym od strony drzwi szelestem zwracali ku nim głowy, ale już po kilkakroć zawiodło ich oczekiwanie. Zwłoka zdawała się ich niepokoić.

Ten, który pierwszy zjawił się u furty klasztornej, stał naprzedzie, gotując się widocznie wyręczyć towarzyszów w rozmowie i przyjęciu tych, których oczekiwano, bo na drzwi ciągle miał zwrócone oczy.

Był to Dobek z Morawicy, daleki jakiś powinowaty matki królewicza; przy nim stali Śreniawa, Kaniowa i Mutyna Czech, dodany im w Pradze. Siedzący na ławach wszyscy byli Ślązacy lub Krakowianie.

Otwarły się nareszcie drzwi i opat wszedł, wiodąc za rękę królewicza Zbigniewa, w tej samej sukni poszarpanej i poplamionej, w której siedział przed chwilą w ogrodzie. Odmienić mu ją chciano, ale się oparł temu.

Nikt z przybyłych, nawet Dobek z Morawicy, po matce mieniący się powinowatym Zbigniewa, nie znał go z twarzy. Wszyscy sobie wystawiali królewskiego syna, owe dziecię pańskie, po które przybyli — pięknem, rysów twarzy szlachetnych, postawy rycerskiej. Jakież było zdziwienie ich, gdy ujrzeli przed sobą niezgrabnego kleryka w sukni ciasnej, rozrosłego wprawdzie i silnego, lecz do parobka stajennego podobniejszego, niż do książęcia, — z twarzą długą, bladą, odstraszającą, na której się malowała zwierzęca niemal radość jakaś rozszalała.

Jakiś czas stali osłupieni, nie mogąc przyjść do siebie, takim zawodem wydał się im ten wyrostek, którego widzieli przed sobą. Zmierzyli się oczyma, ledwie nie posądzając opata, że ich oszukać pragnął, podstawując im innego kleryka w miejsce królewskiego syna.

Wtem, nie czekając na ich powitanie, Zbigniew gwałtownym ruchem naprzód wystąpił, stanął i począł, śmiejąc się, głosem drżącym.

— Witam, miłości wasze!

Brzmienie mowy wywiodło ich dopiero z wątpliwości i osłupienia.

Ci, co znali króla i słyszeli go mówiącego, w głosie znaleźli jakieś z nim podobieństwo. Dobek z Morawicy podszedł ku niemu i hełmem, który trzymał w ręku, do kolan mu się pokłonił.

— Czołem, a głową miłości waszej — odezwał się. — Myśmy po was tu przybyli. Dosyć tego zamknięcia w klasztorze, pojedziemy z wami, aby odzyskać, co wam odebrano.

Śmiejąc się głośno, Zbigniew rzucił się go ściskać.

— Zbawcami mi jesteście! — zawołał. — Marłem, zaszyty w tej sukni!

To mówiąc, potrząsnął nią.

— Konałem w tej ciemnicy osiem lat, wiek! Nim dorosłem, zestarzałem.

Łatwość i śmiałość z jaką mówił, poprawiło pierwsze niemiłe wrażenie. Przybyli, powstawszy z ław, kołem go otaczać zaczęli.

Opat tymczasem, mowy tej nierozumiejący, widząc siebie i godność swą nieco zaniedbaną — ponury stał i milczący. Dawny wychowaniec wcale się nie zdawał zważać na niego, poczynał już sobie, jako człek swobodny, który przełożonego nad sobą znać nie chce.

Wyczekawszy chwilę, opat skinął na Dobka z Morawicy, który starszym się zdawał między przybyłymi, i szepnął mu, gdy się zbliżył, iż chciałby z nim mówić na osobności.

Dobek, żwawy i poradny człek, swoim coś rzekł i zostawując na ich rękach królewicza, sam z opatem udał się do jego celi.

Zwolna kroczył ojciec Abdon, nic nie mówiąc, zamyślony. Mąż to był poważny, doświadczenia wielkiego i zdobytego wiekiem spokoju ducha, a przełożeństwo już po kilkakroć w różnych miejscach piastował i nawykł był do rozkazywania. Nadawało mu to postać i obyczaj prawie pański.

Weszli do sporej izby, w której ojciec Abdon zwykł

był gości dostojniejszych przyjmować. Nie było w niej innego zbytku nad ten, jaki przystał duchownemu: ksiąg wiele, obrazów złocistych kilka, krucyfiksy, ołtarzyk do modlitwy, ozdobnie przybrany. Otwartemi oknami wpadło światło, jeszcze żywe i jaskrawe, choć dołem w podwórzach mrok się już poczynał.

Opat zajął miejsce w krześle swem z poręczami, na poduszce, a drugie wskazawszy Dobkowi, odezwał się po krótkim namyśle.

— Przynieśliście mi list i pieczęć z Pragi, abym na ręce wasze wydał wychowańca mojego, Zbigniewa. Ci, co go żądają, nie dali mi go, — prawa doń nie mają, bierzecie mi go siłą! Z Krakowa mi był powierzony, z woli króla, jak mówiono; dziś może przeciw niej go bierzcie? Miły panie, gdym brał tego młodzieńca, niewielem o nim wiedział; gdy mi go zabieracie, godziłoby się, byście mnie nauczyli, dlaczego wprzódy odsunąć i zamknąć go chciano od oczów ludzkich w ciszy klasztornej, a dziś go chcą stąd siłą odebrać? Ciemnem to dla mnie. Obcym jestem zakonnikiem, o sprawach Polan tak, jak nic nie wiem. Sasi to o nich tylko wiedzą, iż się napaści na siebie od królów waszych lękają.

— Byćże to może, ojcze przewielebny — spytał Dobek, — ażeby was zostawiono w nieświadomości?

— Tak ono jest — odparł opat spokojnie. — Lat temu osiem przywieziono płaczącego chłopaka gwałtem znać do klasztoru, ze znacznym darem dla kościoła naszego. Nie pomnę, jak się zwał ten, co mi go oddawał; stoi zapisane na mszale imię jego. Powiedziano mi, że dziecko jest nieprawym potomkiem księcia polskiego, że je chcą oddalić, aby król, czy książę, żonę biorąc ślubną, dziecka się nie wstydził, i aby prawym następcom jego uszczerbku nie było. Kazano go do zakonu sposobić, przyrzekając wyposażenie. Imię mu było Zbigniew, myśmy w zakonie zwali go Aleksym.

Dobek słuchał zawstydzony i nieco zdziwiony.

— Ani królów waszych, ani królestwa waszego

dziejów i spraw nie znam — kończył opat. — Tyle moich uszu doszło, iż mieliście zuchwałego pana, który się na ojca swojego duchownego porwał i zamordował go, że z Rzymu ojciec nasz rzucił interdykt na królestwo wasze, iż korony pozbawiono panującego, a ta się pono z woli ojca naszego, biskupa rzymskiego, czy cesarza, dostała czeskiemu królowi.

Dobek ramionami ruszył.

— Niechże mnie przewielebność wasza posłucha— rzekł powolnie. — Ja wszystko, jak umiem, opowiem, Prawda to jest, żeśmy króla mieli, który jak rycerzem był wielkim, tak niepohamowanym i zuchwałym, bo ani królów swych braci za równych, ani papieża, ani cesarza za wyższych nad siebie mieć nie chciał. Zabił on biskupa naszego, męża świątobliwego, który mu grzechy na oczy wyrzucał, ale potem sam z kraju uchodzić musiał. Ulitował się przecież papież rzymski nad nami i brat króla, choć nie koronowany, królestwo dzierży, dla nas królem jest. Synem jego pierworodnym jest ten oto Zbigniew, po którego my przybyliśmy.

— Ale dziecięciem nieprawem — wtrącił opat.

— Jako żywo, — odparł Dobek — my tej różnicy nie znamy. Dawnym obyczajem naszym domowym wziął Władysław, pan nasz, krewnę moją Hannę, żył z nią jako z małżonką, choć kościół nie pobłogosławił związku, boć u nas to nie było w owe czasy koniecznością i duchowni się o to nie upominali, jak teraz.

Z tej Hanny, ciotecznej mojej, miał król oto tego syna, który tak jego prawym synem jest, jako i ten drugi, co mu się później z czeskiej Judyty narodził, za przyczyną Idziego świętego.

Gdy król Judytę brać miał za małżonkę, z krwi królewskiej, zażądano, by nietylko pierwszą żonę, ale i pierwsze dziecię odtrącił od siebie i zapomniał o nich. Zmarła z boleści wielkiej żona, sierota została; tę wtrącono do klasztoru, jak w studnię.

Opat się poruszył mocno.

— Miły bracie — rzekł — nie na zgubę, ale na

zbawienie dano go nam, nie studnia to jest, ale wrota do wiecznej szczęśliwości.

— Pewnie, pewnie — poprawił się zmieszany Dobek, głowę skłaniając — ale, dałże on się nałamać i skłonić, aby umiłować ten stan, ojcze przewielebny? Powiedzcie, abyście nasze uspokoili sumienie?

Opat pomilczał nieco, w twarzy jego znać było zakłopotanie pewne, smutek, walkę z samym sobą. Namyślał się miał-li rzec, co mu na sercu leżało.

— Miłościwy panie, — odparł — nie zataję prawdy przed wami. Osiem lat trzymam go na oku, mogę rzec na pasku, zobowiązaliśmy się do tego. Dziecko przyszło tu zepsute i krnąbrne, a daj Boże, aby lepszem stąd odebranem zostało. Naturę ma do przezwyciężenia trudną i nieugiętą, umysł pojętny, krew burzliwą. Nie wiem, co z nim czynić myślicie, lecz jeśli władzę jaką z rąk waszych ma otrzymać — bodajbyście danej mu nie pożałowali!

Ostatnie wyrazy ciszej domówił opat, spuścił głowę na piersi i umilkł. Zdziwił się mocno, gdy podniósłszy oczy na Dobka, ujrzał go prawie uśmiechniętym i rozradowanym tem, co go powinno było nastraszyć.

— Ojcze przewielebny, — odezwał się Dobek — takiego nam potrzeba właśnie, któryby rękę silną i wolę miał, a strasznym był... Stary król niewiele może, rządzi palatyn i nas wszystkich zabierać chce w niewolę. Niech będzie zły, byle silnym był, a mógł się mu opierać...

Opat się poruszył.

— Nie żądajcie złego w złą godzinę! — rzekł cicho.

— Nie odwołuję, com rzekł — począł Dobek. — Pan nasz pobożny, Władysław Herman, dobrym jest, ale słabym i bojaźliwym; nie panuje on, ale nad nim panują. Królowa niewiastą jest i nie wie kędy idzie, król zawojowany, wojewoda Sieciech, faworyt obojga, bodaj na przywłaszczenie sobie wszystkich ziem godzi i zastawia sieci. Nie było rady innej, jak oto to królewskie dziecię wziąć, a niem się podeprzeć przeciw

samowoli Sieciechowej. Garnie on wszystkie ziemie pod siebie, a każda chce swoje prawo i wojewodę mieć...

— Daj Boże, by wasze lekarstwo od choroby gorsze nie było! — odezwał się opat. — Świeckie sprawy obce mi. Nieradbym też obmawiać tego wychowańca mojego, ale o niego i o was trwoży się dusza moja. Dzikie zwierzę w klatce niestraszne, na wolności — bieda z niem!

Umilkł.

— A cóż w nim tak złego jest? — zapytał Dobek.

— To najgorsze, żem dobrego w nim znaleźć nie mógł. Jak na suchej płonce, com zaszczepił — zmarniało, a dzikie wilki bujają. Ugiąć się, słuchać, ukorzyć nie umiał nigdy. Rozumu nie brak, słowo ma łatwe, bystrość wielką, gdy zechce, ale przewrotność w nim większa jeszcze..

Jakby znużony opat zamilkł znowu i czoło ocierał.

— Nie posądzajcie mnie — dodał — abym niechęć jaką miał ku niemu. Bóg mi świadkiem, kochałem go i litowałem się; troskę z serca mi zdejmujecie, zabierając go. Nie miałbym sumienia jednak, gdybym was nie ostrzegł, nie oznajmił wam, iż pilno czuwać nad nim powinniście.

Dobek, pochyliwszy się do ręki opata, ucałował ją.

— Dziękujemy przewielebności waszej — odezwał się. — Bynajmniej to nie zmienia naszych zamiarów. Jakikolwiek on jest — wziąć go musimy. Kto wie, czy swobodniej puszczony, nie zmieni się, a nie stanie takim panem, jakiego nam trzeba.

— A któż jest ten Sieciech? — rzekł opat.

— Kto Sieciech? pytacie? — rozśmiał się przybyły, ramionami ruszając, jakby go to pytanie niepomału zdziwiło. — Jakże to rzec, kto on jest? Był gładki młodzieniec, Toporczyk rodem, niewielkiego imienia, ale pięknej postawy i żywego ducha, śmiałości wielkiej. Królowi się podobał, bo mu do wszystkiego służył, miłym się stał królowej, która młodzież lubi. Umiał się przymilić, wyręczyć i objął powoli wszystko. Króla obsadził swoimi ludźmi, w ręce wziął miecze i klucze,

Władysławowi dając spoczywać, modlić się i zażywać pokoju. Żołnierz i wódz szczęśliwy, rozumem i nauką choćby z biskupami o lepsze iść gotów. Dziś on pan na Sieciechowie, a jutro na ziemiach i karkach naszych panem być może.

— Cóż jeden taki chłopak przeciw niemu znaczy? — odparł przełożony.

— Bardzo wiele — zawołał Dobek. — Mamy dlań zapewniony Śląsk, gdzie go Wrocławianie i wojewoda Magnus przyjmą za pana, aby postawić przeciw Sieciechowi. Ukrócim władzę jego i uratujemy krew pańską.

Pomilczał trochę opat.

— Lepiej to zapewne wiecie, co czynić macie — odparł krótko. — Róbcie, jak was Bóg natchnął, ja z sumienia mojego zrzuciłem brzemię. Teraz — dodał, zlekka się podnosząc, duchowny — idźcie miłościwy panie, sam na sam weźmijcie przyszłego pana, a zajrzyjcie mu w duszę. Obaczym, co o nim powiecie.

— Pośpieszę, gdy dozwalacie — rzekł Dobek i, raz jeszcze rękę opata ucałowawszy, wyszedł z celi.

Tu stojący kleryk, który na rozkazy czekał, drogę mu do foresterjum pokazał.

Zbliżając się do wnijścia, już omylić się nie mógł Dobek, taką tam wrzawę wewnątrz słychać było i śmiechy, w których głosy towarzyszów swoich poznawał. Nad wszystkimi huczniej rozlegało się rychotanie dzikie, w którem się domyślał Zbigniewa.

Uchyliwszy drzwi, ujrzał widowisko osobliwe. Polanie przybyli z Dobkiem, którzy, jadąc na tę wyprawę, zawczasu obmyślili czego potrzebować będą, zabrali z sobą suknie i uzbrojenie, stosowne dla przyszłego księcia, aby się w nich mógł przystojnie Wrocławianom okazać.

Dobek trafił właśnie na tę chwilę, gdy, sakwy i węzły na ziemi rozwiązawszy, towarzysze jego, młodego syna królewskiego na nowo przyodziewali.

Zbigniew szczęściem swem był upojony i, jako się

niedawno rzucał rozpaczliwie w niewoli, tak teraz miotał się, oszalawszy swobodą bez miary.

Nie czyniło go to piękniejszym.

Rozebrany z ciasnych sukien silnym się okazał, ale równie niezgrabnie wyciosanym jak wprzódy. Twarz jego blada rumieniła się weselem, a oczy iskrzyły dziką jakąś zapalczywością, niemal rozpasaną, która już i tych, co go otaczali, raziła.

Gdy Dobek wszedł, ujrzał na ziemi podarty w szmaty drobne habit zakonny, Zbigniewa już napół rycersko przyodzianego, samemu sobie dziwującego się, jak dziecię. Wszyscy dokoła posługiwali mu chciwie; jeden kaftan podawał, drugi pas opinał, inny chciał hełm próbować. Zbigniew nogą obutą bił w ziemię, śmiał się, urągając, i wykrzykiwał głośno.

— Osiem lat mię więzili — wołał — raz wolny, wolę zginąć, niż im się dać okuć na nowo! Ani panu ojcu, co się zaparł syna, ani królowej macosze, ani miłemu bratu, ni w świecie nikomu. — Wydali mi wojnę, gdym dzieckiem był; zaprawdę, nie poczynałem jej, będą mieli wojnę, bo ja tak ich nie znam, jak oni mnie znać nie chcieli. Prawo tylko swe znam i Boga nad sobą, więcej nic.

Dobek, nie zbliżając się, przysłuchiwał się z za drugich. Kleryk (bo mu już tu pierwszego dnia niektórzy nadali to przezwisko, mające przy nim zostać na zawsze) im mu bardziej śmiechami potakiwano, tem raźniej wykrzykiwał.

Nie wiedział Dobek, czy się miał tem radować, czy trwożyć; miarkował, że człek był jeszcze niewytrzeźwiony z pierwszgo szału, a młody, lecz w zahukanem dziecku nieśmiałości się zbytniej raczej było można spodziewać, niż takiego nagłego rozzuchwalenia.

— Oho! — wołał, rychocząc wyzwolony, gdy mu miecz przypasywano — oho, teraz mi już nikt nie zabroni, gdy włosy odrosną, puścić je na ramiona i brodzie też dać bujać, a jeść, a pić — i na niewiasty patrzeć i pieśni słuchać i śmiać się dowoli.

— Na niewiasty — wtrącił któryś — nietylko patrzeć wam wolno, ale je i brać.

— O! — przerwał Zbigniew — a no, cicho! tu o nich ani mówić, ani ich widzieć, ani myśleć o nich nie wolno pod karą wielką. Ojcowie mówią, że szatan siedzi w nich.

Śmiali się niektórzy, inni szeptali:

— Krew nie woda, teraz sobie nagrodzi!

Zbigniew dosłyszał to i, ręce podnosząc, począł wołać:

— Zaprawdę! zaprawdę! Nagrodzić sobie muszę stracone lata! Gędźby, pieśni, śmiechu, swawoli zażyć, jak mężczyźnie przystało.

— Wszystko mieć będziecie — odezwał się poważniej Dobek, — ale i miecz też nie będzie próżnował.

Zbigniew spojrzał na wiszący u boku obojętnie jakoś.

— Tym ja jeszcze nie władnę, — rzekł — bo mi też ani go tknąć, ani próbować nie dano. Skądżebym miał wziąć go tam, gdzie i pałka zakazaną była? Nauczycie mnie z nim się obchodzić?

— Nauczymy! nauczymy! — odezwali się chórem wszyscy.

Dobek odwiódł Starżę na stronę.

— A co, pan nasz? — spytał pocichu.

— Widzicie go — rzekł Starża — człek chudy, zasępiony i frasobliwy z natury. Musiało mu się od tej nagłej swobody w głowie zakręcić. Mówi jak po pijanemu — po mnie ciarki chodzą, słuchając.

Pochylił mu się Dobek do ucha.

— Jeszczeby was gorsze wzięły dreszcze — rzekł— gdybyście posłyszeli, co do mnie o nim opat rozpowiadał — a no, wyboru nie mamy.

— Cóż mówił?

— Straszył mnie nim, azali my na nasze barki nie ostrzymy topora? — szeptał Dobek, nieco zasępiony.— Któż wie?

Namyślił się Starża.

— Gorzej ci nie będzie — odparł po namyśle. —

W naszych on rękach; jakeśmy go wzięli, tak go porzucić możemy...

— Łacniej pono wziąć, niż się zbyć — dokończył Dobek. — Znajdzie sobie zawsze takich, co go popierać będą.

Spozierali zukosa na królewicza, a Starża rzekł wkońcu:

— Po tem, coście wy od opata słyszeli i ja się trwożyć będę. Bogiem a prawdą, ten syn królewski do serca mi nie przystał. Suknia zakonna nie uczyniła go lepszym, choć na rozumie i języku mu nie zbywa. Przysłuchajmy się im.

Właśnie zakonni braciszkowie stoły dla gości przygotowywali dla wieczerzy, gdy Dobek ze Starżą podeszli do królewicza, który odziany w szaty nowe pysznił się niemi.

Siedział na ławie, dumnie spoglądając na braciszków, niedawno towarzyszów swych, z obawą jakąś rzucających nań przestraszone wejrzenia. Przeistoczenie to człowieka, którego wczoraj sądzili już na wieki obleczonym suknią i ślubem, budziło w nich myśli trwożne. Wedle nich zgubionym był i zaprzedanym nieczystej sile. Z poszanowaniem podnieśli z ziemi podartą suknię zakonną, którą Zbigniew zdeptał nogami, i jeden z nich wyniósł ją co prędzej z foresterjum. Na twarzy pozostałych malowała się groza, oburzenie, postrach kary bożej, która świętokradcę dosięgnąć miała.

Zbigniew urągał się im rozparty na ławie.

— Bracie Łukaszu, bracie Agapicie, braciszku Odonie, patrzajcie-no! Nie wyglądam-li na rycerza? niedobrze mi tak? Chciałoby się i wam takiej sukni? hę?

Braciszkowie nie spoglądali nań, nie odpowiadali nawet, ustawiali na stole miski, kładli chleby, krzątali się około kubków i dzbanów; spuszczali oczy.

Wesołość tylko co rozdzianego kleryka, choć się tłumaczyć dała, nawet świeckim jego towarzyszom wydawała się nieco dziwną, trochę rażącą, cóż dopiero skromnemu braciszkowi Łukaszowi! Szał ten trwożył go nad wyraz wszelki, gdyż i ów sen i przygody uważał

za dzieło złego ducha, wiodącego nieszczęśliwego do zguby.

Wejście opata i kilku milczących zakonników, którzy mu pokornie towarzyszyli, postępując za nim z oczyma w ziemię wlepionemi, niewiele uśmierzyło rozhukanego książęcia. Dobek musiał go cichą przestrogą skłonić, aby nieco skromniej i ciszej się znajdował, za co mu wejrzeniem złośliwem zapłacił.

Opat, stojąc, odmówił błogosławieństwo, gościom podano miednice, nalewki i ręczniki, służba zastawiła skromny posiłek na stołach, na trzech jedną, wedle obyczaju, dając misę, z której społem jedli.

Rozmowa stała się cichszą i nieśmiałą, opat był poważny i milczący. Nie biesiadowano też nad miarę, gdyż choć przyjęcie dostatnie było, zbytku w klasztorze nie dopuszczano. Piwa po kubku postawiono przy każdym, jadła brał każdy, ile chciał i jak stało. Mięso dawano tylko dla obcych, a Zbigniew długo pozbawiony go, niepomiernie i z widoczną żarłocznością go używał.

Nie okazując tego, opat mierzył go oczyma; spoglądali i inni, nie mogąc poznać w tym śmiałym aż do zuchwałości chłopcu, który się im urągać zdawał, chmurnego, milczącego braciszka, jakiego znali w sukni zakonnej.

Po dziękczynnej modlitwie mnisi, ucałowawszy z przyklęknięciem rękę opata, opuścili jadalnię, — przełożony sam został z obcymi. Widać było, iż życzył sobie mówić ze Zbigniewem.

O. Abdon stał, mierząc go oczyma. Sile tego wejrzenia, którego słuchać był nawykł, ulec musiał. Gniewny czekał, co mu opat powie.

— Powinszować wam chcę i pobłogosławić — odezwał się głosem surowym przełożony. — Zmienił się pono los wasz tak, jakeście w duszy waszej pożądali; daj Boże, by na szczęście dla was i dla tych, co was na pana ku sobie powołują! Wielki ciężar zaprawdę spada na ramiona wasze, a ujrzycie kiedyś, iż cięższym jest od sukni ubogiej, której nie umielibyście umiłować.

Idźcież w świat z Bogiem, miłościwy panie — tak z Bogiem! Nie zapominajcie o Bogu, którego wola spełnia się nad wami. Jutro dodnia, nim rozpoczniecie podróż, odprawię mszę świętą na intencję waszą i pobłogosławię...

Sądzili wszyscy, słuchając, że się chłopak słowy, pełnemi dobroci, uczuje za serce ujęty, że się ugnie, jako należało przed opatem i podziękuje za doznaną opiekę i względy — czekali! Zbigniewowe czoło się zachmurzyło tylko, zmarszczył brwi, oczy spuścił wdół, zamruczał coś niewyraźnie i nie pochylił się nawet do ręki opata.

Kapłan stał, popatrzał chwilę i nie rzekł już więcej nic, głowę skłonił, ku otaczającym się zwracając i krokiem powolnym, z klerykiem, który ze światłem czekał nań u drzwi — wyszedł.

Gdy się te za nim zamknęły, książę dopiero podniósł głowę z wyrazem niemal gniewnym.

— Ha! — mruknął. — Chciał, bym mu jeszcze dziękował może, że mnie ręką żelazną trzymał przykutego bez litości lat tyle. Niedoczekanie ich! Mnichy i życie mnisze mi dojadło. Jutro, jak świt, w drogę!

— Ale nie bez mszy i błogosławieństwa — odezwał się Dobek. — Niepewna jeszcze, co nas i was, miłościwy panie, czeka, jest o co Pana Boga prosić.

— O! dla mnie byle na swobodę i za te mury — zawołał Zbigniew, ręką machając przed siebie.

Wtem zbliżył się nieśmiało braciszek Łukasz, dawny towarzysz, pytając go, czy w dawnej swej celi nocować zechce.

— Ja, w tej dziurze! — krzyknął szydersko Zbigniew. Nie! wolę tu na gołej ziemi. Od moich towarzyszów nie odejdę krokiem.

Wnet młodsi wzięli go między siebie, a brat Łukasz zawstydzony, skłoniwszy głowę, z pomiędzy nich się wyślizgnął.

III.

Działo się to w roku 1096.

Zamczysko w Płocku, kędy król (bo tak go w domu zwano, choć koronowanym nie był) najczęściej przebywał, już naówczas nieco przystojniejszy, niż za lat dawnych pozór miało, acz i teraz obozowisko i namioty więcej przypominało, niż ogród stołeczny.

Stolic też naówczas stałych nie mieli królowie, czasowo przemieszkując po grodach i ziemiach, do których ich upodobanie, obowiązki, wojny i sprawy domowe powoływały.

Władysław Herman bezpieczniejszym się czuł w pośrodku ziem swoich, na Mazurach, w Płocku, niż w Poznaniu, Gnieźnie, na Śląsku i w Krakowie. Tu więc i on, i dwór, i królowa Judyta, cesarskiej krwi pani, przebywać w nim musiała, tu lata pierwsze spędzał Bolko młodziuchny, jedyny syn królewski z Judyty czeskiej, bo z Niemki trzy tylko córki rodzinę pańską pomnożyły.

Wdowa po królu Węgrów, krwią z domem cesarskim blisko połączona, królowa Judyta pędziła tu życie, które sobie sama zabawami i wesołością zaprawiać musiała. Król chorowity lubił ciszę, ale nikomu się weselić i wedle myśli swej zabawiać nie bronił.

Zamek w skwarne dni lata tego bardzo ożywionym nie był. Połowę budynków jego zajmowała ze swym dworem niemiecko-węgiersko-polskim królowa pani, część mniejszą zamieszkiwał król. Dokoła obojga dwór, a raczej dwa osobne dwory się rozkładały, nie licząc trzeciego, otaczającego królewicza Bolesława, naówczas jedenastoletniego, przy którym nieodstępnym był ochmistrz jego Wojsław, Sieciecha pokrewny, i rówieśnicza drużyna.

Gawiedź dworska przy królu i królowej w większej części młoda była, raźna, ochocza i dosyć swobodna, bo taką i królowa pani i Władysław otaczać się lubił. Starszyzna służyła tylko, aby trochę ładu wśród

niesfornej młodzieży utrzymać i z karbów jej wyjść nie dawać.

Pięćdziesiąt i kilka lat mający król starszym się wydawał, niż był w istocie. Zwał się panem i królem, ale królować się obawiał; cugle z rąk jego dawno się już w inne dłonie dostały. Rad był temu. Chorzał i stękał, a jeśli mu się kiedy rozjaśniło lice, to chyba wtenczas, gdy oznajmiono przybycie wojewody Sieciecha. Naówczas i król i królowa, która go nad wszystkich przenosiła, występowali, jak dla najmilszego z gości, życie się budziło w Płocku, twarze jaśniały radością, zamek brzmiał weselem.

Sieciech, wojewoda wojewodów, naczelny wódz, namiestnik pański, ręka prawa, zjawiał się tu często, ale bawił krótko. Musiał na wszystko mieć oko, docierać wszędzie, pilnować granic, w środku strzec, by mu się starostowie z pod zwierzchnictwa nie wyłamywali. Trzeba było to się ku Krakowu puścić, to na czeskiej granicy podsłuchać, co się tam działo, to na Śląsk, to na niespokojne pomorskie rubieże, to do Gniezna i Poznania, na grody, na ziemiach, gdziekolwiek się co luzowało i psuło.

Król dawał mu czynić, co chciał, a co on uczynił, dobrem było.

Królowa się też nie przeciwiła. Z jego ręki ludzie stali przy panu i przy pani, krewny jego, Wojsław, był przy królewiczu, a kto nie od niego był, albo nie z nim, długo tu trwać nie miał nadziei.

Po skwarnych dniach lata król osłabłym się czuł bardzo, a im się gorzej na zdrowiu czuł, tem Sieciecha więcej pragnął, bo mu tylko z nim i przy nim dobrze było.

Wstającego z łoża dwu młodych chłopaków wzięło pod ręce, aby go przeciw okna otwartego na świeżem powietrzu posadzić. Król powiódł oczyma zgasłemi po izbie, po dworze swym, jednego z chłopaków, służących mu, pogłaskał pod brodę i zapytał głosem ochrypłym.

— Niema?

— Pana wojewody?—podchwycił, odgadując chłopak, który się nieznacznie uśmiechnął. — Nie, miłościwy panie.

— A gdzież on jest? — odezwał się, jakby sam do siebie, król — gdzie on jest?

Na to mu odpowiedzi nie dano.

Że klęknąć nie mógł król pobożny, siedząc, począł modlitwy odmawiać, co postrzegłszy chłopcy, stary szatny pański i podkomorzowie, którzy w progu stali, oddalili się.

Wzdychając, modlił się król, zadumywał, czasem modlitwa marła mu na ustach, to znów jak pokutnik bił się w piersi ręką wychudłą i kościstą.

Dokoła cicho było, niekiedy wyrwał się śmiech zdala stojącej młodzieży i wnet przycichnął; to słychać było goniących się po podwórzu swawolników, których rozkaz starszych precz odpędzał.

W drugiej stronie dworca u królowej hałaśliwiej i żwawiej ranek się poczynał, bo każde z państwa żyło po swojemu, jak chciało.

Raniej od wszystkich wstał królewicz i już w lesie był. Ten z konia prawie nie zsiadał, a choć jedenaście lat liczył dopiero, jak stary do łowów i do wojny tylko wzdychał. Mordowali się z nim wszyscy, on nigdy dosyć nie miał.

Gdy po skończonej modlitwie weszła służba królewska i komornicy, niosąc jadło w misach, pokrytych, i napój w dzbankach, zapytał król naprzód słabym głosem o syna. Odpowiedziano mu, że w lesie już był ze psami, a nie wracał zwykle aż nocą. Mimowoli oko królewskie zwróciło się na rozpostartą skórę niedźwiedzią.

Była ona pamiątką pierwszego boju dziecinnego przed laty dwoma młodego Bolka ze strasznym zwierzem, na którego i starszy człek sam jeden nieradby się porwał. Spotkawszy w borze starego niedźwiedzia, który się z połowicą swą w pląsach zabawiał i igrał wesoło, Bolko puścił się nań mężnie, i choć mu śmierć groziła od rozjuszonej bestji dla przerwanej zabawy,

oszczepem go przebił. Skórę tę ojcu pod nogi rzuciło młodę chłopię, jako zdobycz pierwszą.

Był to zadatek przyszłości.

— Niedarmo on Bolesławów imię nosi — odezwał się naówczas król, ale mu zapewne Szczodrego losy przyszły na pamięć, bo posmutniał.

Zapytawszy o syna, spytał król potem o królowę, panią swą. Podkomorzy oznajmił, że obiadowała ze dworem i panami, którzy przybyli z pokłonem. Starczyła ta wiadomość królowi i nie badał już więcej.

Na stojące przed sobą misy popatrzył obojętnie i polewkę jeść począwszy, o czem innem dumać się zdawał. Oczy jego patrzały w jedno miejsce i nie widziały nic, bo nic widzieć nie chciały.

Wtem w podwórzu zdala zaszumiało coś, zatętniało, królowi łyżka wypadła z ręki, zatrząsł się cały, na poręczach sparł i poruszył, jak do wstania. Ale sił mu nie stało.

— Wojewoda? — zapytał.

Służba rzuciła się do okien, inni wybiegli precz i komornik królewski, Żegota, rzekł, wyjrzawszy.

— Tak jest, miłościwy panie!

Z radości widocznej, drżąc cały, usiadł król, bo na nogach się utrzymać nie mógł, blask jego oczom bladym powrócił, uśmiech ustom.

— Wojewoda! — powtórzył sam do siebie. — Wojewoda!

Rozradowany był i ożywiony.

Zaledwie wyrazów tych dokończył, gdy drzwi boczne się otwarły z łoskotem, dał się słyszeć szelest sukni niewieścich i w progu ukazała się niewiasta, wchodząca śmiało, ku której król oczy obrócił.

Była to pani już nie pierwszej młodości, ale pragnąca być młodą jeszcze, siostra cesarza Henryka IV, Judyta, małżonka schorzałego pana, która była tak zdrowa i rzeźwa, jak on był zniszczony i wybladły.

Prawda, że i twarz i strój z wielką sztuką były barwy jasnemi ożywione. Słusznego wzrostu, bujnych kształtów, dumna i lekceważąca, królowa trzpiotowa-

tość miała zarazem, odbijającą dziwnie od dobrze zwiędłej twarzy, obwisłych policzków, oczu podbitych i pofałdowanych skroni.

Ubiór jasny, włos starannie trefiony, nawet kwiatek, który trzymała w białych rękach, przystałby lepiej młodej dzieweczce, a śmieszną czynił niewiastę, która dawno młodą już nie była.

Szła królowa ku siedzeniu męża zwolna, rozglądając się na wsze strony, uśmiechając się do podkomorzych i komorników, nie wiele zdając się troszczyć o chorego. Stanęła wreszcie o parę kroków od siedzenia i, wąchając kwiatek, odezwała się głosem nieprzyjemnym, jakby w nim fałsz jakiś czuć było.

— Ciesz się, miły panie — pana wojewodę mamy. — Przyjechał!

Klasnęła w ręce, patrząc ku drzwiom, król uśmiechnął się, skłonił głową i razem z nią ku drzwiom już spoglądał niecierpliwie, czekając zapowiedzianego.

Wejrzenia wszystkich zwracały się w tę stronę, milczenie było w izbie, wojewody spragnieni byli wszyscy, królowa nogą uderzała w podłogę, król siedział oparty o poręcze, jakby do wstania się gotował. Upragniony ów gość nie ukazywał się jeszcze.

Wtem za progiem dały się słyszeć kroki, lica króla i królowej rozjaśniły się: po brzęku ostrogi, po chodzie śmiałym poznali wszyscy przybywającego. On to sam był, a z nim dwór dosyć liczny i bogato przybrany, który się u progu, pokłoniwszy, zatrzymał.

Słuszny, wspaniałego wzrostu i postawy w sile wieku mężczyzna, z twarzą jasną i młodą jeszcze, okoloną włosem złocistym, oczyma bystremi zdala policzył, kto był w pańskiej komnacie. Wzrok to był, co dwa razy spozierać nie potrzebuje.

Królowa pierwsza, nim wszedł, już go ręką z kwiatkiem witała, przymrużając oczy, uśmiechając się czule. Król rozradowany wyciągnął dłonie obie, jakby wzywając ku sobie.

Zwolna szedł ku nim po rycersku ubrany, można było powiedzieć, strojny wojewoda.

Gdzie indziej z pozoru za książęcia, a nawet za króla wziąćby go było można, tak pańskie, piękne, rozkazujące, dumne, promieniste miał oblicze. Wpatrzywszy się w nie jednak — strach przejmował; oczy były nielitościwe, w ustach siedziały fałsze i zdrady. Stworzonym się zdał do rozkazywania, wyraz twarzy, podstawa, chód wodzem go czyniły.

Królowa Judyta, patrząc nań, zdawała się zachwyconą i przejętą. Szedł jakby umyślnie powoli, gdy serca ku niemu leciały.

Król i królowa, znając go dobrze, spostrzegli zdala, że niósł z sobą coś niemiłego, że przybywał gniewny, czy smutny. Oblicze chorego pana ściągnęło się, królowa posunęła się ku drzwiom, jakgdyby pytaniem uprzedzić chciała, lub przestrzec.

Zawahawszy się nieco w progu, wolnym krokiem, niby winowajca, lub zwiastun złej wieści, przybliżył się wojewoda, kłaniając panu i pani. Judyta, nie zważając na małżonka, który także pragnął go zwabić ku sobie, wyciągnęła rękę białą.

— Sieciech do mnie! — zawołał król żywo. — Cóż tak ociężałym krokiem?

— Bo ciężkie, ciężkie na sobie brzemię niosę — odparł ponurym głosem wojewoda.

— Jezus ukrzyżowany niech będzie z nami! — wykrzyknął król. — Cóż się stało?

Mniej daleko zatrwożona królowa usta zagryzła i bystrem wejrzeniem w oczach Sieciecha szukała tajemnicy, z której wypowiedzeniem tak się opóźniał.

— Czesi nam niepokój i zawichrzenie niosą — rzekł Sieciech.

— O! te Przemysławy obłudne! — zamruczała królowa, nogą uderzając o ziemię.

— Z jakiegoż powodu? — zapytał król, ręce trzymając załamane.

— Bo im Śląska straconego żal — odparł Sieciech, stojąc u stołu, przy którym siedział król — bo im się znowu zachciewa może Wrocławia i Krakowa i nie wiem czego!

Odetchnął Sieciech, jakby się znużył; twarze się chmurami powlokły. Królowa przystąpiła bliżej, za blisko może, bo się niemal o Sieciecha otarła, usiłując zwrócić na siebie jego uwagę.

— Miej, miłościwy panie, męstwo wysłuchać wszystkiego, co jest — mówił zwolna patrząc na twarz króla, Sieciech. — Przekupiono Magnusa, którego ja dawno precz wyrzucić, oślepić lub zabić radziłem, bo czułem w nim zdrajcę; wzięto z klasztoru saskiego Zbigniewa.

Królowej twarz się zmarszczyła groźnie, król oczy sobie zasłonił i jęknął.

— Tak, miłościwy panie — kończył wojewoda. — Czechy, co przytułek zdrajcom i zbiegom dawały, użyły ich i Zbigniewa, który śmie się synem starszym i prawym mienić! Zbigniewowi Magnus wydał Wrocław, siedzi już na nim — Śląsk opanował.

Głuche milczenie zapanowało w izbie.

Król siedział ciągle z oczyma rękami zasłonionemi; królowa spoglądała nań z rodzajem zimnego politowania. Sieciech stał ponury i zachmurzony.

— Trzeba lud zwołać i swoje odzyskać, a buntu nie dopuścić — odezwał się wojewoda.

— Wojna więc! — znowu wojna! Przelew krwi chrześcijańskiej, wojna ojca z synem, — jęknął król— a! nie, nie!

— Nie możemy tracić Śląska — zawołał Sieciech — jutro puszczą się dalej, jutro nam zabiorą więcej.

Milczał król długo i jęk głuchy tylko z piersi mu się dobywał.

— Czechy! — zaczął cicho. — Czechy! Król nie może być przeciwko mnie, przeciwko nam! Swawolnicy podszyli się jego imieniem. Do króla się ze skargą na nich udać potrzeba, wezwać go o pomoc. W przymierzu z nim i z Węgrami jesteśmy, niech nas ratują.

— A myż sami się ratować nie możemy? — zapytała królowa.

Sieciech głową potrząsnął.

— Z Magnusem zdrajcą jest część naszych. Wojna to przeciw miłościwemu panu, ale najbardziej przeciw mnie, co łaską jego żyję i szczęśliwym jestem. Mnieby oni obalić i odegnać chcieli, aby broili bezkarnie. Śląsk się oderwać chce, jutro Kraków tego zażąda, Mazury też i wszystko się rozpadnie.

Gdy Sieciech wspomniał, że jego obalić chcą, król wtrącił prędko:

— Ja bez was żyć nie chcę i nie mogę!

Królowa potwierdziła to głowy skinieniem.

— Co wy postanowicie i uczynicie, to będzie dobrem. Widzicie, że król słabym się czuje, zdał na was wszystko. Wy myślcie, wy poczynajcie, nie dopuścicie, aby lada bękart groził ojcu własnemu.

Sieciech, słuchając, patrzał na króla, który myślami zdawał się być gdzie indziej.

— Magnus! — przerwał nagle, niby sam do siebie. — Magnus zdrajcą! A komuż ufać, wierzyć komu!

I ręce załamał.

— Miłościwy panie — wtrącił Sieciech — sprawa trudna, ale z pomocą Bożą damy radę bękartom i zdrajcom.

Dwa razy w rozmowie wyrzeczony wyraz, piętnujący nieprawe urodzenie Zbigniewa, przykro się zdawał razić króla. Syknął jak z bólu i Sieciechowi dał znak ręką, aby umilkł. Królowa gniewnie ramionami ruszyła.

Tak rozpoczęta rozmowa przeszła w opowiadanie, które Sieciech ciągnął dalej, starając się wywołać gniew pański. Król słuchał milczący, blady, siedząc w krześle swem zwisły i bezsilny. Judyta przerywała niekiedy wykrzyknikami oburzenia. Wojewoda coraz się bardziej zapalał.

Wieść, przywieziona przez niego, popłoch na całym rodziła dworze, podawano ją sobie z ust do ust; wchodzili i wysuwali się u drzwi stojący komornicy, na podwórzu widać było skupiających się coraz gromadniej i gwarzących z dworem Sieciecha.

Król tak był widocznie przejęty i osłabły, że woje-

woda sam narazie powieść swą o Zbigniewie przerwać musiał i rzekł.

— Wam, miłościwy panie, spoczynek potrzebny.

Nie przecząc temu, powiódł Władysław oczyma osłupiałemi i oparłszy się o krzesło, zmrużył powieki.

Widząc to, Sieciech powoli od stołu się odsunął, królowa skinęła, aby szedł za nią.

Komornicy zaczęli się cofać ku wyjściu; król usypiać prawie się zdawał, ale z pod powiek zaciśniętych płynęły dwie łzy, świadczące, że cierpiał okrutnie, a wybuchnąć z tem nie śmiał był.

Gdy wszyscy wyszli, podniósł powieki strwożony i szybko zamknął je znowu. Zostawiono go samym.

Królowa wiodła wojewodę podsieniami i krużgankami ku swojemu mieszkaniu. Tu inny był świat, inne życie. Króla w jego komorach otaczała cisza jakaś złowroga, jakby śmierć zwiastująca; — około cesarskiej siostry kręciło się wesoło ludzi mnóstwo, wszystko strojne, butne i trochę swawolne. Swobody widać mieli do zbytku.

Przepych też większy spotykał się na każdym kroku.

Komnata gościnna królowej, do której weszli, lśniła przepychem, lecz był to przepych owym czasom właściwy, który mógł przylgnąć na chwilę do ścian każdego domostwa, gdyż cały był przenośnym i ruchomym.

Nie zamieszkiwano wówczas nigdzie, obozowano życie całe. Najlichsza chata mogła się stać pałacem, gdy ją, jak te izby, obito oponami, wysłano kobiercami, zastawiono w niej sprzęty, okryto ławy prostemi poduszkami i sukiennemi szkarłaty.

W izbie królowej całe ściany odziane były szytem obiciem, podłoga wyłożona suknem, stoły zwyczajne osłaniały kobierce i opony. Lśniło wszystko i świeciło, a kwiaty, nad miarę rozrzucone wszędzie, upajającą wonią napełniały powietrze. Lubiła bowiem królowa i co się świeciło, i co wonnem było, i co się uśmiechało, niosąc z sobą wesele: śpiewy, gędźbę, twarze młode

i mowy swobodne. Przedłużała swoją młodość, okłamując się sama.

Wszedłszy do komnaty, królowa padła na krzesło swe u stołu, całe wygodnie poduszkami wzorzystemi miękko wysłane, umieściła się w niem tak, aby wdzięczniej wydawać się mogła, podparta na ręku, a widząc Sieciecha stojącego, wskazała mu poufale ławę naprzeciw, ręką zapraszając, aby bliżej zajął miejsce.

Twarz Judyty, która piękną być chciała, przybrała jakiś pożyczany wdzięk, młodość przypominający; spoglądała to tęskno, to zalotnie, to wyzywająco; gryzła kwiatek w ustach i rzucała go pod nogi, ciągle Sieciechowi bystro patrząc w oczy.

Wojewoda nie zdawał się na to wiele zważać.

— Złe, złe wieści przywieźliście królowi, — poczęła cicho i poufnie, jakby się lękała być podsłuchaną; — złe bardzo, boję się, aby to biedaka chorego nie wzruszyło zbytecznie. Kruchy i wątły ten pan mój — szeptała, głos zniżywszy — słaby ciągle i stękający. Życia w nim mało! To przeznaczenie moje, nigdzie długo szczęścia nie zaznać. Jakże się wam król zdaje? Gorzej — nieprawda?

Sieciech oczy spuścił.

— Tak, gorzej, niżelim się spodziewał — rzekł cicho.

— O! gorzej jest co dnia! źle jest! Ja o tem najlepiej wiem, ja się znam na tem. Człowiek ten, niestety, nie może długo pociągnąć.

Mówiąc to, królowa zdawała się bardziej tego pożądać, niżeli się lękać; wojewoda milczał.

— Uchowaj Boże co na niego teraz — poczęła szybko siostra cesarska, rzucając oczyma niespokojnemi — cóż z królestwem, co z nami, co się ze mną stanie? A! ojciec Bruno, który mnie na to namówił małżeństwo, odpowie przed Bogiem! W jednym was mam całą nadzieję, wy moim opiekunem będziecie...

Wlepiła oczy swe ciemne w Sieciecha, wyzywając

go do odpowiedzi, lecz nim miał czas ją dać, szczebiotliwa niewiasta dorzuciła:

— Na brata mojego, Henryka, na synowców niewiele liczę — chybaby młodszy syn wziął koronę. Najbardziej na was, wojewodo. Wy mnie nie opuścicie. Weźmiecie i sprawę i mnie na ręce wasze!...

Podała mu dłoń białą, którą wojewoda, milcząc, do ust przybliżył, lecz bez zbytniego upokorzenia i uniżoności. W jego obejściu się z królową poznać było można, iż ona go więcej, niż on jej potrzebował, że pewnym był swojego stanowiska.

— Ja z wami zawsze — rzekł cicho.

Wyjaśniło się czoło Judyty, przysunęła się, pochyliła i zniżywszy głos, poczęła głosem śpiesznym.

— Król jest źle, on już z tego nie wyjdzie.

Uchowaj Boże nieszczęścia, wy tylko i ja zostaniemy. Wy królestwo całe macie w ręku, dziecko małoletnie, tego syna niewolnicy nie liczę, nie ma prawa żadnego... Tak, wojewodo, wy ze mną!

Widocznie chciała Judyta stanowczą wywołać odpowiedź, z którą Sieciech się ociągał, wodząc dokoła oczyma i ważąc coś w sobie.

— Miłościwa pani — rzekł nakoniec. — Za wcześnie dziś o tem mówić, co jeszcze dalekie jest. Król chorowity pożyje, potrzebny on nam dziś bardzo. Wrocław zajęty, to są wszystko wrogi moje, zawzięci na mnie, przeciwko tym nie ja, ale król sam iść musi. Chory czy zdrów, trzeba go nam mieć.

Potrzęsła głową obojętnie, uśmiechając się do Sieciecha; król nie zdawał się ją obchodzić wiele.

— Jeżeli go tam potrzebujecie, czemuż nie? Bierzcie — nie stanie go, wy zastąpicie.

Wyraziste te do zbytku usłyszawszy słowa, Sieciech dał znak królowej, wskazując na drzwi, których zasłona zlekka zadrżała, jakby za nią ktoś odprawiał podsłuchy. Nie przestraszyło to jednak królowej, która, usta zaciąwszy, uśmiechnęła się pogardliwie i ramionami potrzęsła.

Jednakże wstała z siedzenia, podeszła ku ławie i gdy

Sieciech powstał, prędko mu coś szeptać poczęła. Rada była widocznie, iż miała pozór zbliżenia się do wojewody, parękroć uderzyła go po zbroi, klapnęła po ręku, dotknęła ramienia. Nie słychać było, co mówili z sobą, lecz po szeptach przedłużonych, siostra cesarska głośniej skończyła.

— Dokuczyło mi już z tym trupem żyć. Gdy się wola Boża stanie, niewiele łez wyleję. Brat lub synowiec mój temu da to królestwo, kogo ja zechcę, a ja wiem, kogo mam wybierać.

Cynicznie uśmiechnęła się królowa. Sieciech nie sprzeciwiał się jej wcale, chociaż oświadczenia te przyjmował dosyć zimno. Niekiedy trwożyła go drgająca zasłona, w słowa był skąpy, słuchał więcej, niż mówił i świetnym obietnicom nie radował się tak bardzo.

Napróżno Judyta usiłowała go ożywić. Zbigniew, Wacław, Magnus i Czechy nie dawały mu pokoju.

IV.

Noc już była prawie, gdy na osobny podwórzec zajechał królewicz Bolko, w kilkanaście koni z drużyną swą z łowów wracając. On i mało co od niego starsi towarzysze, w czwał, jak burza i wichry, wpadli, przeganiając się, we wrota, i popędzili przed podsienia, u których czekała służba.

Bolko konia swojego osadził w miejscu żelazną ręką, aż się spiął do góry i o mało nawznak nie przewalił; skoczył lekko z niego i puścił, dwu towarzyszów ze swoich szkap zleciało.

Wojsław, ochmistrz królewicza, mając nadzór nad nim, wolniej przyciągnął za nimi, gdy już Bolko, otrząsnąwszy się z kurzu, śmiejąc się, stał, ująwszy się w boki.

Ci, co pospadali, śmiali się także, dwór cały był dobrej myśli, zwierzyna nabita oszczepami i strzałami wisiała na siodłach i wlokła się, poprzywiązywana do nich. Dzień nie był stracony; łowy się powiodły.

Rżały do stajen i otrząsały się zmęczone konie, psy ujadały wesoło, trzepotały się sokoły; rozprawiali głośno ludzie, a młode chłopię, co tym oddziałem dowodziło, po królewsku spoglądało na swe otoczenie, rzucając ku niemu słowy wesołemi. Ochmistrz tylko Wojsław burczał ponuro, znużony, zsiadając z konia powoli.

Śliczniejszego pana nad to chłopię, które z niebios na ziemię zesłał św. Idzi, patron cudowny, nad to dziecię, wymodlone u Boga, widzieć było trudno, jak te ziemie szerokie stały. Lat dziewięć mając, Bolko już w puszczy bił niedźwiedzie, a gdy z Sieciechem pierwszy raz na wojnę się wyprosił, trudno było powściągnąć i utrzymać dzieciaka, który się parł, gdzie największe było niebezpieczeństwo.

Natura to była pierworodnych, do wielkich spraw przeznaczonych, gorąca, niepohamowana, szybka, nierozważna, zuchwała, prędka, jak piorun, szalona, jakby się swą młodością upajała.

Gdzie on się ukazał, był, jak ogień, co wszystko grzeje; ciepło się robiło, gdy przystąpił, połyskiwały oczy, śmiały się ku niemu usta, ludźmi miotał, jak chciał, rzucał nimi, bo miał owo królewskie słowo, co, nie rozkazując nawet, budzi posłuszeństwo. Mimo własnej woli krnąbrni nawet biegli, gdzie wskazał, a on sam, skoro go myśl porwała, pędził zapamiętale, nie zważając na nic. Kipiało w nim życie i jak wrzątek wylewało się za brzegi...

Chociaż miał ledwie jedenaście lat skończonych, rycerzem już się mógł nazwać i szanowano go, jak dorosłego męża. Nad wiek się rozwinął, zmężniał, zolbrzymiał; tylko nieporosła twarz i policzki niewieście o latach świadczyły.

Gniewało go to, że starszym nie był, ale mu chłopięcych lat niktby zadać nie śmiał, — obawiano go się.

Biłci już Pomorzan, krew przelewał, raną się chlubił, śmierci w oczy zaglądał, nie drgnąwszy — chłopak od Boga darowany. Dość spojrzeć nań było, gdy tak stał między słupami, otoczony drużyną, — zdala każdy

królewicza w nim poznał; kształtny był, krzepki, zwinny, giętki; choć całego swojego wzrostu nie miał jeszcze już duży, ramion szerokich, piersi wypukłej, jakby puklerzem okrytej, rąk silnych, choć drobnych.

Twarz też była piękna, rycerskiego wyrazu, tylko około ust z jednej strony wrzód, który nabrał i rozpękł w dzieciństwie, ślad po sobie zostawił, piękne wargi skrzywiwszy nieco. Dziwny to wyraz dawało twarzy, nie szpecąc jej bardzo.

Królewicz mawiał, wskazując na szram ten, że broda i wąsy go pokryją. Szkoda tylko, że blizna nie od włóczni jest, ale od wrzoda lichego.

Twarz miał ciemno ogorzałą, bo jej nie szanował i nie krył; czoło tylko, jak śnieg białe, policzki rumiane jak jagody, oczy ciemne, w których płomię skryte nieustannie się paliło i błyskało.

Z królem razem kochali go wszyscy, oprócz zazdrosnej Judyty i oprócz Sieciecha. Wojewodzie ten syn pański, dziedzic prawy, choć go przy ojcu pod niebiosa wynosił, był solą w oku i strachem; stał mu na drodze, zapierał wschody do góry...

Przed królem Sieciech mawiał zawsze, iż młodego pana ostro i surowo trzymać było potrzeba, aby się nie rozbujał za wcześnie, nie zhardział do zbytku, cugli sobie nie popuścił. Pocichu i wzdychając przypominano cesarza Henryka IV, który z obu synami miał zatargi.

Z ręki też Sieciecha dodany był królewiczowi za ochmistrza Wojsław, krewny jego.

Wojsław może w początkach posłusznym był temu, co go posadził na straży; gdy Sieciech nań patrzał, surowo się z wychowankiem obchodził, ale się wprędce rozmiłował w nim, nawykł mu ulegać i sprzeciwić się nie umiał. Zaczynał często od strofowania, a kończył na uścisku, wołał głośno, a wprędce zniżał głos, uśmiechał się, milknął.

Wojsław mrukliwy był, podżyły, ciężki, często do zbytku milczący; w potrzebie śmiały, ale nieprędkiej myśli i niepewien siebie. Bolko go wyprzedzał we

wszystkiem, a gniewnego czasem objąwszy za szyję, skruszył pocałunkiem i śmiechem.

Powoli rozmyślając, Wojsław widział więcej, rozumiał lepiej, niż się zdawało, nie chwalił się z tem, milczeć umiał. Mówił mało, ale to, co rzekł, ważyło. Do niedźwiedzia podobnym był z postawy i obyczaju, ruszyć mu się było ciężko, a gdy się dźwignął druzgotał, co popadł.

Rachował nań Sieciech, jako na krewniaka ze swej ręki postawionego, przeliczył się jednak, sądząc, że mu w myśl jego działać będzie. Wojsław obowiązek swój pełniąc, nic nadeń zrozumieć nie chciał.

Zżymał się wojewoda, ale go już z miejsca ruszyć nie było można.

Gdy burza ta młodzieńcza wpadła w podwórzec zamkowy, cały niemal gród zatrząsł się od niej; pozostałe psy, zamknięte w psiarni, zawyły, konie w stajniach rwać się i rżeć poczęły, ludzie z komor powybiegali. Każdy się domyślił, że to królewicz przyjechał.

W spokojnej nawet izbie królewskiej, oddalonej od Bolkowego dworu, zadźwięczały naczynia, stojące na stole.

Władysław nastawił ucha i uśmiechnął się; on także czuł, że to syn jego ukochany przyjechać musiał... On jeden, a chyba Pomorcy drudzy, na zamek iść mogli z takim szturmem i nagłością.

Bolko stał w przedsieniu, chciał widzieć, jak zdejmą zwierzynę, a psy, konie i ludzie się rozejdą, na jutro nowe łowy, ludzi, konie i psy zakazać.

Na jutro mu obiecywano niedźwiedzia. Polowanie najmilsze dlań było nie na tego zwierza, co pierzchał, ale na tego, co walczył.

Z drugiego podwórca pędem podbiegł komornik królewski. Król już wiedział o synu i wołał go do siebie, bo cały dzień nie widział ukochanego i tęsknił, a chciał wiedzieć, czy był cały, czy mu się nie stało nic.

— Król, pan miłościwy, wzywa, a żąda was pilno — rzekł komornik — pośpieszajcie!

Choć odziany był tak, jak na łowy, w kaftanie krót-

kim, w łosiowem, obcisłem ubraniu do konia, w bucikach do jazdy, a róg jeszcze miał na plecach i mieczyk myśliwski u boku — pośpieszył, jak stał.

A że nie umiał ślimaczym chodem iść jak drudzy, popędził przedsieniami żwawo, nim Wojsław miał czas mu przypomnieć, aby się przeodział.

Ruszył za nim powolny ochmistrz, gdy już mu z oczów zniknął; więc, ręce załamawszy, stał, mrucząc.

W komnacie królewskiej Władysław siedział na tym samym miękko wysłanym stołku, na którym go z rana zła wieść znalazła. Stała u jego boku królowa tak, iż królewicz jej widzieć nie mógł, a ona Sieciecha naprzeciw stojącego miała przed sobą. Znaki mu dawała, jakie chciała, niebardzo troszcząc się o to, iż w progu stojący podkomorzowie i komornicy widzieli je także.

Po szybkim chodzie ojciec poznał Bolka, twarz mu się rozjaśniła, usta otwarły, na drzwi wzrok obrócił, zapomniał o wszystkiem.

Po młodzieńczemu wpadło chłopię z czapeczką w ręku, z rogiem na plecach, biegnąc ku ojcu. Długie włosy rozwiane na ramiona mu spadały, twarz umyślnie rozweseloną przybrał i szedł, śpiesząc do ręki ojcowskiej. Oburącz pochwycił go król za głowę i począł, nic nie mówiąc, ściskać i całować.

Od ojca zwrócił się królewicz ku Judycie.

Ta dziwnie się z nim obchodziła, kochała go czasem do zbytku, częściej nienawidziła i niechęć wyraźną okazywała. Urok tej młodości wesołej, żywej, wdzięcznej chwytał ją za serce, — potem wstręt jakiś odpychał. Była macochą, a nie miała syna!

Zawahała się z podaniem mu ręki, aż zwolna wyciągnęła ją ku niemu. Bolko pochylił się do pocałowania i ustąpił prędko.

Sieciech stał, jak mur groźny, surowy, niemal straszny, na powitanie oczekując i nie wyprzedzając go. Z wejrzenia, jakie rzucał na syna królewskiego, widocznem było, że dlań nie miał życzliwości, że mu za-

wadzało to chłopię, tak ukochane przez ojca i wszystkich.

Pokłonił się zdala wojewodzie królewicz, wzamian Sieciech ledwie głową skinął, lekceważąc sobie dzieciaka.

— Bolek — zawołał król, zwracając się ku niemu i ręce doń wyciągając — słyszałeś? Wojna, będziemy mieć wojnę.

— Tak, mówiono mi coś, gdym z konia zsiadał — rzekł królewicz, — niech więc Bogu będą dzięki!

Ręce obie podniósł do góry, Sieciech obrócił się doń zmarszczony...

— Nie godzi się — rzekł surowo — wojny pożądać nigdy, nikt nie wie, jak ona wypadnie!

Król westchnął głośno.

— A! gdyby i najgorsza była — rzekł wesoło królewicz — zawsze to wojna, a dla ludzi rycerskich cóż nad nią milszego!

Czoło króla rozpogodziło się, cieszyła go ta odwaga dziecięcia.

— Prawy wojak z ciebie będzie — zawołał i pociągnął go ku sobie, całując w głowę.

Judyta skrzywiła się, Sieciech przeszedł w głąb izby kroków kilka, jakby na te pieszczoty ojcowskie nierad patrzał. Stanął potem nieco opodal, zwrócił się i przerwał szepty króla z Bolkiem, których dosłyszeć nie mógł.

— Miłościwy panie, królewiczowi po łowach czas spoczywać, ja czekam rozkazów waszych, bo i jednej nocy tracić nie trzeba.

Odprawiony w ten sposób, Bolko oczyma się pytającemi do ojca odwołał, a król ręką wskazał, aby nieco ustąpił. Chłopak się cofnął ku ścianie, Sieciecha wzrok poszedł za nim.

— Mów, wojewodo — odezwał się król — nic nam ten chłopiec nie wadzi, niech słucha owszem i waszego rozumu się uczy.

Była chwila wahania się i milczenia. Sieciech spo-

glądał na królowę, ta mu znaki jakieś dawała; nareszcie począł, będąc posłusznym królowi:

— Miłościwy panie, rany goić potrzeba dopóki się nie zaognią. Wyślę więc posłańców po grodach, aby się ludzie nasi ściągali co najrychlej tu do nas. Musimy iść siłą znaczną na Magnusa, na Wrocław. Zdrada jawna, lecz przystało nam zrazu w nią nie wierzyć, oczy zamknąć, spróbować, azali się nie pomiarkuje. Jeżeli go do rąk dostanę, łeb mu zetnę. Pójdzieli jedna ziemia po swej woli, osobno — każdej się zechce swego księcia mieć i stać samopas...

Magnus zaskoczony, nim siły zbierze, ulec musi i Zbigniewa nam wyda. Ale mnie nie przystało samemu iść, powiedzą, że ja to czynię, a nie wy, miłościwy panie. Musicie być ze mną osobą swą. Sieciecha nienawidzą dlatego, że wam wiernie służy. Sieciech im solą w oku, na Sieciecha wszystko złe zwalają! Bez was, miłościwy panie, powagi nie będzie. Magnus ulegnie wam, a mnie opierać się będzie.

Król, słuchając z uwagą natężoną, kilkakroć dłonią drżącą powiódł po czole — wzdychał ciężko.

— Luźnym słowom, które lada kto przynosi — odezwał się — nie dawajcie łacno wiary. Nim się rycerstwo zbierze, nim wystąpimy do Magnusa, trzeba słać z pytaniem, niech powie, czego chce, co myśli. Podda się może bez bitwy, nie, — pójdziemy nań, gdy inaczej być nie może.

Słuchającemu Sieciechowi twarz się mieniła i ramiona poruszały.

— Ślijmy do Magnusa, kiedy taka wola wasza, miłościwy panie — odparł — ślijmy doń, ale wici trzeba także słać i lud gromadzić, aby być wpogotowiu.

— Gromadźcie — potwierdził król smutnie — wy lepiej wiecie, co trzeba.

Bolko, stojąc pod ścianą, ręce zacisnął z radości. Młodej głowie jego zdało się, że słać do Magnusa nie było poco, a z buntem się w rozmowę wdawać nic po tem; wprost nań uderzyć, rozbić i ukarać...

Po dziecinnemu myślał. Poco tu w słowa grać, gdy w miecze brzęknąć można!

Stało się milczenie.

— Nie wiem, co Magnus powie, — począł wojewoda, — ale to wiem, że podłym zdrajcą jest. On to z jamy dobył klechę, aby go nam przeciw prowadzić, nim się zastawić i ranić serce ojcowskie. Tak! Zdrajcą jest, on i wielu innych po tych ziemiach, co z nim przeciw mnie trzymają. Nie mogą na króla uderzyć, biją we mnie, wiedząc, że król stoi za mną. Wszyscy przeciw mnie są, wszyscy przeciw wam, panie! Zdrajcy niepoczciwi wszyscy!

Władysław, słuchając, niby na stół patrzał, myślał niewiadomo o czem; wzrok czasem ukradkiem wyrwał mu się ku synowi. Roztargniony był i gdy się wojewoda zatrzymał, rzekł jakby machinalnie:

— Ślijcieno do Magnusa.

— Kogo miłość wasza posłać każecie? — pytał wojewoda.

— Wybierzcie sami — szepnął Władysław — ja nie wiem.

Królowa poczęła dawać znaki wojewodzie, który się namyślać zdawał; milczał.

— Duchownego nie mam, Wojsława poślę, gdy innego nie znajdę — odezwał się Sieciech. — Temu przynajmniej zawierzyć mogę, że mnie nie sprzeda. Mojej krwi jest i wam wierny, miłościwy panie. Wojsław małomówny, powolny, ale jak kamień twardy: nie przemienią go, nie kupią, nie nastraszą.

— Idźcie, wojewodo miły, — dodał żywiej, — idźcie, rozporządzajcie, czyńcie, jako chcecie, wiem, że co uczynicie, dobrem będzie. Na wszystko rękę daję — na wszystko.

Sieciech głowę uchylił, poruszył się, jakby odchodzić miał i zawrócił raz jeszcze.

— Więc wola wasza wojska ściągać. — Wojsław jutro na zaraniu wskok do Wrocławia ruszy; takeście przykazali, tak się stanie, ale Wojsław wróci z rękami próżnemi!

— Usłyszym, czego chcą — mruknął król trochę niecierpliwie. — Jeżeli zażądają czego niegodziwego — postanowimy, co dalej.

Gdy Sieciech już ku drzwiom się zbliżał, królowa za krzesłem pana stojąca, ruszyła się, jakby goniąc za wojewodą. Władysław podniósł oczy na nią, ale widząc, że gdzie indziej była zwróconą, ku synowi spojrzał. Ruch ten dostrzegłszy, macocha śpieszniej jeszcze do wyjścia się miała.

Suknia jej nie znikła jeszcze całkiem za zasłoną, gdy Bolko z pod ściany poskoczył i wesoło zbliżył się do ojca. Oba się do siebie uśmiechali, król o trosce zapomniał.

— Łowy? jakże poszło na łowach? — spytał.

— Już mi łowy nie w głowie, kiedy wojna za pasem! — prędko począł Bolko. — A! miłościwy ojcze, poco do nich posyłać, naco ich pytać. Iść na nich, na kark paść i tłuc!

— O! ja — zawołał, chwytając ojca za rękę, — ja z wami i z Sieciechem idę!

Władysław głową potrząsał.

— Nie, nie, — rzekł.

Zachmurzyła się twarz Bolkowi, odskoczył.

— Inna to wojna, jeżeli od niej Bóg miłosierny nas nie uchroni — rzekł król smutnie. — Któż wie, kogobyś mógł napotkać naprzeciw siebie!

Bolkowi oczy się zaiskrzyły.

— Kto przeciw ojcu mojemu idzie, ten mi wrogiem jest; nie pytam, jak się on zowie! — zawołał.

Król przyciągnął go ku sobie i w głowę pocałował. Po twarzy pociekły mu dwie łzy, które otarł pocichu. Zamiast odpowiedzi głową potrząsał długo — słowa rzec nie mogąc.

Głośna rozmowa, widać dla tych, co u drzwi, choć zdala stali, ale słyszeć ją mogli, przeszła w szepty ciche. Król dopytywał, słuchał odpowiedzi, rozkoszując się niemi; widać było, że żył w tem dziecięciu — uśmiechał się do niego, głaskał. Nagle przycisnął go do piersi i rzekł głośno:

— Idź już! idź!

Posłuszny syn do ręki się pochylił, ucałował ją i zwrócił się ku wyjściu.

Na twarzy królewskiej odmalował się niepokój, na komornika skinął, i gdy ten się zbliżył, szepnął cichym głosem:

— Ojca Lamberta wezwijcie do mnie.

Czy dozorca i kierownik sumienia królewskiego był tak blisko, czy się spodziewał i czekał wezwania wieczornego do modlitwy, lecz i jeden pacierz nie upłynął, gdy już się ukazał na progu.

Na widok jego cała służba komornicza, która dla rozkazów zwykła była stać we drzwiach, cofnęła się zaraz i znikła.

Ojciec Lambert mężem był poważnym, lecz umiał składać tę powagę i surowość, a stawać się łagodnym w potrzebie. Rozum patrzał mu z oczów. Mimo dość podeszłego wieku twarz miał rumianą, od której siwe zupełnie włosy mocno odbijały.

Rysy były wyraziste, piękne niemal, ożywione przelatującemi po nich wrażeniami. Usta, choć się starały być dumnemi, miały więcej łagodności i pobłażliwości, niż powagi; prawdziwy to był kapelan dworski, który dla spełnienia posłannictwa swojego naprzemiany różne przybierać musiał charaktery, do niczego już zbytniej nie przywiązując wagi.

Szedł zwolna do króla, nie uniżając się przed jego majestatem, którym był oswojony, patrzał tylko, jakim go znajdzie, aby się do stanu chorej zastosować duszy.

Król witał go z upragnieniem, zdala głową i ręką zapraszając ku sobie. Nie przyśpieszył kroku ojciec Lambert i dopiero przy stole stanąwszy, ukłonił się.

Na wezwanie podał rękę; Władysław obyczajem wieku z pokorą ją ucałował. Oczy jego zwróciły się ku drzwiom niespokojnie, ale tam już nikogo nie było.

Rozkazawszy przybliżyć się duchownemu, Władysław pochylił się ze złożonemi rękami, jakby spowiedź przed nim miał czynić.

— Ojcze mój — począł -- ojcze! uspokój sumienie

moje. Nieszczęście mnie dotknęło. Grzech mój wychodzi na światło dzienne, aby się pomścić nieprawości mej. Chciałem go przed światem utaić, czyniąc ofiarę na przebłaganie Boga.

— Wiecie? — zapytał król.

— O. Lambert zawahał się trochę, choć z twarzy jego łacno było poznać, że wiedział to, o co był pytanym. Przez o. Lamberta, który sumieniem pana władał, kierował niem Sieciech, musiał więc go uprzedzić wcześniej.

— Wiem, co Bóg dopuścił — westchnął kapelan.

— Wiecie więc i niedolę moją, na którą pociechy szukam i rady — mówił Władysław. — Dziecię moje, które daleko stąd ukrywałem, wyciągnęli na świat nieprzyjaciele moi. Mnie, ojca na sąd powołują! na pośmiewisko poddają! Co począć? — Ojcem jestem i zguby dziecka pragnąć nie mogę. Ojcem jestem.

Królowi pot ściekał z czoła, łzy z oczów — głosu mu brakło.

Duchowny wpatrywał się w niego z uwagą, milcząc.

— Coście uczynili raz — rzekł — a dobrem było, nie cofajcie. Osiem lat spędził w klasztorze, Bogu był ofiarowany, cofać się nie godzi daru, położonego na ołtarzu. To gniew Boży przebłaga.

Spuścił głowę Władysław.

— A! mówili mi — szeptał — donosili, pisywał przełożony, że go przełamać nie mogli i suknia mu powołania nie dała, krnąbrny był!

— Upór złego ducha w nim złamać było potrzeba — rzekł o. Lambert.

Król w dłoniach ukrył czoło.

— Cóż winne biedne dziecko? — wyjęknął.

— Dziecięciem grzechu jest — odpowiedział kapłan.

Nastąpiło milczenie, po którem król znowu mówić począł, jakby litości wzywał nad sobą.

— Ojcze mój! wy to najlepiej wiecie, ile takich małżeństw doniedawna było jeszcze, nim kościół nakazywać począł, aby bez jego błogosławieństwa ludzie się

żyć nie ważyli. — Niewiasta, z której się narodził syn ten, prawą mi i wierną żoną była, żoną się zwała moją, tak, jak ja mężem jej się wyznawałem... byłaby została małżonką moją do końca żywota jej, gdyby mi po Bolesławie nie kazano wziąć tego ciężaru nad siły, a innej, królewskiego rodu małżonki, dla potomstwa. Naówczas tamtą usunąć musiałem... dziecka się zaprzeć.

— Stało się i dobrze się stało — odpowiedział duchowny. — Dla królestwa też waszego lepszem jest jeden, co je dzierżeć będzie, niż dwu, coby je mieli rozrywać. Bolek miłym wam jest.

Królowi obficie się łzy rzuciły, płakał, ręce wyciągając.

— Ojcem jestem — powtarzał — wnętrzności ojcowskie dla obu mam; i to jest dziecko moje!

Wyrzekł to tak silnie przejęty, że kapłan, który go nie spuszczał z oczów, na chwilę oniemiał, zbierając się do odpowiedzi.

— Miłościwy panie — rzekł po namyśle — miłość ojcowska nie wymaga od was ofiary spokoju ziem tych i bezpieczeństwa. Gdy się Zbigniew narodził — królem nie byliście, nie winniście mu działu z królestwa, boby pokrzywdzonym był ten, którego modlitwy pobożnej królowej wyjednały. Azali w klasztorze szczęśliwym nie może być?

— Miłujecie Bolesława? — powtórzył Lambert, bijąc w słabość królewską.

— Kocham go, jak oczy moje — rzekł król — jak życie i nad to mizerne życie, ale na sumieniu kamieniem, brzemieniem cięży mi ten — ten! Nocą słyszę płacz jego w kolebce, jawi mi się nocami matka jego, staje u łoża i woła, jako na Kaina. — Coś uczynił z dzieckiem mojem? Azali ono twojem nie było?

Trwożę się i drżę, a boleję, by gdy serce odpowiada — Bogum go dał na ofiarę, ona woła na mnie, iż Izaaka Bóg chciał od Abrahama, lecz on posłuszny pod nóż głowę skłaniał, a ten nie chce jej poddać pod słodkie jarzmo Chrystusowe.

Widząc króla tak mocno poruszonym, iż w mowie

czuć było niepokój, o. Lambert począł łagodnie go pocieszać.

— Miłościwy panie, sny i widzenia zsyła moc nieczysta... Krzyż od nich uwalnia. Klasztor nie jest stosem ofiarnym, ale przedsieniem przybytków niebieskich. Mogliżeście dać mu co lepszego nad spokój i pewność zbawienia? Czyż świat ma co droższego nad to! Nie macie na sumieniu nic, boście wedle serca ojcowskiego postąpili.

Zamilkł; król płakał jeszcze.

— Módlmy się, ojcze — odezwał się znużony — psalmy mówcie, abym je powtarzał za wami, aliści dusza moja się uspokoi i wstąpi w nią łaska pańska, a da siłę.

Kapłan natychmiast ukląkł u stołu, złożył ręce, król nieco się pochylił, klęknąć nie mogąc i psalmy razem odmawiać zaczęli.

Nabożeństwo to trwało tak długo, że gdy o. Lambert powstał, aby odejść, a komornicy weszli, aby króla rozdziać i do łoża prowadzić, znużony pan o swej sile dźwignąć się nie mógł.

V.

Na wrocławskim grodzie, jak ludzie zapamiętali, czasu pokoju nie było nigdy tak tłumno, pełno, gwarno, jak teraz. Nietylko zamek, ale miasto, podzamcze, przedmieścia, wały i bramy obsadzone były wojskowymi, zalane Ślązakami i Czechami. Przybywały coraz to nowe jeszcze poczty. Noc mało się od dnia różniła, bo i w ciągu jej do wrót się dobijano, przybywały oddziały, zajeżdżali rycerze.

Pilnowano czujnie u bram, skąd coraz nowe krzyki, wrzawa, pytania i odpowiedzi mieniały się długo, nim gości niecierpliwiących się wpuszczono. Obawiano się zdrady i podejścia.

Wysyłano dniem i nocą czaty na gościńce, wici po resztę ludzi, wybiegali zbrojni, wysuwali się piesi, cią-

gnęły wozy ze zbożem i sianem dla nagromadzonego rycerstwa. Namiestnik Magnus krzątał się pilnie, oko mając na wszystko.

Na podzamczu, w kilku uliczkach, drewnianemi obstawionych chatami, zwykle cichych i pustych, po których innego czasu więcej krów chodziło, niż ludzi, stały teraz kupy różnej gawiedzi, gwarzyły, rozpytywały się, spierały. Zatrzymywano konnych, wykrzykiwano, a gdy od zamku słyszeć się dawał ruch jaki, oczy i uszy chciwie się zwracały ku niemu.

Widać było ciągle sotnie zbrojnych, w hełmach kowanych, z oszczepami na plecach, z toporami, łukami i tarczami, przeciągające od zamku na wały, z wałów napowrót ku zamkowi.

Wszystko się jakby do wojny gotowało.

Choćby się miejscowi ludzie wysypali wszyscy na rynek i ulice — tyleby wrzawy nie wnieśli z sobą, aniby ich tak wszędzie było pełno; czuć było obcych, którzy się najżwawiej ruszali, najwięcej dokazywali, najgłośniej krzyczeli.

Gawiedź ta, nie mogąc się cała na zamku pomieścić, po domach mieszczan się rozpościerała. Dolatywały z nich niewieście krzyki, śmiechy i łajania. Wyrwała się czasem uchodząca dziewczyna z rozpuszczonemi włosami i wpadłszy w tłum, z jeszcze większą trwogą wracała, nie wiedząc gdzie się schronić.

Na targowisku, u studzien, koło zamku, stały gęsto, jedne koło drugich, namioty i szałasy. Tu i owdzie pasły się konie, całemi rzędami u ladajakich żłobów powiązane. Przed kilku namiotami powiewały wbite chorągiewki. Na przyźbach siedzieli gęślarze, nucąc, a tłum obstępywał ich dokoła, przysłuchiwał się i wtórował.

Już zdawało się wszędzie pełno, jak nabito, a ciągle jeszcze przypływało więcej ludu. Wchodzące kupki szukały sobie miejsca, wszczynały się spory, zanosiło się na bitwy, a wójci nadbiegający rozstawiali, uspokajali i godzili.

Spokojni ludzie patrzyli na tę nagłą powódź, zale-

wającą miasto, ze trwogą. Nie w smak im ona była. Wiedzieli z doświadczenia, co znaczy sprowadzenie żołnierza i komu ono najdolegliwsze. Za tem szła wojna, oblężenie, głód, mordy i wszystkie plagi Boże. Ale mały człek wielkich spraw odżegnać nie zdoła. Patrzyli osłupieli, a baby i dzieci tuliły się wylękłe po wyżkach.

Gdy się to działo w mieście i na targowisku, na grodzie gorzej było jeszcze. Tam się już prawdziwe obozowisko rozkładało. Choć noc nadeszła — jasno było od ognisk porozpalanych, przy których, nie rozdziewając się, leżeli ludzie na straży. Czaty chodziły dokoła, we wszystkich wrotach czuwały warty. Z okien poodsuwanych szum, gwar straszny i światła biły, jakby wesele obchodzono. W podwórcach, choć pod okiem starszyzny, nie uszło pół dnia bez zatargu krwawego, który setnicy kijami uciszali. Z zamku też dolatywały głosy, jakby i tam nielepiej się działo.

W prawo i lewo od wielkich sieni na dworcu świeciło, drzwi stały otworem szeroko, tu i tam ścisk ludzi widać było, tak, że przybywający ledwie do środka dobić się mogli. Służba konwie nosiła i beczki próżne wytaczała, bo pić trzeba było dać, a po skwarze letnim żłopali chciwie, kto się dorwał, jak ze studni.

W lewo, kilka izb pominąwszy, była jedna największa, w której starszyzna u stołu siedziała, choć stół już próżny był i kubki tylko, a dzbany na nim stały.

Na ławach jeden przy drugim, w postawach różnych, siedzieli ludzie rycerscy poopierani, półleżący, niektórzy poskładawszy głowy ze znużenia.

Namiestnika Magnusa w tłumie tym odróżnić łatwo było, bo mu wszyscy cześć oddawali, a i postawa była nielada. Wzrost ogromny, otyłość wielka, twarz szeroka, ręce silne. Olbrzymem się wydawał przy drugich, a gdy głos zabrał, jego jednego wśród największej wrzawy słychać było. Głową wszystkich przechodził, a że mu z niej już dużo włosa spadło, świeciła górą białą i lśniącą. Rysy twarzy wyraziste, grube, szerokie, zdala biły w oczy.

Że lato odzieży ciężkiej na siebie brać nie dozwa-

lało, miał kaftan szkarłatny, wdziany bez gzła na ciało gołe, a na nim u szyi ciężki łańcuch złoty.

Kilku duchownych w sukniach ciemnych, stało około niego, kilku tylko, co zbroje z siebie pozrzucali, bo na skórzanych kaftanach znać było powyciskane ich ślady.

Wpośród nich na szerokiem krześle w wezgłowiu, zmieniony do niepoznania niedawny kleryk, teraz pan a syn królewski, Zbigniew. W sukni mniszej niezgrabnym był; i teraz, gdy się pstro i bogato przystroił, nielepiej mu było; twarz się tylko wielce przerobiła, gniew i złość z niej zeszły, została chytrość i buta wesoła.

Na siedzeniu swem nie siedział, ale leżał rozpostarty, sam się sobie przyglądając niekiedy, tak mu dziwnem było, iż się tu znalazł; bawił się to łańcuchem, który na piersi miał, uśmiechając się do niego, to pasem od mieczyka, na który zukosa czasem poglądał. Pas był misternie kowany, sadzony i świecący.

Rękawy sukni nowej to zaciągał, to spuszczał, to koło szyi rękami przebierał, to włosy jeszcze krótkie przygładzał, bo mu postrzyżyn klasztornych wstyd było.

Przez ten czas, gdy wolnym był, na brodzie puścił mu się swobodnie włos rzadki; pieścił się też nim, choć wedle życzenia nie rosnął, zasiewał się nędznie, a sterczał twardo.

Rysy twarzy rozweselone nie wypiękniały, grube były i niekształtne; wzrok latał dziko, usta krzywiły się szydersko. Ludzie się doń niebardzo garnęli, a i ci, co mieli do tego ochotę, rozmówiwszy się, prędko ją tracili.

Wśród kółka, które go otaczało, stał namiestnik Magnus poważnie, ręce za pas pozakładawszy, silnym i donośnym głosem rozmawiając ze starszyzną.

— Hej! hej! — prawił, śmiejąc się — już tam w Sieciechowie i w Płocku trwoga być musi. Podkrólik nasz miota się, jak podsmalony. Kto wie! Może już

ciągnie na nas, bo to prędki człek, ale czaty rozesłane dadzą znać w czas, będziemy wiedzieli, co czynić.

— Już tam z nas — ozwał się jeden ze Ślązaków — niepośłusznych wichrzycieli uczynią za to, żeśmy się za krzywdę pańskiego dziecka ujęli! A no! Niech aby jedna ziemia swojego pana ma, nie Sieciecha. Dosyć już tej Sieciechowszczyzny.

— Pewnie! pewnie! — dodał Dobek z Morawicy. — Za króla i za jego krew stajemy. Matka Zbigniewa była siostrą naszą, czemuż to dziecko nie ma być tak dobre, jak drugie?

Poza krzesłem Zbigniewa stał młody człek, bratanek namiestnika Magnusa — Zahoń; chłopię blade, jak tyczka od chmielu wyrosłe bujno, a niesilne, chude, potulne i nieśmiałe. Był to przyboczny dworak księcia, który się doń przygarnął. Z nim pocichu mieniał słów trochę Zbigniew.

— Nudno i u was, mało nie jak w klasztorze za klauzurą — szepnął, rozglądając się dokoła po twarzach i wyciągając się, jakby mu się na sen zbierało.— Ani gędźby, ani pieśni, ani wesołego słowa, ani twarzy niewieściej nie najrzeć.

— Miłościwy książę — szepnął Zahoń — nie pora po temu. Między taki tłum niewiast wprowadzić się nie godzi; sromałyby się bardzo, bo ludzie języków nie strzymają. Gędźby też niktby słuchać nie chciał, kiedy wszystkim w głowie, że lada chwila rogi zagrają może.

Zbigniew niecierpliwie się poruszył.

— No — rzekł — naówczas też pora będzie myśleć o wojnie, a na konie siadać; dziś wolałbym dla siebie dobrej chwili, a nie wędzić się w tej głupiej wrzawie.

Spojrzał pogardliwie po ludziach i zamilkł. Zahoń nie miał co odpowiedzieć. Książę wydawał mu się nad wszystkich rozumniejszym, bo pięknie i łatwo mówić umiał.

Zbigniew oczyma wodził po izbie, niekiedy poziewnął; nieraźno mu było wśród ludzi starszych, którzy o poważnych sprawach gwarzyli. Dobek zbliżył

się doń, jakby go chciał rozerwać, bo inni go zaniedbywali.

— Cóż, miły panie, — nie próbowaliście dziś łuku, albo miecza — spytał — nie dosiedliście konika? Zdałoby się teraz, póki czas, obeznać z rycerskiem rzemiosłem!

Zbigniew z lekceważeniem, wzgardliwie usta wykrzywił.

— O! wielka mi to nauka — odparł — noża z pochew dobyć i naodlew ciąć! Naukę tę ma parobek każdy, póki siły staje. Konia między nogi wziąć i trzymać się na nim, — niewielka też sztuka. Ja do dowództwa stworzony, a nie do bicia się, a dowodzić, da Bóg, potrafię!

Dobek głową potrząsał.

— I na to trzeba doświadczenia — rzekł sucho.

— To się go dostanie — ciągnął dalej tym samym tonem Zbigniew. — W klasztorze mnie tego nie uczono. Za grzech mi nie weźmiecie, że odrazu żołnierzem nie będę. Temu, co panuje, więcej potrzeba głowy, niż dłoni.

I uderzył się w czoło.

— E! e! — zaśmiał się Dobek — obojga pono zarówno! Jak jedno będzie słabe, drugie się nie na wiele przyda...

Książę się uśmiechnął pańsko, próbując ręką wąsa, którego jeszcze nie miał.

— Wiemci ja, co mi potrzeba — zawołał dumnie. — W klasztorze mi rozumu nie wycisnęli, dusząc, a myśleć dość było czasu!

Dobek, któremu się tego dnia jakoś nieszczęściło, już chciał na inny przedmiot, mniej drażliwy, nawrócić rozmowę, gdy tumult się stał u wchodu i głosy jakieś podnosić zaczęły.

Magnus natychmiast niespokojne oczy w to miejsce zwrócił, kędy tysiącznik jego, Pałka, nawet hełmu nie zdjąwszy, przez tłum się przeciskał, szukając go oczyma niespokojnie.

— A co tam niesiesz, Pałka? — zapytał zdala przez głowy drugim Magnus.

— Miłościwy wojewodo — głośno począł przybyły, którego reszta starszyzny niewiele obchodziła; — tajemnic w tem niema, godzi się i głośno o tem powiedzieć. Nasze czaty posła od króla oznajmują. Jutro tu ma być!

Usłyszawszy to, zgromadzeni ruszyli się wszyscy.

— Poseł od króla? poseł? sam? z ludźmi? gdzie? kto go widział? — poczęto wołać ze wszech stron.

Wstał i Zbigniew, ale z namarszczoną twarzą, poczuwszy urazę, że się z tem oznajmieniem do namiestnika zwrócono, nie do niego, który już pierwszym chciał być. Wtrącił głośno:

— Któż? Gdzie te posły? do mnie?

Tysiącznik, mało co głowy skłoniwszy, dalej znów mówił do Magnusa, jako do swojego dowódcy.

— Poseł z niewielką garścią o milę stąd na nocleg stanął.

— A poczet ma duży? Słyszysz! — przerwał Zbigniew, chcąc na siebie zwrócić uwagę.

Pałka, nie zbity z tropu, patrzał ciągle na Magnusa, wahając się z odpowiedzią.

— Poczet ma duży? — powtórzył namiestnik.

— Jest tam, słyszę koni, może ze dwa dziesiątki — odparł Pałka.

Magnus, który jak inni, do zbytku na królewicza nie zważał, wtrącił od siebie.

— Nie wiecie kogo do nas wysłano?

— Poważny jakiś człek — mówił Pałka. — Mówili, że się Wojsławem zowie. Ode dworu i osoby pańskiej.

Popatrzywszy na otaczających, Magnus dał Pałce znak głową, że odejść może.

Skupili się starsi, poczęli szeptać i naradzać się pocichu między sobą. Widząc to, Zbigniew, urażony, że go na boku zostawiono, podszedł ku nim, właśnie w dobrą chwilę, gdy się starszyzna, Magnusa otaczająca, do drugiej izby ruszała.

— Cóż poczniemy? — zapytał królewicz, stając naprzeciw namiestnika.

Zmieszał się Magnus nieco, zawahał, ciężko mu było z odpowiedzią.

— Miłościwy książę — rzekł wreszcie, pomyślawszy długo, i nierad widocznie, że mu się książę wtrącał — dajcie nam samym naradzić się, a rozważyć; potem ja miłości waszej przyniosę, co uradzimy.

Nie w smak to poszło księciu.

— A jaż to się wam nie zdam do rady? — zawołał nieco gniewnie, oczyma złośliwemi tocząc dokoła. Magnus go odwiódł na stronę.

— Zostańcie wasza miłość tu — tak będzie lepiej — rzekł. — Zabawiajcie się, ludzi sobie jednajcie, my z sobą śmielej bez was mówić będziemy. Sprawy są nasze, domowe, wam jeszcze nieznane... Tak lepiej.

Nie odpowiadając już nic, Zbigniew zagniewany poszedł rzucić się na ławę i podparł łokciem, nie tając, iż mu nie w smak było odsunięcie od rady, a zbywanie się młokosa.

Tymczasem starszyzna polska i czeska z Magnusem poczęła się wybierać do bocznej izby, którą za nią zamknięto. Pewnie kobiety z niej przez szpary musiały się przypatrywać zgromadzeniu, bo słychać je było pierzchające, strwożone, śmiejące się i pokrzykujące...

Izba też to była dla rodziny i domowników, nie dla gości; sprzęty jej mówiły o niewiastach, czuć było kądziel, i zioła wonne, nabiał i jadło.

Magnus, nie mając już gdzie, wprowadził tu starszyznę, odprawiwszy niewiasty do kleci...

Weszli milczący panowie. Kobiety zaraz drugie drzwi zasunęły za sobą...

Chciał i Dobek wnijść, ale mu Magnus szepnął w progu.

— Pilnuj swojego królewicza — a zabawiaj go. My tu radzić musimy. Co obradzimy — powiemy wam!

Widać było z twarzy Magnusa niepokój jakiś i podrażnienie, — inni też nie patrzyli wesoło. Westchnął

Magnus, odszedł nieco w głąb i odezwał się do jednego z poufalszych.

— A co? — rzekł — księcia własnego mamy! Mnichy z niego zrobiły — nie wiem co. Ni z pierza, ni z mięsa, ale królewska buta jest.

— Prawi niezgorzej — odezwał się drugi — języka dosyć ma, w głowie też jasno, tylko, że do roboty się nie bierze, do konia i do żelaza go nie napędzić... Rycerz z niego nie będzie tęgi.

— Patrzy, jako zwierz, gdy go z nory dobędą — dodał trzeci.

Nie pochwalił nikt.

— Wszelako, jaki on jest, lepszy będzie od Sieciecha — zakończył inny.

— Cóż z posłem od króla czynić będziemy? — zagaił Magnus — Wojsław, to krewniak Sieciechów, ochmistrz królewicza. Znam ci go, lepszym jest, niż się zda.

Wszyscy po sobie patrzyli, głowami potrząsając; nikt z wyjawieniem zdania nie śpieszył. Najstarszy Chrama odezwał się, brodę targając, jak miał we zwyczaju.

— Ha! Co się stało — trudno odrabiać. Zgodziliśmy się królewicza wziąć, trzeba przy nim stać.

— A jeżeli siłą zechce nas przemagać Sieciech — mówił Magnus. — Mamyż krew rozlewać?

Nie odezwał się nikt.

— Czechy nas poprą, pomogą — bąknął jeden.

— A no pewnie, — poprą tak, że zajadą i złupią — rzekł Magnus. — Zamiast Sieciecha, będziemy mieli jakiego Przemysława! Co myślicie! Jeśli się zładzim zgodnie — dobrze; jak ma wojna być o tego mnicha ja grodu i ziemi na łup dla niego zdawać nie myślę. Nastraszą się naszej siły — niech Zbigniew siedzi. Jak nas wojować zechcą, za zdrajców i nieprzyjaciół głosić — niewarta krwi naszej sprawa. Sieciech ma ludu dosyć.

— Oho! — zawołał Czech, który nieco dalej stał, a Dobrosław było mu imię. — Jakeście prędko wzięli

sprawę, tak ją też rychło rzucacie. Tożeście się zgodzili królewicza trzymać i popierać.

— Nie wypędzamy go też — odezwał się Magnus kwaśno — ino wojna, sroga rzecz. — Kiedy musu do niej niema — lepiej nie poczynać.

— Skądże to wiatr dziś zawiewa? — wtrącił Dobrosław.

— Ten sam, co i wczoraj — mruknął Magnus. — Rozumu zawsze trzeba. Sieciechowi strachu napędzić, aby nam tu nie bróździł, nie królował toć trzeba, — a od swoich odstać i ze swymi się zarzynać!!!

Czech warknął coś niewyraźnie, inni za Magnusem trzymali.

— Królewicza nie opuścimy — rzekł jeden — a na rzeź się za niego też nie damy. I jego nie uratujemy przez to i ludzi nagubim.

— Gdy poseł przybędzie — ciągnął Magnus dalej — powiemy mu, że przeciw królowi podnosić się i z królem wojować nie myślimy, — przeciw Sieciecha występujemy. Niech nam król, nie on panuje, niech ludzi nie wygania, niech głów nie strąca, oczów nie łupi... Dosyć było Sieciechowych rządów! jam tu z ramienia pańskiego, niechże mi równy nie rozkazuje!

— A jak król nie przystanie? — zapytał Chrama— jak się nas nie ulęknie?

Pogładził się Magnus po łysinie.

— Ja grodu na łup nie dam — rzekł, a czyja wola w polu się potykać, nikomu nie zabroniono.

— Tak lepiej — dodał drugi zboku. — Kto ma wolę się rozprawiać orężnie, — niech z murów wyciągnie. Grodu szkoda, na oblężenie ani żywności, ni gotowości niema.

— Ani ochoty — zakończył Magnus.

Milczał trochę, a potem dodał.

— Prawdę-li rzec? Po królewiczu więcej spodziewaliśmy się! Na kleryka on pewnie dobry, a będzie-li zeń żołnierz, — nie wiem. Z oczów mu groźno patrzy, z gęby mu słodko płyną słowa, a ręce wiszą. Ni do konia, ni do miecza ochoty niema. Włożył zbroiczkę,

nie dotrwał w niej pół dnia, już mu barki gniotła, aż się skrobał.

Rozśmiało się kilku, nikt nie sprzeciwiał.

Rozpoczynały się narady, gdy drzwi przebojem otwarłszy, zjawił się Zbigniew, ciągnąc Dobka za sobą. Wstyd mu było z rady zostać wykluczonym.

— Cóżeście uradzili? — rzekł od progu, miotając oczyma, aby wyczytać im prawdę z twarzy, nim ustami skłamią.

— Tak, jak nic — odezwał się Magnus, wodząc wzrokiem po swoich. — Zobaczymy, co jutro pokaże. Nie wiemy, co poseł niesie.

— A ja wiem! — przerwał Zbigniew. — Jasna rzecz, — zechcą, abyście się poddali, mnie katom w ręce dając!

Oburzyli się wszyscy.

— Nie bójcie się, miłościwy książę — odparł Magnus — wziąć was z między siebie nie damy. Za wcześnie mówić o jutrze, nie wiedząc, co ono przyniesie, ale zdrady się nie dopuścimy. Król, gdy posyła, znać chce zgody.

Bystrem spojrzeniem po twarzach poznał Zbigniew, iż przed nim tajono sprawę, a zbytniej dlań miłości nie było. Zgadł niemal, co się święciło.

— Miłościwi panowie — odezwał się, podnosząc głowę. — Nikogom ja nie prosił, aby mnie z klasztoru wyciągano — samiście to po dobrej woli uczynili. Teraz, gdym ja swobodny, o prawa swe upomnieć się mogę — nie odstąpię od nich. Jeżeli poseł niesie zgodę i to, co mi się należy jako synowi króla, — dobrze! — Zechcą-li mnie znowu zamurować, a opuścicie wy mnie, pójdę do Czechów, do cesarza, pójdę do pogan bodaj, a praw się upominać będą. Ludzi, choćby z piekła, muszę mieć.

Zbliżył się Dobek z Morawicy do namiestnika.

— Na ludzi — odezwał się — trzeba złota i srebra mieć — a skąd ich wziąć?

— Może na to znaleźć się rada. Co się jutro z po-

słem uczyni, to nam powie, co dalej mamy przedsiębrać. Do jutra śpij, wasza miłość, spokojnie.

Skłonił się nisko.

Nie pozostało nic, tylko nazad powracać do izby, ku której prowadził. Zbigniew wyszedł nadąsany i gniewny; w rogu na Dobka skinąwszy, nie zatrzymał się już między gośćmi, szedł wprost do izby, która mu była przeznaczona.

Miał już i dwór swój, i urzędników, i służbę, bo mu się na nią i Czesi i polscy wygnańcy, co go sprowadzili, złożyli.

Zaraz w pierwszych dniach okazało się, że do występowania gromadnego, dwornego, strojnego i hałaśliwego największą przywiązywał wagę. W drodze już począł się troszczyć, by jego krwi królewskiej odpowiednio, co najrychlej się urządzić. Chwytał ludzi, jacy się stręczyli, odziewał ich jaskrawo, dwu, co na rogach grali zabrał z Saksonji, innych ze Śląska pościągał, od panów wyprosił, konie sobie darowywać kazał, dwór przybierał i stroił.

Więcej mu o to szło, niżeli o samą sprawę.

Za próg zamkowy teraz się nie ruszył bez gromady, którą za sobą wszędzie ciągnął. Musiał jeden przed nim miecz nosić, jak przed książęciem udzielnym, drugi tarczę malowaną, dwu przeraźliwie trąbiło, inni okrzykiwali, lud rozpędzali i wołali:

— Pan jedzie! z drogi!

W tem jednem najbardziej królewska się w nim krew okazywała; przepychowi jaskrawemu był rad, a gdy prawdziwego mieć nie mógł, jako tako kłamanym się odziewał. Pysznił się tak sobą i podziwem gawiedzi chciał być koniecznie. Śmiał się, widząc wybiegających z chat ludzi, głowy wyglądające przez okna, chowające się za węgły dzieci i dlatego tylko na koń co dzień siadał, aby się z trębaczami i dworem zabawić pokłonami ludu.

Im więcej koło niego wrzawy czyniono, tem szczęśliwszy był, na zabój w rogi grać, w bęben bić, o żelazo szczękać nakazując.

Starzy na to potrząsali głowami, a widzieli w tem pańską dumę, która zresztą w owym wieku przystała książętom i była w obyczaju.

Na zamku izba najprzedniejsza z belkami rzezanemi wzorzysto, przeznaczoną dlań była. Nie brakło w niej nic, co do wygody i ozdoby służyć mogło. Gromadka zjednanych przyjaciół, nazwana drużyną, poprzyodziewana dziwacznie, otaczała go tu, wierząc w jego szczęście i gotowa zań karku nastawić.

Wszyscy pośpieszyli za Dobkiem i księciem, czując, że potrzebni być mogą. Szedł i Zahoń.

Choć nikogo Zbigniew za serce pochwycić nie mógł, królewska jego krew, nadzieja panowania, łask i datków, ludzi doń ściągała. Dobek szedł z nim, jako pokrewny, spodziewając się z nim zawładnąć i kierować, inni, że nic lepszego do roboty nie mieli, a nadzieję jakąś świtającą widzieli.

Słuchali go wszyscy, podziwiając mowę łatwą, dopomagali do śmiechu, gotowi byli na wszelaką służbę. Zahoń najlepiej błaznował, śmieszył i najniżej się kłaniał, za co był w łaskach. Reszta drużyny niewiele była warta.

Na wodza dla przyszłego wojska, którego jeszcze nie było, nastręczył się i wparł niemal gwałtem człowiek, który pono wiele po świecie wojował, a z wojen oprócz wytrawnego języka i skóry podziurawionej nic nie przyniósł. Kto on był, nikt dojść nie umiał; Ślązakiem się mienił, przysięgał, że z Głogowa był rodem, choć tam już nie miał nikogo i nikt go tam nie znał. Powiadał, że wojował długo na Węgrzech, że królowi Szczodremu służył, że Ruś znał jak własne kieszenie, królom czeskiemu i węgierskiemu był ulubiony i tylko go zazdrość z ich dworów wypchnęła; że na cesarskim też długo przebywał, i do Włoch z nim wędrował, gdzie też nieprzyjaciół się dorobił swą cnotą.

Cnotliwym się mienił wielce, a przez cnotę nieszczęśliwym. Cesarskich teraz nie lubił i psy na nich wieszał.

Człek był jeszcze urodziwy, postawny, wyszcze-

kany, językiem do wszystkiego gotów, ruchawy pozornie, a gdy przyszło co czynić, posługujący się i popychający drugich, krzyczący tylko głośno, a niewiele skuteczny. Do misy i do dzbana pierwszy się zawsze stawił i najdzielniej koło nich chodził. Chociaż skarżył się, że był porąbany w wojnach okrutnie, a włos mu już szpakowaciał, chciał jeszcze służyć, jak powiadał, szczególniej pod takim księciem, którego na pierwsze wejrzenie pokochał nadzwyczajnie.

Kłaniał się do stóp królewiczowi, lizał mu ręce, rozpędzał przed nim ludzi, chodził przodem z głową odkrytą i pochlebstwy go zjednał. Zwał się Marko Sobiejucha.

Ten bodaj na głównego wojewodę swatał się Zbigniewowi, a że gadał bardzo wiele i zabiegał nieustannie, już był prawie pewien swego.

Dwu też Czechów, Rawitów, ludzi milczących i cichych, przyjął był sobie Zbigniew, z tych jeden, Przemko, podczaszym był, drugi Leszko — podkomorzym.

Nie zbywało na innych dworakach, a codzień się stręczyli nowi, których, nie pytając, przyjmowano, byle kto kaftan cały miał. Ci, co występowali w lepszej odzieży, pewni byli wyższego na nowym dworze dostojeństwa.

Dobek z Morawicy, opiekun najdawniejszy, w zaufaniu był i łaskach.

VI.

Nazajutrz rano, gdy się u bram orszak Wojsława ukazał, domagając wpuszczenia z królewskiem słowem, — rozkazy już były wydane, aby go na gród do namiestnika prowadzono.

Wojsław, niezbyt pańsko wystąpił, ani nadto okazale, nie miał nad jakie dwadzieścia koni z sobą. Dodany mu był duchowny, wikarjusz z Płocka, ksiądz młody, imieniem Teodor, bo naówczas żadne się poselstwo, żadna czynność ważniejsza bez duchownego rady i nadzoru nie obchodziła.

Biskupi wyżej już stali, jak wojewodowie, i królowi pilno na ręce patrzali.

Znał też Sieciech krewniaka swego, iż o ile twardym był, a nieugiętym, tak równie do słowa ciężkim i w mowie nieobrotnym.

Zbigniew od rana nie wychodził z izby swej, wahając się, czy mu się należało ukazywać, lecz wszystko zdał na namiestnika, przy którym Dobka postawił. Dworowi wszakże swemu wpogotowiu być kazał.

Poselstwo wprost do bramy, przeprowadzone przez gawiedź ciekawą, która za niem biegła aż ku dworcowi, na gród się udało. Magnus już na nie czekał, całą starszyznę koło siebie skupiwszy.

Nienawiść ku Sieciechowi, pomimo obawy wojny, nastrajała gniewnie umysły.

Wjeżdżając w dziedzińce, Wojsław dojrzał, rozglądając się ciekawie, iż wszędzie ludu zbrojnego moc była wielka, jak nabito żołnierza, między którymi sporo Czechów poznawał.

Posłańcowi z królewskiem słowem uchybić nie chcąc, Magnus do rogu wyszedł przeciwko niemu.

Odział się na dzień ten świątecznie, ludziom też zbrojnym na grodzie przykazał, aby wdzieli odzież i zbroje przystojne. Zsiadającego z konia przywitał w przedsieni. Spotkawszy się milcząco, mierząc oczyma, poczem Wojsław z księdzem Teodorem szli do izby razem, gdzie czekała starszyzna liczna, jak na radę zgromadzona.

Mógł już tedy rozpoznać Wojsław, że niespodzianym tu nie był, że o nim wprzódy wiedziano, gotowano się na przyjęcie, myślano, jaką mu dać odpowiedź.

Do izby wszedłszy, rzucił poseł oczyma, azali nie ujrzy Zbigniewa, któregoby się był domyślił, choć go nie widział od dziecka. Lżej mu się stało, gdy go nie zobaczył.

Dokoła na ławach, siedzieli ludzie posępni, gromadnie, ciasno, z brwiami namarszczonemi, z twarzami groźnemi, dłonie na mieczykach, milczący i jak do sądzenia gotowi.

Tu i ówdzie spostrzegł twarz dawniej sobie znajomą, a wrogą; te, których nie znał, jawnie okazywały, że nielepiej myślały.

Wstali niektórzy, inni się nawet nie podnieśli, szmer dał się słyszeć, za wchodzącymi wtłoczyło się więcej jeszcze ciekawych, wszystko zbrojne, zachmurzone. Do ucha mogły dolecieć słowa i śmieszki niemiłe, lecz Wojsław zimny na to był i jak wszedł powolnie, tak nieustraszonem okiem obiegł ławy dokoła obojętnie, zwrócił się do Magnusa i rzekł:

— Miłościwy pan, król Władysław, przysyła mnie do was.

Namiestnik wskazał duchownemu i jemu miejsce przy sobie, milczenie głuche trwało dość długo, a że Wojsławowi do słowa przyjść tak zrazu łatwo nie było, prosił ks. Teodora o wyręczenie.

— Miłościwy pan, Władysław, przysyła nas — począł ks. Teodor — chcąc wiedzieć, prawda-li to jest, że przyjęliście tu Zbigniewa, którego on chciał mieć w klasztorze? Prawda-li, że przyjęliście zbiegów i zdrajców, którzy, na karę zasłużywszy, chroniąc żywota — do Czechów pouciekali?

Wstrzymał się ksiądz; Magnus obrócił się ku nim i rzekł po krótkim namyśle:

— Królewicza Zbigniewa i biednych ludzi, co się niesprawiedliwie tułali po obcych, przyjęliśmy. Tak — prawda jest!

— Więc winniście zdrady i nieposłuszeństwa? — wtrącił sam Wojsław.

— Nie jesteśmy jej winni — rzekł Magnus. — Królewicz nieszczęśliwy miłosierdzia się ojcowskiego domagał, a zbiegowie, bracia nasi, przeciw królowi nic nie zawinili.

Gdy to mówił, z ław dokoła dało się słyszeć mruczenie naprzód, potem kilku zawołało:

— Nie zawinili przeciw królowi, panu naszemu, ino przeciw Sieciechowi...

— Przeciw Sieciechowi! — krzyknął Magnus. —

Złości i samowoli Sieciechowej dłużej nikt z nas nie chce!

— Nie! nie! nie będziemy jej więcej cierpieli. Nie! — poczęli z ław odzywać się siedzący, śmielej coraz.

— Z Czechami się przeciw własnemu królowi wiążecie, na własny kraj następujecie — odezwał się Wojsław zwolna. — Król o wszystkiem wie!

— Źle wie! — zawołał Magnus goręcej — nie chcemy tak samo czeskiego panowania, jak Sieciechowego. Niech król sam nami rządzi, albo niech nam syna da, Sieciecha nie chcemy.

— Sam król was zdrajcami mieni — odrzekł ks. Teodor. — Woli jego nie jesteście posłuszni.

— Innego tu zdrajcy niema — wyrwał się Dobek stojący za Magnusem — tylko Sieciech jeden! On to miłości pańskiej nadużywa, on z kraju wierne jego sługi pędzi, on prześladuje, on obdziera, on nieprzyjaciół robi — on!

Chórem z ław wszystkich coraz śmielej, głośniej coraz, zaczęto już krzyczeć niemal — zapalczywość rosła.

— On! Sieciech! zdrajca!!

Wojsław i towarzyszący mu duchowny spostrzegli, że niebezpiecznem było zbyt ostro przemawiać, bo umysły już się oczekiwaniem zburzyły i rozjątrzyły same. Spojrzeli po sobie. Wojsław sam zwolna począł z chłodną krwią, która go nigdy nie opuszczała.

— Nie z panem wojewodą Sieciechem to sprawa, ale z panem, a królem naszym. Ja nie od Sieciecha, ale od niego tu przysłany idę. Co komu do woli i postanowienia królewskiego, który chciał tego, aby dziecko poboczne w klasztorze się chroniło, a sromoty mu nie czyniło? Nie, godzi się nikomu stawać pomiędzy ojcem, a dziecięciem; ojciec każdy, gdyby i królem nie był, ma prawo nad swoimi. Wolno mu z niem czynić, co chce. Dlaczegożeście srom królowi uczynili?

Dobek się wyrwał:

— Jako żywo dziecko pobocznem nie jest. Matka

jego, córka ziemianina, tak dobrze żoną była pańską, jako królowa Judyta i syn to tak dobry, jakby się z królewnej rodził, skoro ją pan nasz, Władysław, swego czasu miłował i za żonę trzymał. Srom czyni królowi, kto krzywdę czyni dziecku, nie my! nie my!

— A zbiegowie i zdrajcy? — spytał Wojsław.

Tak nazwani zdrajcy i zbiegowie siedzieli naprzeciw mówiącego na ławach. Dobek też do nich się liczył, więc skoro to słowo rzekł Wojsław, szmer, wrzawa i wzburzenie powstało wielkie.

Magnus, chcąc nad nimi zapanować, podniósł się, wstał i rękami, a wołaniem począł zażegnywać ową burzę, ukazując, że sam mówić pragnie.

Ucichło potrosze.

— Powiem, co na sercu mam — zawołał — kryć prawdy się nie godzi. Zbiegowie to są, którym nie król, ale Sieciech dokuczył i nie od króla, ale od Sieciecha uciekali, bo na ich gardło nastawał. Nie wiemy już, kto u nas panem. — Władysław król, czy Sieciech? Pan zagarnia pod siebie wszystko; krakowskim wojewodą jest — niech na Krakowie siedzi, a nam da rządzić, gdzie nas postawiono. On wojsko całe ma w ręku, on grody, zamki, urzędniki, dwór, on króla i królowę, on królewicza. Ino już nie widać, gdy zapragnie, aby sam panował. Tego my nie zniesiemy, tego my nie damy uczynić. Równy nam ziemianin jest!...

Śmieszki urągliwe dawały się słyszeć tu i owdzie. Wojsław wstał blady.

— Nie wolno mi słuchać tego, co mówicie, bo nieprawdą to jest, a oszczerstwem. Ci, co się z posłuszeństwa wyłamują, na Sieciecha wołają, bo do woli królewskiej zmusza. Sieciech praw — nieprawi ci, co nań nastają!

Słów tych ledwie mógł dokończyć, gdy wrzawa wzmogła się gwałtownie i zagłuszyła go.

Popędliwy Dobek pierwszy miecza dobył z pochew, drudzy też, zobaczywszy to, chwycili się do żelaza, kto co miał, nóż, mieczyk, topór, podnosząc do góry. Zgiełk

powstał straszny cisnąć się zaczęto groźnie ku posłom, tak, że Magnus, poskoczywszy w czas, ręce rozpiął, sobą ich zastawił i od pierwszej napaści osłonił.

Nie na wieleby to jednak było się przydało, bo rozjątrzenie było straszne, a nienawiść wygnańców ku Sieciechowi taka, że na krewniaka jego, co śmiał stawać w obronie wojewody, rzuciliby się byli i rozsiekali niechybnie, gdyby z drugiej strony nie stanął o. Teodor, a na księdza nikt nacierać nie śmiał.

Ława stała niedaleko drzwi, do drugiej izby prowadzących; namiestnik prawie gwałtem popchnął w nie Wojsława, sam ciągle go sobą okrywając. Poseł z księdzem ledwie mieli czas wpaść do bocznej izby i drzwi zaprzeć za sobą, gdy tłum runął na nie rozwścieczony i bić począł rękami i mieczami, z zapamiętałością taką, iż Magnusa nawet słuchać nie chciano i nie poszanowano.

Jak to zwykle bywa, gdy jeden pierwszy da hasło, tłum da się pociągnąć i siła w nim liczbą rośnie, — pomiarkowanie i pamięć stracono, miotano się, nie zważając na nikogo... Rozbijali jedni drugich, do drzwi się cisnąc. W Wojsławie Sieciecha widziano i krzywd się chciano pomścić.

— Zabić! rozsiekać! — krzyczeli przodujący.

— Sieciechów służka, na gałąź z nim!

Szczęściem drzwi, za któremi skrył się Wojsław z ks. Teodorem, dębowe były, grube, kute i do wyłamania niełatwe, choć wszyscy się na nie zwalili, barkami je chcąc wyważyć, nie słuchając Magnusa, który całą siłą głosu i ramienia im się opierał.

Na całym zamku zburzyło się i zawichrzyło.

Widząc, co się w izbach działo, pachołkowie i czeladź starszyzny wpadli na ludzi Wojsławowych, spędzili ich z podwórzą, aż się do śpichrza skryć musieli przed nimi, zasunąć i założyć, aby życie ocalić. Zaczęto ich tu oblegać i kamieniami ciskać.

Zbigniew, posłyszawszy wrzaski, choć zrazu się porwał biec także, strwożył się wprędce o siebie i Marka Sobiejuchę posłał tylko na zwiady, co się tam stało.

Do podobnych spraw, gdzie dziesięciu na jednego idzie, Marko był najlepszy, wrzasku rad przyczyniał i drugich popychać był gotów. Zobaczywszy, o co szło, rzucił się ochotnie i resztę spokojnych ludzi pociągnął za sobą. Zakipiało wszędzie, nikogo nie słuchano.

Szturmowano do drzwi i do śpichrza coraz gwałtowniej. Drzwi, za któremi skrył się Wojsław z księdzem, runęły nareszcie wyparte, wrzeciądze pękły i tłum wpadł z mieczami do komory, ale Wojsław miał czas ujść oddawna.

Wylękłe niewiasty dały mu się skryć na strychy, od których drabiny odjęto i pochowano.

Napastnicy w izbie pustej nie znaleźli nikogo, — z drugiej patrzyły niewiasty, stanąwszy śmiało ze starszemi na czele, bo wiedziały, że im się nic stać nie może.

Magnusowa żona w białej namitce i szubce jedwabnej, zaparła im drogę. Ręce założywszy na piersiach, z brwią namarszczoną, patrzała na oszalałych spokojnie, ani się nawet odzywając. Cofnęli się przed nią, rozbiegli po kątach, ale nikogo nie znaleźli.

— Darmo się nie trudźcie — odezwała się w ostatku groźno stara niewiasta z wyrzutem do Dobka. — Gościny nie umiecie szanować! Myśmy mu dawno konia kazały dać, aby uchodził. Niema go na zamku!

Ochłonęli jakoś oszaleli ludzie, cichy ten i spokojny głos usłyszawszy, stanęli, miecze do pochew wkładając.

Magnus nadszedł gniewny, łając i bezczeszcząc, wyganiał ich nazad do wielkiej izby.

I jak się ten ogień od jednej skry począł, tak też rychło uśmierzył; jedni sami przyszli do opamiętania, drudzy się wzięli zagorzałych odciągać, hamować i poskramiać. Wrzawa powoli ustawała, pojedyńcze głosy tylko podnosiły się w górę z odgróżkami na Sieciecha, na Wojsława, a nawet i na króla samego.

Marko Sobiejucha, Dobek i inni zebrani przy Zbigniewie, radzi sprawę doprowadzić do ostatka, aby

Wrocławian wmieszać w wojnę, na Magnusa wykrzykiwać zaczęli.

Usłyszawszy nową wrzawę, która z mieszkania królewicza dochodziła, Magnus sam pobiegł niespokojny, dowiedzieć się, co tu się burzyło; otworzył drzwi, powitano go spojrzeniami jak wroga.

— Cóż? — począł, przyskakując ku niemu, Dobek — Sieciechowego bratanka wy bronicie i osłaniacie!! Wy jeszcze nas powiązanych oddać mu gotowi!!

— Broniłem go tak, jakbym bronił was — rzekł surowo Magnus, mierząc go oczyma — gdyby oni mordować chcieli. Robię, co mogę i com powinien, — więcej ani na włos. Posłyszeli prawdę, czekamy końca. Jeżeli król przybędzie z wojskiem, mówię otwarcie, wojować nie będziemy, oblegać się damy, a Sieciechowi i w oczy powtórzę, com rzekł.

Zbigniew słuchał, zboku stojąc; blada twarz jego zaogniła się gniewem, brwi ściągnęły. Nie odpowiadając Magnusowi, odwrócił się do swoich i zawołał głośno:

— Cóż my tu dłużej czynić będziemy, gdzie Sieciechowych bronią, a o nas nie myślą? Precz chyba iść!

— A iść! iść! — powtórzył Dobek.

— Marko — odezwał się książę — ludzi zwołać, strąbić! Kto ze mną trzyma i chce iść razem — na koń, w pole, położymy się obozem, bezpieczniejsi będziemy!!

Sądził zapewne, że namiestnik wstrzymać go zechce, lecz Magnus popatrzał, skłonił głowę i rzekł:

— Gwałtem was wstrzymywać nie będziemy. Jam was tu, miłościwy panie, nie powoływał, nie obiecywał nic. Mnie proszono, nie jam prosił. Chcecie iść — otwarte bramy, szczęść Boże!

Marko Sobiejucha, któremu we Wrocławiu wygodniej było, niż w polu, niekoniecznie podzielał to zdanie, aby z miasta wyciągnąć; stał jednak milczący, zachmurzony, bo mu się przeciwić nie godziło, gdy wszyscy jedno postanowili.

Ostygło jednak, jak od zimnej wody wszystko. Zbigniew napróżno w swoich szukał gorętszego poparcia.

Wtem Magnus począł, zwracając się ku niemu.

— Wasza miłość nie będziecie się na mnie gniewać; uczyniłem, com mógł, dalej nie mogę, a obiecywać nie chcę, gdy strzymać nie potrafię. Gdybyście w mieście zostali, oblegną nas, ogłodzą, oskoczą i wezmą, głowy pod miecz pójdą. Bezpieczniej w polu. Ludzi nagubimy dużo i was tu zgubaby czekała: w szerokiem polu choćby się nie powiodło, jeszcze ujść można, do Czech się schronić i lepszego czasu szukać.

— A no, a no — odezwał się Dobek — może i wasza prawda. Grodu chronicie i o sobie myślicie, za to wam nikt nic nie powie, ale pocoście Sieciechowego bratanka ocalili? Nagubił dosyć naszych wojewoda, mieliśmy prawo się pomścić.

— A cóżby wam z krwi jego przyszło? — odparł Magnus. — Królby jej niepomszczonej nie zostawił!

Tak się skończyło owe poselstwo królewskie, choć nie krwawo, ale bez skutku.

Gorętsi nieprzyjaciele Sieciecha, którzy na Wojsława godzili, domyślali się, że musiał być jeszcze ukryty gdzieś na zamku, a chcieli go szukać po kątach.

Magnus zatrzymał ich długo z sobą u stołu, nie dając odejść.

Mrokiem Wojsławowi i ludziom jego Pałka boczną furtą ułatwił ucieczkę.

Odetchnął dopiero namiestnik, gdy mu dano znak, że w pole wyjechali i bezpiecznie do lasów mieli czas się dostać.

Przewidzieć teraz było łatwo, że król natychmiast z wojskiem na Wrocław pociągnie. Rad się więc był pozbyć Zbigniewa i jego ludzi z miasta, ażeby gród od niebezpieczeństwa ocalić.

Nazajutrz już Marko Sobiejucha ruszył się, gromadząc swych ludzi, zwołując Czechów, ściągając, co gdzie było ciurów, a ochotników, którzy na wojnę i łupy czekali.

Wygnańcy zjechali natychmiast, rozbiegając się po

kraju, jednając przyjaciół i ochotników między nienawistnymi Sieciechowi. Nie było o nich trudno, gdyż wojewoda surowością swą naraził wielu, a jego pomocnicy i przyjaciele, ufni w swą moc, po ziemiach wszystkich byli nienawidzeni. O królu nikt nie wspomniał, nie myślał; na Sieciecha się gotowali wszyscy.

Magnus karmił, poił i czem mógł opatrywał królewiczowskich ludzi, którzy powoli oddziałami w pole wyciągali. Za nimi miał iść i Zbigniew, acz jawnem już było dla najbliższych nawet, co mu sprzyjali, że ochoty do boju wielkiej nie miał, a głowę pełną tylko dumy i pragnienia igraszki płochej, jaką sobie ze dworem czynił.

Szyto mu chorągwie, strojono czeladź, zbierano urzędników, ściągano trębaczy i śpiewaków, bo o to się najwięcej troszczył. Chciał też mieć i namioty książęce, obszywane, kraśne i pokrycia na konie szkarłatne, bez tego się nie chcąc ruszać w pole. Z grodu też dobrze zaopatrzonego ciągnąć precz w lasy i pustkowia, gdzie i głodem przymrzeć i biedy zażyć było trzeba, — nie miał książę ochoty.

Gdy go z klasztoru brano, spodziewał się do gotowego działu przyjść, wszystkiego znaleźć poddostatkiem, a nie dobijać się swoich praw. Narzekał, iż mu srogi zawód uczyniono.

W kilka dni już ostatki Zbigniewowych żołnierzy wyciągać miały, i on gotował się, rad nierad, iść z nimi. Widząc go posępnym i złym, Magnusowi żal się krwi królewskiej zrobiło. Dał, co mógł, wkońcu radę podszepnął.

Wieczora ostatniego, gdy już w mieszkaniu Zbigniewa sakwy wiązano, węzełki ściągano i zabierano, opróżniając kąty, co się tylko dało zagarnąć, a Zahoń i dwór ciągle o coś jeszcze chodził się upominać u wojewody, Magnus sam poszedł do Zbigniewa, który go unikał.

Dobek ciągnął za nim wślad, pilnując, aby królewicz sprawy sobie w niczem nie popsuł, lub się nie zadarł bezpotrzebnie.

— Dam wam na odjezdnem radę jedną — odezwał się Magnus — posłuchajcie, nie pożałujecie.

— Czemu nie posłuchać, aby dobra! — odezwał się Dobek, który nie dowierzał staremu i ząb doń miał od owego poselstwa.

— Nim wyciągniecie w pole — mówił stary — jedźcie do biskupa, pasterza naszego, a proście go, aby, gdy król przybędzie, wstawił się za wami. Pobożny pan usłuchać go może prędzej, niż innych.

Królewicz, zbytniej nie okazując do tego ochoty, zamruczał coś.

— Biskupie słowo wiele znaczy — ciągnął wojewoda — a o. Żyrosława król, pan nasz, szanuje wielce.

Dobek słuchał, milcząc.

— Jeżeli do niego pojedziecie — ja z wami — dodał Magnus.

— Poco mi biskup, gdy wojnę prowadzić mam! — odezwał się Zbigniew, lecz Dobek potrząsł głową.

— Choć nie wiem i ja poco — do biskupam iść gotów, księdza omijać żadnego się nie godzi — straszni ludzie są!

— Staruszek, ojciec nasz, dobry jest — dodał Magnus — pokłonu uczynionego nie pożałujecie.

Nie było sporu o to, choć i wielkiej ochoty nie okazywali. Zbigniew dał się pociągnąć.

Nazajutrz rano nakazał królewicz, aby dwór wystąpił okazale i licznie, wedle swojego upodobania, chciał nawet dwóch trębaczy z sobą prowadzić, aby przodem jadąc, oznajmywali o nim, co mu jednak Magnus odradził.

Z żalem zostawił ich, śpiewaków i hałaśliwą część dworu, towarzyszącą mu wszędzie, bo i bez niej ludzi było do zbytku.

W czasie pobytu królewicza we Wrocławiu, o. Żyrosław wcale się do niego nie odzywał i do spraw tych nie mieszał. Mąż to był pobożny, spokojny, chorowity, nicrad się plątać w zawikłania i spory. Dosyć miał do czynienia z duchowieństwem i ludem.

Gdy orszak królewicza zbliżył się do oparkanione-

go dworu biskupiego, służba, poznawszy Magnusa, zaraz o nim znać dała. Kapelan biskupi wyszedł na spotkanie i gości wprowadził.

Biskupa, który dla wieku i choroby z siedzenia prawie się nie ruszał, zastali skulonego we dwoje na poduszkach, w przyciemnionej izbie, w której przed obrazem mała paliła się lampa.

Domyślił się starzec, kogo miał przed sobą; zobaczywszy Zbigniewa, podniósł oczy strwożone, przypatrując mu się pilnie.

Książę z wielką pokorą, butę swą straciwszy, do pocałowania ręki się przybliżył. Z podziwieniem postrzegł Magnus, iż twarz mu się nawet zmieniła wielce i złagodniała.

Nie rzekłszy jeszcze słowa do nich, biskup skinął, aby go zostawiono sam na sam z królewiczem.

Magnus i Dobek do drugiej izby ustąpili, Zbigniew pozostał, ułożywszy pokorną postawę.

— Dziecko moje — odezwał się staruszek głosem słabym — boleję nad losem waszym. Poco was skuszono spokój klasztorny mieniać na niepewne losy?

Zbigniew, któremu może się przypomniały zakonne czasy, a może uznawszy potrzebę uniewinnienia się przed ojcem duchownym, pragnął go zjednać dla siebie, złożył ręce na piersiach, spuścił głowę i niewyraźnie, cicho, niemal bojaźliwie zaczął bełkotać:

— Pochwycono mię siłą z klasztoru, ojcze przewielebny, nie mogłem się oprzeć! Zmuszono mnie dopominać się praw moich.

— Praw! praw! — pochwycił biskup. — Oszukano cię, dziecko moje, mówiąc o prawach, miłosierdzia tylko u rodzica żądać możesz...

— Ja — ja nie władnę sobą — rzekł Zbigniew. — Starszyzna, panowie mnie wiodą. Nie moja wina!

Westchnął biskup; zdziwiony trochę wejrzał nań.

— Inaczej mi o was mówiono — począł z politowaniem — cieszę się, dziecko moje, że przeciwko ojcu i królowi nie podnosicie oręża, grzechby to był wielki.

— Mam nadzieję — odezwał się, ośmielając Zbi-

gniew, że wasza przewielebność raczycie przemówić za mną. Pozory są przeciwko mnie, lecz posłuszny iść muszę, zagrożony jestem, życia niepewien. Nieprzyjaciele wojewody chcą mnie mieć z sobą, iść muszę z nimi. Łzy leję w skrytości...

Zamyślił się o. Żyrosław; nie posądzał księcia o fałsz a udanie, znajdował go jednak tak odmiennym od tego, co o nim słyszał, że uszom wierzyć własnym mu się nie chciało.

— Z ufnością w łaskę waszą pasterską — ciągnął dalej książę — składam żal mój i strapienie na łono jego. Nie chciejcie wydawać mej tajemnicy. Otoczony jestem ludźmi, którzy każdy krok mój i słowo śledzą. Ledwiem uprosić się mógł, aby mi tu po błogosławieństwo waszej przewielebności przyjść było wolno...

Z ubolewaniem patrzał nań o. Żyrosław i zdala drżącą go przeżegnał ręką.

— Jeżeli król, pan nasz miłościwy, przybędzie tu — rzekł — będę się starał poruszyć serce jego dla was... Chceszże wrócić do klasztoru?

Pytanie to niespodziewane wzruszyło mocno księcia, który się uczuł we własne sidła schwyconym; zamilkł nieco, namyślał się.

— Ostra reguła ojca naszego Benedykta ciężką jest dla mnie — rzekł, zawahawszy się. — Wyrwano mnie z ciszy klasztornej, powrót byłby już trudny...

Śledził go biskup oczyma i nie rzekł nic na to.

— Nieszczęśliwe losy twe — dokończył po chwili. — Modlić się będę za ciebie, Bóg się ulituje. Serce króla anielskie, litości pełne...

Przeżegnał go raz jeszcze; Zbigniew, uniżywszy się przed biskupem, rękę jego drżącą ucałował.

O. Żyrosław dał znak stojącemu zdala naprzeciw drzwi kapelanowi, aby wojewodę wprowadził.

Wszedł Magnus, chcąc biskupa pożegnać, dłużej nie trudząc rozmową, lecz starzec zapytał go o poselstwo od króla. Wojewoda zaczął się otwarcie uskarżać na Sieciecha.

Słuchał go o. Żyrosław cierpliwie, dał mu żal wylać i czynić zarzuty, a gdy skończył, westchnął boleśnie.

— Słyszę narzekanie na Sieciecha ze stron wszystkich — rzekł. — Przypomnijcie sobie czasy pierwszych panów naszych. Ile to krwi kosztowało, nim się ziemie zdobyte zlepiły w jedno państwo, aby mieć siłę przeciw sąsiadom? Chcecie-li, aby znowu się rozpadły na łup Czechom, Rusi i Niemcom? Sieciech winien, że ciśnie w jednej dłoni, co się już rozsypuje! Sieciech!

Nie mógł powstrzymać się Magnus.

— Tyranem jest! — zawołał. — Władzy mu się chce, królestwa dla siebie pragnie. Królowa z nim trzyma, a uchowaj Boże, chory pan zemrze, nie dzieci jego wezmą państwo, ale on razem z siostrą cesarską. Powstajemy nań, bo zdrajca jest!

Gwałtowny wybuch wojewody pozostał długo bez odpowiedzi. O. Żyrosław przebierał drżącemi palcami książkę, leżącą przed nim.

— Napisano jest tu w tem piśmie, którego słowa prawdą są wiekuistą — rzekł — iż zginie wszelkie królestwo rozdzielone w sobie. Pomnijcież na to, abyście w więzy obcych nie poszli, nie umiejąc swoim być posłusznymi. Pomnijcie!

— Magnusie miły — dodał biskup, spojrzawszy na Zbigniewa — wyż to myślicie wojnę syna z ojcem zażegnąć?

Namiestnik zamilkł, ale Dobek gorący naprzód się wysunął.

— Nie my wojnę wydajemy — rzekł — ojcze przewielebny, nie my! Bronić się będziemy tylko. Zbigniew pokrzywdzony jest, praw swoich szuka.

— Jakich praw? — odparł starzec. — Na ojcu?

Dobek się namyślił i rzekł:

— Na królu!

Potrząsł biskup głową i z litością odwrócił wzrok ku Zbigniewowi, który stał pokornie, oczy w ziemię wlepiwszy.

Tak się rozmowa skończyła.

Gdy przystąpili do pożegnania, o. Żyrosław zbliża-

jącego się Zbigniewa pobłogosławił nieznacznie, a do towarzyszących mu odezwał się głośno:

— Radbym was błogosławił wszystkich — nie wolno mi! Tym, co idą na wojnę, w której syn ma walczyć przeciw ojcu, błogosławić się nie godzi. Modlić się będę, aby Bóg odwrócił rozlew krwi, zesłał upamiętanie!

Dobek poruszony i przelękły już się miał ku progowi, pokłoniwszy się zdala, Zbigniew też odchodził, gdy Magnus przystąpił do ręki biskupa i szepnął:

— Ja na wojnę nie ciągnę. Wasza przewielebność zechcecie mi pomóc do przejednania króla. Jakoście nam mówili słowa prawdy, rzeknijcie je panu naszemu, aby tyranji Sieciechowej koniec położył. Inaczej padnie w gruzy królestwo i rozsypie się.

Biskup nie odpowiedział nic, pochylił się już nad księgą i modlić zaczął.

VII.

Była naówczas Kruszwica biskupią stolicą i miastem równego znaczenia z Gnieznem i Poznaniem; należała do najzamożniejszych u Polan grodów. Szedł tędy handel ożywiony, mieszczaństwo było zamożne, ludność się pomnażała.

Nad jeziorem stał zamek warowny, na tem miejscu, kędy niegdyś Popielów wznosiła się wieżyca... Resztki tego dominjum sterczały nad nim, czasu ciężkiego oblężenia, gdyby gród miał być opanowanym, stanowiąc ostatni przytułek.

Tu Zbigniew u miasta i Gopła stał obozem ze swym zebranym z różnych stron żołnierzem.

Nie było podówczas na zamku królewskiej załogi i to go ubiec dozwoliło, gdy z kilku pułkami królewicz przyciągnął pod Kruszwicę.

Z samego wejrzenia na obozowisko poznać łatwo było można, z czego się siły składały Zbigniewowe. Osobno stały dwa oddziały pogan pomorskich ze sta-

nicami swemi. Z tymi chrześcijanie kumać się ani chcieli, ani mogli.

Pomorska owa dzicz łupieżna służyła już nieraz cesarzom i każdemu, kto jej chciał zażyć, byle rabunek miała bezkarny. Na zawołanie Zbigniewa poszła chętnie z kneziem swym Przemkiem, który bez wojny żyć nie mógł, a z Polanami był w wiekuistej walce. Na uboczu się trzymali Pomorcy, gdyż się z nimi nikt drużyć nie chciał, a oni też o tem nie myśleli.

Dwa pułki posiłków czeskich stały także osobno, z tymi ani Pomorcy, ani Polanie w zgodzie nie byli i u wodopoju nawet, gdy się czeladzie spotkały, łajały się i do oszczepów porywały, wymyślając sobie wzajemnie.

Czechów potajemnie wysłał Brzetysław, choć się zwało, że z ochoty przyszli sami.

Dwa pułki dostarczyli też nieprzyjaciele Sieciecha, żądając go obalić bardziej, niż Zbigniewa ratować.

Ostatni siódmy oddział składał się przeważnie z samych zbiegów, których Sieciech wygnał z kraju prześladowaniem, a ci najzajadlejsi byli.

Ze wszystkich ziem znajdowało się ich tu potrosze: Krakowian, Ślązaków, Mazurów, Poznańczyków. Rycerze byli najlepsi, gdyż między nimi zamożnych ziemian lik się znajdował największy.

Wysłane szpiegi donosiły, iż król też wojsko miał liczne i doborne, a choć sam chory na czele pułków iść miał na Wrocław i na Zbigniewa.

W Płocku jednak podobno jeszcze niedobrze wiedziano, gdzie królewicza szukać, a szło bardziej o odzyskanie Śląska, niż o Zbigniewa.

Władysław miał więc iść wprost na Magnusa naprzód, aby go przywieść do posłuszeństwa.

Nic pewnego nie było ani gdzie, ani kiedy, ni z kim do czynienia mieć mogli Zbigniewowi, każdy wysłany na zwiady, inaczej liczył, co innego rozpowiadał. Jedni wojska króla czynili ogromem bez miary, drudzy słabem i nielicznem; więcej o nim baśni przynoszono, niż wieści.

Dobek, który do rady stał przy Zbigniewie, acz ten nie zawsze sobie doradzać dawał, ledwie wymógł na nim, aby na zamku się nie rozsiadał z swym dworem, lecz przy obozie w namiotach się położył, rycerza udając, choć jawnem było, że nań nie został stworzony.

Królewiczowi chciało się z drużyną wygodny zamek zajmować, bo lubił się pysznić, panującego udawać i zażywać dobrej myśli.

Dopiero, gdy mu zagrożono, że znienacka przyszedłszy, nieprzyjaciel łacniej go weźmie, z niewielką drużyną odłączonego, zgodził się pod namioty pójść ze swoimi.

Tu, gędźbą, śpiewami, hukaniem i jasnemi sukniami a dworem więcej się zajmował, niżeli wojskiem i wojną. Śmiechów było pełno i przechwałek, bo siedem pułków owych zdawało się niezwyciężonemi.

Jesień już nadchodziła, noce były chłodne, ranki z przymrozkami; pod płótnem choć ognie palono blisko, zaczynało być niebardzo zaciszno. Wicher podrywał ściany, wdzierał się do wnętrza i nocami potrząsał namiotami, jakby je wywracać próbował.

Dwór królewicza znacznie był urósł bez potrzeby, dla wystawy tylko. Kręciło się około niego dużo pustej młodzieży, a wieści chodziły, że pod męskiemi sukniami i biała płeć do usług była używana. Królewicz niebardzo rad ze starszymi obcował, lubił błaznów, pochlebców, śmiechy i ludzi, co od niego wszystko znosić byli gotowi.

Obóz był gwarny, bezładny, do którego się niebardzo ludzie śmieli zbliżać. Na pagórku nad jeziorem, między kilku staremi drzewami — rozpięty był namiot pański z wiechą na wierzchołku, a przy nim na wysokiej tyce zatknięta, powiewała chorągiew czerwona bez żadnego znaku. Obok niego pomniejsze dla Dobka z Morawicy, Marka i starszyzny stały nieopodal osobną gromadą.

Dalej drużyna miała porozpinane na kołach płótna, które się też namiotami nazywały. Dla oddziałów więcej było szałasów i bud z chróstu niżeli namiotów, ale

zato dołów w ziemi pokopanych coniemiara i ognisk wiele, nad któremi kociołki się grzały, a tuż dla koni rzędami stały żłoby, pochwytane z miasta i jako tako na kołach poumocowywane.

Ani około Zbigniewa, ni u Czechów i Pomorców porządku nie było; królewicz się we wszystkiem na drugich zdawał, sam niewiele czyniąc. Lubił tylko czasami ze dworem i trębaczami wyjechać i przeciągnąć, aby mu się ciury kłaniały.

Około polskiego obozu, który był najbliżej królewicza, włóczyło się dużo ludu różnego niepotrzebnego; gęślarzów, dziadów, bab, dzieci, błaznów i wszelkiego tałałajstwa.

Królewicz potrzebował, aby go zabawiano i kłaniano mu się; bawiono go więc różnie, sprowadzano mu od warjatów począwszy, do chłopców, co kozły przewracały. Baby mu wróżyły, śpiewacy różni często sprośne pieśni wyśpiewywali, kobzy, gęśle i liry brzęczały przez cały dzień i nocy kawałek.

Zato o czatach mało kto myślał, chyba Pomorcy, co w cudzej ziemi nie czując się, na ostrożności też mieć się musieli.

Wojsko nie było bardzo postawne, ani piękne, bo na lik więcej zważano, niż na dobór ludzi. Odziewał się każdy, jak miał i jak chciał, ten w opończy, tamten w kożuszynę, inny w kaftan stary, a zbroi mało gdzie widać było, tylko około księcia żelaznych ludzi zwijało się trochę. Broń też nie była osobliwą, toporów więcej, niż miecza, dostatek pałek nabijanych i oszczepów z ladajakiem żelazcem lub osmolonych tylko. Konie mizerne, mało co więcej miały nad paszę pod nogami.

Leżąc tak obozem, to Pomorcy, to Czechy rankami nocami wyrywali się na bliższe osady dla pożywienia, a co złupili, tem żyli.

Brali i młodzież, wiążąc ją jak jeńców; trudno im było co mówić, musieli mieć zdobycz jakąś. Gdyby się srożono — precz mogli pójść, a byli potrzebni.

W okolicy też, kto mógł w lasy się wynosił daleko,

i całe osady zasiekiwały się ze stadami na uroczyskach po puszczach.

Królewicz na nic nie zważał, byle mu samemu dobrze było. Dobek, pilno go mający na oku, mógł się teraz bardziej jeszcze przekonać, iż pociechy z niego nie będą mieli. Trzymali go jak chorągiew w ręku przeciw Sieciechowi. Ani do konia, ani do gonitwy, ani do rycerskich zapasów było go napędzić, choć Dobek, starsi, a nawet Marko go wyciągał.

Sobiejucha szedł najczęściej z tem, aby go z namiotu dobył, lecz siadał pić i słuchać, jak bajdurzono, i do nocy pozostawał.

Całe tak dnie w próżnicy ubywały. Zahoń i kilku ulubieńców zbierali śpiewaków, którzy najwięcej swawolnych umieli pieśni gęślarzy, gawiedzi wszelakiej i sami im dopomagając, bawili królewicza, który na stołku skórą pokrytym siedząc, nogi pozakładawszy, śmiał się, aż się za boki trzymał, szydził, młodzież do psich figlów pobudzał i o wszystkiem zresztą zapominał.

Dobek chodził struty, ale go wyciągnąć, ani przemienić nie mógł. Zagadał go Zbigniew, zahuczał i z niczem odprawił, a swoje robił.

Stały beczki z piwem i miodem dokoła pańskiego namiotu, kto ze starszych przyszedł, i Czesi i Pomorcy, nawet, — pił, jadł, siedział i razem się zabawiał. Wychodził potem, spluwając i mrucząc.

Gdy o wojnie mówić przychodziło, Zbigniew ziewał. Spojrzawszy z pagórka na swe obozowisko, że dużo miejsca nad jeziorem zajmowało, zdało mu się, iż świat niem zawojuje.

Marko mu pomagał gębą wyszczekaną.

— Niechno się królewscy pokażą — mówili — dopiero im cięgi damy! Nie ujdzie ich stąd noga. Potopimy w jeziorze, reszta w łyka.

Odgrażali się nawet, gdyby królewscy rychło się nie stawili, że na nich gotowi iść, szukać, a choćby na sam Płock uderzyć.

Tymczasem stali, ryby łowili w jeziorze i u kruszwickich mieszczan nieproszeni gościli po chatach.

Zbigniew, który mnichów i kleryków w czasie pobytu w klasztorze znienawidził, teraz na oczy dopuścić ich nie chciał. Do biskupa nawet nie szedł, a do kościoła trudno go było namówić.

Dobek i Marko chodzili do miasta, bywali na mszy, on choć się tego nie zarzekał, z dnia na dzień odkładał; ledwie się z rana przeżegnał, lub, gdy czarów się uląkł jakich, to je krzyżem odganiał.

Tak upływały tygodnie na próżnem leżeniu, nikt spełna nie wiedział, co dalej poczynać miano.

— Gdy zima nadejdzie — mruczał Zbigniew — gród się obwaruje, załogą osadzi.

Z Kruszwicy sobie tymczasową chciał zrobić stolicę.

Komu jak komu, ale Markowi, który się wojewodą nazywać kazał, wcale z tem dobrze było. Inaczej też wyglądał teraz, bo i pachołka onego oberwanego odział, i konie (na paszy ich nachwytawszy) zbierał, mieniał, karmił, zbroi dobrej dostał, niewiadomo jakim sposobem, we wszelaką broń się zapatrzył, i w oczach go przybywało.

Pomorcy, którzy srodzy zawsze byli łupiezcy a handlarze, oprócz tego, co z domu dla wyprawy potrzebnego zabrali, nawieźli i po drodze nagrabili dużo różnego sprzętu, który mieniali i sprzedawali. Targowicę trzymali na obozowisku. Marko się u nich w wiele rzeczy zaopatrywał.

Tak mu tu dobrze było, iż sam przed sobą i innymi kłamał, przekonywając, iż trwać to może bodaj wiek wieków, bo się na nich nikt napaść nie waży.

— Wiedzą ludzie, że kły mamy! — mawiał. — Nie będą śmieli!!

Tymczasem stać obozem w siedm takich oddziałów, wśród kraju spustoszonego, coraz trudniej było. Pomorcy codzień dalej puszczać się musieli za łupieżą, i nieraz wracali z próżnemi rękoma. Czechy głodem potrosze mrąc, odgrażali się, że gdy mróz przyciśnie,

precz pójdą; Polacy nie wiedzieli, co poczną, końca nie widać było.

Gdy Dobek, rozsłuchawszy się po obozie, przyszedł dać znać o tem Zbigniewowi, zaledwie go chciał słuchać. Ruszył ramionami.

— Czarno się wam widzi — rzekł. — Co ja na to poradzę?

— Albo się godzić, albo się bić trzeba, albo nas tu głodna śmierć wybije — mówił Dobek.

Królewicz, który się właśnie patrzał na dwu chłopów, pasujących się przed namiotem, z których jeden drugiego obalił i siadł na nim — począł się śmiać mocno. Na tem się rozmowa skończyła.

Drugim razem sam na sam z Dobkiem usiłował go przemądrzeć, przekonać, iż ojciec mu wojny nie wyda i sam o pokój go prosić musi. Mówił tak zręcznie, przekonywająco, napastliwie, że Dobka narazie uspokoił. Sam jednak pono nie wierzył w to, czem go durzył.

Posłano na zwiady ku Wrocławowi; Marko o tem doniósł królewiczowi, bo się to stało bez jego wiadomości.

— A no, dobrze! — odezwał się.

Sobiejucha widząc, że się to podobało, pochwalił się tem, jako swem dziełem.

Czekano kilka dni na powrót Czecha, który się wprędce z językiem przyobiecał; nie było go jakoś długo. Jednego dnia ujrzano go nareszcie.

Człek przebiegły, roztropny, smutny jakoś, przywlókł się pod namiot królewicza.

— Cóżeś to przyniósł? — zapytał Zbigniew.

— Co Bóg dał — odparł Czech — król we Wrocławiu.

— Oblegał go, wziął? — zaczęto pytać wkoło.

— Gdzie zaś — mówił posłany. — Dali o królu znać, że nadciąga — wyjechał naprzeciw biskup Żyrosław, miłosierdzia prosząc dla miasta swojego; za nim wyszedł Magnus, pana przyjmując.

— A Sieciech? — pytano.

— Narazie go tam nie było, tylko ludzie z jego ramienia. Nie okazywał się.

— Cóż król?

— Przyjechał niezdrów i na zamku legł odpoczywać — mówił poseł.

— Uwięziono, czy ścinano? — pytali jeszcze.

Czech o niczem podobnem nie słyszał.

Zbigniew, odwróciwszy się, pytać już nawet więcej nie myślał.

Dobek Czecha z sobą do namiotu poprowadził i tu dopiero, nacisnąwszy go lepiej, o wszystko się dopytał.

Czech nie taił swej trwogi. Wojsko Siecicchowe było silne, dobrze zbrojne i do wojny zaprawione. Liczbę mieli większą pewnie, niż wszystkie siedem pułków królewicza, poddanie się Ślązaków i Wrocławia wbiło ich w pychę — walka zapowiadała się ciężka.

Gdy nazajutrz zwierzył się z tem Sobiejuchowi, ten go wyśmiał jak tchórza.

— To Czechy, miłościwy panie — rzekł. — Jać ich nawylot znam, jam z nimi wojował, to są ludzie małego serca, zające; im się wszystko w oczach dwoi. Wojsko królewskie odziane dobrze, co z tego? Żołnierz dobrego kożuszka więcej, niż skóry swej żałuje. Nasz, co ma łachman podarty, rzuci się na zdobycz. Niechno my się do nich weźmiemy, dopiero zobaczymy, kto lepszy.

Powrót posłańca, który na zwiady chodził, poruszył trochę obóz do czynności, ale nie na długo.

Patrzano na królewicza, ten trybu życia nie zmieniał; uspokoili się drudzy, widząc go spokojnym. Dobek tylko chodził posępniejszy coraz.

Zbigniewa do konia i do zbroi napędzić nie było sposobu. Gdy mu rycerską sprawę jako naukę wystawiano, śmiał się.

— Wy sobie z tego wielką mądrość czynicie, — powtarzał — co żadną nie jest. Bić się uczyć nie trzeba, bydlę nawet to umie, każdy się z tem rodzi, że tłuc potrafi.

Jednego wieczora, gdy w namiocie Zbigniewa je-

szcze się świeciło i młodzież z panem się zabawiała, nadbiegło dwu Czechów z oznajmieniem, że królewscy już Brześć pominęli, trzema wielkiemi oddziałami sunąc wprost na Kruszwicę. Za dzień, za dwa można się ich było spodziewać.

Popłoch się stał wielki. Marko wojewoda, który dotąd sobie lekceważył wszystko i miał za bajki co przynoszono, nagle niepokoić się zaczął bardzo.

Królewicz pozostał niewzruszony.

— Dziś czy jutro bić się będzie potrzeba — rzekł. — Wszystko mi jedno, im prędzej, tem lepiej!

Przywołano Sobiejuchę, bo w nim jednym książę miał wiarę i upodobanie.

— A wy co mówicie? — zapytał.

— Czechowie przynieśli, że królewscy nadciągają — odezwał się Marko. — Jeżeli to prawda, niech ciągną, na zgubę swą tu przyjdą. Gdy się zbliżą, miłość wasza każe wojsku z rana beczki wytoczyć i piwa dać obficie. Niech im się w głowach zawieruszy, żołnierz na czczo nic niewart. Dopiero się bić będą aż strach. Wybijemy do nogi!

Królewicz radę znajdował bardzo rozumną, po ramieniu go klepnął.

— Spodziewacie się zwycięstwa? — zapytał.

— Nie spodziewam się, ale jestem pewny — odparł Marko, zmuszając się do uśmiechu — byle nam Pomorcy i Czechy dotrzymywały kroku. Z hukiem, wrzaskiem, jak wicher wpadniemy na nich, muszą pierzchnąć.

Zbigniewowi dość tego było.

— A, gdybyśmy króla ojca do niewoli wzięli — odezwał się. — Co z nim czynić będziemy?

— Wasza miłość na zamku go tym osadzicie przystojnie, żeby mu na niczem nie zbywało, niech siedzi i dożywa wieku, do rządu się nie zdał. Przy kościele mu będzie najlepiej, a wy nam będziecie panowali.

— A z Sieciechem co zrobiemy? — pytał rozochocony pan.

— Tego zetniemy, bo żywić się tak szkodliwego

stworzenia nie godzi — mówił śmiało Marko. — Ja waszej miłości prosić będę o łup po nim, żeby do mnie należał.

— Daję ci go — odparł Zbigniew.

Sobiejucha się pokłonił.

Może i brat młodszy popadnie się nam w ręce, z tym co? — mówił królewicz.

Milcząc, Marko ręce obie do oczów przyłożył, na źrenice ukazując.

Tak się naówczas wyjęciem oczów pozbywano tych, którym życia odebrać nie chcąc, czyniono ich niezdatnymi do niczego.

Było to tak naturalnem, że Zbigniew milcząco głową potwierdził wniosek, wcale mu się nie sprzeciwiając. Łaską było, gdy się życie zostawiało.

— I królestwo zabiorę całe — dodał Zbigniew. — W Płocku osadzę Dobka, was uczynię palatynem na miejscu Sieciecha, sam w Krakowie na Wawelu będę mieszkał, bo Kraków lubię.

— Weselszy jest i ładniejszy od Płocka — odezwał się Marko.

— I niewiasty piękniejsze ma — szepnął Zahoń.

Wszyscy się roześmiali, niektórzy poklaskując w dłonie, aż się po namiocie rozlegało i za namiotem dobrą myśl słychać było.

Nazajutrz w polskim obozie przygotowań żadnych widać nie było. Pomorcy zaczęli się ruszać i niewiele swych namiotów zwijać zawczasu, worki a węzły, których mieli dużo, ściągali do kupy, koniom kopyta opatrywali. Czechy też mieczyki ostrzyli i zbroje przymierzali. Oni jedni, nikogo już nie pytając, posłali swoich na zwiady, przykazując im, ażeby nie wracali, aż wojsko królewskie będzie najmniej o dzień drogi od Kruszwicy.

Puścili się wysłani; tymczasem już tego dnia zgorzeliznę mocno czuć było w powietrzu, dymy się podnosiły i opadały nad lasami. Nie było wątpliwości, że się królewscy przybliżać musieli.

Marko sakwy swoje kazał na konie przymierzać,

wdział na się, co miał najlepszego i miodem w sobie ochotę, a męstwo pobudzając, chodził i wykrzykiwał, toporek podnosząc do góry.

— Damyż my im cięgi, damy!

Nie tak wesołej myśli był Dobek! siedział w swoim namiocie, na rękach podparty i stękał, a przeklinał.

Zmierzchało się już, gdy u wchodu do namiotu spostrzegł cień, który w nim stanął. Wpatrzył się w przechodzącego, ale mrok padał, poznać nie mógł, kto był. Dopiero, gdy się gość zbliżył, stanąwszy tak, iż mu światło na twarz uderzyło od wnijścia, poznał kapelana biskupiego, którego codzień prawie około obozu widywał.

Niemłody człek, w grubą sutannę odziany, z kijem w ręku, w czapce z futrem, pozdrowił go pocichu. Dobek, jak gościowi i duchownemu, pierwsze miejsce dał w namiocie.

— Cóżeście to ojcze — rzekł — tak późno do nas przyszli w gości?

Obejrzał się duchowny.

— W gości, albo i nie — odpowiedział. — Zawsze z dobrą wolą, z dobrem słowem.

— A! dobrego nam trzeba, bo złego mieliśmy i mamy poddostatkiem — odezwał się Dobek. — Mówcie, ojcze kochany.

— Król się z wojskiem zbliża — rzekł ksiądz pocichu.

— My to wiemy — westchnął gospodarz.

— I syn przeciwko ojcu bić się będzie? — spytał ksiądz.

— Gdy ojciec nań nastaje — bronić się musi.

— Sądzicież, że się obronicie? — zapytał kapelan.

— Jeden Bóg wie — rzekł Dobek.

— Królowi ani na ludziach, ani na wodzach nie zbywa! Podołacież mu? — mówił duchowny.

Westchnął Dobek.

— Cóż czynić mamy?

— Czemużby nie słać do króla z pokorą i nie próbować przejednania? — pytał kapelan.

— Bo nam go nie dadzą.

— Jakże o tem wiecie? — począł duchowny. — Miłoż to królowi, panu naszemu, z własną krwią wojować? pogany widzieć, prowadzone przeciw sobie?

Podumał Dobek i spojrzał księdzu w oczy.

— Czy wy to z siebie mówicie? — spytał.

Spuścił wzrok ksiądz.

— Ojcze nasz, pasterz, radby zgodę uczynić — rzekł. Przyjdzie-li do boju — miastu naszemu grozi niebezpieczeństwo. Idźcie do królewicza, pomówcie z nim, czego chce. Jeśli możliwa rzecz, ojciec nasz przewielebny pośredniczyć będzie.

Zostawiwszy księdza pod namiotami, poszedł Dobek, choć nie z wielką nadzieją skutku, do Zbigniewa.

Znalazł go, jak z Markiem o tych krajach rozmawiał, w których piasek napół jest ze złotem.

Na pierwsze słowo o zgodzie, jakby go co żgnęło, podskoczył królewicz.

— Ho! ho! — krzyknął. — A znać, że się nas boją, żeśmy dla nich za silni, gdy takich sztuk zażywają. A no niech i tak będzie; jam nie od tego. Ojciec mnie synem pierworodnym niech uzna, pół królestwa mi da i zwierzchnią władzę, Sieciechowi łeb każe uciąć lub oczy wyłupić, zapłaci moich sprzymierzeńców! Mniej nie mogę chcieć, ani przyjąć!

— Nie nam przystało prosić i kłaniać się, — zawołał Marko — ale królowi Władysławowi, który syna swojego pierworodnego pokrzywdził!

Zaczęto wywoływać srodze, odgrażać się straszliwie. Beczki tego dnia stały gęsto pootwierane, wszyscy byli podochoceni, w głowach mocno szumiało. Nie było co mówić z nimi; Dobek się wyśliznął i księdza z niczem odprawił.

Siebiejucha dowodził, że niedarmo tak do nich o zgodę słano.

— Czują oni, żeśmy silniejsi, więc, sromu unikając, zabiegają i proszą się.

Odgrażała się młodzież, radowali się starzy, rwało

się wszystko do oręża, Zbigniew widział się już królem i zwycięzcą.

Mrok padał gęsty, a wesołość największa panowała w namiotach książęcych na pagórku, gdy Zahoń wpadł trochę nieswój i jakby przepłoszony.

Niechno miłość wasza wyjść raczy i popatrzeć — zawołał — bodaj czy nie królewscy to już obozują na skraju lasu. Toć jutro chyba przyjdzie do rozprawy.

Nietylko królewicz, ale wszystko, co żyło, z pod namiotów się wyrwało.

Noc już była prawie, a że księżyca na niebie nie stało i gwiazdy okryły obłoki, ciemność wielka zalegała dokoła. W tej stronie, od której puszcze stały, jak zajrzeć okiem rzędami ognie się jakieś paliły. Było ich tyle i tak gęstych, że gorzały prawie, jak niezmierne, jedno wielkie ognisko.

Nie mogło to być nic innego, tylko obóz królewski, który puszcza wyrzuciła z siebie, nagle zatoczył się przed nimi znienacka ognistym wałem i groźbą.

Nadbiegły w tejże chwili i czeskie szpiegi wystraszone, zwiastując, że ćma okrutna ludu ciągnęła na Kruszwicę, że jakby z ziemi wyrastały oddziały coraz nowe, bo dopiero pod lasem tyle się ich razem zebrało.

Marko, który dotąd rad się przechwalał i odgrażał, głową trząsł i, trzymając się pod boki, wąsy zagryzał.

Zbigniew, jako niedoświadczony wojak, nic w tem niebezpiecznego nie widział, gdy drudzy z liczby rozłożonych ognisk wnosili o sile królewskiego wojska.

Królewicz powtórzył tylko słyszane nieraz z ust Marka słowa.

— Jutro ich w puch rozbijemy!

Ani Dobek, ani nawet Sobiejucha nie potwierdzili już tej zuchwałej wróżby.

W obozie Czechów i Pomorców powstał ruch wielki, kupy się zbierały, Przemko na koniu oklep przebiegł, ukazując rozpalone ogniska. Najmężniejszy z nich wszystkich nie był bez trwogi.

— Jeżeli umyślnie dla postrachu pozapalali ognie,

ciężka będzie przeprawa — rzekł. — Jak na brzask pewnie nas napadną, stać trzeba wpogotowiu.

Marko, do którego się Zbigniew zwrócił, innej rady nie miał, tylko po staremu, aby ludzi nakarmić i napoić dosyta. Gdzie kto miał stanąć, jak poczynać, nie naradzano się nawet.

Dobek nie położył się spać, drudzy też ze starszyzny jęli objeżdżać pułki, ludzi przygotowując przez noc całą.

Napatrzywszy się na ogniska, Zbigniew spokojnie do namiotu powrócił i spać się układł, kazawszy rozbudzić o świcie.

Noc była czarna ale cicha, chmury zawisłe na niebie nie zdawały się nawet poruszać, odbijały się na nich bladoczerwone łuny, a dym, przyciśnięty do ziemi, rozchodził się i rozkładał aż ku jezioru. Wśród groźnej ciszy to psy zaszczekały, zawyły, odpowiadając sobie zdala, to konie zarżały, to jakiś gwar dziwny, niby szmer tysiąca głosów cichych przesunął się w powietrzu i skonał na wodach jeziora.

W kościele na tumie na jutrznię zadzwoniono, gdy świtać zaczęło; zdala usłyszano tętent powolny, który się zdawał przybliżać nieznacznie.

Zahoń zbudził królewicza, bo czas było wdziewać zbroję...

Ołowiane światło dnia jesiennego, przedzierało się przez szare obłoki.

VIII.

Jakby na głos tego dzwonka, co się ozwał z kruszwickiego kościoła, czekano w królewskim obozie, — wnet około namiotów ruch się rozpoczął znaczniejszy.

Stały namioty pańskie pod samym lasem u starych dębów, które już znaczniejszą część żółtych liści straciły. Było ich rozbitych kilka wielkich i ozdobnych dla Władysława, który wygody potrzebował, bo chory wyruszył z Płocka na rozkaz Sieciecha, dla królewi-

cza Bolka i Wojsława, — dworu, kapelanów i starszyzny.

Z wieczora już zapowiedział król Władysław, że nazajutrz nie pocznie nic, dopóki się nie pomodli i mszy świętej nie wysłucha, a błogosławieństwa Bożego nie otrzyma.

Sieciecha widać nie było na czele, nie mianowano go, ażeby dowodził; z ręki jego szli inni, on sam, prawie się kryjąc, stał na uboczu, nie chcąc, aby o nim wiedziano.

Na oko dowództwo było przy młodym Skarbimierzu, który się w szkole Sieciechowej wyćwiczył.

Na pułki królewskie dosyć spojrzeć było, by poznać, że z niemi sprawa nie pójdzie łatwo. Żołnierz odziany, zbrojny należycie, nakarmiony, nawykły iść na skinienie, poruszał się wszystek, jako jeden człek, w cichości i posłuszeństwie. Na zbroi i żelazie nie zbywało rychlej za dużo go było, niż za mało, bo ci zwłaszcza, co z końmi szli, blach mieli poczepianych na kaftanach do zbytku; tarczy, toporków, dzid, nagolenników i hełmów żelaznych było pełno.

Ranek był cichy, z góry nie padało nic, msza święta pod dębem odprawiać się miała. Przysposabiano już do niej wszystko, ołtarz przykrywano, aby, gdy król się ukaże, o. Lambert, już ubrany mógł zaraz stanąć u ołtarza.

Od samego Wrocławia przez drogę całą król był wielce milczący i smutny; napróżno się starano natchnąć go otuchą lepszą. Modlił się, przeczucia miał złe i płakał; wstyd mu było iść na własne dziecko. Do ostatniej chwili czekał, azali się ono nie upokorzy i o łaskę prosić nie będzie.

Przybyli potajemnie z Kruszwicy od biskupa posłani i nic nie przywieźli.

Sieciech, który niepostrzeżony pilnował króla, możeby też był nie dopuścił do zgody, pewnym będąc przewagi i zwycięstwa.

Gdy król już się odziewać miał i kożuch mu podawano, wszedł do namiotu wojewoda, ubrany jak prosty

człek, szarą na zbroję opończę zarzuciwszy, — aby pana uspokoił.

Drżący modlił się ciągle Władysław. Spojrzeli na siebie. Sieciech miał postać zwycięzcy.

— Niech się miłość wasza — rzekł z uśmiechem — o bitwę tę nie troszczy. Nigdyśmy, dzięki Bogu, nie szli na nieprzyjaciela pewniejsi zwycięstwa. W obozie ich panuje nieład i niedostatek. Ludzie zbierani z różnych kątów, wodza brak. Jeżeli dostoją pierwszej napaści — rzeź sprawimy okrutną.

Król strwożony ręce zacisnął.

— A! zabijać go nie każcie — rzekł pocichu — nie godzi się, aby od moich ginął. Ojcem jestem.

Wojewoda nic nie odpowiedział, tylko mu się twarz pomarszczyła i ściągnęła.

Dniało. Król, zobaczywszy przez namiot zprzodu odsłoniony, że o. Lambert ze mszą wychodzić był gotów, prędko się ku ołtarzowi poruszył.

Do starego dębu niesiono za nim wezgłowie, na którem pokląkł. Z odkrytemi głowy stało rycerstwo dokoła, stał i Bolko, cały już żelazem okryty, więcej oczyma biegając ku Kruszwicy i nieprzyjaciół obozowi, niżeli pilnując modlitwy.

Msza upłynęła wśród uroczystego milczenia; jak kłosy od wiatru, pochylały się i podnosiły głowy, klękali i powstawali pobożni, po mszy zanucono hymn do Bogarodzicy, cicho zrazu, lecz zaledwie odezwał się od ołtarza, połączyły się głosy coraz większej liczby i uroczysta pieśń rozległa się po całym obozie:

„O gospodzie uwielbiona"!

Mogli go stąd posłyszeć stojący naprzeciw Polacy i zrozumieć, że tą modlitwą przysposabiano się do walki.

Król nie powstał i nie ruszył się do ostatniego słowa pieśni, do pośledniego Amen, które silniej jeszcze, niż śpiew, zagrzmiało echem wielkiem po szeregach, kilkakroć powtarzane.

Niebo ciągle chmurne było, dzień wilgotny, choć bezdżdżysty, w powietrzu panowała cisza. Niekiedy

tylko ponad skrajem lasu przeleciał wiatr nie wiedzieć skąd, liśćmi poruszył suchemi, podniósł je w górę i rzucił nieopodal drżące na ziemię.

Rozjaśniło się zupełnie. Pancernicy koni dosiadali i szykowali się tak, by wielkiem kołem objąć obóz Zbigniewa i sam gród kruszwicki.

Skarbimierz przez szpiegi swe wiedział, kędy stały Pomorce, gdzie byli Czechy, gdzie zbiegowie polscy, Zbigniewa zaś wśród walki, która się gotowała, łatwo się znaleźć spodziewano, wiedząc, jaką się drużyną i hałasem otaczał.

Podano królowi konia okrytego, ale mu Sieciech nie dopuścił inaczej jechać, jak za pułkami, otoczonemi strażą, dobrze zbrojną i najmężniejszą.

Siadać już mieli, gdy król, stojący w gotowości, a zdający się wahać jeszcze, skinął na syna, który się na konia spinał i z nim razem wszedł do namiotu. Prawie niechętnie Bolko cugle musiał porzucić i iść do ojca.

Władysław stał w pustym namiocie, który już pachołkowie, opróżniwszy, ściągać mieli, gdy Bolko, z młodzieńczym ogniem w oku, rad ze swojego rycerskiego rynsztunku, brzęczącego na nim, wszedł do namiotu.

Król obie ręce na ramionach jego położywszy, stał bezmównym długo.

— Dziecko moje — odezwał się pocichu — niech ci się serce nie rwie do boju. Straszna ta walka będzie opłakana łzami mojemi. Wolałbym, byś nie szedł na nią.

Królewicz zadrżał cały, aż zadźwięczały na nim żelaza, i ojcu się do kolan pochylił.

— Miłościwy ojcze! Nie żądajcież wy tego po mnie — nie żądajcie, nie strzymam się!

Wskazał ręką na wojsko, szykujące się do ruszenia, na pułki, które już wesoło wyciągały w pole.

— Moje miejsce tam! tam! — zawołał.

— Nie! obok mnie, Bolku! Boję się o ciebie i nie chcę, abyś się potykał z tamtym. Bratem ci jest!

— Przeciwko ojcu idący wróg nie jest mi bratem! — zawołał Bolko. — Znać go nie chcę. Serce twoje zasmucił, stał się nieposłusznym!

Król, ręce wyciągnąwszy, znowu mu je położył na ramionach i zlekka ku sobie przycisnął.

— Bolku, dziecko moje — rzekł — jeśli chcesz iść bić się koniecznie, rycerskie słowo mi daj, że jego będziesz unikał.

Bolko zamilkł trochę.

— Nie znam go! — rzekł.

— Poznasz, pokażą ci go ludzie — odparł król. — Ocal go raczej, nie walcz z nim, nie podnoś nań ręki, dla miłości mej.

Widząc łzy w oczach ojca stojące, Bolko zamilkł i rękę jego pocałował. Nie mówił więcej, za namiotem odzywały się rogi i ziemia tętniała.

W milczeniu, wziąwszy błogosławieństwo ojcowskie, Bolko skoczył na gniadego konia, do którego był nawykły.

Kilkunastu z drużyny, młodych i jak on zapalonych do boju, zbrojnych od stóp do głów — towarzyszyło mu nieodstępnie.

Ani Wojsław, ani żadna siła w świecie powstrzymaćby już ich i jego nie mogła, gdy okrzyk bojowy dał się słyszeć. Strzec go już tylko było potrzeba a odcinać, bo zapamiętały biegł, za siebie nie patrząc, choćby się sam jeden miał pozostać.

Wedle rozkazu Skarbimierza powolnym krokiem posuwały się pułki, opasując szerokiem kołem obóz Zbigniewa i miasto. W przeciwnem wojsku widać było pośpiech wielki i zamieszanie, pułki się dopiero ściągały i szykowały na stanowiskach. Rogi odzywały się, nawołując rozpierzchłych, którzy jeszcze konie poili i od jeziora się ściągali opieszale.

Sam widok wojsk królewskich mógł ustraszyć przeciwników, tak groźnym zastępem sunęli się jako mur, gęsto zbity, najeżony dzidami i milczący...

Na staję przybliżywszy się, królewscy jakby przystanęli; każdy za oręż brał, łuk naciągał, tarczę moco-

wał, oszczep zwieszony podnosił, aby mu go przy uderzeniu nie brakło. Z drugiej strony miotano się w nieładzie, jakby nie wiedząc, co poczynać.

Już z miejsca, na którem stali królewscy widać było, gdzie Zbigniewa i starszyzny szukać. Wiewał tam proporzec na długiej żerdzi, a na piersiach ludzi pobłyskiwało żelazo, którego gdzie indziej mało było.

Rozkazał Skarbimierz naprzód całą siłą rzucić się na dowodzących, aby nieprzyjacielowi odciąć głowę. Zatrąbiono w rogi i ów mur, który się posuwał tak zwolna, teraz, jakby nim wicher i burza rzuciła, padł wprost pędem wielkim na polskie pułki, otaczające Zbigniewa.

Tu stał najdzielniejszy żołnierz, bo zbiegowie pamiętali, że głów własnych bronić muszą, a Sieciech im, gdyby się w jego ręce dostali, nie daruje życia.

Bolko, jak tylko rogi posłyszał i ruch poczuł około siebie, już go nic powstrzymać nie mogło. Niósł się, jak jastrząb na stado spłoszone, młodzież wiodąc za sobą, gotów swoich własnych bić, gdyby mu śmieli zapierać drogę.

W jednej chwili zmieszało się wszystko, oba wojska zbiły się w jeden kłąb drgający, w jedno ciało miotające się, jak smok ogromny, prąc się wzajem, siekąc, rąbiąc i koląc.

Na prawo Pomorcy, ledwie dostawszy kroku, że tyłu zajętego nie mieli, z wrzaskiem pierzchać zaczęli tłumnie. Ci, co naprzeciw nich stali, puścili się w pogoń za nimi.

Czechy rzucili się przeciw królewskim, mężnie, a rozpaczliwie bijąc się i tu bój zawziął się srogi.

Dobek i Marko, którzy przy Zbigniewie stali, a ten nie wiedząc, co poczynać, blady na koniu siedząc, w miejscu się kręcił, zrozumieli łacno, że nie dotrzymają królewskim.

Chcieli cofnąć się więc ku miastu, bo tam za domami i ścianami obrona była łatwiejsza, a w razie ostatnim i ucieczka mniej niebezpieczna.

Lecz zaledwie się ku grodowi posunęli, gdy kró-

lewsey odcięli im do niego drogę, i na karki wsiadłszy, rozpoczęli zajadłą walkę.

Bolko był w pierwszym rzędzie, zapomniawszy na prośby ojcowskie i o całym świecie, bo, gdy w nim krew zawrzała młoda, ślepym i głuchym się stawał.

Kędy był teraz Marko, ów wojewoda, który tak się obiecywał do walki, nikt nie wiedział. Znikł nagle, a stało się to tak, iż powiedzieć nie umiał żaden, gdzie się podział, czy padł, czy go osaczono, ujęto, czy go ziemia pochłonęła. Dosyć, że go już nie było!

Z małą gromadką Zbigniew parł się ku miastu i zamkowi, blady, nieumiejący mieczem się bronić, zmuszony więcej ukrywać się za swą młodzież, niż na własną liczyć siłę.

Nagle naprzeciw niego stanął Bolko, który po chorągwi i otoczeniu, albo raczej przeczuciem jakiemś brata się w nim domyślał. Zbigniew, przyciśnięty przez niego, gdy inni mu w pomoc nie przybywali, pierwszy raz za oręż pochwycił ręką drżącą i zamierzał się na niego.

Oczyma starli się bracia — Bolkowi dłoń zadrżała! Gdyby był słuchał zapalczywości swojej — ubiłby go pewnie, mając przed sobą niezręcznego i strwożonego. Łzy ojcowskie stanęły mu na pamięci i pominąwszy go, z zajadłością rzucił się wbok, nie chcąc nawet patrzeć na Zbigniewa. Towarzysze porwali go między siebie i co żywiej z nim na wzgórze ku zamkowi pobiegli.

Pierwszy, co pod miecz Bolka się dostał, padł ubity, gdy wtem koń jego, pchnięty w bok oszczepem, na przednie upadł nogi, łbem na ziemię. Lecz Bolko już stał, a towarzysz wierny drugiego mu podał wierzchowca. Nim go dosiadł i obejrzał się, oddział, otaczający Zbigniewa, i część Polaków na gród się już wdarli.

Tyle tylko ujść ich zdołało od miecza wojsk królewskich, które zwycięsko boju dokonywały, osaczywszy wkoło resztę nieprzyjaciół, broniących się z wściekłością, bo jeńców brać nie chciano.

Bój wkrótce w rzeź się zamienił. Z jednej strony wojska Władysławowe, z drugiej jezioro; wybór śmierci od żelaza lub wody.

Ci, którzy z rozpaczy wpław się rzucili, mając na sobie kaftany ciężkie i żelazo, nie mogąc się utrzymać na wodzie, tonęli natychmiast prawie. Niektórzy dobywali się bezsilnie i, zaledwie ukazawszy głowy, szli znowu na dno. Do innych strzelano i dobijano kamieniami. Na falach widać było płynące ciała i potopione konie.

Dzikim rykiem i jękami rozlegała się okolica.

Jakaś część Czechów okrwawionych i garść ocalała zbiegów polskich po stosach trupów usiłowała się dostać do miasteczka, z którego ludność przerażona z krzykiem uciekała na pole, domy, dzieci, mienie zostawując na pastwę rozjuszonego żołnierstwa.

Wtem z rozkazu, czy z przypadku, podłożony czy zażegnięty przez nieostrożność ogień buchnął ze strzech słomianych, gęste kłęby dymu poczęły się podnosić w powietrze. Wicher, jakby hasła czekał, zerwał się nagle i poniósł iskry i płomień na sąsiednie domostwa.

Wkrótce cała osada drewniana była już jakby morzem płomieni, ponad trupów stosami, bo wojsko biło i mordowało kogo napadło, chucią krwi i zabójstwa miotane. Z pagórka gdzie niegdzie, jak po deszczu strumienie, toczyły się strugi krwawe. Ogień, miecz, woda dokonywały razem strasznego dzieła zniszczenia i śmierci.

Pod wieczór już straszliwe owe pobojowisko było jednem śmierci łożem. Jeńców nie brał nikt... Całe brzegi jeziora stały okryte trupami ludzi, ścierwem koni, nad któremi sterczały połamane oszczepy i pokruszone pociski. Czeladź obozowa już plondrowała, ściągając obnażone zwłoki ku wodzie, spychając je do Gopła. Jak zajrzeć było na zmąconych jeziora falach, bielały gęściej coraz unoszące się trupy.

Król stał na wzgórzu i oczy zakrywał, aby nie patrzeć na widok ten straszny i krwawy. Woń pobojowi-

ska odetchnąć mu nie dawała, a odejść nie mógł i oczów na długo od grozy tej oderwać. Szukał niemi syna.

Bolko, zostawszy ze swymi na pobojowisku, napróżno się oglądał, z kimby jeszcze mógł walczyć — nieprzyjaciela już nie było.

Nad wieczór na wrzawliwem polu panowała cisza pustynna. Garść tylko szczupła ze Zbigniewem schroniła się do grodu, ale w nim o obronie i trzymaniu się ani myśleć nie mogła. Zamek opasany był dokoła. U stóp jego dogorywało spustoszone miasteczko, wyludnione, zniszczone na wieki, gdyż, co nie uszło zawczasu, padło od nielitościwego żołnierza.

Modlił się król, gdy grubą odziany opończą przyszedł Sieciech i wskazał mu na wieżyce grodu.

— Tam jest — rzekł.

Król odetchnął.

— Oddaję go opiece twej i straży — odezwał się drżącym głosem. — Ale o życie dla niego — o życie proszę!...

I podał dłoń Sieciechowi, który dumnie się jakoś zawahał, nim jej dotknął.

— Miłościwy panie — rzekł. — Masz litość, gdzie się jej mieć nie godzi. Nastawał na życie twe, na królestwo, na powagę ojca, na ukochane dziecię twoje — oręż na ciebie podnosił...

— Chcę, by żył! — powtórzył król z siłą wielką.

Wojewoda poruszył się prawie gniewnie.

Nadbiegła gromada żołnierzy ze Skarbimierzem, który bojem rozpalony i zagorzały na zamek wskazywał, bo tchnąć i mówić nie mógł.

— Zabrać tych, co tam są! — zawołał Sieciech, oczy ku wieży skierowawszy.

— A król — dodał żywo — życie mu kazał zachować!

Skarbimierz, lękając się, aby mu garść ludzi z królewiczem na zamek zbiegłych nie uszła, pośpieszył na gród, który już miano na oku. Wrota były zaparte, ale o obronie nikt nie myślał...

Gdy królewscy przybyli do bramy, kazał Skarbimierz zatrąbić, ale na odgłos ten długo się nikt nie zjawił. Już miano zacząć tłuc i rozbijać wrota, gdy w furcie pokazał się człowiek.

— Wrota otwierać! — krzyknął Skarbimierz. — Gdy ja je wyłamię, nie wyjdzie nikt cało, wybić każę wszystkich tak, jakeśmy wybili tych, co tam leżą.

Wskazał na brzegi jeziora.

Po krótkiej chwili wahania poczęto drągi odwalać, zwolna odchyliły się ciężkie wrota, kilkudziesięciu ciurów, stojących za nimi, padło na kolana przed Skarbimierzem, czoła chyląc ku ziemi. Nikt nie spojrzał na nie.

Królewscy poczęli zajmować wnijście i rozgaszczać się na zamku. Pochwyconych jeńców łykami wiązać zaczęto.

— Gdzie Zbigniew? — zapytał Skarbimierz.

Nie mówiąc nic, ludzie pokazali dworzec pod wieżą. Wódz z kilku ludźmi poszedł do drzwi, w które oszczepami bić zaczęto.

Niedługo czekali, gdy im je bez oporu naoścież otwarto. Pacholę, które stało drżące w progu, na zapytanie o Zbigniewa, okazało drzwi na prawo.

Izby puste stały otworem jedna za drugą. W ostatniej u ściany na ławie spostrzegł Skarbimierz siedzącego człowieka, nad którym drugi stał zboku z rękami spuszczonemi.

Zbigniew to był blady, oparty na łokciu; usta miał zaciśnięte, w oczach wyraz zarazem dziki i strwożony.

Nim Skarbimierz wszedł i mógł doń przemówić, zmierzył go wzrokiem królewicz, jakby chciał nieprzyjaciela poznać i los swój przyszły z niego odgadnąć, niósł mu śmierć, oślepienie, czy życie i łaskę?

Ostatniej mało mógł się spodziewać; jeńcem był, krwią drogo okupionym, krnąbrnym przeciwko ojcu i królowi.

Ujrzawszy przystępującego Skarbimierza wahał się, czy ma wstać i upokorzyć się przed nim, czy resztką dumy i przebiegłości z nim walczyć. Poruszył się i po-

został w miejscu, podniósł znowu i padł, niepewien siebie, czoło tarł ręką, oczy spuszczał. Wreszcie jakby siłą jakąś rzucony — wstał.

Skarbimierz długo nań patrzał.

— Królewski rozkaz jest, abyście więźniem byli — odezwał się krótko. — Zechcecie-li zbiec lub z zamku się wyzwolić, życia waszego nie będą szczędzić.

Z pod brwi nawisłych popatrzył Zbigniew.

— Wiem, żem jeńcem — odezwał się ośmielony. Ale jestem królewskim synem, o tem ja nie mogę, a wy zapominać nie powinniście!

— Syn, co się na ojca porwał, dzieckiem być przestaje — surowo odparł Skarbimierz. — Miłosierdziu tylko króla winniście życie: znajcie to!

W pierwszej izbie zbrojni ludzie, którzy przyszli ze Skarbimierzem, stali wpogotowiu, nie wiedząc, co im przykażą.

Ten, nie czekając już odpowiedzi, zwrócił się ku nim i pokazał na Zbigniewa.

— Więzień jest wasz — rzekł — strzec go macie pilno, abyście zań głowami nie odpowiadali.

Kilku się natychmiast zbliżyło.

— Strzec go dzień i noc, taki jest rozkaz króla, pana naszego — powtórzył Skarbimierz.

Namyślił się Zbigniew i gdy dowódca miał już odchodzić, zbliżył się doń z niezgrabną mieszaniną dumy i pokory, krokiem niepewnym.

— Chciałbym mówić z wami — odezwał się głosem zniżonym.

— Ja nic z wami do mówienia nie mam — odparł zimno Skarbimierz.

— Jesteście chrześcijańskim człowiekiem — rzekł królewicz — możecie nieszczęśliwego przez miłosierdzie posłuchać.

Wódz skinął na ludzi, aby się oddalili i zatrzymał się w progu.

— Ja — odezwał się zwolna, wzrokiem badając przeciwnika, Zbigniew — nie tak winnym jestem przeciw królowi i ojcu memu, jak się zdaje. Szedłem nie

po własnej woli. Z klasztoru mnie wzięto gwałtem, prowadzono tak samo. Nie chciałem bić się przeciwko ojcu — zmuszono mnie. Byłem w ręku tych ludzi zakładnikiem. Mamże za to odpowiadać, czując się niewinnym?

Popatrzył nań trochę zdziwiony Skarbimierz.

— Prawicie dziś tak — rzekł — bo was zwyciężono i złamano. We Wrocławiu sprawialiście się inaczej, ludzie świadczą o waszych słowach i uczynkach.

— Ludzie winę własną składają na mnie. Oszczercy są! niegodziwi! — począł, nabierając coraz odwagi, królewicz. — Bądźcie mi orędownikiem, miłościwy panie, a jeśli nie chcecie więcej nic uczynić, odnieście słowa te królowi ojcu memu — niewinny jestem!

Skarbimierz popatrzył nań zgóry, nic odpowiedział nic i wyszedł z izby powoli. Zbigniew wrócił na siedzenie swe i padł na nie zamyślony.

IX.

Zamknięty jako więzień w tych izbach kruszwickiego zamku, w których szukał po bitwie schronienia, nie wiedział Zbigniew nawet, co się działo dokoła, oprócz swej straży milczącej nie widując nikogo. Przygotował się, rozmyślał nad obroną swej sprawy, gdyby go badano, ale od króla nikt do niego nie przyszedł, — głucha cisza go otaczała.

Zahoń, towarzyszący mu, trochę więcej miał swobody, bo go przynajmniej na podwórce wypuszczano, mógł też czasem coś posłyszeć i przynieść. Lecz wieści te skąpe były. Wojska królewskie od zatrutych brzegów Gopła odciągnęły, obóz zwinięto, na grodzie tylu ludzi tylko pozostało, ile do strzeżenia go było potrzeba. Na pobojowisku, nad jeziorem, dla niedostatku wody i niepogrzebionego w wielkiej ilości trupa — królewscy długo nie mogli pozostać. Zgnilizna z ciał tylu śmiertelnemi wyziewy napełniała powietrze; z miasta nie pozostało nic, oprócz węgłów niedopalonych i zamku, któ-

ry ocalał; biskup nawet wyniósł się z tego pustkowia, jednego kapłana tylko zostawując przy kościele.

Zbigniewa, jak prostego więźnia, opatrywano w pierwsze do życia potrzeby, nie troszcząc się o nic więcej, jak tylko, by nie umarł z głodu. Strawę mu dawano też samą co straży, nikt ani spytał, czy czego potrzebuje.

Upłynęło tak parę tygodni, gdy dnia jednego Zahoń wpadł z wiadomością, że na kruszwickim zamku, dla wody zepsutej i chorób między ludźmi, załoga wytrwać nie może, zatem ją i ich gdzieś zapewne indziej przeniosą. Dokąd? Zahoń się nie mógł dowiedzieć.

Jednego mroźnego ranku jesieni ujrzał Zbigniew przez drewniane kraty okien, że konie z szop wyprowadzano i ludzie się krzątali żywo. Ruch na pustem zwykle i cichem zamczysku był nadzwyczajny, radość jakaś nieznana brzmiała w głosach ludzi, bo wszystkim szczęściem wydawało się uciec z tej pustki, w której oddychać było ciężko, żyć straszno i powolnie konać musiał każdy, czując, jak zeń życie ucieka.

Wysłany Zahoń potwierdził, iż z Kruszwicy wyciągać mają.

Zimny był dzień, a królewicz odzieży innej nie miał nad tę, którą w dzień bitwy wdział na siebie. Gdy sotnik, co mu miał towarzyszyć, wszedł do izby, zażądał Zbigniew kożucha na drogę. Dano mu prosty, niepowleczony niczem, barani, zdjęty z któregoś z ludzi, bo innego dlań nie było. Koń też, na którym miał podróż odbywać, z szerścią najeżoną, obrosły, dziki, niepańsko wyglądał. Podesłano kawał sukna grubego, a sznury za wodze służyły.

W podwórzu gęsta straż z oszczepami w ręku, otoczyła Zbigniewa i tak ruszyli za wrota.

Różne myśli snuły mu się zawczasu po głowie, roił przez drogę całą. Zahoń, który w początkach widział go ponurym i niemal zrozpaczonym, dziwił się, gdy drugiego dnia zobaczył pana uśmiechniętym, mrugającym oczyma dosyć żwawo i ochotnie zabierającym się do dalszej drogi.

Powolnie bardzo posuwał się ów orszak królewiczowski, wynędzniałe mając konie, słabych ludzi. Stawano ciągle na spoczynki, popasano często i długo nad miarę, na noclegi zatrzymywano się zawczasu, ruszano z nich późno. Nikomu widać śpieszno nie było bardzo.

Wreszcie nad wieczorem dnia jednego pokazała się Lechowa góra i gnieźnieńskie zamczysko. Zdala już widać było bielejące jaśniej mury kościoła, który teraz dopiero po zniszczeniu owem za bezkrólewia po Mieszku i po łupieży — odbudowywano.

Zmierzchło zupełnie, nim się, powoli wlokąc, do okopów i bramy zamku dostali.

Tu dokoła grodu cale inne, niż w Kruszwicy było życie; spotykano mnóstwo ludu, wozów wieśniaczych po drodze, pieszych i konnych żołnierzy na zamek i z zamku śpieszących.

Podwórca obszerne, do których się dostali, pełne też były różnego tłumu. Wśród żołnierzy przesuwało się duchowieństwo, które w części kościoła odrestaurowanej już odprawiało nabożeństwo; robotnicy też obcy, jak z odzieży poznać było łatwo, do budowy i ozdoby świątyni sprowadzeni, w znacznej się liczbie kręcili.

Gdy przybyła gromadka stanęła w dziedzińcu, wszedł zaraz starosta grodowy, aby przyjąć królewicza z rąk straży.

Nikt mu jednak i głową nie skinął. Z konia zsiadłszy, pod strażą iść musiał pieszo na tylną część zamku, gdzie dlań była gotowa jedna izba, a przed nią druga, w której stróże pilnować go mieli.

W oknach tej izby pustej, w której ledwie ławy brudne, stół prosty, a w rogu był tapczan sianem przyrzucony — w oknach błon nawet na zimę nie wprawiono, tylko kraty gęste i okiennice zasuwane.

Zawiedziono go tu, nie mówiąc doń, nie spytawszy o nic, ledwie nań patrząc, jak na prostego winowajcę, którego jutro tracić mają.

Starosta próbował mocy drzwi i okien, stróżom wydał rozkazy i poszedł precz, jakby unikał Zbigniewa.

Zahoń musiał upominać się o skórę na posłanie,

o jadło po drodze głodnej, o ogrzanie izby zimnej. Zbigniew milczał.

Choć przyjęcie to — złą wróżbą było dla królewicza, Zbigniew nie stracił nadziei.

Trzeciego dnia rano Zbigniew wstał z twarzą rozjaśnioną, jakby mu się co szczęśliwego zdarzyło, zawołał do siebie Zahonia i zburczał go za ponure wejrzenie.

— Idź mi zaraz — rzekł — do starosty, powiedz mu ode mnie, żem księdza nie widział oddawna, mszy nie słuchał, spowiedzi nie odbył, tego i na ścięcie idącym nie odmawiają.

To mówiąc, uśmiechnął się, chlubiąc się przed Zahoniem chytrością swoją, na której ten się nie poznał.

Poseł spełnił, co mu polecono.

Starosta wysłuchał, nie odpowiedział nic i ręką go odprawił.

Zahoń powrócił z niczem, ale z południa Zbigniew, który znaczniejszą część dnia wylegiwał się na posłaniu, postrzegł przybywającego duchownego. Prośba została spełnioną.

Wszedł przygarbiony staruszek krokiem powolnym, nogami sunąc, w czapce z uszami, z kijem w ręku, pozdrawiając wedle obyczaju chwałą Chrystusową.

Królewicz uradowany zerwał się doń żywo i pośpieszył do ręki.

Zahoń stojący zboku zdziwił się, widząc go nagle tak zmienionym, jakby innym był człowiekiem. Postawę przybrał pokorną, jaką miał, gdy klerykiem był jeszcze, twarz smętną i spokojną, szedł z oczami spuszczonemi ku ziemi. Zuchwalstwo obozowe i buta znikły, zastąpił je wyraz niedoli, przygnębienia i poddania się nieszczęśliwemu losowi.

Ksiądz, zapewne uprzedzony, spoglądał nań z ciekawością, a razem z pewnem niedowierzaniem. Usiadł, mrucząc coś niewyraźnie i wpatrując się w człowieka, który litość musiał obudzić.

— Ojcze mój — począł Zbigniew głosem do postawy zastosowanym — najnieszczęśliwszego z ludzi widzicie przed sobą, niewinną ofiarę za grzechy cudze po-

kutującą, oszczerstwem obluzganą, oczernioną złością ludzką. Aliści nie żałę się, za grzechy pokutując i skarbiąc sobie łaskę Bożą, boleję tylko nad jednem, że mi największy skarb na ziemi, miłość i serce ojcowskie wydarto. Wszelkiej pociechy pozbawiony, jako prosty niewolnik do ciemnicy rzucony, cierpię w pokorze dopust i krzyż pański!

Mówił to z takiem uczuciem, tak gorąco i serdecznie, iż księdza poruszył.

— A pocóż było, dziecko moje — odezwał się staruszek — poco było Chrystusowe porzucać gniazdo i suknię zwlekać, co pokój duszy daje?

— Gwałt mi uczyniono ojcze! — odparł Zbigniew.

Ksiądz popatrzał nań, potrząsając głową, widać było, że pragnął uwierzyć w to, co słyszał, a lękał się być łatwowiernym i oszukanym.

— W klasztorze — ciągnął dalej głosem skruszonym królewicz — miałem, choć zapomniany przez ojca ziemskiego, Niebieskiego Ojca pociechę, wspólną modlitwę z braćmi, w ofierze codziennej uczestnictwo — tu i tego jestem pozbawiony.

Tak się rozpoczęła rozmowa, w ciągu której Zbigniew usiłował się okazać pobożnym, stęsknionym za religijną pociechą, błagając, aby mógł kiedy niekiedy przynajmniej przypuszczonym być do wspólnej z duchowieństwem modlitwy.

Staruszek słuchał tego wylewu wyrazów, płynących z ust królewicza obficie, łatwo, przekonywająco. Z początku uszom wierzyć nie chciał, później zwolna się dając ująć wymowie, której głos nawet drżący i łzawy dopomagał — uległ wrażeniu dlań miłemu. Znalazł człowieka potępionego lepszym, niż się spodziewał. Począł pocieszać więźnia. Nie śmiał mu jeszcze nic obiecywać, lecz przyrzekał się starać, aby losowi jego ulżono i dozwolono mu, choć pod strażą, chodzić do kaplic i do spowiedzi przystępować.

Ucałował ręce jego Zbigniew, a gdy staruszek dłużej nad zamiar zasiedziawszy się, ruszył ku drzwiom, więzień zgięty wpół odprowadził go do progu.

Ledwie się za nim drzwi zamknęły, a ów królewicz tak nieszczęśliwy, zmienił się w zuchwałego młokosa, jakim był przedtem.

Zahoń stojący w kącie osłupiał.

Twarz Zbigniewa rozmarszczyła się, oczy przymrużyły szydersko, usta otwarły uśmiechem, ukazał na drzwi i zatarł ręce.

Drugiego dnia już pozwolono Zbigniewowi na mszę ranną do kościelnej kaplicy.

Czcigodny starzec, arcybiskup Marcin, wedle dawnego kościelnego obyczaju, siedział na biskupim tronie za ołtarzem i tejże mszy przez kapelana swego odprawianej słuchał. Zbigniew w owym brudnym kożuszku, w ladajakich chodakach, z włosami odrosłemi, które mu się w nieładzie jeżyły na głowie, blady, wymęczony, stał, nieszczęśliwym widokiem swym mogąc istotnie serce litościwe poruszyć.

Arcybiskup Marcin znanym był z wielkiego miłosierdzia i cnoty chrześcijańskiej. Ujrzawszy tę królewską krew w takiej poniewierce i poniżeniu, zapłakał nad losem biednego więźnia, — słyszał już o nim od staruszka, ojca Laurentego, który wprost doń wczora poszedł, niosąc mu obraz tej niedoli i skruchy.

Przez cały czas mszy świętej arcybiskup patrzał na królewicza, po kilkakroć ocierając oczy.

Tegoż dnia arcybiskup wezwał do siebie starostę grodowego, dla którego najwyższy dostojnik duchowny królestwa narówni był z królem. Należała mu się taż sama cześć i posłuszeństwo.

Począł go badać staruszek o więźnia, dając do zrozumienia, że choć rozkazy Sieciecha ostre i surowe były, miłość chrześcijańska ulżyć losowi królewskiego syna nakazywała.

Rada arcypasterza była rozkazem. Za nią wnet poszło i lepsze łoże, i odzież nowa, i strawa znośniejsza.

Zwycięsko na to wszystko ukazywał Zahoniowi królewicz, ale gdy ojciec Laurenty przychodził, lub kto z zamkowej straży go odwiedzał, wracał do smutku i pokory, wydając się im niewinnym barankiem i ofiarą.

Rozeszła się potem po zamku wieść, jakiego to bogobojnego młodziana trzymano w srogiej kaźni, z winy tych zdrajców, co za narzędzie go używszy, sami wprawdzie marnie zginęli, ale królewiczowi świat zawiązali.

Tak stały rzeczy, gdy jednego rana Zahoń, powróciwszy do izby z podwórca, długo przed ogniem stał w zamyśleniu, jak osłupiały; potem, nagle zwracając się do pana, zawołał:

— Miłościwy panie! Czy też może być, żebym ja na moje własne oczy widział Marka Sobiejuchę?

— Kiedy? gdzie? — spytał Zbigniew.

— Tutaj, dziś — odparł Zahoń.

— Marko przecie pod Kruszwicą zginął biedaczysko — rzekł królewicz.

— Albo to on, albo rodzony brat, albo ktoś do niego, jak dwie krople wody, podobny — rzekł chłopak.

— Gdzie i jak go widziałeś? — odezwał się obojętnie Zbigniew.

— W podwórcu, tysiącznikiem nad wojskiem. Nietylko twarz, ale i głos ten sam — rzekł Zahoń.

— A on? widziałże ciebie?

— Powinien był, ale czy znać nie chciał — czy... nie wiem! — mówił chłopak. — Patrzał się na mnie i odwrócił.

— Toć nie on chyba — rzekł Zbigniew — albo to mało ludzi do siebie podobnych! Zbliżyć się było.

— Krzyczał i łajał strasznie ludzi, w gniewie był jakimś, nie śmiałem — rzekł chłopak. — Dziw, bo i opończa na nim taka sama...

Królewicz pokiwał głową, zdumiony trochę.

— Opończę widziałeś, nie człowieka — odezwał się — oczy cię omyliły — w bitwie padł.

— A! nie — rzekł żywo Zahoń — przed bitwą go nie stało. Trochę się pozostał wtyle, a potem go już nikt nie widział.

W parę dni potem zaciekawiony Zahoń, który widmo Markowe ścigał, przyniósł z podwórza wieść, że

Marko był ten sam, żyw i zdrów, ale ani znać, ani gadać nie chciał z nim, bo był w służbie królewskiej.

Kazał go do siebie przywołać Zbigniew. Ale kilka dni uganiając się za nim, Zahoń zbliżyć się doń nie mógł, a gdy wreszcie sam na sam, w cztery oczy, go przydybał, Marko mu rzekł ze złością:

— Idź precz! Znać was nie chcę!

Rozgniewał się królewicz i począł odgrażać. W kilka dni jednak po tem zrzeczeniu się, Marko zmiarkować musiał, że niebezpieczeństwo było syna królewskiego się zapierać, aby przez niego nie być wydanym. Sam przystąpił do Zahonia i zapowiedział mu, że się którego dnia na straż do nich wyprosi i z królewiczem zobaczy.

Tak się też stało.

Po głosie poznał Zbigniew zaraz gadatliwego Marka, który, do niego wszedłszy, naprzód od tego począł, że wszystkie kąty przepatrzył. Kraty w oknach mocował, zasuwy próbował, a dopiero ludzi swych porozsyławszy, do rozmowy się stawił.

— Jakżeś ty się ocalił? — zapytał go królewicz.

— Wyraźną łaską i cudem Bożym, a patrona mojego, Ewangelisty, opieką — zawołał Sobiejucha, ręce składając i wywracając oczy. — Do tylnej straży docierałem, aby zobaczyć, co się tam dzieje, gdy pierwszy zostałem napadnięty przez cały hufiec... Dwudziestu położyłem trupem, broniąc się; tymczasem ztyłu ciął mnie w łeb ogromny gbur, aż mi czerep na dwoje rozpłatał, padłem jak nieżywy na pobojowisko. Szczęściem, lecąc na ziemię, krzyknąłem: — ratuj mnie, Marku święty! i dwie połowy czerepa rękami ścisnąłem, a w tej chwili natychmiast się zrosły... cudem! a tu jak poczęli mnie końmi tratować, trupy na mnie walić, myślałem, że ostatnia godzina przyszła! Zostało mi tyle tylko luzu, żem miał czem oddychać. Leżałem tak, przyczaiwszy się, do nocy; dopierom pociemku się wydobył, pochwyciłem w miasteczku konia rannego, z którego trzewia wyszły, włożyłem mu je nazad, zawiązałem chustą i na nim bez tchu leciałem dwie do-

by, nie jedząc i nie pijąc. Dopadłem w lesie chaty litościwych ludzi i baby, która się na zielu znała, jak zaczęła mnie smarować, we dwa dni postawiła na nogi.

Sobiejucha tchnął mocno i kaszlnął.

— Co było robić! — dodał — przystałem do królewskiego wojska — człowiek musi żyć; ale to hołota!!

Z mowy i całego obejścia się Sobiejuchy znać było, że równie się musiał obawiać popaść u starosty w podejrzenie, jak u Zbigniewa w niełaskę.

Zabawiwszy tu krótko, począł się wymykać, obawiał się bowiem, że mu niedowierzano, i niezmiernie ostrożnym być musiał.

Nie było go potem widać długo, a gdy Zahoń, spotkawszy się z nim w podwórzu, zapraszał, aby przyszedł, wymawiał się tem i owem, przysięgając, że nań oko mają, że mu nie wierzą, i że dla wielu nieprzyjaciół i zazdrosnych musi się na każdy krok swój oglądać.

Niewdzięczność ta Marka niewiele obchodziła królewicza, nagradzała się ona sowicie coraz większą łaską arcybiskupa Marcina, który nad dzieckiem królewskiem łzy ronił, widząc je ciągle tak pobożnie modlącem się, pokornem i cichem.

Powoli za jego wstawieniem się do starosty los Zbigniewa polepszał się ciągle. Nie broniono mu chodzić do kościoła, a niekiedy przy dozorze po podwórcach ku wałom się przechadzać.

Zbigniew, jak przyczajone zwierzę, które się w kłąb zwija, chowając zęby i pazury, samą pokorą i niewinnością okazywać się umiał. Widząc, że się tem przypodoba staruszkowi, w nabożeństwie szczególną okazywał gorliwość, a ilekroć przy wyjściu z kościoła mógł się do niego odezwać, opowiadał o swej miłości dla ojca, dla rodziny, o sieroctwie swem, zaręczając, iż nic nie pragnął, oprócz spokoju, aby dziełami miłosierdzia Boga mógł chwalić i za ocalenie swe dziękować.

Po każdem takiem wystąpieniu powróciwszy do izby, królewicz śmiał się do Zahonia, który mu uśmiechem odpowiadał i zwierzał się z przyszłych myśli.

— Zapłacą oni za moją niewolę! — mówił do wiernego sługi — liczę i zbieram, co mi się od nich należy! Jak w piśmie stoi, odbiorę od nich ząb za ząb, oko za oko, nie daruję nikomu!

Zamiast wdzięczności dla sędziwego arcybiskupa, Zbigniew szydził z jego łatwowierności, wyśmiewał dobroduszność, naśladował ruchy i głos jego, rozczulenie i płacz, co głupkowatego Zahonia niewymownie bawiło.

Lecz rok, dwa, może dłużej — nawet z nadzieją ciężko przeżyć takiem życiem. Rachuba na arcybiskupa zrazu pewna zaczynała się coraz mniej prawdopodobną okazywać — bo obietnice nie miały żadnego skutku — staruszek ponawiał jakieś nieoznaczone przyrzeczenia głuche, nie mówiąc ani kiedy, ani jak się one spełnić mogą.

Z wielkiej radości Zbigniew wpadł w rozpacz i zwątpienie. Snuło mu się już po głowie, nie spuszczając się na żadne obietnice, wydobyć się z zamku pokryjomu, zbiec na Pomorze, gdzie się zawsze spodziewał znaleźć sprzymierzeńców — albo się schronić do Czech, które mu pomóc były powinny.

Zahoniowi już był nawet polecił ludzi sobie jednać i szukać środków do ucieczki, ale chłopię bojaźliwe i niezręczne do podobnej roboty wcale się nie zdało. Łajanie i szyderstwa z niego wcale nie pomagały; przybity niemi stawał się Zahoń jeszcze mniej obrotnym.

Wtem rozeszła się wieść, że w roku tym, dnia pierwszego maja, w święto apostołów Filipa i Jakóba, kończąca się w Gnieźnie katedra poświęconą być miała uroczyście. Na dzień ten zjechać miał z Płocka król Władysław, królowa, Bolko, Sieciech i wszyscy niemal biskupi z kraju całego.

Zdało się Zbigniewowi, iż arcybiskup ten właśnie dzień wybrać może, aby za nim do rodzica przemówić i przebaczenie mu wyjednać.

O. Marcin wyraźnie dnia tego nie oznaczył, ale się kazał domyślać, iż chwila stanowcza się zbliżała.

X.

Już na kilka dni przede dniem świętych apostołów Filipa i Jakóba na zamku gnieźnieńskim widać było i czuć gotującą się uroczystość wielką. Gości, duchowieństwa świeckiego i zakonnego spodziewano się wiele. Dla króla i królowej sposobiono dworzec stary, po czeskiej napaści odbudowany, dla braci biskupów, gospodarz własne domostwa gotował. W podwórcach dla mnogich dworów i czeladzi namioty stanąć miały. Drogę z zamku do kościoła wysadzono młodą brzeziną, ozieleniono nią budowle, posieczoną jedliną i kosaćcem wysypywano drogi dokoła.

Około południa już mnożyć się zaczęły orszaki biskupie naprzód, gdyż wrocławski, kruszwicki, poznański i krakowski na uroczystość przybywali, rycerskie potem, wojewody Sieciecha, równający się królewskiemu, Skarbimierza, młodego Żelisława Beliny i wielu innych panów dostojnych.

Nad wieczór Zbigniew wreszcie poznał, albo raczej się domyślił dworu króla, ojca swego, naprzeciw którego wyszło duchowieństwo z krzyżem i pieśnią, rycerstwo z okrzykami i dzwony kościelne ozwały się, witając go radośnie.

Zdala spostrzegł postać przygarbioną na koniu i świetny orszak królowej, około której młodzież najpiękniejsza i najwykwintniej strojna z niemiecka się zwijała, i Bolkową drużynę młodą, zbrojną, rycersko wyglądającą, na której widok wstrząsał się cały zazdrością i gniewem.

A miał naprawdę czego mu zazdrościć, bo nic piękniejszem być nie mogło nad ten świetny orszak młodego pana, w którego oczach płonęło wesołe męstwo. Miał już naówczas Bolko, wzorem Bolesława Wielkiego, dwunastu towarzyszów, dobranych wiekiem, postawą, dzielnością, którzy składali nieodstępny dwór jego, towarzyszyli mu wszędzie. Mieczyk pański wiózł ulubiony Prószynka, tarczę — drugi, proporczyk —

trzeci; za nimi jechała służba, wszystka raźna, młoda i ochocza.

Gdy przy dźwięku dzwonów, graniu rogów i okrzykach król wciągnął na zamek, zsiadł naprzód przed kościołem, aby się w nim pomodlić. Wprędce potem pieszo go na zamek wiedziono; dwu komorników słabego pana pod ręce podtrzymywało.

Ci, co króla Władysława nie widzieli dawno, litowali mu się, spojrzawszy nań; blady był, jakby krwi w nim nie stało, a mimo otaczającego wesela smutny i przybity. Tylko gdy na Sieciecha swego spojrzał, na tę ctuchę i podporę, twarz mu się nieco rozpogadzała.

Sieciech dnia tego podobniejszym był sam do króla, niż do wodza, stojącego pod rozkazami pańskiemi; on tu rozporządzał, on władał, jemu w oczy patrzano i skinienia słuchano. Wpośród wszystkich górował i postawą i twarzą, i ubiorem wspaniałym, bo nawet płaszcz na ramiona wdział, a zbroję miał świecącą srebrnemi gwoździami i łańcuch na szyi z wizerunkiem króla taki sam, jaki jeden tylko Bolko, syn królewski, nosił.

W pięknej, męskiej jego twarzy widać było zarazem rycerza, silnej woli dostojnika i zalotnego człeka, który sobie serca chciał zjednać. Gdy nań nikt nie patrzał, przybierała ona wyraz przebiegłości i szyderstwa. Śmiechem rad pokrywał mądrość swą, z którą się nie zdradzał, chętnie udając niewiele o co dbającego człowieka.

Na zamku gotowe już czekały stoły i służba z pochodniami dokoła. Dla króla i królowej stały osobne siedzenia, szkarłatem obite, na podwyższeniu. Bolko ze swymi u wielkiego stołu miał zasiadać, duchowieństwo starsze przy królu i królowej, jako im równe, miejsca zabrało. Zwyczaj to był od Mieszka jeszcze zaprowadzony, że ich z książęty równano.

Przytomność króla i biskupów nie dała biesiadującym bardzo głośno się weselić, skromnie i zcicha rozmawiano. Uczta też, z powodu obchodzonej wigilji, wkrótce się zakończyła.

Wnet i znużeni drogą rozchodzić się poczęli, każdy do izby sobie wyznaczonej, a Bolko z towarzyszami w podwórce i na zamczysko, dokąd piękna, spokojna noc wiosenna wyzywała.

Sieciech, który królowi służył razem z podkomorzymi i podczaszym, oko miał na wsze strony. Znał wszystkich, patrzał wszędzie bystro, jakby z twarzy myśli chciał czytać i odgadywać.

W chwili, gdy króla wiedziono na spoczynek, skinął nań arcybiskup, Sieciech z poszanowaniem zbliżył się do niego.

— Dajcie mi ucho na chwilę, odezwał się staruszek, potrzebuję mówić z wami.

Dzisiaj? — spytał wojewoda.

— Tak jest, dziś jeszcze, jest tego wielka potrzeba.

Spojrzał nań Sieciech ciekawie, skłonił się i odprowadziwszy królestwo oboje, wrócił do arcybiskupa, który sam już z kapelanem w pustej izbie nań oczekiwał.

Gdy się wojewoda ukazał, skinął na towarzysza swego biskup, aby się oddalił. Sieciech stał przed nim, piękne starca oblicze ubłogosławione było radością tej uroczystej życia godziny.

— Wojewodo! — zawołał — od was zależy, abym jutro szczęśliwym był, jako nigdy.

— Ode mnie? — zapytał Sieciech.

— Tak, bo wy władzę macie wielką nad sercem pana naszego, a potrzeba mi je skłonić do miłosierdzia.

Sieciech niespokojnie się poruszył, twarz zmarszczył — skłonił się.

— Król dla was, ojcze przewielebny, uczyni i bez mnie, czego żądać będziecie.

— Bez was lub przeciw wam król, albo nie uczyni nic, albo uczynionem gryźć się będzie, gdyż słusznie w was szanuje podporę tronu swojego, — rzekł starzec.

— Pierwszym sługą jestem — odparł Sieciech.

Po chwili milczenia, biskup począł powoli.

— Niesłusznem jest, że król jedno dziecko swoje

drugiemu poświęca i srogo karze niewinnego, którego źli ludzie popchnęli do błędu: dla Zbigniewa potrzeba prosić miłosierdzia i przebaczenia.

Wojewoda, brwi ściągając groźno, cofnął się krokiem.

— Ojcze przewielebny — odezwał się — kapłanem jesteście, pasterzem naszym duchownym, żyjecie w Bogu, a naszego złego świata nie znacie. Zbigniewa, rozdrażniwszy, wypuścić, — jest to zwierzęciu dzikiemu dać wolność. Będzie godził na ojca, na brata, na mnie! Byle siłę pozyskał, mścić się zechce, państwo zakłóci. Być to nie może! — nie może.

— A ja wam powiadam, wojewodo, — rzekł starzec spokojnie, — iż to się stać powinno. Niech król nasz bogobojny nie ma na sumieniu krzywdy dziecka własnego. Więzień przez długi czas był przed oczyma mojemi, patrzałem nań: pobożny jest, cichy, biedny, i będzie wdzięcznym i posłusznym. Nietylko ja, ale i wielu duchownych i świeckich prosić chcą o to króla, aby dziecku nie dał ginąć i pomsty Bożej nie ściągał na głowę swą i królestwo całe. Łza niewinnego waży wiele na szali sprawiedliwości.

— Lecz on winowajcą jest i wichrzycielem! — odparł Sieciech oburzony.

— Gdyby nawet nim był, — młodość, niedoświadczenie i kara, jaką poniósł, starczyłaby już do obmycia go z winy — zawołał arcybiskup.

Na wojewodzie prośby te i dowodzenia nie zdały się żadnego czynić wrażenia.

— Ojcze przewielebny — rzekł Sieciech, skłaniając głowę przed starcem — czyńcie jako chcecie, ja mojego słowa nie dorzucę, nie zgodzę się na to, aby gadzinę puszczać, gdy się ją zdusić może i ma w ręku; królestwo się rozpadnie, a nieprzyjaciele moi i króla przystaną doń, jak do chorągwi.

— Próżne to są obawy, — przerwał o. Marcin. — Mówicie o nim, nie znając go. Pokorne chłopię jest.

— A na swobodzie zuchwałem się stanie — dodał Sieciech.

— Pomocy więc swej odmawiacie mi? — zapytał staruszek łagodnie. — Wojewodo, panie miły, pomnijcie słowa Chrystusowe, które miłosierdzie, przebaczenie i litość nakazują, to prawo nasze!

Sieciech milczał długo smutny.

— Nietylko prosić za nim nie mogę, — odezwał się, — ale mówić będę przeciw niemu. Wyznaję to otwarcie. Sprawą duchownych jest rozgrzeszać, my miecz trzymamy, abyśmy karali.

Nie sprzeciwiałbym się woli waszej, gdybym nie widział niebezpieczeństwa. Króla uspokajać potrzeba, a nie poruszać — chory jest, znękany.

— Najlepiej go to uspokoi, gdy sumieniowi uczyni zadość — odparł arcybiskup.

— Ojcze! nie czyńcie tego! nie czyńcie! — odezwał się gorąco Sieciech, schylając się do ręki jego.

Arcybiskup zlekka rękę usunął.

— Uczynię, co mi mój obowiązek kapłański nakazuje, co każe sumienie, — rzekł spokojnie, — niech będzie co chce, a niech się stanie sprawiedliwość!

To mówiąc, starzec powstał, podrażniony mocno, skinąwszy na stojącego wdali kapelana, i nie zwrócił się już ku Sieciechowi, który stał blady, a gniewny i hamując się tylko poszanowaniem dla duchownego należnem — wyszedł z izby.

Gdy się to działo w wielkiej izbie gościnnej, Bolko ze swą drużyną szedł w dziedzińce zamkowe, ciekaw wszystkiego, co spotykał.

Śmiejąc się, szli, opatrując każdy kąt, zaglądając we drzwi wszystkie, mierzyli place, na których wyścigi odbywać było można, liczyli, ileby ludu objąć mógł gród oblężony.

Wojna i wojenne sprawy były im ciągle na myśli.

Ktoś z towarzyszów opowiadał stare Gniezna dzieje i co między ludźmi o założeniu grodu chodziło. Postępowali tak, rozpatrując się w starych domostwach, w przybudówkach nowych. Łuna zachodnia, przyświecająca wieczornemu mrokowi, dość dobrze jeszcze

rozpatrywać się dawała, a księżyc już z drugiej strony białemi promieniami rozbijał ciemności.

Idąc tak, Bolko podniósł oczy i ujrzał nagle przed sobą z za krat okna drewnianych wyglądającą twarz.

Raz tylko w życiu przemknęła mu się ona przed oczyma na pobojowisku kruszwickiem, spotkał się z nią na chwilkę, i zamienił spojrzenie, które było jakby wyzwaniem do wiekuistego boju. Utkwiły mu jednak w pamięci te złe oczy, Bolko miał je teraz znów przed sobą. Przeczuwał brata.

Zbigniew domyślił się go także, pobladł i drgnął, chciał się cofnąć, duma nie pozwoliła, pozostał w miejscu, aby nie okazać obawy.

Oba tak, nie ustępując, wpatrywali się w siebie; Zbigniew nie cofnął się do izby, Bolko nie szedł dalej. Mimowolnie wyrwało mu się z ust.

— Ktoś ty taki?

Milczenie trwało chwilę długą, ciężki oddech tylko słychać było i ochrypły głos odpowiedział.

— A ty?

— Nie znasz mnie?

— Nie..

— Króla syn jestem — rzekł.

Zbigniew rozśmiał się złośliwie; nie był panem siebie, krew i żółć uderzyły mu do głowy.

— Byłem i ja synem króla — zawołał — a widzicie, żem dziś niewolnikiem za kratą. Patrzajcie, abyście i wy tak nie skończyli.

Bolko rozśmiał się głośno.

— Ja — zawołał, ruszając ramionami — nie bój się o mnie!

I dodał.

— Widzieliśmy się już raz w życiu!

— Podobno — mruknął Zbigniew.

— I winieneś mi życie — mówił Bolko — bom ci mógł je odebrać.

— Wolałeś, bym zginął w łykach! — odparł Zbigniew.

— Nie wiedziałem, co cię czeka, a krwią się twą

mazać nie chciałem — rzekł królewicz, postępując bliżej nieco ku oknu. — Żal mi ciebie.

Zbigniew, widząc go zbliżającego się, cofnął się nieco za kratę. Walczył z sobą, twarz układał. Gniew, którym gorzał, stłumił w sobie, aby nie wybuchnął z niego i rzekł głosem cichym.

— Jeśli żałujecie mnie, proście za mną!

Bolesław, usłyszawszy to, stał zadumany, gdy Zbigniew rzuciwszy słowo, jakby z przymusu, cofnął się od okna.

Królewicz podniósł oczy, a nie widząc go, poszedł dalej, ale wesołość ustąpiła zadumie — towarzysze milczeli, nie śmiejąc się odzywać. Dopiero odsunąwszy się kilkanaście kroków, Bolko zawołał.

— Gdybym mógł, prosiłbym za nim!

— Ohydna twarz — szepnął Janko Doliwa, z za kraty wydał mi się jak zwierz dziki. Stworzony, by siedzieć za kratą.

— Straszny bo jest! — potwierdził drugi.

— Któż w więzieniu pięknym być może? — zawołał Bolko, wstrząsając się cały. — Grób to jest!

Chociaż na zamku było wesoło, oni smutni powlekli się dalej; widok tej młodej twarzy zwiędłej za kratą zatruł im dnia wesele.

XI.

Późno z południa skończyła się zawczasu poczęta długa uroczystość kościelna. Otworem stała nowa świątynia, jeszcze pełna wonności, kadzideł i jakby owiana modlitwami i pieśnią, które się w niej rozlegały. Kilku ludzi stało we drzwiach, spoglądając na lśniące ołtarze. Cisza uroczysta panowała w katedrze.

Wesoły gwar dolatywał tu z zamku, gdzie uczta zastawiona była ze wspaniałością, na jaką wiek ów mógł się zdobyć. Nie była ona wykwintną — dostatek wszystko zastępował.

Nawet na twarzy chorego króla promieniała radość

z tej chwały Bożej odnowionej, pomnożonej, ugruntowanej tu na wieki. W otoczeniu królowej śmieszki słychać było i żarty, Bolko rozprawiał o łowach, drudzy jeszcze o Santoku. Od wczoraj najwięcej o nim mówiono.

Cud oswobodzenia zamku od napaści pomorskiej przypisywano św. Wojciechowi, który nim dawał znak, iż to, co uczyniono dla kościoła jego i zwłok, miłem mu było! Opowiadano o rycerzu, który się zjawił nocą i Pomorzan już wdzierających się na zamek odegnał precz mieczem ognistym, a męstwem natchnął załogę.

Był to więc dzień powszechnego wesela; a jednak twarz, ku której oczy króla i królowej się zwracały, Sieciechowa twarz — groźna była i chmurna. Niepokój błyskał w źrenicach. Nikt sobie tego wytłumaczyć nie umiał.

Uczta miała się ku końcowi. Sieciech parę razy nachylał się do ucha królowi, radząc mu spoczynek. Władysław posłuszny ulubieńcowi już się miał ruszyć, gdy arcybiskup podniósł się z siedzenia.

Wzrokiem powiódł po stołach, przy których zasiadali biesiadnicy, jakby ich powoływał ku sobie i ręce, złożone jak do modlitwy, podnosząc w górę, zawołał.

— Miłościwy panie, królu nasz!

Sieciech rzucił nań piorunującym wzrokiem; król usiadł, zmuszając się do uśmiechu, lecz blada twarz jego drgała obawą jakąś, oczy zwracały się na Sieciecha i arcybiskupa naprzemiany.

— Miłościwy panie i ojcze nasz! — powtórzył starzec — Bóg nam dał ten dzień szczęśliwy, wielki, a ty, panie, uczyń nam go dniem podwójnie drogim, dniem pokoju i łaski! Ja i za mną młodsi słudzy twoi, miłujący cię, przychodzą do kolan twoich z prośbą.

Na skinienie arcybiskupa od stołów podniosła się tłumnie znaczna część biesiadników i, garnąc się dokoła, przed królem stanęła. Była to wprawdzie część tylko przytomnych, ale do niej przyłączyło się duchowieństwo całe, wielu z najprzedniejszych ziemian, i wszyscy Sieciecha przeciwnicy.

Wojewoda, który stał blisko tej gromadki, tak, iż zdawać się mogło, że do niej należał, cofnął się nagle, szum uczyniwszy, aby na siebie zwrócić uwagę i okazać, że do proszących się nie łączył.

— Wszyscy, jak nas tu widzisz, miłościwy panie, — zawołał — głos podnosząc, arcybiskup — błagamy cię, prosimy, zaklinamy, uczyń miłosierdzie, zwolnij sercu własnemu, domierz sprawiedliwość i łaskę. Więźniem jest syn twój, dziecko twoje, krew twa, przypuść go do serca i łaski, przebacz mu winę, uwolnij od więzów. Daj mu swobodę i droższą nad nią — miłość twoją!

Król, na którego próżno Sieciech groźnie spoglądał, z radosnym wyrazem twarzy obrócił się ku arcybiskupowi, ale drżący długo przemówić nie mógł.

Osłabły, skłonnym był do płaczu, łzy strumieniem z oczu mu się polały.

— Przebacz mu! przebacz! — wołano dokoła. — Kilku przyklęknęło przed królem...

— Czyż ojca o to prosić potrzeba? — odezwał się wreszcie król. — Azalibym ja nie przebaczył, gdyby bezpieczeństwo państwa dopuszczało? Mówcie wy i sądźcie! Nie zaburzy to i nie zakłóci nam spokoju?

To mówiąc, wzrok lękliwy podniósł ku Sieciechowi, który z głową spuszczoną stał niemy, nachmurzony, gniewny, ledwie mogąc się wstrzymać od wybuchnięcia.

— Miłościwy panie — rzekł wreszcie wojewoda wyzwany, miarkując głos — nie czyńcie tego! nie czyńcie! Zwierzę dzikie wypuścicie na siebie i na prawe dziecię swoje.

Król, czując, że będzie popartym, śmielej nieco zwrócił się ku Sieciechowi, stając już sam w obronie Zbigniewa.

— Ten też jest prawym synem moim, pierworodnym! — zawołał głosem drżącym.

Z oczu wojewody skry się posypały, królowa rzuciła swój stół i siedzenie, podeszła bliżej poruszona, niespokojna; król wahał się, przelękły był.

— Miłościwy panie — począł arcybiskup — w imię Chrystusa ukrzyżowanego, w imię Wojciecha świętego, patrona królestwa tego, w imię świętych apostołów, których dziś uroczystość obchodzimy, zaklinam cię i błagam, usłysz głosy nasze, uczyń tak miłosierdzie, jako pragniesz, aby ci w dniu sądu strasznego uczynionem było.

W niepewności wielkiej król stał strwożony, ręce, które trzymał oparte na stole, trzęsły się ze wzruszenia, łzy z oczu mu płynęły, — gdy przez gromadę, otaczającą króla przedarł się Bolko.

Z przestrachem jakimś spojrzał nań ojciec, lękając się może wymówki, gdy szlachetne chłopię rzuciło mu się do nóg i ściskając kolana, zawołało:

— Ojcze kochany, królu miłościwy, i ja za bratem proszę, a kłaniam się do stóp twoich, przebaczcie mu! przebaczcie!

Wtem Sieciech, nie mogąc się powstrzymać, krzyknął głośno:

— Prosisz za tym, który ci odbierze królestwa połowę, spokój zamąci, a jutro cię wyzwie na rękę.

I roześmiał się dziko.

— Królestwa mu nie żałuję — odparł młody królewicz — jest ich dosyć do zdobywania po świecie, wyzwania się nie lękam! Będzieli śmiał burzyć się niewdzięczny, pójdziemy nań, złamiemy go, ukarzemy...

— Czyń, miłościwy panie, jak wola twoja — zawołał Sieciech — ale racz pomnieć, że ja tej rady nie dawałem, żem był jej i będę przeciwny. Umywam ręce. Stanie się złe, zaburzy się królestwo, zamącą ci pokój dni twoich — nie mnie winujcie!

Cofnął się wtył, król blady wahał się znowu, co miał począć.

Wtem arcybiskup skinął ku braci swej przytomnej, wiedząc, jak wielką była duchowieństwa przewaga; na czele duchownych idąc, przystąpił bliżej i, podnosząc ręce, zawołał:

— Rzeknij słowo, panie! Wysłuchaj nas!

Pomilczawszy trochę, król zdobył się na męstwo.

— Niech się więc stanie, jako żądacie! niech się stanie! — rzekł głosem poruszonym.

I padł osłabły na krzesło.

Bolko, który stał przed ojcem, gorejąc z niecierpliwości, przybiegł doń, ucałować go w kolana i, jak piorun, z izby się wyrwał.

Łacno się domyśleć było dokąd i poco. Skinął na swoich po drodze.

— Do więzienia! — za mną!!

Zrozumiał go arcybiskup, który zdala pobłogosławił ręką już uchodzącego, pozostali wszyscy na miejscach, Sieciech tylko nie zważając na to, że go ludzie oczyma ścigali, natychmiast precz wyszedł, na swoich skinąwszy, i ci się z nim oddalili.

Bolko popędził wprost do więzienia brata. W pierwszej komorze straż napita usypiała, w drugiej cicho było. Przez szpary drzwi światło przebłyskiwało.

— Prószynka! — krzyknął Bolko, — idź do starosty, leć do skarbca, biegnij, gdzie i do kogo chcesz, a przynieć mi odzież taką, w którąby go można odziać przystojnie.

To mówiąc, drzwi otworzył do izby. Zbigniew siedział na ławie, z twarzą pałającą. Zobaczywszy brata wchodzącego, powstał.

— Wolnym jesteś — odezwał się — prosili za tobą arcybiskup, duchowni, panów wielu i ja. Odzienie ci przyniosą, pójdziesz do ojca ze mną.

To mówiąc, z młodzieńczą gorącością rzucił mu się na szyję.

— Bądź mi bratem! — wykrzyknął wesoło. — A chcesz mi być wrogiem, znajdziesz zapaśnika nie do pogardzenia.

Zbigniew w pierwszej chwili wzruszenia szczerze może Bolka uściskał, szczerze zaklął się, iż mu do zgonu wdzięcznym pozostanie.

— Zrzucaj z siebie odzież, żywo! — wołał Bolko. — Pójdziesz ze mną!

Zbigniew się zawahał nieco, po pierwszym wybuchu uczucie już ustępowało rachubie.

— Nie, bracie, — rzekł — nie potrzebuję się przyodziewać, pójdę takim, jakim mnie tu znalazła łaska ojca, odartym i opuszczonym, aby ludzie wiedzieli, com cierpiał.

Nierad był Bolko temu, wolałby był, ażeby sobą nie czynił ojcu wymówki, nie stawał jako oskarżyciel; lecz Zbigniew trwał w swojem postanowieniu.

W wielkiej izbie, oprócz Sieciecha, czekali wszyscy; król najmniejszy szmer słysząc, oczyma bojaźliwemi rzucał ku drzwiom, gdy nareszcie postać ta, tak różna od uroczyście i bogato postrojonych gości świątecznych w progu się ukazała.

Zbigniew dobrze rachował. Wytarta suknia jego siermiężna, podpasana prostym rzemieniem, chodaki na nogach podarte, włos na głowie rozczochrany, blada twarz wychudła, niezgrabne ruchy zasiedziałego w zamknięciu człowieka, — czyniły królewskiego syna jeszcze godniejszym politowania. W sukni książęcej byłby może odrażającym, w tej więziennej odzieży pokutnika budził poszanowanie.

Spostrzegłszy króla, Zbigniew, który szedł, słaniając się krokiem niepewnym, upadł na ziemię przed nim i począł nogi jego całować.

Władysław wyciągnął doń ręce i pochwyciwszy go, łkając, do piersi przycisnął.

Królowa nawet, która dotąd złośliwe żarty stroiła, przybrała twarz surową, ale pełną wstrętu...

Władysław długo przemówić nie mógł.

— Upadnij do nóg ojcu naszemu duchownemu — zawołał i tym wszystkim, co błagali za tobą! Im dziękuj, bo im winieneś wolność twoją. Przebaczyłem ci. Pomnij, iż łaską jesteś dźwignięty do praw twoich i przywrócony, kajaj się, bądź synem posłusznym, bądź bratu druhem wiernym.

Zbigniew stał i słuchał z głową spuszczoną, jak winowajca.

— Ojcze miłościwy — wyjąknął wkońcu głosem złagodzonym, ale niemiłym. — Nieprzyjaciele twoi użyli mnie za narzędzie. Będę ci synem wiernym, będę

bratu druhem, będę królestwu twojemu obroną i służebnikiem. Mówiąc, całował ręce arcybiskupa, który też dodał głosem drżącym.

— Pomnij, pomnij, kneziu Zbigniewie, iż wzięliśmy cię na sumienie nasze...

Oczy wszystkich zwracały się teraz ciekawie ku oswobodzonemu więźniowi; litość miał, nim się okazał, widok nędzy jego poruszył, — jednak nie przystały doń serca.

Straszny był ów wychowanek saskiego klasztoru, nagle przerosły na rycerza i powrócony do praw królewskiego dziecięcia. Nic nie pociągało ku niemu: wzrok dziki, uśmiech fałszywy, ruchy niezręczne, postać niezgrabna odrażała; siła tylko, którą zdawały się zwiastować rozrosłe barki, kazała się po nim spodziewać dzielnego rycerza.

Ze wstrętem patrząc na biedną odzież syna, król natychmiast przykazał ochmistrzowi dworu, aby mu dostarczono wszystkiego, co dziecku pańskiemu potrzebnem być mogło, a że pora spóźnioną była, poczęli wszyscy rozchodzić się na spoczynek.

Król skinął na komorników swych, idąc prawie ze strachem, bo pewien był, że w komnacie znajdzie Sieciecha ze srogiemi wymówkami.

Wojewoda wpadł na dworzec swój gniewny i piorunujący, ludzi poroztrącał i długo chodził zamyślony po izbach pustych.

Wtem przyszedł młody chłopak ze dworu królowej, szepcąc mu coś do ucha. Odprawił go ruchem ręki, nic nie mówiąc, gniewny jeszcze na wszystko, co go otaczało, lecz po krótkim namyśle wstał i wyszedł.

Dworzanin królowej prowadził wojewodę bocznemi drzwiami do mieszkania Judyty. Cesarska siostra właśnie poczęła zdejmować z siebie klejnoty, w które się na uroczystość przystroiła; w sukni rozpiętej chodziła po komnacie, gdy Sieciech się zjawił w progu. Po twarzy jego poznała gniew, z którego nie ochłonął jeszcze, ona też niemniej była oburzoną i rozdrażnioną.

— Być że to może, wojewodo, — zawołała, stając naprzeciw wchodzącego — ażebyście wy nie mieli siły zapobiec temu, dopuścić to królewskie szaleństwo? W głosie jej przebijała się namiętność gwałtowna. Dopuściliście dla mnie srom, dla wszystkich niebezpieczeństwo! Ten nikczemny bękart będzie mnie śmiał nazywać matką? Ten parobek, ten niewolnik...

Królowej brakło słów, targała rękawy swej sukni.

— Nie mogliście go kazać umorzyć w więzieniu, mając go w swych rękach? Czekaliście, aż na wolność go puszczą!! Dobrze, pięknie, wybornie się stało!! Teraz szydzić z was będą, boście słabi, bo król nawet was nie słucha.

Ruszyła się żywo, rzucając z brzękiem na stół ciężki łańcuch złoty, który z szyi zerwała.

— Zaprawdę — dodała — wątpię już o waszym rozumie. Dopuścić do tego!! to do was niepodobne! I cóż myślicie dalej? co?

Sieciech się zbliżył i szeptać począł.

Stało się. Teraz ich dwu trzeba spuścić na siebie. Bolko gorący jest, zerwą się; był jedynakiem, teraz i pierworodnym być przestał, — młodszym jest, za nim iść musi. Skłócą się, zajedzą się królewicze.

Potrząsając głową, królowa niedowierzająco patrzała, usta się jej krzywiły dumą jakąś i wzgardą.

— Tak, a nim się zewrą z sobą, wprzódy na nas, na mnie, na króla sobie ręce podadzą, pójdą przeciwko wam. Was obalą...

Sieciech się uśmiechnął.

— Do tego nie dopuścimy — rzekł; — Wojsko wszystkie ja mam w ręku. Grody obsadzone moimi, oni ani garstki nie mają własnej. Starszyzna moja skinienia mego słuchać będzie.

Judyta poruszyła ramionami.

— I wyście już zesłabli — rzekła — puszczacie zwierza, aby polować na niego, gdyście w klatce mieli. To nierozum! Myślicież, że pójdzie na drugiego, nie na was?

Nastąpiła cicha narada poufna, tak zgodna, jak był

gniew, co ją poprzedził gwałtowny. Na twarzy królowej zjawił się wkrótce uśmiech, czoło się wyjaśniło, słuchając opowiadania Sieciecha. Podała mu rękę na przejednanie, odprowadziła do drzwi i w progu jeszcze żegnała szeptami długiemi.

Sieciech potrzebował być sam z sobą, aby myśli zebrać i ukoić ducha.

Noc majowa cicha była i spokojna, zamek się cały do snu układał, gdzie niegdzie tylko z izb oświetlonych gwary spóźnione słyszeć się dawały. Na wałach i u bram straże chodziły ospałe. W drugim końcu podwórca, gdzie stało wojsko królewskie i czeladzie, brzęczały gęśle i półgłośne śpiewy. Na mieście zdala psy poszczekiwały i pierwsze kury piały ranną pobudkę.

Wojewoda, mijając okna, w których świeciło. podniósł głowę. Zdało mu się, że widzi w nich cienie Bolka i Zbigniewa, z rękami zarzuconemi na ramiona, przechadzających się po izbie, jakby naradzali się z sobą.

Stał i patrzał długo. Czuł w nich wrogów swych przyszłych, a potrzebował uczynić nieprzyjaciół, nie druhów, jakimi się być zdawali. Władza, którą dzierżył do tej pory, pocieszała go i ośmielała, nie mógł jej postradać w jednej godzinie.

— Wam-li to marzyć, porywać się na mnie! — mówił w duchu. — Wam! Niedołężnemu królowi bez korony, dwu młokosom i kilku starym klechom? Gdybym skinął tylko, — jutro obalę wszystko!

Myśl wzbiła się wysoko i gniew ustawać poczynał.

— Nie jestem-że ja tu panem? a oni na mojej łasce? Do czasu!

Chodził tak długo, podpatrując, co się na zamku działo, zbierając myśli, osnuwając na przyszłość plany. Gdy powrócił do izb swych zmęczony, już w nich nikogo, oprócz służby rozespanej nie było. Rzucił się na posłanie, pewien, że jutro nagrodzi sobie sowicie za doznane upokorzenie.

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.

POWIESCI HISTORYCZNE – Tom XIV

J. I. KRASZEWSKI

KRÓLEWSCY SYNOWIE

CZASY WŁADYSŁAWA HERMANA i BOLESŁAWA KRZYWOUSTEGO

CZĘŚĆ II.

1 9 2 9

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE

DRUKARNIA ZAKŁADÓW WYDAWNICZYCH
M. ARCT, SP. AKC. W WARSZAWIE
CZERNIAKOWSKA 225.

I.

Nie było w słowiańskich krajach ziemi, coby uporniej stała przy dawnym swoim pogańskim obyczaju nad Pomorze i plemiona, co je zaludniały.

Wiara też pogańska, ostatni tu znalazłszy przytułek, rozkwitła sił ostatkiem; stały świątynie stare na nowo przybrane, rozlegały się w nich pieśni odwieczne, wędrowali pielgrzymi z ziem nawróconych, pokryjomu przynosząc ofiary, a niosąc stąd nowego ducha.

To gniazdo bałwochwalstwa i rozbojów zniszczyć potrzeba było i nieustannego wroga pohamować.

Władysław Herman walczył ciągle z tymi niewygodnymi sąsiadami, nie dającymi spokoju, Sieciech chadzał na nich zwycięsko, wyprawiano oddziały rycerskie, które wpadały w głąb ich puszcz, plondrowały osady i miasta, ale podbić ich nie mogły. Poddawali się pozornie, gdy ich złamano, zdradzali wprędce, trzymali po grodach i miastach, najmniejszą zręczność wyzyskać umiejąc na korzyść swoją.

Od ujścia Wisły do Odry i aż do Łaby dzicz ta pogańska zalegała wybrzeża, niepokojąc ciągle ziemie sąsiednie.

Dość było wieści, że król i starszyzna gromadzą się do Gniezna na wielkie świątki, aby już Pomorcy na zameczek graniczny, Santok, godzili. Rzucili się nań i tylko cudem, a popłochem nocnym wyrugowani zeń zostali. Napaść tę zuchwałą pomścić zaraz było potrzeba, nie mogła ujść bezkarnie.

Jeszcze w Gnieźnie, gdy Sieciech dał się wreszcie przebłagać królowi i znowu opiekę swą nad nim rozciągać zaczął, uradzono wyprawę na Pomorzan.

Bolesław, jak tylko zasłyszał o tem, gorąco się do niej gotować zaczął. Zbigniew byłby się może złożył tem, iż dworu ani czeladzi nie zebrał jeszcze, nie był gotowym, ale obok Bolka, tak pochopnego do boju, wstyd mu było gnuśnym się okazać.

Nowy królewicz, którego narówni z młodszym postawiono, łatwo mógł nagromadzić znaczną liczbę drużyny Garnęli się ludzie do nowego pana. Nazajutrz zaraz, po owym wieczorze, gdy z więzienia wyszedł, na dworzec, zjawił się do niego stary sługa, Marko Sobiejucha.

— Miłościwy królewiczu — odezwał się, śmiejąc i pomrugiwając, a ręką sunąc ku kolanom — miłościwy królewiczu, bodajbyś żył sto lat! Nie ma się z tem co taić, mogę to wyznać, że jeżeli komu, to słudze swemu winniście swobodę!!

Tu w piersi mocno się pięścią grzmotnął.

— Tak jest, tak jest — niech się miłość wasza ani śmieje, ani dziwi temu — dodał Marko. — Ja to chodziłem tak około najprzewielebniejszego arcybiskupa, a kładłem mu to przez różne osoby do uszów, aż nareszcie wziął do serca. Niech to zostanie tajemnicą, chwalić się nie chcę, lecz w istocie winniście swobodę słudze swemu.

Zdumiał się Zbigniew i zadąsał, ale bezwstydny człek klął się i przysięgał, że mówił prawdę, a dochodzić kłamstwa było trudno.

Mówili drudzy, że jako żyw, nigdy do ojca Marcina się nie zbliżył i słowa doń przemówić nie mógł.

— Teraz spodziewam się — dokończył Sobiejucha, — że gdy wasza miłość odzyskaliście wszystko, o człowieku, który za was życie dawał, nie zapomnicie. Com wylał krwi pod Kruszwicą! A tu — życie ważyłem! Gdyby nie cud, a łaska patrona mojego, jużby mnie dawno krucy zadziobali.

Rzecz wątpliwa, czyby Zbigniew poczuwał się do wdzięczności, ale gnuśnemu nieco i przebiegłemu panu, który się rad wyręczał drugimi, Marko dogadzał i służyć mu umiał. Nikt lepiej nad niego nie dostał wszelkiego języka, nie podsłuchał zręczniej, nie wcisnął się śmielej w kąt każdy i z bogatszym łupem nie przychodził wieczorem, umiejąc go kłamstwy przyprawić. Nikt też lepiej i bezwstydniej pochlebiać nie potrafił.

W pierwszych dniach zaraz, gdy się poczęły rycerskie zapasy, gonitwy, bójki, w których Bolko celował, a na które Zbigniew tylko zdala patrzeć musiał, bo do nich zręczności nie miał żadnej, zrodziła się sroga zazdrość w ekskleryku.

Bolko wszędzie przed nim brał prym, ubiegał go, a choć o lat kilka młodszy, szedł przodem, u ludzi mir jednał; chwalono go, wynoszono, kochano.

Zbigniew się stawiał, szydzić próbował, iść z nim o lepsze nie zdołał. Dumny był, obraźliwy, mowę często złośliwą miał i nieopatrzną, ludzie od niego stronili.

Na koniu z łukiem, z oszczepem, z mieczem próżno próbował coś poczynać, na wstyd i śmiech tylko się narażał. Siły miał dosyć, lecz użyć jej nie umiał, ani ochotę ku temu okazał. Niecierpliwił się wnet i rzucał o ziemię, co trzymał, klnąc i łając.

Gdy jechali razem, Bolko wyglądał królewsko, tamten na przystrojonego parobka, choć się obwieszał łańcuchami i świecidłami wszelkiemi, w których się kochał bardzo. Dwór też jego, co miał świetnie wyglądać, wydawał się cudacko.

Niepowodzenie to jątrzyło Zbigniewa; powoli począł się coraz głośniej dopominać o swe pierworodztwo i gdzie tylko mógł zasiadać pierwsze miejsce.

Dwór Zbigniewa, naprędce zbierany, złożył się z niezbyt dorodnej młodzieży, ściąganej ze wszystkich kątów, która odzieżą tylko jaskrawą się odznaczała. Marko Sobiejucha zajął tu miejsce przedniejsze, niby ochmistrza czy dowódcy.

Gdyby największe było nawet usposobienie do zgody, człowiek ten byłby ją potrafił zakłócić, tak umie-

jętnie brał się do tego. Podżegał ciągle. Wieczorem zawsze przynosił panu do łoża, co się we dnie nazbierało: jak to dworzanie Bolkowi wyśmiewali niezgrabność pana, jak go przezywali klechą, jak wyzywano go naumyślnie do rzucania oszczepem, aby upokorzyć, jak ten i ów to i owo powiedział, a Bolko się ze wszystkimi cieszył i t. p.

Zbigniew, widząc, że królewiczowi rycerzem trzeba być koniecznie, odziewał się po rycersku, miecz sobie ogromny przywieszał, na koniu siadał, toczyć nim próbował, ale ani ze szkapą, ni z mieczem, ni z oszczepem, ani z łukiem rady sobie dać nie umiał. Rankiem pokryjomu uczył się owych rycerskich sztuk od Sobiejuchy; ten gadał o nich dużo, chwalił się bezmiernie, a narazie mu się zawsze coś psuło. Łuk niedopasowany, strzały były niedobre, oszczep nie przychodził do ręki i t. p.

Zbigniewowi się również nie wiodło, konie go tłukły, zbroja mulała, miecz mu zawadzał, a choć wielką siłę w ręku miał — gdy oszczep cisnął, pewnie poszedł nie tam, gdzie chciał, lecz gdzie się go nikt nie spodziewał. Kaleczył konie i ludzi.

Sieciech, w kilka dni popatrzywszy na to, co się działo, zrozumiał wszystko, i gdy znów królem kierować począł, narzucając mu wolę swoją jeszcze silniej — natychmiast doradził Władysławowi, aby obu braci razem na Pomorców wyprawił.

Napozór słusznem to było. Król dla przejednania faworyta posłuszeństwem i na gorszeby się zgodził, tem bardziej na myśl tak zbawienną, która braci pobratać miała.

Naprzód Bolkowi o tem oznajmił, — Bolko pobiegł z nią do Zbigniewa.

Dwa silne pułki konne pancerników stały wpogotowiu: najdorodniejszy lud, najdoświadczeńszy żołnierz, najupodobańsi Bolkowi rycerze, którzy już z nim niejeden raz robili wycieczki. Jeden jeszcze oddział, stojący pod Santokiem, zabrać z sobą mieli i stamtąd wyruszyć.

Bolko pragnął dotrzeć bodajby do morza, do któregoś z bogatych grodów, do ubiegnięcia łatwych, bo ludność ich dla handlu częściej na morzu w łódkach, niż na wałach siedziała. Miasta były warowne, bogate, lecz letnią porą nie ludne.

Pierwszy ze swą drużyną gotów był Bolko i ruszył zaraz do Santoka... Zbigniewowi zabrakło ludzi do orszaku, jaki z sobą chciał prowadzić, ale brat nań dwa dni czekać przyrzekał, dając czas do zebrania koni i czeladzi.

Marko po swojemu się ruszał i krzyczał, biegał, klął, a zawsze mu się nie wiodło nie z jego winy, przez ludzi.

Ostatniego dnia Zbigniew opóźniony puścił się brata doganiać. Marko nie odstępował go na chwilę; on i posłuszny a głupawy Zahoń jechali przy królewiczu. Zahoń wiózł mu hełm, gdy zaciężył, to miecz, gdy się plątał i po koniu tłukł, to tarczę małą malowaną, z którą Zbigniew nie wiedział, co robić.

Nienawykłemu do żelaza ciążyły i tak blachy, które na sobie mieć musiał, wadziła ostroga u nogi, rozpinały się na nim sprzączki, napierśnik dusił, pas nacierał, a i konia było mu dobrać trudno.

Szczęście wielkie, które spotkało Zbigniewa, na chwilę prawie nie odmalowało się w jego twarzy. Posępny był i gniewny, szyderski, mruczący na wszystko, nikt mu dogodzić nie umiał. Jeden Marko ze swym językiem najlepiej mu do smaku przypadał.

Nie żałował też dla pana przyprawy znakomitej i bluzgał na wszystkich. Tajemnic dworu od niego dowiadywał się królewicz: w jakich łaskach był u królowej Judyty Sieciech, który niekiedy do późnej nocy sam na sam z nią przesiadywał, jak znowu król słabym był i posłusznym dla wojewody, który czynił z nim, co chciał; jak się wychowywały królewny, co poczynały niewiasty, otaczające królowę, któremi się ona posługiwać umiała, kto z wojewodów z wojewodą trzymał i był mu zaprzedany, a kto z nim zadzierał.

— Miłościwy królewiczu — odezwał się w drodze

Marko Sobiejucha do pana, gdy nieco za sobą orszak swój zostawili, ciągnąc lasem piaszczystym—miłościwy panie, gdy da Bóg, staniemy w tym Santoku, a przyjdzie ciągnąć dalej, jak miłość wasza postanowi, co do dowództwa?

Zbigniew wprawdzie sam czuł, że na dowódcę się nie zdał, ale słuchać też nikogo nie był rad. Pomyślał nieco.

— Juściż mnie, jako starszemu — odezwał się — należy dowództwo, nie komu. Inaczej nie powinno być. A cóż mam począć? Co?

— Co? jak? — wyrwał się Marko. — Jeżeli miłość wasza wprawy nie ma, toć mnie na swem miejscu może uczynić namiestnikiem. A ja, ja już sobie radę dam... Nie na takie się rzeczy patrzyło! Nosa mam, ludzi w garść potrafię wziąć. Starszemu królewiczowi dowództwo przynależy. Jak się miłość wasza raz dasz wziąć pod rozkazy, wszystko przepadło. Starszeństwo najpierwsze prawo na świecie.

— To też spodziewam się, że ten gołowąs zaprzeczyć mi go nie może — odezwał się Zbigniew.

— A jakby się oparł? — spytał Sobiejucha.

— Nie poddam mu się — rzekł Zbigniew.

— Nie potrzeba, nie można, nie godzi się poddawać — wołał Marko. — Przy waszej miłości musi być dowództwo. Bolka trzeba nauczyć posłuszeństwa. Kiedy, juści wy, nie kto, weźmiecie całe królestwo, będzie musiał się poddać i słuchać, a siedzieć na swym udziale cicho i powołany iść pod chorągiew.

Myśl wyłącznego panowania jeszcze była Zbigniewowi nie przyszła, pochlebiała mu.

— Król stary, niedołęga, do niczego, Sieciech jawny zdrajca — kończył Marko — trzeba zawczasu myśleć o sobie, bo inaczej Bolko i jego ulubieńcy was uprzedzą.

— Nie dopuszczę! — mruknął Zbigniew.

— Zręczny jest i mężny, ja mu tego nie przeczę — mówił Marko — na żołnierza dobry, na wodza się nie

zdał. Zapalczywy, prędki i łatwowierny. E! e! Wasza miłość będziesz nam panować! Inaczej nie może być!

Przez całą drogę Sobiejucha tak przygotowywał swego pana.

Nad ranem stanęli w Santoku, gdzie już do wyruszenia wszystko było wpogotowiu i ciągnąć trzeba było śpiesznie, aby Pomorcy nie dowiedzieli się zawczasu o wyprawie.

Zamczysko owe, które kluczem Polski od Pomorza zwano, nad samą rzeką położone, a raczej dwiema obwarowane, mocne było tylko moczarami i błotami, które je dokoła otaczały. Wały i zaborole miało dosyć krzepkie, lecz zajmując rozległą przestrzeń, gdyby nie woda trudneby było do obrony.

Roiło się tu teraz rycerstwem, a żołnierza takiego nie widział Zbigniew, jako żyw, bo pod Kruszwicą równego mu nie było.

Pancernicy chłop w chłopa, na koniach krzepkich, zręczni, wojacy już doświadczeni, śmiali się tak do wojny, jakby do najmilszej zabawy.

Bolko wcześniej tu przybywszy, już ich był opatrzył wszystkich, rozporządził, ustawił, podzielił, którzy przodem iść mieli, jacy na tyłach. Większa część tych ludzi znała go i kochała, bo jak był bardzo młody, tak nad wiek swój dzielny i roztropny.

Na zamku w dolnej izbie, niepoczesnej wcale, bo tam oprócz załogi starosty nikt nigdy nie przemieszkiwał, Bolko spał, jadł, przyjmował starszyznę. Po ławach i stołach tyle było hełmów, rękawic i łuków, co misek próżnych; w kątach stały oszczepy i pociski snopami. Odzież leżała po kątach, ruch wchodzących i wychodzących nie dawał drzwi zamykać.

Bolko, na ławie siedząc, jak na koniu, przyjął przybywającego Zbigniewa, który zdala się otrąbił i wciągnął z wielką uroczystością na zamek, miecz, jak zwykle, każąc nieść przed sobą.

Że nikt go w podwórcu nie przyjmował, a ludzie się potrosze śmiali, wszedł do izby nadęty, z przybraną wielką powagą.

— No! bywaj! bywaj! A toć czas ruszać! Wilki te niepoczciwe, jak skoro się o nas dowiedzą, pierzchną w gąszcze i nie złapiemy ich! Na koń! na koń!

Gdy Bolko tak wywoływał, a ludzie głos jego posłyszawszy, ruszać się poczynali, Zbigniew stał przed nim nadąsany.

— Ja spocząć muszę — rzekł — a no, potem zobaczymy.

— Jakto zobaczymy? — odparł Bolko. — A cóż tu masz patrzeć, gdy wszystko opatrzone?

Zbigniew spojrzał bystro z pod brwi zmarszczonych.

— Juściż ja opatrzeć muszę, bo przy mnie dowództwo — rzekł.

— Dowództwo! przy tobie? — wykrzyknął Bolko ze śmiechem. — Nauczże się wprzódy na koniu siedzieć, oszczepem władnąć! Tyś jeszcze nie wojak; pierwsze pole twoje, a już ci się dowództwa zachciewa? Chyba, żeby nas w puch rozbito! Nie znasz ani Pomorców, ani ich kraju!

— Ja starszy, pod niczyje rozkazy iść nie myślę — zawołał dumnie Zbigniew.

— No, to siedź w Santoku i zostań tu! — rzekł Bolko — ja też pod twoje dowództwo nie pójdę. Tyś nie żołnierz...

— Alem syn królewski, jako i ty — i starszy — krzyknął Zbigniew.

Bolko się zmarszczył trochę.

— Ja ci nie zaprzeczam synostwa, ani starszeństwa, — aleś ty na wojnie klerykiem — zawołał Bolko.

Wyraz ten dotknął mocno Zbigniewa, krew mu uderzyła do głowy, padł na ławę i podparł się na stole.

— Czyń, co chcesz; jakom rzekł, inaczej nie będzie — zakończył.

— No, to nie będzie nic! — krzyknął porywczo Bolko. Ludzi szkoda, ciebie żal. Łeb ci utną. Wprzódy się trzeba wojny nauczyć, nim się wodzić zechce... Na zgubę ludzi prowadzić nie dam.

— Jeżeli sam wojny nie znam, znajdę takiego, co za mnie znać będzie i powiedzie, ale z mej ręki — odezwał się starszy.

Bolko z ławy zerwał się.

— Naprawdęś to rzekł? — spytał.

— Nie na żart — zamruczał Zbigniew, którego twarz zań odpowiadała.

— No, to ja ci też powiem naprawdę, że pod tobą ani wodzem z twojej ręki, ja nie idę. Wezmę sobie połowę ludzi, bierz ty drugą i próbujmy szczęścia.

Zbigniew milczał.

Marko Sobiejucha, stojący w progu, dał znak głową, aby tego nie przyjmował...

— Ja z połową nie pociągnę, bo siła mała — odezwał się starszy.

— No, to zostań w Santoku — począł, śmiejąc się, Bolko — dla mnie połowy dosyć, cały powrócę i łup jeszcze przywiozę.

Chciał wychodzić w podwórce, bo go już piekło i pilno mu było, gdy Zbigniew go zatrzymał.

— Ja cię stąd nie puszczę — nie pozwolę — jam tu dowódcą, nie ty!

Bolkowi krew zawrzała.

— Hej! zakrzyknął — ze mną dobrem słowem wiele można dokazać, ale rozkazywać mi i siłą brać — nie twoja rzecz! Wierz mi, nie próbuj się ze mną, nie zadzieraj z bratem! Gdyśmy cię z więzów uwolnili — pokornym byłeś, takim zostań — lepiej ci z tem będzie. Równym cię chcę znać, wyższym nie!

Młodemu chłopcu z oczów ogień się sypał, drżał, mówiąc, postawę miał męską i rycerską, która postrach wrażała. Zbigniew pobladł i zatrząsł się.

— Com rzekł, to strzymam — odezwał się zniżonym głosem.

— A ja com powiedział, od tego nie odstąpię — odparł Bolko śmiało.

Stali naprzeciw siebie, oczyma się mierząc wyzywającemi; Bolko uśmiechnął się pogardliwie, odwrócił tyłem od Zbigniewa i powoli ku drzwiom zmierzał.

Wyszedł w podwórzec, sypnęła się za nim drużyna, otaczając go, gniewna, rozsierdzona, z rękami na mieczyskach. Gdyby był słowo rzekł, skinął, rzuciliby się i siekli.

Wtem Bolko dwu przedniejszych tysiączników kazał pozwać do siebie. Stawił się pierwszy, pokuliwając trochę, Groza, stary żołnierz, który nogę miał dawniej oszczepem przebitą, ale na koniu tego czuć nie było.

— Moje dwa pułki niech się sposobią do pochodu — zawołał królewicz — brat mój pono na swą rękę chce szczęścia spróbować swoim dworem; połowa ludzi niech do niego odejdzie, my zapolujemy sami.

Z za pleców Grozy wysunął się stary Wyga, który graniczne lasy najlepiej znał, a na zwiady go zawsze posyłano. Chodził on wczoraj w okolice i dopiero co powrócił.

Chłop był tak odziany umyślnie, że go za Pomorca rychlej było można wziąć, niż za chrześcijańskiego człowieka; zarosły, spoglądający dziko. Umiał się on nawet do miast i na zamki dostawać w Pomorzu; bywał nieraz na targach w Kołobrzegu, Szczecinie i Julinie, wędrował czasem aż do ujścia Łaby, znał wszystkie gościńce i ścieżki w tamtym kraju, a wiernym był swym panom tak, że słowo jego nie zawiodło nigdy.

— Wróciłeś przecie, Wyga! — zawołał Bolko.

— Dziś dopiero — odezwał się głosem grubym posłaniec.

— Cóż słychać?

— Siła Pomorców się zebrało, bo się gdzieś napaść gotują — począł Wyga — nie można przeciw nim z małą garścią iść. Przemko dowodzi, ludzie najlepsi, czatują, jakby się czego spodziewali. We dwa oddziały na nich mało.

— We dwa? moje? — pochwycił Bolko.

— Mało — odezwał się Wyga — kto ich wie? Może już języka dostali, obstąpią i przemogą, z dwoma iść bez odsieczy, chyba na pewną zgubę.

I głową potrząsał stary.

Królewicz się rzucił.

— Nie liczba stanowi — wtrącił — a no ręce i serca.

— Ale siła złego, dziesięć na jednego — odezwał się Wyga, co nadto, nie można. Chyba życie niemiłe. Całą siłą na nich uderzyć — przepołowioną nie — nie!

Z gniewem prawie odwrócił się Bolko od niego; Zbigniew, który z okna wywieszony patrzał, rad był, że się tak składało.

Żołnierze byliby Bolka posłuchali wszyscy, gdyby na nich skinął tylko; starszyzna, na rozum biorąc, wahała się i naradzała.

Bolko znalazł się w położeniu, w jakiem nie bywał jeszcze, z gniewu oszczep, który był w rękę wziął, roztrzaskał i dwie jego połowy daleko rzucił precz od siebie. Odszedł nazad do izby i na ławie przysiadł chwilę.

Drużyna jego, która się więcej, niż on sam burzyła, do progu się cisnęła, czekając rozkazów. Oczów ze swego pana nie zdejmowali, czekając tylko, a nuż się odezwie, aby porządek po swojemu uczynili.

Przebojem iść, z małą garścią ludzi, gdy Wyga i inni odradzali, nie chciał Bolko. Wstał z ławy, skinąwszy na swoich.

Zbigniew sparty jeszcze w oknie, patrzał na zwolna szykujące się oddziały.

— Ostatnie słowo! — zawołał Bolko, wyszedłszy w podwórce — nie ustąpicie mi dowództwa?

— Nie —rzekł Zbigniew gniewnie — nie! — stokroć nie!

— Prószynka! — odezwał się, odwracając, Bolko — konie moje dawać! Drużyna do mnie! Wracamy do Płocka. Chcecie iść, z Bogiem, zostawiam wam wszystkich ludzi i dowództwo. Szczęścia życzę, ruszajcie.

Skinął na swoich, którzy żywo pobiegli chwytać rozrzucony oręż, wdziewać hełmy, narzucać łuki na plecy i wynosić się z izby.

Niektórzy śmiali się szydersko, wszyscy radzi byli, że się pan ich pod rozkazy brata nie oddał...

— Groza! — odezwał się Bolko do starego tysiącznika — zostawuję wam — dowódcę, idźcie z nim. Ja nie nawykłem iść pod cudze rozkazy, wracam do ojca!

Podprowadzono mu już konia, który się rwał niecierpliwie. Kropierz z niego kazał zdjąć Bolko, sam część zbroi odpiął i rzucił, rozkazawszy wieźć za sobą czeladzi, lekki oręż zostawił tylko przy sobie i skoczył na konia. Dwunastu jego towarzyszów, dwór i czeladź, śmiejąc się wesoło, opuścili zamczysko, wprost jadąc w lasy, aby po drodze się łowami zabawiać.

Zbigniew z Markiem i starszyzną został na zamku sam.

Sprawa szła nie po myśli, choć napozór zwyciężył. Marko, który poduszczał do sporu, gdy przyszło ruszać samemu na dzikich Pomorców, stał się dziwnie ostrożnym i ociągającym. Starszyzna, zniechęcona odjazdem królewicza, szemrała, że jej klechę za dowódcę dano, który wojny nie rozumiał. Tem nazwiskiem już go niemal wszyscy nauczyli się mianować. Ci, co zwykli byli chadzać z Bolkiem tylko, wprost odmawiali posłuszeństwa i warczeli. Z pozostałą resztą iść nie było można. Zbigniew miał przed sobą, że i ojca gniew ściągnie na siebie i starszyznę wojskową zrazi. Zawołał do kąta Marka na radę.

— Co poczynać? — spytał — iść? nie?

Ów rycerz tak śmiały niedawno, znacznie był ostygł, marszczył się i rozmyślał.

— Miłościwy panie, gdybyśmy ludzi poddostatkiem mieli, czemuż nie? Poszlibyśmy i pobili. Nie takie my rzeczy na Węgrzech i z cesarzem dokazywali! Padlibyśmy na nich i stratowali pogan — a no, z kim tu iść? Ludzie jacyś niechętni, podejrzani, nuż zdradzą? Ja o moje gardło nie stoję, ale o waszą miłość, przyszłego króla naszego! Nuż nieszczęście jakie? nuż zasadzka? Pomorcy są rozbójniki, chytre i przebiegłe. Sam ten Wyga wyznaje, że bodaj czekają gotowi zasadzkę uczynić w lesie! Ja tych lasów nie znam, ludzi nie znam, gorzej, bo im z oczów patrzy zdradą!

Rozstawił ręce szeroko i zamilkł. Pomimo ochoty ogromnej, zdawał się zrezygnowany na powstrzymanie się od wyprawy. Zbigniewowi opadła też chęć do walki.

Powołano starego Grozę, który przyszedł, oszczepem się podpierając.

— Mówcie, stary, co radzicie? iść, nie iść?

— Miłościwy panie — odezwał się tysiącznik — gdyby królewicz Bolko z nami był, rzekłbym — iść. Jak go nie stało — powiem — iść mała rzecz, myśleć trzeba, jak powracać.

Obraził się królewicz i strząsnął.

— Że nam jednego młokosa nie stało, dlatego się już ważyć nie możemy? — zawołał Zbigniew.

— Prawda, że on jeden i młody — rzekł Groza — ale za dwudziestu stanie; ludzie za nim idą inaczej, ciągnie ich za sobą... Bez niego, jak bez ręki.

Zbigniew wargi zakąsił. Drudzy ze starszyzny także niezbyt wielką ufność w swą siłę okazywali. Jeden z nich, popatrzywszy na niebo, zapowiadał srogą burzę, drugi nastawał, że Pomorcy pewnie wiedzą o wyprawie, inni mówić nie chcieli. Rozprzęgało się wszystko.

Zbigniew usiadł zniechęcony na ławie, przesiedział do wieczora, dotrwał na zamku do rana, i namyśliwszy się, że winę całą zrzuci na Bolka, pułkom z sobą kazał nazad do Płocka powracać. Wyprawa spełzła na niczem.

II.

Na płockim zamku wieczorem dnia jednego letniego cicho było, jak zwykle; śpiewy tylko niewieście rozlegały się około komnat królowej, gdzie Judyta, trzy jej córki, liczny dwór żeński i męski — prawie zawsze zabawiał się dosyć wesoło.

Dwa otoczenia, — króla Władysława i królowej, dzieliły się od siebie najczęściej, jak dwa obozy nieprzyjacielskie. U królowej przeważała liczba cudzoziemców, Niemców i Niemek; szczególniej młodzieży węgierskiej, Sasów i Frankonów kręciło się dużo, a była to drużyna pusta i próżniacza, dla której gędźba, śpie-

wy, pląsy i umizgi całe stanowiły życie. Po królewsku, wspaniale, dostatnio, świetnie odbywały się zabawy wieczorne, ciągnące się często do późnej nocy.

Na smutnym królewskim dworze panowała cisza, a Władysław modlił się, trwożył i chorzał Całe dnie schodziły mu na myślach tęsknych, w których przewidywał przyszłe zawikłania i klęski. Wróżył zawsze co najgorsze.

Dopóki Zbigniew był zamknięty, płakał nad tem dziecięciem swem pokrzywdzonem; gdy go uwolnił, lękać się począł, ażeby z Bolkiem nie waśnili się i nie spierali, lękał się, aby nie zniechęcili Sieciecha, lękał się, aby wojewoda zrażony nie odstąpił od niego. Obawiał się dzieci własnych, bał wojny, niezgody, niepokoju; ze wszystkimi radby był żyć w zgodzie, nikogo nie zniechęcać, okupić ciszę dla dni starości swej.

Widma chorobliwej wyobraźni, przeczucia straszne go prześladowały. Nocami sny miewał przerażające, po całych dniach gryzł się podejrzeniami i przywidzeniami. Strapionego ducha ledwie na chwilę ukoiła modlitwa, troska powracała znowu. Dręczył się sam.

Sieciech, wezwany do rady, zawsze miał jedno na ustach: użycie siły i grozy. Król właśnie miał wstręt do obojga, obawiał się skutków!

Wieczora tego, zostawiony sam sobie, z milczącymi urzędnikami przybocznymi, król opanowany był przez te widma straszliwe klęsk i zawichrzeń — gdy komornik wbiegł, oznajmując o powrocie Bolka. Nie wiedział więcej nic nad to, jak że królewicz przybył sam z drużyną, a wojska przy nim nie było.

W pierwszej chwili przeraził się król, myśląc, że Pomorcy ich pobili, a Bolko ledwie uszedł z życiem. Cały drżący posłał po syna, aby mu się natychmiast stawił.

Prosto więc z konia, jak stał, wpadł Bolko do królewskiej komnaty i przybiegł do ojca, który, nim się doń odezwał, długo w objęciach go trzymał.

— Ocalony jesteś! — zawołał — Bogu niech będzie chwała! a Zbigniew?

— Nie byliśmy na żadnej wyprawie — odezwał się Bolko. — Co Zbigniew uczyni, ja nie wiem. Nie rycerz z niego, a uparł się zwierzchnie dowództwo brać, z prawa starszeństwa. Ja pod jego rozkazy iść nie mogłem i nie pójdę! Wrócić musiałem z próżnemi rękami.

Pobladł król; jedno niebezpieczeństwo znikło, drugie gorsze groziło. To, czego się lękał, co przewidywał — waśń braterska już gorzała w sercach.

— Poważniliście się więc! — zawołał — bracia! wy! coście się miłować powinni!

— Nie poczynałem sporu — odpowiedział Bolko — a ulec mi się nie godziło. Rości sobie prawa nade mną!

To mówiąc, dumnie spoglądał.

— Miły ojcze — dodał — nie przeciwiłem się jego uwolnieniu, ani uposażeniu, byłem mu bratem dobrym, ale się zgnieść i w sługę obrócić nie dam!

Władysław, oczy zakrywszy, siedział przy stole. Słowa te, głos trochę gniewny syna ściskały mu serce. Straszne sny nocne, czarna owa przyszłość, o którą drżał, stały przed nim. Grzech jego mścił się nad nim.

— Cóż później będzie — odezwał się zcicha — gdy już dziś tak jest? Dziś o dowództwo, jutro się zagryzać poczniecie o ziemie królestwa tego i panowanie nad niemi!

— Nie — odezwał się Bolko. — Komu naznaczysz ojcze zwierzchność, temu posłusznym być musi drugi, każesz mi — słuchać będę. Dziś myśmy równi, w jednych prawach, synowie twoi. Ja młodszy jestem, ale matka moja starszą była! On starszy nie prawem — ale tylko łaską twoją.

— Dość! dość! — przerwał król. — Ukój się, uspokój, uczynię wedle sumienia, aby zgoda panowała między wami. Jam stary, chory, niedołężny, puszczę wam rządy, patrzeć chcę, jak je sprawiać będziecie.

— Ojcze miłościwy — przerwał Bolko — rządźcie wy sami, królujcie! Ja nie chcę nic — ino na wojnę, gdy idę, sam być muszę — nie pod nim.

Po krótkiej rozmowie królewicz odszedł. Od drużyny jego cały już dwór wiedział, co się stało; pobiegli

zausznicy z językiem do królowej, do Sieciecha, który na zamku właśnie był i u Judyty siedział.

Gdy wieść tę przyniesiono, królowa natychmiast córki i służebne wysłała precz, aby pozostać z wojewodą.

W twarzy Sieciecha widać było zwycięstwo i radość złośliwą.

— Jest, jakom przewidział — zawołał — poczyna się rozwiązywać sprawa. Nie stałoż się tak, jakem zapowiadał? Gdy Zbigniewa na wolę puszczą, jeść się będą i zajedzą.

Królowa uśmiechnięta, zbliżyła się doń i dotknęła jego ręki.

— Wszystko dobrze — rzekła, głos zniżając — lecz pośpieszać trzeba. Król dogorywa widocznie, mówię wam, powtarzam, dni jego policzone, ociągać się nie godzi.

— Wszystko teraz pośpiesznym pójdzie krokiem — rzekł Sieciech.

Zasłona we drzwiach poruszyła się i zaszeleściała; wszedł podkomorzy królewski.

Ukłonił się nisko wojewodzie i ręką wskazał, że król go wzywa do siebie. Zrozumiał to łacno Sieciech, bo się spodziewał, że doń przyślą.

Gdy podkomorzy się oddalił, wojewoda wślad za nim pośpieszył, spojrzał tylko ku królowej, która ścigała go oczyma, i odchodzącemu od ust pożegnanie posłała poufałe. Nieraz tak i przy ludziach okazywała czułość swą ulubieńcowi.

Sieciech zastał króla na zwykłem miejscu, pogrążonego w myślach tak, że choć wojewoda wszedł i stanął przed nim, nierychło głowę ciężką podniósł i zagryzione usta otworzył.

Milcząc potem, wyciągnął doń ręce, jakby pomocy błagał, jakby go wzywał na ratunek, pewien, że już Sieciech uwiadomiony jest o wszystkiem.

Wojewoda z dobrze udaną obojętnością stał u stołu, jedną ręką wbok się ująwszy, drugą spierając na nim.

— Miły mój! druhu mój — rado moja jedyna! — płaczliwie począł Władysław — wiecie już?

— A! — rozśmiał się nielitościwie Sieciech — miłościwy królu, macie to, czegoście żądali, coście sobie uczynili sami, a co ja przepowiadałem. Toć było nieuchronne. Dwu ich jest teraz, wojna między nimi musi być, póki jeden nie zostanie.

Okrutne te słowa raziły króla mocno; ręką rzucił, odganiając przepowiednię, oparł się o krzesło bezsilny i mruczał pocichu, jakby się modlił.

— Ratujcież! Zapobieżcie! — zawołał. — Radźcie! Jam niedołężny, jam słaby, nie podołam już temu. Z sobą bić się będą, a mnie, mnie zabiją! mnie! Co czynić? Co postanowić między nimi?

Wojewoda ramionami wstrząsnął.

— Dwu gospodarzy w jednym domu — zgoda trudna — rzekł. — Jeden ustąpić musi!

— Dom wielki! — zawołał król.

Tak się rozpoczynała rozmowa, gdy niespodzianie podkomorzy do drzwi przystąpił, oznajmując arcybiskupa Marcina, któremu biskup Filip towarzyszył.

Król, posłyszawszy to, natychmiast z krzesła chwycił się drżący, wskazując Sieciechowi, aby mu rękę podał i śpiesznym, o ile zdołał, krokiem, poszedł na spotkanie dwu pasterzy.

Zarówno, jak poprzednicy jego, król nawykł był starszyźnie duchownej największą cześć oddawać, aby przykładem swym drugich do poszanowania jej wdrażać. Arcybiskup gnieźnieński szedł z królem w parze władzą i znaczeniem.

Chory Władysław aż do drzwi swych wyszedł na spotkanie sędziwego arcybiskupa. Przybycie jego nigdy pożądańszem być nie mogło. Po Sieciechu, którego się równie obawiał, jak kochał, o. Marcin pierwszym był dla niego, szanował go król i wierzył weń. Wiek, dostojeństwo, charakter nadawały mu powagę wielką.

— Bóg was tu zesłał w tej chwili! — zawołał król, z uczuciem całując rękę pasterza, który go błogosła-

wił — Bogu niech za to będą dzięki! Znajdujecie mnie w trwodze i boleści wielkiej.

Przybycie to tak pożądane dla króla, dla Sieciecha było najnieprzyjemniejszym wypadkiem. Wojewoda zmienił się na twarzy, ustąpił z niej wyraz zwycięski, nachmurzył się, zafrasował, pomieszał; przeczuwał, że mu arcybiskup znowu szyki pomiesza. Nie silił się nawet na udawanie spokoju i wesela.

Arcybiskup Marcin i biskup Filip usiedli u królewskiego stołu, wojewoda zatrzymał się nieco, wahał się widocznie, pozostać ma czy odejść, pilnować króla czy opuścić go i zdać na doradców duchownych, gdy Władysław, przyzwawszy go, szepnął mu coś do ucha, wydając jakieś rozkazy. Wojewoda zwolna i z niechęcią oddalił się z komnaty.

— Ojcze mój! — począł król — oto mści się na mnie grzech mój. Ten, dla którego wyście wolność wyprosili, powstaje na brata. To, czegom się obawiał, przyszło; drżę i płaczę... Niezgoda wstąpiła w dom mój, grozi mu zgubą!

Arcybiskup zdziwił się i przeraził, wieść bowiem o wypadku jeszcze go była nie doszła. Król opowiedział mu to, o czem od syna słyszał.

Starzec milczał długo, zdumiony i przybity. Bolał nad tem z ojcem narówni.

— Pojednać ich musimy — rzekł — pojednamy! Każemy u ołtarza poprzysiąc sobie miłość braterską. Krewkość to młodzieńcza.

— A! zechcąż oni posłuchać nas, przejednać się! — rzekł Władysław, głową poruszając tęsknie. — Lękam się przysięgi, aby uniesieni lub podmówieni, krzywoprzysięzcami się nie stali. Raczej zapobiec potrzeba, ażeby do waśni żadnego nie mieli powodu.

— Rozum tak każe — potwierdził arcybiskup.

Król spoczął nieco i ciągnął dalej.

— Bóg mnie może natchnął, lecz we łzach tę oto myśl powziąłem. Zwierzam się z niej wam tylko, niech ona przy nas zostanie do czasu tajemnicą. Mnie codzień sił brak więcej do rządzenia tem państwem. Sie-

ciech, wierny sługa mój, nie podoła temu. Nieprzyjacioły ma liczne. Chcę między synów podzielić królestwo za żywota, patrzeć i czuwać, jak rządzić będą. Płock tylko i Mazowsze zostawię sobie, starczy to dla mnie. Uspokoi się dusza moja!

Z widocznem politowaniem nad boleścią królewską słuchał arcybiskup.

— Rzekliście — odezwał się — miłościwy panie, że Sieciech wiernym jest waszym sługą?

Głos, którym te wyrazy wymówił starzec, zdawał się wątpliwość oznaczać. Król, przestraszony, drgnął cały, oczyma powiódł dokoła, jakby się lękał niewidzialnych świadków rozmowy.

— Nie wątpię o tem — zawołał — wiernym mi, najwierniejszym jest sługą, a służąc mnie — nieprzyjaciół sobie uczynił wielu. Dla mnie on trzeciem dziecięciem, więcej może, druhem, podporą, tarczą, rozumem moim, prawicą, wszystkiem!

Mówił coraz żywiej chory, aż tchu mu zabrakło.

Stary pasterz spojrzał dokoła i z piersi mu się dobyło ciężkie westchnienie.

— Nie przyszłoby mi was, panie, z błędu wywodzić — rzekł z powagą — gdyby nie było to sumienia obowiązkiem. Wy miłujecie Sieciecha, lecz on więcej pono własne korzyści swe, niżeli was miłuje. Jam powinien ostrzec was.

Zbladły i wylękły król ręce łamał i oczy zakrywał.

— Nieprzyjaciół jego głosy w piersi się waszej odbiły, ojcze mój — zawołał. — W obronie mojej stając, przyczynił ich sobie, — zazdroszczą mu.

Biskupi spojrzeli po sobie.

— Pocóżbym zasmucać miał duszę twą, królu a panie — odezwał się arcybiskup — gdybym pewien nie był, iż mówię prawdę? Patrzcie, słuchajcie, a nie zaślepiajcie się.

Na to nie odpowiedział Władysław i, umyślnie zwracając rozmowę, szepnął zcicha:

— Powiedzcie mi, ojcze, co sądzicie o zamiarze moim podziału państwa tego?

— Jeżeli spokój i zgodę nim okupić możecie — odpowiedział o. Marcin — dlaczegóżbyście tak uczynić nie mieli. Inni panowie chrześcijańscy, niejeden raz tak dzielili kraje swoje. Lecz, miłościwy królu, zamiast mnie jednego a przytomnego tu brata mojego, — miasto Sieciecha, czemużbyście panów, ziemiany, starszych królestwa waszego nie zwołali, aby im przełożyć myśl waszą?

Milczeniem przyjął król radę; zdawało mu się zbytecznem powoływanie starszyzny.

— Życzyłbym — mówił arcybiskup — powołać na wiec duchownych, świeckich, władyków i żupanów a ziemian. Sieciech może przeciwnym będzie temu.

Posłyszawszy to, król drgnął niecierpliwie.

— Jeżeli sądzicie, że potrzebny wiec — rzekł żywo — powołajcie nań, rozkażcie, niechaj się zjadą. Zdaję to na przewielebność waszą.

— Uczynię, jak żądacie — odpowiedział starzec, patrząc na zmienioną i zafrasowaną twarz królewską. — Przyjdziemy w pomoc tobie, miłościwy panie. Niech się nie trwoży serce wasze, a strapienie duszy nie ogarnia. Miłościwy jest Bóg, w rękach Jego jest wszystko. Nie spadnie włos bez woli Jego. Przywlókłem się tu — ciągnął dalej — bo mnie straszne doszły wieści o knowaniach Sieciecha. Nie pierwsze to, ani z jednych ust idą.

Ujrzawszy znowu słabnącego króla, starzec go ujął za rękę.

— Zamilczę — rzekł; — poco mam waszej przymnażać boleści, gdy wiary słowom dać nie chcecie.

Zamilkł; król tak był poruszony, iż w istocie litość obudzał. Spalone usta otwierał ciągle, jakby mu tchu brakło, ręką uciskał piersi, oczy podnosił, oddech stawał się coraz cięższy, jakby go tłumione tamowało łkanie.

Rozmowa już dłużej przeciągnąć się nie mogła Powstał arcybiskup przyrzekając, że imieniem króla na wiec powoła.

— Uczyńcie to rychło — odezwał się król — dni

moje policzone są, a w pokoju chcę umierać i rozterki nie zostawić po sobie.

— Będziecie żyć, miłościwy panie — rzekł arcybiskup, złożył ręce i zmówiwszy pocichu modlitewkę łacińską, zabierał się do odejścia.

Król, choć osłabiony, wstał i kazawszy się pod ręce wieść komornikom swym, z tym samym obrzędem, jak wprzódy, odprowadził o. Marcina do progu. Dopiero, gdy go znów w krześle posadzono, padł na nie, jakby ostatek sił postradał. Oczy zamknął i obwisł omdlały.

Trzeciego dnia Zbigniew, choć niepowołany, przybył do Płocka.

Nie stanął jednak na zamku, ale się gospodą rozłożył w miasteczku w dwu czy trzech domach, z których mieszkańców wyrzucono na podwórze. Raźniej mu tu było i swobodniej, bo na zamku czeladź jego rozpasana dokazywać tak nie mogła, a on sam wstydził się onych zabaw, które sobie wyprawiał, często po całych nocach biesiadując z drużyną.

Na gospodzie przyodziawszy się, kazawszy orszakowi swemu wystąpić po książęcemu, jak był zwykł, w rogi trąbiąc, ze szczękiem i brzękiem wciągnął na zamek do ojca.

Król przestraszył się wrzawą, ale mu dano znać, kto był.

Choć miłość dla tego dziecka, a bardziej poczucie obowiązku, króla ku niemu pociągało, Zbigniew nigdy mu nie był tak, jak Bolko ukochanym.

Wstydził się Zbigniewa, obawiał się go, zrażał się obejściem szorstkiem i prawie zuchwałem. Nie pytany wchodził do izby, nie oddając królowi należnego poszanowania, narzekaniami i skargami zamęczał starego, ze słabości jego korzystał.

Dnia tego, czując się winnym, tem szumniej i bezwstydniej wystąpił przed ojcem. Bolko był już tego dnia na łowach z drużyną, mógł więc swobodnie ze skargami się rozwodzić.

Wszedłszy i zaledwie się pokłoniwszy, zaraz zaczął od nich.

— Przybywam do miłościwego ojca i pana z żalem i skargą — odezwał się. — Wyprawa na niczem spełzła, nie z mojej winy.

— Wiem — odparł król sucho.

— Jestem przecie starszy, należy mi się dowództwo.

— Jako żołnierz i rycerz młodszy jesteś — odparł król surowo. Byłeś jeszcze w klasztorze, gdy Bolko dzieckiem już bił zwierza dzikiego i gonił nieprzyjaciela. Mogliście razem iść w zgodzie braterskiej, — tyś spór wszczął.

— Wiem to — dumnie zawołał Zbigniew, — że mnie będzie zawsze wina przypisaną. Zaprawdę, nie było poco mnie tu ściągać z więzienia i mianować synem królewskim, abym młodszemu służył za igraszkę i za pośmiewisko. W żywe oczy mnie przezywają klechą, wszyscy patrzą na mnie krzywo, Bolko się wyśmiewa, jego drużyna przy każdem spotkaniu mnie na gościńcu przedrwiwa. Ja tego ścierpieć nie mogę!

Król popatrzał i nie odpowiedział nic, Zbigniew nadaremnie żale swe rozwodził.

Królowa Judyta, która już wiedziała o przybyciu Zbigniewa, na złość Bolkowi znienawidzonemu przez nią i w myśl Sieciecha, rada była starszemu bratu okazywać dobrą wolę; zabrała więc go ze sobą na wieczerzę.

Król zawsze jadał sam i niewiele. Otwarty stół dla dworu i gości trzymała Judyta, lubiąca twarze nowe, wesołość i śmiechy młodzieży.

Więcej tu było swobody, niż cesarskiej siostrze i równie królewskiej przystało, za mało poszanowania dla pani. Lecz wszyscy już byli do tego nawykli. Królowa sama chętnie otwierała usta, swawolne żarty strojąc i niepomierną wyzywając wesołość. Ona, trzy jej córki i mnogi orszak Niemek, Polek i Węgierek siadały przy stołach, u których też jadała młodzież dworska i starszyzna, przybywająca do króla z pokłonami.

Pomiędzy Niemkami odznaczała się ulubienica i powiernica pani, Greta, która choć niezbyt już młodziuch-

na, bo pono do lat trzydziestu się zbliżała, miała jeszcze dobrze zachowaną świeżość jasnowłosych córek Teutonów, a piękną budową, wesołemi oczyma niebieskiemi, śmiałością w obejściu się z mężczyznami przechodziła swe współzawodniczki.

Wiele tam rozprawiano o tej Grecie i przygodach jej różnych: miała zawsze miłośników wielu, ale na kobierzec nikt jakoś prowadzić się jej nie ważył.

Nie zdało się to ją obchodzić wiele, bo twarz miała zawsze wesołą i jasną, żart na ustach i odpowiedź gotową, a wydawała się szczęśliwą.

Prawa ręka królowej, służyła jej do wszystkiego — do przyciągania tych, których potrzebowano, szpiegowania innych, jeśli się obawiano.

Z dobrej woli, czy z rozkazu Judyty, Greta starała się uwikłać w swe sieci młodziuchnego Bolka, ogniste pachołę nad wiek dojrzałe. Zdało się to bardzo łatwem, lecz Bolko oprócz swych koni, psów, sokołów i wojennych zabaw — nie lubił nic. Na dziewczęce zaloty odpowiadał śmieszkiem obojętnym, a gdy te szły za daleko, z dumą je odtrącał. Tak samo zbył się natrętnej Grety.

Jasnowłosa, napozór łagodna istota, która patrzała takiemi niebieskiemi oczyma, jak spokojne lazurowych wód tonie, w których się niebo przegląda, pod tym pozorem trzpiotowatym i chłodnym miała niepohamowane namiętności. Jak pod kwiatami wąż, pod jej uśmiechem dziecinnym chowało się zemsty pragnienie.

Królowa, która wiedziała wszystko, domyśliła się i tego uczucia łatwo.

— A! — szepnęła do Grety dnia tego — jednego królewicza nie udało ci się pochwycić, za to drugiego weźmiesz, gdy zechcesz tylko. Ten ci pomoże dopiec tamtemu, co tobą pogardził i obraził srodze. Próbuj.

Greta nie miała dla pani tajemnic, jak królowa dla niej; spojrzała w oczy Judycie, zarazem pytając ją i myśli jej potwierdzając.

— O! Zbigniew — śmiejąc się, mówiła królowa — parobek niepiękny wcale, ale młody i królewicz. Gdy-

byś go sobie ujęła, a przywiązała, zdałoby się to i dla mnie. Niebardzo mu się trzeba drożyć, bo chłopak nieśmiały być musi.

Poszeptały tak z sobą na uboczu, a przed ucztą wieczorną Greta się przystroiła tak, że zdała się mieć lat piętnaście i być jeszcze dziewczątkiem niewinnem.

III.

Pijany jeszcze kłótnią swą z bratem i urojonem nad nim zwycięstwem, Zbigniew był dobrej myśli. Śniło mu się teraz królowanie, zemsta i zamiast sukni mniszej, która go paliła jeszcze wspomnieniem, złotem bramowany płaszcz królewski.

Wszedł do izby, w której oczekiwano na królowę, ze swem zwykłem niezgrabstwem i butą, potrącając ludzi, wywracając ławy i oznajmując się hałaśliwie. Wrzawa mu wszędzie towarzyszyła.

Za nim szedł niedobrany dwór jego, zbierana drużyna włóczęgów, którą Marko Sobiejucha dowodził. Była to gromada z różnych narodów i różnego wieku złożona ludzi, po większej części takich, co się gdzie indziej nie mogli pomieścić.

Zbigniew czasu długiego swojego pobytu w saskim klasztorze napół się stał Niemcem, chętnie więc i Niemców brał do siebie, miał kilku Czechów, koło niego też często szwargotano tym językiem, dla drugich niezrozumiałym.

Marko w swych wędrówkach nabył w nim wprawy. Mówił on źle, ale zato wszystkiemi językami znanemi i tak śmiało, jakby się z niemi w ustach urodził.

Bolek miał samą młodzież z Polan dobraną, synów najmężniejszych władyków i rycerzy, a jednego tylko starca, co jak Marko, po zachodnich krajach wędrował, a praw ówczesnego rycerstwa i turniejów tam się nauczył.

Bolkowa drużyna przy królowej dworze łamać sobie musiała języki, aby się z nim rozmówić, Zbigniewa

towarzysze między Niemcami i Węgrami byli, jak w domu. Bratało się to dobrze z sobą.

Królewicz, którego Judyta z początku wzgardliwie odpychała, mówić prawie nie chcąc do niego, nie lubił jej wprawdzie, lecz pewne poszanowanie okazywać jej musiał.

W chwilę po wnijściu królewicza do izby ukazał się ochmistrz królowej Judyty z laską w ręku, poprzedzający siostrę cesarską, strojną, jak zawsze, uśmiechającą się i wdzięczącą.

Za nią, tuż przy królewnach szła piękna Greta, którą Judyta sama na dzień ten przystroiła.

Miała na sobie obcisłą suknię niebieską, która pełne jej kształty aż do zbytku uwydatniała, złoty pas, na czole przepaskę złocistą, na szyi łańcuch z wiszącemi i poczepianemi do niego kółkami, pierścieniami i kutasy. Utrefione włosy jasne w części się zwijały około ślicznej twarzyczki na głowie, w części spadały na białe, pulchne ramiona.

Blask i świeżość tego kwiatka, który zdawał się dopiero rozwinięty, porywał oczy wszystkich; cmokali patrząc na nią starzy i młodzi, a Greta, choć zdawała się nie wiedzieć o tem, czuła, że ją wejrzeniami ścigano.

— Eh! Marko mój — szepnął Zbigniew, patrząc na Niemkę, przechodzącą powoli ze spuszczonemi oczyma. — Dobrze, że sutannę zrzuciłem; wolno mi teraz oczy napaść tą zwierzyną! Patrzajno, co za łania! Człekby za nią w las pobiec gotów!

Marko, choć podżyły, był też wielkim niewiast wielbicielem; szepnął na ucho królewiczowi.

— Nam to na tę zwierzynę tylko patrzeć zdala i oblizywać się, a wam ino chcieć, to ją mieć będziecie łatwo.

— O! ho! — odparł Zbigniew — nie tak łatwo, jak ci się zdaje; dziewka dumna i królowej ulubienica.

— To co? — zawołał Marko, śmiejąc się. — Będzie wolała zostać ulubienicą królewicza, niż królowej! Ino skińcie palcem, a ja pójdę w swaty...

— Przecież się z nią nie ożenię! — zaśmiał się Zbigniew.

— Któżby myślał o tem tak zawczasu — począł Marko. — Tymczasem zabawić się nikt nie broni, gdy dziewczyna hoża i nie od tego...

Królowa dla Zbigniewa była dnia tego, jak nigdy, łaskawą. Skinęła nań uprzejmie, a złożyło się jakoś tak, że królewiczowi dano miejsce tam, gdzie się niewiast siedzenia kończyły; usadowił się tuż obok pięknej Grety.

Z rachuby zalotniczej wypadało odsuwać się od niego bardzo bojaźliwie, a skromnie; królewicz, wyzwany tą obawą, coraz bliżej przysuwać się zaczął.

Spojrzeli sobie w oczy, ona stłumiła śmiech, z którym się lękała wybuchnąć, on mrugał ku niej tak śmiało, jakby nigdy klerykiem nie był.

Wkrótce po zajęciu miejsca na ławach śmiechy się rozpoczęły. Greta mierzyła ciekawemi oczyma tego, którego z rozkazu pani ująć sobie miała.

Niepowabny był wcale: z długą swą twarzą bladą i grubemi rysy, wstrętliwego coś w nim było, dzikiego, wzbudzającego obawę. Nawet namiętność ta, która łagodzi człowieka, w nim przybierała wyraz jakiś groźny i krwiożerczy. Ale Greta była pod złotemi włosy, białą twarzyczką, lazurowemi oczyma, stworzeniem, co się bronić umiało, opanować potrafiło i nie ulękło łacno.

W tem spotkaniu szło jej tylko o to, by wiedziała, czy zmóc go potrafi, czy w nim jest siła większa nad tę, którą w sobie czuła. Każdą niewiastę instynkt tego uczy cudowny. Dwa razy oczyma zetrze się z przeciwnikiem i wie, czy mu ustąpić ma, czy go podbije i zapanuje nad nim. Dwa też razy Greta wlepiła swe napozór spokojne wejrzenie w Zbigniewa, a za drugiem kleryk spuścił oczy zmieszany.

Rozmowa poczęła się dziwnie, od usuwania na ławce i napastliwego zbliżania. Zbigniew zwyciężył, dano mu się przysiąść blisko, — umyślnie. Był pewien, że zdobył siłą to miejsce.

Nim przyszło do słów, śmiech się rozsiadł na ustach

Grety, która aż zakrywała usta i oczy, tak się jej niby niepomiernie śmiać chciało, bo potrzeba było wesołością zagaić rozmowę, aby ją uczynić śmielszą i ostrzejszą.

Zbigniew śmiał się także, rychocząc szerokiemi usty, nie kryjąc się, chwaląc przed wszystkimi z zaczepki i walki. Greta się nie wstydziła, choć na nią zewsząd patrzano. Dalszą rozmowę poczęły ręce pod stołem.

Jedna z nich nieostrożnie była jakoś zwieszona, a tak śliczna, biała, pulchna, bezbronna, strojna w ogromne pierścienie, i leżała tak blisko, że ją królewicz pochwycił.

Wyrwała mu się natychmiast, dziewczę się odsunęło niby strasznie przelękłe, niby srodze zagniewane. Zbigniew śmielej pochwycił raz drugi tę źle uciekającą rękę, poczęła mu się wyrywać znowu, wyrwała, dogonił ją w drodze i zatrzymał, ściskając mocno. Trzeba było ulec przemocy. Czuł, jak drżała w jego dłoni.

Królewicz pił, jadł, zmuszał do kosztowania wina z jednego kubka, czemu się panna zrazu wielce broniła, spoglądali na siebie coraz poufalej i porozumienie się nastąpiło przed końcem uczty.

— Piękna, najpiękniejsza Greto — odezwał się królewicz, ośmielając się coraz bardziej — gdybyście mnie przyjęli za miłośnika sobie, kochałbym was, jak należy.

— Alboż to wy wiecie, jak miłować należy? — spytała, figlarnie uśmiechając się panna. — Gdybyście posłuchali, jak to tam u nas na Zachodzie niewiastom cześć oddają i służbę przy nich pełnią rycerze...

— O tem ja nie wiem — przerwał Zbigniew — ale spróbujcie ze mną w przyjaźni żyć, zobaczycie, że nie ustąpię w tem nikomu, a miłować potrafię. Tego pono człek się uczyć nie potrzebuje.

Greta zdawała się namyślać, nie wypadało jej przyjmować tak łatwo, co tak bardzo zdobyć pragnęła. Podrożyć się trochę musiała.

U stołu inni się też zajmowali dobrze wszelaką swawolą; błazen królowej, Spatz, takie wygadywał słone

rzeczy, iż się izba śmiechami rozlegała, a Zbigniew mógł się tymczasem bez przeszkody z Gretą zabawiać.

— No, powiedzcież mi — odezwał się wkońcu — jakże to będzie z nami?

To mówiąc, już ją wpół obejmował, a Niemka, choć się niby trochę wymykała, nie broniła się jednak nad miarę.

— Ohydne zwierzę! — mówiła sobie w duchu, w twarz mu patrząc zbliska, — ale i do takiego przyzwyczaić się można!

I zapalała go coraz mocniej niebieskiemi oczyma.

— Królowa pani bardzo dla nas surowa — mówiła zcicha do królewicza. — Wy jej nie dworujecie, ona się gniewa na was. Cóżby było, gdyby się dowiedziała?

— Co? — rozśmiał się królewicz, pochylając ku Niemce. — Co? Gretaby poszła do mnie, a jabym jej sobie odebrać nie dał. I gorzejby jej nie było u mnie, niż na dworze królowej.

Greta potrząsła główką.

— A! nie może to być! nie może! — poczęła żywo. — Wy się z ubogą dziewczyną ożenić nie możecie, a ja, ja!

Zbigniew, nie dając jej dokończyć, parsknął śmiechem i coś rzucił śmiesznego do ucha. Zarumieniła się mocno.

Szeptano już ciszej...

Tak w sposób bardzo prosty i pierwotny poczęły się miłostki niepięknego królewicza z prześliczną Niemką, w której on strach i obrzydzenie wzbudzał.

Naprzeciw siedzących zdala, jeden z tych, co już miłość Grety mieli i stracili, patrząc na nią, mówił do drugiego.

— Bąku miły, patrz ino na tę tłustą Niemkę! Spojrzałeś ty kiedy w oczy wężowi, gdy, głowę z pod liści wysunąwszy, ślepia swe otworzy? Zda się jakby żądła nie miał, jakby się w tobie serdecznie miłował, jakby cię chciał całować. Tak z Gretą, — a i ona kąsa!

Greta tego dnia wydawała się odmłodzonem dziew-

czątkiem niewinnem. Zbigniew pożerał ją oczyma; na królewnę zaczarowaną z bajki mu wyglądała. On, co się jeszcze nigdy w życiu do tak uroczej nie zbliżył istoty — oszalał.

Gdy potem Judyta zawołała swą dziewkę do siebie, a ta, Zbigniewowi rzuciwszy wejrzeniem pożegnanie, pobiegła do pani, królewicz stłumionym głosem szepnął do Marka.

— Niech się dzieje co chce, a ja ją muszę mieć. Dziewka, jak jabłko złote. Choćby przyszło siłą brać.

Podpiły Sobiejucha skłonił mu się do nóg.

— Każecie? Skiniecie — królowej ją z przed nosa pochwycimy i na zamek, który uwieziemy...

— Zaczekamy! zobaczymy! — szepnął Zbigniew.

— Mnie się zda — dodał Marko — pójdzie ona sama, gwałtu nie będzie trzeba.

Królewicz się uśmiechnął.

Judyta, gładząc po twarzy ulubienicę, szeptała jej.

— Już go masz, nieprawdaż? patrzałam... Dobrześ zażyła klechę, ani tchnął...

Greta się śmiała do królowej wcale inaczej teraz, z trochą szyderstwa i dumy.

— O niewielka sztuka była wziąć — rzekła cicho. — Taki miał długi post w klasztorze.

— A jeśliś go wzięła, trzymajże i nie odprawiaj, jak innych — dodała królowa. — To się nam zda.

Gdy potem zkolei przyszły pląsy i skoki, Zbigniew jak do wojny tak i do nich się nie przydał, patrzał tylko. Chciało mu się bardzo pochwycić oburącz tę niebieską sukienkę i ponosić ją przy sobie; lecz choć się winem dobrze podochocił, choć odwagę miał, czuł, żeby go w tańcu wyśmiano.

Inni więc mu zabierali Gretę i nosili się z nią, aż z zazdrości płonął, a ona go zdala oczyma wyzywała i jątrzyła.

Gdy usiadła na ławie zmęczona Greta, Zbigniew, jak to było naówczas w obyczaju, podnóżek wziął i na nim u kolan się jej przysiadł. Znaczyło to wiele, bo cały dwór patrzał. Greta triumfowała.

W tej chwili jakoś ustała gędźba i śpiewy, ciszej się zrobiło w sali i z podwórca słyszeć się dały rogi myśliwskie, — Bolko z drużyną z łowów powracał.

Greta, posłyszawszy granie, pobladła.

— Pewnie brat mój z lasów powraca — zawołał Zbigniew — daje znać o swojem przybyciu, aby mu się radowano. Rycerz wielki!

— Dzieciak jeszcze! — dorzuciła Niemka.

— A już mu się chce nad starszymi panować! — rzekł Zbigniew.

— O! gdyby mu tylko dozwolono, wszystkichby pod swe rządy zagarnął — rzekła cicho Greta.

— I was? — zaśmiał się Zbigniew.

— O! nie, nie lubię tego malca — odpowiedziała Niemka. — Nie dałabym mu się i sukni mojej dotknąć.

— Za to, że go nie cierpicie — wtrącił królewicz — ja was jeszcze we dwójnasób lepiej kocham... Ja go też nienawidzę!

— Strzeżcie się go — szepnęła Greta — bo zapalczywy jest i niebezpieczny.

— A jam też niełatwy do wzięcia i pokonania — zawołał, brew marszcząc, Zbigniew — wierzcie mi!

Greta się trochę zapomniała, pochyliła ku Zbigniewowi, przegięła, zwiesiła nad nim, czuł oddech jej, woń włosów, dotykał prawie zalotnicy, która z nim długą rozpoczęła rozmowę, wiedząc, co w nim drażnić było potrzeba, aby miłość i nienawiść rozbudzić.

Nikt nie zdawał się zważać na nich, królewicz trzymał jej ręce, a te mu się nie wyrywały wcale i pierwszego dnia początek był tak dobry, że już o Grecie nie wątpił szczęśliwy...

Nazajutrz schadzka była umówiona; wiedziała o niej królowa i Grecie się wstrzymać kazała, aby czekał dłużej i goręcej pragnął. Wszystkie wybiegi niewieście znano tu dobrze i posługiwano się niemi.

Zbigniew, jak tylko do gospody powrócił, Marka i Niemca, którego miał na posługach, wysłał szukać klejnotu na podarek dla Grety. Z niemałym trudem

napytano u Żyda naszyjnik złoty, który ledwie puścił z rąk bez pieniędzy za wysoką cenę.

Królewicz przyniósł go z sobą. Zarumienionej Grecie wsunął w ręce ten podarek, jako zadatek miłości wielkiej, a Niemka nie broniła się od przyjęcia go, co było najlepszym znakiem. Ukryła go zaraz zręcznie i wejrzeniem podziękowała.

Marko, który zdala przypatrywał się obrotowi całej sprawy, rad był bardzo.

— Dobra nasza — rzekł. — Która tylko podarki przyjmuje i tego, co obdarza, przyjąć potem musi. Będzie ją nasz pan miał. Bodaj mu tylko bokiem nie wylazła — dodał wielki znawca ludzi — widzi mi się, że jakieś oczy ma, które zdradą strzelają.

Po uczcie dnia tego Zbigniew, zniknąwszy z izby, znalazł się sam na sam w mieszkaniu Grety, które puste było, bo dwór jeszcze cały zabawiał się śpiewem i graniem. Na osobności mieli wiele spraw ważniejszych do roztrząsania. Greta go chciała przeciw Bolkowi rozjątrzyć i podburzyć, on ją myślał całkiem dla siebie pozyskać.

Skierowała też wnet rozmowę na spór i walkę z bratem.

— Sprawiedliwieście uczynili, nie chcąc mu ustąpić — mówiła — to zuchwała gadzina, co do oczu skacze. Wszystkich pokąsał już niemało razy: królowę, wojewodę, ochmistrza swojego. Nikt go nie lubi, krom jednego króla starego, a boją się go wszyscy.

— Ja się go nie ulęknę — odparł Zbigniew, uśmiechając się — ja go obalę. Starszy jestem, nie zechce mi być posłusznym — zgniotę go! Siedziałem ja w więzieniu, będzie i on w niem zamknięty.

— Król chory jest — poczęła Niemka — królowa pani powiada, że gorzej z nim codzień. Wojewoda, o, ten wam sprzyja więcej... Możecie poczynać śmiało.

Zdziwiony był nieco Zbigniew, znalazłszy oprócz miłej przyjaciółki — sprzymierzeńca i pomocnika w Grecie. Zręczna dziewczyna starała się wmówić mu, że go nawet ostrzeże, jeśliby jakie od królowej

niebezpieczeństwo zagrażało, choć przysięgała, iż kochała bardzo królowę.

Zbigniew, znalazłszy ją tak przyjazną, wyspowiadał się jej ze wszystkich swych zuchwałych myśli i zamiarów. Przebiegłe dziewczę miało go w ręku.

Wieczorem późnym, gdy z Markiem znalazł się w swej gospodzie, nie utrzymał i przed nim tajemnicy, wypowiedział mu wszystko z naiwnością człowieka, który, potrzebując powiernika, nie przebiera w tem, co mu się nastręcza. Szczęśliwym był i pewnym, że z łatwością cel osiągnie.

Przeciw Bolesławowi spiskowano do późnej nocy; solą w oku był im wszystkim. Lubiło go rycerstwo, garnęli się do niego ziemianie, miał sławę dzielnego rycerza, potrzeba więc go było obalić. Zbigniew śmiało się kusił o to.

Ojciec po powrocie Bolka starał się ich sprowadzić razem dla przejednania; stawili się na rozkaz, podali ręce, bo król tego wymagał, ale w obu pozostała taż sama gorycz i niechęć wzajemna.

Bolko, o bracie mówiąc, przezywał go klechą i mrukiem. Zbigniew mu się odwdzięczał, łżąc go, jako jaszczurkę jadowitą, co do oczu skacze.

Greta coraz silniej poduszczała Zbigniewa; półsłówkami, rzucanemi przy spotkaniu waśń się jątrzyła, a wojewoda, choć z rozkazu króla starał się jednać — dopomagał do utrzymania niechęci.

Czasem i królowa Judyta, niby przypadkiem potrąciła, mówiąc ze Zbigniewem, o nieznośną Bolka dumę, jego chęć wynoszenia się i panowania. Wszystko to do palącego się już ognia dolewało smoły.

Na Bolku jednak najmniej znać było, żeby go to miało wielce obchodzić; on i jego drużyna żyli trybem cale odrębnym, niewiele się łącząc z innymi. Rycerskie gonitwy, małe turnieje na wzór tych, które się na cesarskim dworze co roku prawie uroczyście odbywały, wprawa we wszystkie wojennego rzemiosła obyczaje, były głównem zajęciem dorastającego królewicza, który wcześnie pasa rycerskiego się dorabiał.

Ani pohamować, ani pokierować nim nie mógł powolny i dobry Wojsław, który się ochmistrzem nazywał, ale był nim więcej imieniem, niż w rzeczywistości. Bolko, zwłaszcza w ostatnich czasach, wymykał mu się ze swoją drużyną i nie buntując się jawnie, nie słuchał go już wcale.

Niejeden już raz Bolko padał do nóg ojcu, błagając go, aby mu choć ze stu rycerzami dobranymi iść dozwolił z królmi i książęty chrześcijańskimi na odzyskanie Jerozolimy. Ilekroć zadrgała ta sprawa święta na Zachodzie, Bolko się nią rozgorączkowywał; lecz ani wiek, ani położenie kraju puścić go na niepewne losy nie pozwalały.

Sieciech wprawdzie niezbyt był temu przeciwnym, lecz opierającego się ojca nie śmiał namawiać. Na małym dworze królewicza tylko o podobnych rycerskich dziełach myślano i rozprawiano: o podboju Pomorców, o wojnie dla Krzyża Świętego, o zawojowaniu ziem nowych, ustaleniu granic, odzyskaniu krajów jednego języka, które Niemcy zagarnęli i obsadzili swoimi.

Bolko miał wszystkie przymioty ówczesnego rycerza chrześcijańskiego — pobożność wielką, poszanowanie słabych, cześć dla starości, nieustraszone męstwo w boju i miłość wypraw, nęcących niepodobieństwy i niebezpieczeństwami. Rzucał się najzapalczywiej tam, gdzie coś nadzwyczajnego mógł dokazać, spełnić czyn bohaterski.

Cała ta garstka młodzieży, zowiąca się jego drużyną, do niego była podobną i naśladować go usiłowała.

Tu ściśle przestrzegano, aby żadna z form rycerskich, z praw, przyjętych na Zachodzie, zaniedbaną nie była; nie wyruszano w pole bez modlitwy i śpiewu, nie zabijano proszącego o miłosierdzie, obraniano bezbronnych. Nawet najdrobniejsze przepisy w trzymaniu włóczni, we wdziewaniu zbroi, w użyciu oręża ściśle były przestrzegane, z czego prości ludzie naśmiewali się trochę.

Nie dziw też, iż drużyna Bolka Zbigniewową wyśmiewała, sposób życia starszego królewicza wyszydzała, z pogardą mówiąc o kleryku, o jego hałaśliwej gromadzie, o miłostkach z Niemką płochą i całem obchodzeniu się niezręcznem a dumnem.

Królowa zdawała się o Grety stosunkach ze Zbigniewem nie wiedzieć wcale, choć one nie były tajemnicą dla nikogo. Greta potrosze się z tem chwaliła, a królewicz też nie dbał o ludzi.

Bolko od dworu Judyty zdala się trzymał; albo się wcale u niej nie pokazywał, lub milczący przychodził na rozkaz ojca, niedługo pobył i wymykał się do swoich.

Nie udało się macosze w ten sposób go opanować, jak ujęła Zbigniewa; Greta zawczasu próbowała go sobie pozyskać i została odepchniętą pogardliwie, inne też nie były szczęśliwsze. Nie miały dlań uroku niewiasty, a wychowanie męskie nauczyło go niemi pogardzać niemal, jako istotami słabemi, którym poddanie się uwłacza rycerzowi. Matki Bolko nie znał, wychowywał się od dziecka na męskich rękach; macocha, której nikt nie szanował, wstręt w nim i obawę obudzała.

Słyszał o tem, jak na Zachodzie rycerstwo czciło piękne panie, którym wiekuistą miłość poprzysięgało, lecz wyobrażał sobie niewiasty, godne takiego przywiązania, wcale innemi, niż te, których dwór królowej był pełen...

Wszyscy już prześladowali Niemkę klerykiem, gdy jednego dnia w przedsieni dworca, Bolko, idąc do ojca, na drodze swej spotkał strojną Gretę. Nie mógł i on się powstrzymać.

— E! piękna Greto! — zawołał. — Zapomniałem ci powinszować zwycięstwa. Słyszałem, upolowałaś dużego ptaka?

— Jakiego? gdzie? — spytała, czerwieniąc się z gniewu, Niemka.

— Ludzie go zowią czasem królewiczem, drudzy klerykiem, a mnie kazano go bratem nazywać. Prawdaż to, piękna Greto?

Dziewczyna, nic nie odpowiadając, popatrzyła mu w oczy dumnie, pozwalała mu się domyślać nawet, że miłości tej na zemstę użyć potrafi.

Bolko po młodzieńczemu szydził.

— Piękny chłop! — rzekł — ale piękna Greta warta była zgrabniejszego. Nauczyła-żeś go tańcować i śpiewać? Do chóru w kościele nie wątpię, że się przyda, ale do pieśni przy pląsach — chyba wy go uczyć potraficie!

Greta płonęła gniewem.

— Dużo innych rzeczy trzebaby go nauczyć, piękna Greto! — śmiał się nielitościwy Bolko. — Nie wiem, jak sobie z niewiastą poczyna, ale z koniem niedobrze, z łukiem licho, z oszczepem niezdarnie!

Nie mogła już Niemka wytrzymać szyderstwa i z ust się jej wyrwało.

— Patrzcie tylko, aby ten niezgrabny człek kiedy się wam nie dał we znaki!

— A! o to się nie frasujcie — odparł Bolko — ja się niedźwiedzi lękać niezwykłem. Wiecie pewnie, boć to we dworze wszystkim wiadomo, żem niedawno temu ubił jednego właśnie, gdy się do samicy zalecał.

Grecie zdawać się mogło, że w Bolku zazdrość mówiła; wesołe chłopię wcale o tem nie myślało, bo Niemka była dlań nie piękniejszą od innych.

— Tak, piękna Greto — dodał — uczcie go, a uczcie, bo dużo rzeczy nie umie i wiele się potrzebuje dowiedzieć, a lepszego ochmistrza nad was nie znajdzie!

Śmiech Bolka rozjątrzył do ostatka dziewczynę; zacisnąwszy pięść, spojrzała nań wyzywająco, łagodna jej twarzyczka zmieniła się nagle w głowę Meduzy, niebieskie oczy ściemniały, twarz zbladła, usta zadrgały, zęby się ścięły...

— Poznasz ty mnie i jego! — szepnęła odchodząc — poznasz, a ja ci te szyderstwa przypomnę.

I szybkim krokiem pobiegła na skargę do królowej.

IV.

Na dworcu biskupim w Gnieźnie, w wielkiej izbie przyciemnionej, jednego z tych dni zasiadała rada duchownych.

Około wielkiego stołu, ciemnym okrytego kobiercem, na krzesłach obok sędziwego arcybiskupa Marcina widać było po prawej ręce Lamberta, biskupa krakowskiego, po lewej Dionizego poznańskiego, dalej Paulina Ciołka kruszwickiego i Filipa płockiego. W pośrodku między nimi stał krucyfiks srebrny, a przy nim leżała bogato oprawna księga ewangelji.

Izba, wyglądająca jak klasztorna, ciemna, smutna, nie miała innych ozdób nad miedziane naczynie do wody święconej, a w kątku dzban i miednicę podobną.

Zasiadali w niej biskupi sami, a narada ważną i trudną być musiała, gdyż po zagajeniu jej przez arcybiskupa, długie panowało milczenie. Starzec oczekiwał głosu jednego z braci, powiódł oczyma po milczących, a widząc, że nikt się ze słowem nie śpieszy, ciągnął dalej powolnie i łagodnie:

— Bracia mili — powtarzam, com rzekł: król słabym jest, Sieciech dla królestwa i dla nas strasznym! Nie utrzyma się on bez cesarza, a panowanie cesarskie kościołowi odejmie siłę, przeniesie ją gdzie indziej. Czynić potrzeba, co można, aby spadek po królu dzieciom jego pozostał.

Cóżbyście rzekli, gdyby Władysław zawczasu chciał państwo między synów swych podzielić, sobie pozostawując Płock, który pokochał, i w którym chce dokonać żywota?

Spojrzał po słuchających arcybiskup, badając wrażenie, jakie słowa jego wywierały i mówił dalej:

— Zeznał mi król, iż za żywota uczynić to pragnie. Sieciech niewątpliwie stanie na przeszkodzie przeciw myśli zbawiennej; my pomocą jej być powinniśmy. Jak sądzicie, bracia najmilsi?

Biskupi milczeli; rzecz to dla nich była nowa, któ-

rą każdy chciał rozważyć, nimby wyrzekł, co o niej myśli.

— Sam król wam to zwierzył? — zapytał biskup Lambert.

— Tak jest, mam to z ust jego — rzekł arcybiskup. — Radziłem, aby zwołał wiec, duchowną i świecką radę i starszyznę. Kto wie, czy będzie śmiał i mógł to uczynić, jeżeli my mu w pomoc nie przyjdziemy.

Przyczyńmy się wszyscy do dzieła tego. Zwołajmy po diecezjach naszych przedniejszych ziemian, władyków i żupanów, włóżmy na sumienie ich, aby w tem królowi byli pomocni. Macie-li co przeciwko temu?

Zatoczył wzrokiem arcybiskup, spoglądając po milczącej braci. Nie odzywał się nikt, nikt przeczyć nie śmiał.

— Co z tego podziału wyniknąć może — rzekł Lambert po chwili — przeniknąć trudno. Jeden z nich zechce-li drugiemu być podległym? Rozłamie się li państwo i osłabnie, zwłaszcza, jeżeli nierycerskiego ducha Zbigniew prawem starszeństwa zapanuje?

— Czuwać będziemy — odparł Paulin. — Tem lepiej dla nas, iż obejść się bez pasterzy swych nie będą mogli.

— Sieciech nad wszystko niebezpieczniejszy — dodał o. Marcin.

— Niech się więc stanie po myśli króla i wedle natchnienia, jakie mu Bóg zesłał — rzekł Lambert.

Nie spierano się z sędziwą głową kościoła, choć może zdania były niejedne, a Sieciech i tu mógł mieć utajonych sprzymierzeńców. Ale ci mówić za nim nie śmieli. Groźba podległości i zależności od cesarstwa i Magdeburga starczyła na powstrzymanie zdań przeciwnych.

— Uczynić więc należy przygotowanie do wiecu — zakończył arcybiskup — a wykonać je zawczasu, ażeby nas nie ubiegł Sieciech, który chcieć go nie może. Przeciwko niemu jedni my tylko skutecznie wystąpić możemy. Usłuchają nas ziemianie i królowi w pomoc przyjdą.

Zatem rozpoczęła się narada nad środkami wykonania i przeciągnęła długo, aż obmyślone i postanowione zostały.

Pasterze, powróciwszy z Gniezna, natychmiast rozpoczęli starania o wiec, sami lub przez podwładne sobie duchowieństwo.

I stało się, że wkrótce potem po wszystkich krajach ruszyli się ziemianie, władyki, żupanowie, starszyzna, zbierając na ów wiec, zwołany potajemnie. Nawet ci, co Sieciechowi sprzyjali, zmuszeni byli jechać z innymi i stawić się nań, aby postąpić potem, jak im będzie rozkazano.

Nadzwyczajne te przygotowania nie mogły ujść baczności Sieciecha. Wojewoda, który czynnie około własnej sprawy chodził i zamki objeżdżał, znajdował się właśnie na jednym z grodów, trzymanych przezeń z łaski króla (choć wszystkie one prawie były w jego rękach), gdy nadbieżał do niego jeden z najwierniejszych sług, Strzepa, nocą już domagając się pilno, aby go do wojewody natychmiast wpuszczono.

— Za pilną sprawą jadę, goniąc za miłością waszą — wykrzyknął przybyły, hełm zdejmując i z potu ocierając skronie — za sprawą pilną bardzo.

— Bóg zapłać — odpowiedział z półuśmiechem wojewoda. — Siadaj na ławie, spocznij, tchu nabierz. Za dobrą wolę waszą wdzięczen jestem, choć nie wiem, z czem przybywacie. Bodaj jednak, czy wielka i pilna nowina, która was tu pędziła, wprzód niż wy, nie dobiegła do mnie.

Zdziwił się i zmieszał smutnie Strzepa.

— Wiedzieliżbyście już o wiecu, miłościwy panie? — zawołał — może to być?

Wojewoda dał mu głową znak potwierdzający.

— Wiem o nim, ale się nie frasuję zbytnio — rzekł. — Pracują nieprzyjaciele moi i ja nie śpię Niech wiecują, radzą, niechaj dzielą, jak chcą, nic to nie pomoże. Silniejsi przez to nade mnie nie będą. Wiec jest sprawą arcybiskupa Marcina, z którym do jawnej

walki występować nie mogę. Obróci się ich własna robota przeciwko nim.

— Tak mówicie? — odezwał się zdumiony Strzepa.

— Mówię tak i spokojnie na to poglądam — ciągnął dalej Sieciech. — Dwu czy dziesięciu ich stanie, w zgodzie z sobą nie będą. Nie lękam się tego. Młokosom łatwem podołać będzie. Król przy sobie zwierzchnią zatrzyma władzę...

Na wiecu ozwą się przeciw wam głosy nieprzyjaciół! — zawołał Strzepa.

— Przeciw mnie jedne, za mną drugie — rzekł wojewoda. — Król, który z arcybiskupem się naradzał, który mi sprzyja, którego w rękach mam, nie powiedział mi nic. Znam go i sądzę z milczenia, że krzywdy uczynić nie da mi. Gdyby gniew miał, a niewiarę, wydałby się z nią. Królewiczowie oba pode mną zostaną. Nie lękam się ich, bo wprzód nim z Sieciechem — walkę rozpoczną z sobą.

Strzepa, człek bojaźliwy, ostrożny, a przytem gorący, nie miał zimnej krwi i zaufania w sobie Sieciecha; słuchał, ale widać było po nim, że tej wiary w bezpieczną przyszłość nie podzielał.

— Pewna to, że wasza miłość dobrze wiecie, co czynicie — rzekł, wzdychając — ale zbytnio ufać ludziom i bezpiecznym się czuć niedobrze. Bolko ma wielką miłość u rycerstwa, u dworu, między ziemiany; Zbigniew powiadają, wymowny, przebiegły i przewrotny.

Wojewoda wzgardliwą przybrał postawę.

Zbigniew chciwy wszystkiego, a do niczego niezdolny — rzekł — rycerza z niego nie będzie, a u nas, kto nie wojak, tym pogardzą. Bolko go nie lubi i złamie.

— A Bolko kto? — odezwał się Strzepa. — Z tym trudniej!

Sieciech długo nie mówił nic, naostatek wyrwało mu się:

— On sam. Gdyby go wierna drużyna nie trzymała na wodzy, dawnoby już oszczep Pomorca, albo

kły dzika przecięły te rycerskie zapędy. Zbyt zuchwały jest, sam się zgubi!

Strzepa się nie sprzeciwiał i zamilkł. Wojewoda po izbie zaczął się przechadzać. Zwrócił się ku niemu:

— Cóż o wiecu prawią?

— Gotują się doń wszyscy, a najgoręcej nieprzyjaciele wasi. Z tych, co wam są wierni, dużo jechać nie chce, aby przeciwko arcybiskupowi nie stawać i wam się nie sprzeniewierzyć. Starego się obawiają.

— Moim dawajcie owszem znać, aby się stawili wszyscy — odparł Sieciech — i mężnie stali przy mnie. Gdy ich nie stanie, sam jeden będę.

Po tej rozmowie Strzepa, ledwie spocząwszy, ruszył znowu; gońców rozesłano na wszystkie strony z hasłem nowem.

Gdy duchowieństwo od siebie nagliło o zbiór liczny i Sieciech przykazywał się stawić — ruszało się co żyło. Dawno już nie pamiętano takiego ruchu i gromad, a pocztów na gościńcach; niektórzy co od lat wielu z lasów się na świat nie pokazywali, wyciągnęli do Płocka.

Jesienny dzień wrześniowy potajemnie na zjazd był naznaczony; pogoda mu sprzyjała, a pożądaną była wszystkim, gdyż mnogich i licznych pocztów ani zamek, ani miasteczko pomieścić nie mogło.

Naostatek w wigilję św. Wawrzyńca niektórzy z dalszych stron Krakowa, Sandomierza, Wrocławia, co się najbardziej opóźnić lękali, ściągać się poczęli.

Wiódł każdy z sobą po sto, po kilkadziesiąt koni dla bezpieczeństwa i wystawy, ciągnęły się wozy ładowne i obfite zasoby wszystkiego, co do życia było potrzebnem. Po drodze zaciążyć osadom i szukać pożywienia nikt nie chciał, ani też wszędzie dostać było można żywności. To też dla koni i siebie musiano wozić strawę. Każdy orszak zwiększał się tem jeszcze. Jeden władyka ciągnął za sobą czeladzi i ciurów gromadę.

Z wieczora już szare i pasiaste namioty gęsto się rozsiadały na łące, a około nich ogniska zapalać za-

częły. Rżały konie, a psy, które każdy prowadził z sobą, ujadały, wyzywając się.

Stawali ziemianie każdej części odrębnie przy sobie tak, że którzy od Krakowa szli, społem namioty rozbijali, Sandomicrzanie przy sobie, Ślązacy, Mazury, Polanie, — każdy obozem swoim. Opola też, do jednego grodu należące, łączyły się do kupy. Niektórzy ludzie rycerscy obyczajem zachodnim u namiotów na wysokich żerdziach chorągiewki i znamiona wywieszali.

Sieciech, nie śpiesząc się wprzód, umyślnie dopiero tego wieczora nadciągnął i, jakgdyby chciał potęgę swą a moc okazać, wystąpił z pocztem ludzi, półtorej seciny liczącym, pod chorągwią własną, z rogami, trębaczami, w jedną barwę przybrawszy cały swój orszak, wśród którego on na koniu dzielnym, w kołpaku z piórem, w pasie rycerskim, z łańcuchem złotym na szyi, w płaszczu książęcym, jechał raźno i wesoło... A dla okazania też, że on tu gospodarzem nie gościem, na łąkę nie pociągnął z drugimi, ani gospody szukał, ale wprost na zamek się obrócił.

W nieprzyjaciołach Sieciecha to wyzwanie i jakby naigrawanie się z nich wywołało gniewy i oburzenie; druhowie milczeli, ciesząc się, iż swojego pewnym być musiał, gdy tak wspaniale występował bez żadnej obawy.

Wojewoda, z konia zsiadłszy dopiero przed królewskim dworcem, naprzód do pana szedł z czołobitnością należną, chociaż wiedział, że go nie zastanie samym, bo mu po drodze oznajmiono, iż arcybiskup, kilku duchownych i świeckich panów już go poprzedzili.

Gdy wojewoda w progu się ukazał, król wobec wszystkich wstał i przeciw niemu poszedł kilka kroków, a objąwszy go rękami z czułością wielką przywitał, aby jawnie okazać, że serca jego i łaski nie utracił.

Z trwogą podniósł ku niemu oczy, lękając się gniewu, lecz Sieciech nadto przebiegłym był, ażeby się z nim wydał przy świadkach. Owszem powitał króla

i przytomnych licem wesołem, jakgdyby chciał okazać, że go niesłusznie oskarżano.

Arcybiskup, nie czekając, natychmiast głośno objawił, z czem przybywali duchowni i świeccy panowie i czego wespół z królem życzyli; wolał zaraz opór złamać i postąpić otwarcie. Wojewoda nie wydał się z tem, co myślał, wysłuchał wniosku, a gdy doń się zewsząd zwracano, rzekł spokojnie:

— Jeżeli najmiłościwszy pan nasz, a ojcowie duchowni wespół z panami ziemiany — widzą, iż dla uspokojenia i ładu w królestwie tem potrzebny jest podział za wczesny — a czemużby się zadość woli pana naszego i ziemian stać nie miało?

Dodał, iż dobrem to nawet znajdował, żeby król za żywota przekonać się mógł, jak się synowie jego do rządów brać będą, ciesząc się ich walecznością i rozumem.

Po tem przemówieniu Sieciecha, który się niczemu nie przeciwił, duchownym i świeckim panom nie pozostało już, tylko nazajutrz uroczyście dokonać tego, co postanowiono.

Król, słuchając Sieciecha, radował się niewypowiedzianie, a gdy ten mówić dokończył, wstał go uściskać, odzywając się, iż na jego opiekę i pomoc dla dzieci najwięcej rachuje.

— Ten to jest — odezwał się, wskazując na wojewodę biskupom i wszystkim przytomnym — ten jest, któremum winien królestwa utrzymanie i bezpieczeństwo; ten jest, który niem za mnie rządził, obraniał je, zbogacił i dał mu zakwitnąć; ten jest, któremu zawdzięczam pokój dni moich, sam nieudolnym będąc i schorzałym. A jako się mną opiekował, tak mam nadzieję, że synów moich z ojcowską pieczołowitością strzec nie przestanie!

Arcybiskup Marcin nie mógł podziwienia swego ukryć, widząc Sieciecha tak na wszystko gotowym, gdy opór się w nim znaleźć spodziewał; spojrzał nań niedowierzająco i rzekł z powagą kapłańską:

— Bogu niech będą Najwyższemu dzięki, iżeśmy wszyscy zgodni, a jedno dobrem widzimy.

U królowej dawnym obyczajem wieczorem stoły były zastawione dla wszystkich, którzy przybyć chcieli. Czeladzi ucztę na podwórcach zgotowano, beczki powytaczano, ustawiono kadzie i cebry; chleby, sery, mięsiwa zalegały ogromne pomosty tak, aby nikt nie odszedł głodny.

Zbigniew wśród tłumu przybywających kręcił się czynny, chcąc sobie u ludzi zaskarbić łaskę, wymową łatwą i słowy dobremi ujmując ich sobie.

Bolko na przekorę jemu dnia tego wyruszył w pobliskie lasy na łowy, jakby się wcale nie troszczył o to, co się gotowało, nie zdając dbać, jak ludzie o nim trzymać będą, albo nadto będąc pewnym. Późno wieczorem, gdy już na obozowisku do snu się zabierano, przeciągnął gościńcem orszak jego wesoły, z psy i sokołami czwałem, objuczony zwierzyną, nucąc śpiew głośny, który się wśród cichej nocy dziwnie rozlegał.

Powybiegali z namiotów ludzie, wiedząc, kto pędził, bo go niektórzy poznali, a chcąc przypatrzeć się temu, co im miał wkrótce panować. Jednego widzieli już i słyszeli, drugiego dopiero teraz zobaczyli, jak się im mignął przed oczyma. I ten ze swą rycerską butą młodzieńczem weselem lepiej im do serca przypadał.

Na widok młodego chłopaka z rozwianemi włosy, z podniesioną głową, z ręką wbok, pędzącego na koniu dzielnie, lica się im rozśmiały. Starym Szczodrego przypomniał, którego, gdy nie stało, wielu po nim wzdychało. Choć po nim krwawe wspomnienia w pamięci były, wielu tych, co z nim wojowali na Węgrzech i na Rusi, miłowali go, jako rycerza, a powszechne mniemanie ludu prostego było, choć mówić nie śmiano, iż za jego miłość dla ubogich, — możni go zgubili.

Ludzie rycerscy, co za króla Władysława najczęściej nie z nim, ale z Sieciechem chodzić musieli na wyprawy, radzi byli dostać króla mężnego za wodza, a pozbyć się dumnego wojewody.

O Zbigniewie już wiedziano, że rozumnym był, ale do włóczni, konia i oręża niezdarnym.

Wojsław, ochmistrz pański, wyszedł na spotkanie Bolka kwaśny, pomrukując.

— Drudzy tu sobie między ziemiany jednają ludzi, a wasza miłość w lesie — rzekł do zsiadającego.

— Bo ja na słowa ludzi nie łowię, a wolę się na wojnie z nimi serca dorabiać! — zawołał Bolko i roześmiał się wesoło.

V.

Dzień zrazu wstał mglisty, lecz wnet srebrna owa zasłona, owe wilgotne rąbki, w które był owity, opadać zaczęły i słońce podnosiło się jasne i wesołe, jakby radując widowisku, jakie miało przed sobą.

Jak świt wszyscy poczęli przyodziewać najpiękniejsze zbroje, najkraśniejsze szaty; kładł na siebie każdy, co miał najlepszego, czeladź występowała zbrojna, a od obozu na podzamczu do grodu na wyżynie dochodziło mruczenie wesołe, jakby roju pszczół, co w ulu gospodarował. Aż zabrzmiał kościelny dzwonek, wołając do Boga przed ołtarz po błogosławieństwo.

Choć niewielka naówczas katedra płocka i trzeciej części zgromadzonych nie mogła pomieścić, szli wszyscy, aby naprzeciw drzwi stanąwszy, choć zdala nabożeństwa słuchać. I król też chory, przez dwóch podkomorzych wiedziony, w odświętnych szatach, czego dawno nie bywało, szedł do kościoła z twarzą wychudłą i bladą, ręką drżącą śląc pozdrowienie tym, co się zbiegli przypatrzeć mu i pokłonić.

Za nim szła w orszaku okazałym dworzan swoich królowa z córkami, z niewiasty swojemi, w przepychu wielkim, którym się lubiła pysznić, w sukni złocistej, w łańcuchach i pasie sadzonym, głowę unosząc dumnie, jakby mówić chciała: — Krwi jestem cesarskiej!

Patrzała zgóry na kłaniających się ziemian, co najmłodszym tylko uśmiechając się. Za nią szedł wojewo-

da wielki, Sieciech, we zbroi złoconej, w sukni szkarłatnej podbitej, co wielu złośliwych oczy zwracało! Witał on pogodnem czołem przyjaciół swych, innych widzieć nie chcąc.

Dalej ciągnął Zbigniew, który też przyodział się wspaniale a cudacko, ogromnemi pióry ozdobiwszy kołpak i miecz sobie przywiesiwszy, który mu zawadzał. Czatował on zawczasu na pochód, aby ubiec Bolka i zająć pierwsze miejsce, które starszemu należało, obawiał się bowiem, aby młodszy go nie uprzedził.

Ten o tem nie myślał, — stanął za Zbigniewem z wesołą twarzą we zbroi lśniącej, po rycersku przybrany, piękny, pewien siebie i nie dbający o to, jakie mu się miejsce dostało. Młodziuchne ogorzałe lico patrzało wesoło, trochę dumnie, lecz dobrotliwie zarazem. Wszyscy za nim wiedli oczyma.

Gdy król, którego biskup Filip z krzyżem i wodą święconą u drzwi kościelnych przyjmował, szedł na przygotowane dla siebie siedzenie, obok którego królowa niższy tron zasiadła, gdy Zbigniew i Bolko stanęli po prawej i lewej ręce ojca, a wojewoda wielki za nim, jakby na straży, a dalej dokoła dwór i co najprzedniejsza starszyzna — arcybiskup Marcin wyszedł w kapie i naprzód pieśń do Ducha Świętego zanucił, która mszę poprzedziła. Sam on też tego dnia w asystencji dwóch pasterzy, krakowskiego i poznańskiego, ofiarę świętą odprawiał, w czasie której królowi niesiono do pocałowania ewangelję, a rycerstwo mieczów dobyło, wedle obyczaju, który niedawno wprowadzony był w polskim kościele.

Zatem po mszy świętej gromadzić się poczęto wprost do wielkiej izby radnej, której drzwi stały otworem, bo się w niej, w sieni i podsieniach ledwie mogła starszyzna pomieścić.

Izba ta była tak skromna i niepoczesna, jak wszystkie w owych czasach, na ten dzień tylko zielonością ją posypano i gałęźmi przy ścianach przybrano.

Dla króla stał w głębi tron, suknem czerwonem obity, a obok niego takiż sam, nie ustępujący mu wiel-

kością, dla arcybiskupa gnieźnieńskiego, który z królem dzielił władzę.

Szeregiem za nim zasiadali inni biskupi, od krakowskiego poczynając z jednej strony, — z drugiej za królem świeccy panowie, na których czele Sieciech się mieścił. U stopni tronu królewskiego stali Zbigniew i Bolko, rzucając na się skośne wejrzenia. Na nich wszystkie oczy były zwrócone.

Młodszy, ulubieniec ojcowski, tak, jak zawsze, miał serca za sobą, powierzchowność sama mówiła za nim; dumna i wstręt obudzająca postawa niezgrabnego Zbigniewa raziła ziemian. Szeptano, przypatrując się, to i owo. Starszy syn królewski władyków nabawiał strachem — patrzał dziko, uśmiechał się złośliwie. Nie wróżono po nim nic dobrego.

Patrząc na króla, którego dwu komorników pod ręce wwiodło i usadowiło, litość brała, tak blady był i drżący, a ręce mu dygotały niespokojnie, gdy na sobie kożuch poprawiał. Oczyma potem powiódł po gromadzie swej, uśmiechając się i zdając się prosić, aby mu miłość wyświadczono.

Głębokie milczenie panowało w izbie natłoczonej, w której miejsca zajęli tylko najprzedniejsi i wiekiem starsi Dalej poza nimi cisnęła się młodzież, domownicy niektórzy, a ze drzwi bocznych wyglądały jedna nad drugą ciekawe głowy dworu królowej.

Arcybiskup rozpoczął modlitwę łacińską, wzywając błogosławieństwa Bożego, przeżegnał i wszyscy przeżegnali się, schylając głowy, — nastało milczenie. Król mówić miał, ale mu spalone usta odmawiały posłuszeństwa i kubek z wodą zaprawną podać mu musiano dla orzeźwienia.

Zwrócił się naprzód ku duchownym.

— Ojcowie miłościwi — począł głosem cichym — ziemianie i władycy mili, mówcie z czem do mnie przybywacie, abym waszej prośbie uczynił zadość — jeśli mogę.

Arcybiskup skłonił głowę.

— Miłościwy królu — rzekł głosem pewnym i śmia-

łym — przyszliśmy do ciebie, aby schorzałemu pociechę i ulgę przynieść, a spokój na najdłuższe lata; ażebyś o ziemie swe się nie trwożył, ani o przyszłe losy, ażali nie byłoby dobrem spadek zawczasu synom wyznaczyć, sporom zapobiegając, sobie pozostawiwszy ziemie i grody, jakie się zda miłości waszej, — na młodych zdać czuwanie?

— Nie dlaczego innego pragniemy tego, tylko, abyś na duszy był spokojnym, siły mógł za przyczyną patronów naszych i orędowników odzyskać, a żyć nam jak najdłużej. Modlić się będziemy wszyscy do Boga miłościwego, do Matki Jego, orędowniczki naszej, do świętych Wojciecha, Wacława i miłego patrona waszego, Idziego świętego...

Szmer potakujący duchowieństwa wtórował arcybiskupowi; skłonili głowy biskupi wszyscy, wielu ziemian podniosło ręce, pochwalając zgodnie, król pochylił głowę i rzekł nieco ośmielonym głosem.

— Dobrem mi się widzi, co mówicie, ojcze mój, ja też tak myślę i pragnę tego. Mówcie, radźcie w imię Boże.

Wysunął się Strzepa, pokłonił królowi, oczy nań zewsząd zwrócono.

Nie wszyscy go znali, poczęto pytać, co za jeden był i szmer się rozszedł po izbie.

— Miłościwy królu — rzekł nieco chrypliwie — dobrem to jest na oko, ale i niedobrem się stać może. Poco masz z rąk swych władzę za żywota wypuszczać? Czy to nam z tobą źle, albo ziemie nasze cierpią na tem? Nieprzyjaciel, z pomocą Bożą, odpierany na każdym kroku, lęka się nas, w pokoju gospodarczym niczego nam nie brak, inobyś nam, miłościwy panie, zdrów był i jak najdłużej panował! Przyjdzie kres od Boga wyznaczony, powoła Bóg dzieci twe, czas naówczas będzie, aby objęły, co im przypadnie. Poco sobie ręce wiązać za życia i zrzekać się tego, co Bóg zlecił!

— Mówię to z serca wam oddanego, miłościwy władyko nasz; wszyscy, którzy cię miłują, nieradzi zmieniać pana...

Za Strzepą wnet niektórzy potakiwać zaczęli, jak wprzódy arcybiskupowi.

— Panuj nam! króluj nam! — odzywali się. Dali Bóg — przyjdzie czas na twe syny, wezmą, co im naznaczone... Żyj nam, panie! Żyj!

Rękę do piersi przykładając, począł król dziękować. Powcli szmer i wołanie przycichły.

— Jeżeli miłujecie mnie, — rzekł Władysław, — oszczędźcież sił moich, bom niezdrów, resztę dni poświęcić chcę Bogu, abym u niego na lepsze zarobił królestwo. Policzone są dni moje, myśl słabnie, ręka drży, przez litość mi zastępców dać trzeba, abym o królestwo był bezpiecznym.

Odezwał się ktoś z tłumu.

— Czuwa nad niem pan wojewoda nasz!

— I czuwać nie przestanie — rzekł król, obracając się ku niemu — ja też patrzeć, cieszyć się i radzić będę, a młodsi niech próbują sił swoich; niech każdy z nich weźmie część przeznaczoną, aby więcej nie pożądał a zgoda święta między braćmi panowała.

Znowu w gromadzie głośno potakiwać zaczęto.

— Czyń, miłościwy królu, jakoś postanowił, czyń! — odezwał się arcybiskup.

Duchowieństwo całe powstało i, jawnie oświadczając się za królem, przechyliło szalę.

Strzepa i ci co z nim szli, zamilknąć musieli; poglądali po sobie frasobliwi i strwożeni.

Król się do synów obrócił.

— Chcę — rzekł — abyście przysięgli przed Bogiem, przed kapłanami jego, ojcami naszymi duchownymi, wobec tych oto ziemian, iż we zgodzie i pokoju rządzić będziecie.

Zbigniew i Bolko, powołani, zbliżyli się do ucałowania ręki ojcowskiej i złożenia przysięgi, którą arcybiskup miał przyjąć, naprzód słowy serdecznemi do zachowania jej pobudzając.

Znowu począł mówić król, do zgody namawiając i podnosząc świętość przysięgi, a obróciwszy się do arcybiskupa żądał, aby to w księgach zapisanem zostało,

co się dnia tego postanowi. Zbigniewowi wolą króla wyznaczone było Gniezno i Poznań, a po zgonie króla Mazowsze (ziemie, które składały diecezję o Marcina); Bolkowi przypadł Kraków, Sandomierz i Wrocław, to jest przedniejsza część królestwa.

Władysław kończył głosem drżącym, a zwróciwszy się do Bolka ze łzami w oczach, w głowę go pocałował i uścisnął.

I podział i ta oznaka miłości ojcowskiej wzburzyły krew w Zbigniewie, który bladł i kraśniał, oczy spuścił upokorzony, nie rzekł nic, do ręki ani do kolan ojca się nie zbliżył — stał się słupem martwym. Bolko upadł na kolana i nogi króla całował.

Milczenie dziwne panowało w izbie — ludzie spoglądali po sobie. Nie wszyscy byli radzi z podziału, osobliwie ci, co się Zbigniewowi dostali. Nierycerskiemu człowiekowi przypadała obrona granic, najbardziej zagrożonych; a ów wzrok przeszywający, wilczy, przyszłych poddanych napełniał trwogą.

Wszystko więc na oko było dokonanem, gdy wielki wojewoda, który napozór obojętnie słuchać się zdawał, podniósł oczy. — Oczy jego druhów podniosły się nań ciekawie. Wiedziano, że on tu w istocie panem był, królem władał i posądzano go nawet, że w swoich widokach podział ten zgotować musiał, nie dając tego znać po sobie.

— Miłościwy królu — głosem pełnym i swobodnym począł wojewoda — gdyście rozporządzili królestwem swem wedle woli swej, słudze wiernemu słowo pozwólcie powiedzieć.

— Wiele się uczyniło, a nie dosyć. Było to państwo oddawna nierozdzielnem, choć więc teraz dwu panów mieć ma, jeden z nich głową być musi — przy jednym zwierzchnia moc zostanie.. Któryż z dwóch ma ją mieć?

Król spojrzał nań oczyma błagającemi litości. Ciosem dlań było to pytanie, zmuszające do wybrania jednego, do upośledzenia którego z synów. Długo czekano, aby się Władysław zebrał na odpowiedź.

— Zaprawdę — rzekł król nieśmiało, wahając się. — Stary jestem, niedołężny, widzę, co dziś jest, co jutro się stanie odgadnąć nie mogę. Dzielę ziemię, ale wybierać jednego z dwu, gdy oba mi równo mili, nie chcę i nie mogę. Któż wie, jak Bóg z nimi postanowi, któremu z nich da moc? — Jedno rzeknę: — po mej śmierci wybierzcie sobie tego, który dzielniejszym rycerzem, obrońcą i opiekunem ziem tych będzie. Wam to zostawiam.

Złożył ręce król i zdawał się modlić.

— Gdyby się Bogu podobało ukarać mnie, a obu im nie pobłogosławić, gdyby się waśnili z sobą, z nieprzyjacioły się wiązali na zgubę państwa — niech odpadną od działów, niech im rządy będą odebrane, — niech... król dla łez dokończyć nie mógł.

Komornicy znowu musieli nadejść i ująć go, aby do kościoła na hymn dziękczynny prowadzić.

Wkrótce potem, co żyło, cisnęło się na zamek, gdzie stoły otwarte czekały. Bolko poszedł z ojcem do jego izby, bo stary spoczynku potrzebował. Zbigniew zniknął.

Zamiast przyjmować powinszowania i pokłony ziemian, którzy do jego dzielnicy należeli, — poszedł za skinieniem Grety, która z za drzwi znak mu dała, iż mówić z nim chce pilno.

Śmielej niż kiedy przedarł się do komnaty Niemki, do której dobrze znał drogę. Czekała już nań strojna, niecierpliwa, nauczona pewnie, co mówić miała.

— Winszować waszej miłości! — rzekła szydersko z pokłonem przesadzonej pokory — a! winszować!

— Dali mi gorszy ochłap kraju — odezwał się gniewliwie Zbigniew — tak... ale ja cały mieć będę! Bolko sobie próżno tuszy, że z Krakowem nade mną przewagę otrzyma!

— Któż to wie? — odparła żywo Greta. — Wszystko być może, jeżeli wy sobie poczynać tak będziecie, jak dziś, nie po królewsku, a jak dziecię, co się nadąsa. Przez cały czas patrzałyśmy z królową na was; jawnie srożyliście się na brata, rzucaliście nań oczyma, jak-

byście go wyzywali. Toć mądra rzecz nieprzyjacielowi zawczasu oznajmywać — strzeż się, a pilnuj, bo oto rzucą się na cię!?

Uśmiechnęła się biała panna i uderzyła w czoło.

— Kto chce podejść, a obalić — rzekła — ten całuje i ściska, droży się i zbliża, aby tajemnicę posiadł, a zemstę miał łatwą!

Zdziwiony Zbigniew spojrzał na nią z pod brwi zachmurzonych

— Tak uczynię, — odparł Zbigniew — rozumne słowa wasze.

Szeptać coś potem poczęli pocichu, ale już nie o Bolku i o sprawach wielkich, — zapewne o sobie. Greta się czerwieniła, gniewała, opierała zrazu, spuszczała oczy, uległa naostatku, podali sobie ręce i Zbigniewa twarz rozjaśniła się weselem.

Aż do komnaty ustronnej dochodził gwar i śmiechy biesiadujących. Niemka nastawała, aby Zbigniew szedł na swe miejsce i odegnała go od siebie.

Królewicz pośpieszył od niej do króla. Tu zastał arcybiskupa, wojewodę i Bolka, zgromadzonych około znużonego starca, któremu podczaszy wino podawał, aby nieco siły pokrzepił.

W progu już Zbigniew rozjaśnił czoło, przybrał wesołą twarz. Szedł naprzód ojcu dziękować, który go pocałował w głowę, potem arcybiskupowi, poddając się jego opiece i zwierzchnictwu i prosząc o radę, nakoniec zbliżył się do Bolka, stojącego na uboczu, wyciągnął doń rękę, uścisnął go napozór gorąco i serdecznie. Wszystko to wykonał królewicz zręcznie, nie dając poznać po sobie fałszu.

Bolko, choć wstręt miał do brata i od Santoka się doń nie zbliżał, łatwo dając się ująć sercem, zapomniał o przeszłości, oddał uścisk i rad był, że do zgody powracali.

— Miłujcie się, a wspomagajcie nawzajem — rzekł arcybiskup — obu wam z tem będzie bezpieczniej i dla ziem waszych lepiej. Niech braterskiemu przymierzu Bóg błogosławi!

Sieciech spojrzał zdala na te objawy czułości, twarz mu się nieco skrzywiła, lecz wprędce, gdy król nań oczy zwrócił, uśmiechał się już, zdając się być uradowany.

Bolko, którego równie łatwo było pozyskać, jak rozdrażnić, prędki we wszystkiem nad miarę, gorący, poddający się pierwszemu wrażeniu — pochwycił Zbigniewa pod rękę i razem z nim wyszedł z komnat ojcowskich.

W podwórzu pełno było ludu, tłumy wszędzie. Usiedli na ławie w przedsieniu, aby być sami.

Zbigniew pośpieszył z zapewnieniami pojednania.

— Od tego dnia — rzekł — będę ci druhem i bratem wiernym. Chcę się od ciebie uczyć rycerskiego rzemiosła, choć młodszym jesteś. Razem iść będziemy, razem z nieprzyjacioły wojować, nic jeden bez drugiego nie czynić.

Bolko go uścisnął powtórnie i począł z uczuciem gorącem:

— Przysięgam ci, dochowam wiary, znajdziesz we mnie brata i przyjaciela. Zdrady ani serce, ani usta moje nie znają. Co czynię, to otwarcie i szczerze!

Zbigniewowi na słowach i zaręczeniach wymownych nie zbywało, ponowił poręki i oświadczenia miłości.

Mówili z sobą serdecznie, a Bolko, który wylewał się łatwo, po krótkiej rozmowie czuł się z nim jak ze starym druhem zaufanym.

— Pośpieszyłeś się, bracie — rzekł po chwili — i jużeś sobie ładną Niemkę pozyskał z dworu królowej. Mówią o tem wszyscy!

Zbigniew się nie zapierał, śmiał się triumfująco.

— Gładkie liczko cię uwiodło, — mówił młodszy,— lecz gdybyś mnie chciał posłuchać tak rychło, jakeś ją wziął, radziłbym porzucić!

— Dlaczego? — spytał Zbigniew.

— Dziewczyna płocha i przewrotna — mówił Bolko. — Słyszałem od ludzi, że już miłośników miała wielu, a nikt cały od niej nie wyszedł. Zła jest, jak

żmija, choć jak niewinne dziecko wygląda. Najpierwsza rzecz, którą się będzie starała uczynić, to, że nas z sobą zwaśnić zechce, bo mnie nie cierpi i pomścićby się rada.

— Za co? — wtrącił Zbigniew.

Bolko się nie chciał tłumaczyć.

— A! babskie sprawy — odparł, — nierycerska rzecz tem się zaprzątać.

— Nie boję się też ja lada dziewki — rzekł Zbigniew, — bo nad sobą kądzieli panować nie dam.

Ze mnie gruba ryba, na wędę mnie nie wziąć. Ani ona, ani królowa, ani nikt nie uczyni ze mną tylko to, co ja zechcę. Nie weźmie mnie ani niewiasta, ani chłopiec, ani nawet duchowny żaden! Rycerzem, jak wy, nie jestem, ale się z książek trochę rozumu nauczyłem i wiem, jako ludzie źli są, a jako z nimi chytrym być trzeba.

Zdradził się nieco królewicz tą mową, lecz Bolko mało zważał na nią.

— Przebaczone ci, że rycerzem nie jesteś — rzekł.— boś w sutannie i klasztorze nie mógł nim zostać. Ale teraz musisz nim być, nie chcesz-li wpaść w ręce jakiego wojewody i mir stracić u ziemian twoich. Siłę masz, na męstwie ci nie zbywa — poczynaj, a śmiało!

Zbigniew chytrze mu dziękował.

Ujęli się więc znowu za ręce, i aby okazać wszystkim, jak wielką miłość ku sobie mieli, poszli razem ku stołom, około których ziemianie i władykowie zasiadali.

Mijali Marka, gdy zbyt otwarty, a szczery Bolko szepnął bratu.

— I tego ulubieńca waszego radziłbym precz wygnać.

— Co macie przeciw niemu? — zapytał ciekawie starszy.

— Patrzę i słucham, jak to zwyczajnie na dworze — mówił Bolko. — Widzę, że rycerskiej sprawy dużo ma na języku, a w ręku niewiele; słyszę, że pota-

jemnie się z Sieciechem zna, po nocach do niego chodzi i na was donosi.

Królewicz słuchał; przestroga go poruszyła.

— Bracie — odparł, stając — coście się uwzięli poodpędzać ode mnie co najmilsze mi i najpotrzebniejsze. Przed chwilą Gretę mi odradzaliście, teraz i Marka. Ten łotr służy mi jako pies wiernie.

— I jak sobaka cię potem pokąsa — dokończył Bolko. — Znajdziecie ludzi między swymi Mazurami i Gnieźniany, osiadłych ojczyców, z tych wybierzcie jednego. Dobrze wam życzę i radzę, jak sobie.

— Jam sobie jeszcze drużyny zebrać nie miał czasu — począł Zbigniew. — Sobiejuchę, jak psa, na postronku trzymać będę, a Gretę... porzucę, gdy mi się uprzykrzy. Teraz mi ona miła, bo dziewka wesoła i obrotna, potem!!...

Zbigniew pogardliwie ręką rzucił i roześmiał się.

Bolko mu długo w oczy patrzał.

— Prawda to — rzekł — żeśmy się inaczej chowali: ja na koniu i w lesie, ty w klasztorze, ano, inną mamy naturę. Ty lubisz zabawiać się z dziewką i błaznem, jak Marek — ja nie. — A bracie, chciałbym być do wielkiego Bolka podobny, granice ziem zatknąć daleko, aby je cesarze i królowie szanowali i drżeli przede mną!

Bolko mówił z zapałem wielkim; Zbigniew pobladł — słuchał tej mimowolnej spowiedzi młodzieńczej i uląkł się jej.

— Ja — rzekł zcicha i skromnie — nie chcę nic, jeno mój dział utrzymać i żyć w pokoju.

— W pokoju! — pochwycił Bolko. — Spytaj, czy ci go Pomorcy dadzą? Mężny to lud, niespokojne plemię, srogie, okrutne, przebiegłe, ale dobrze z niem, bo nam zgnuśnieć nie dadzą; podbić ich potrzeba, nie wiem, krzyżem czy mieczem, nawrócić i zagarnąć, abyśmy morze mieli, brzeg swój i na cały świat drogę! Bez niej tośmy jak obmurowani w więzieniu. Jeśli się nie nawrócą, choćby ich wytępić przyszło — morze nam potrzeba mieć lub nie żyć! Naówczas statki i czółna bu-

dować będziemy i z rycerzami puścim się nowe ziemie zdobywać! w daleki świat!

Mówił, pałały mu oczy, drżał cały; postać jego rozogniona stała się tak piękną, wspaniałą, że Zbigniew małym i słabym uczuł się przy nim. Zazdrość ukąsiła go w serce, usta wykrzywiły się niby uśmiechem, a żółć i gorycz uczuł na nich.

— Zdradziłeś się — rzekł w duchu — chce ci się panowania nad światem... Jeden z nas dwu ustąpić musi — ty, albo ja!

Bolko otwarcie mówił mu: bądź silnym, panuj, będę ci posłusznym.

Zbigniew myślał w duchu: zgiń, abym ja się wyniósł.

VI.

Po gwarnych dniach wiecowych, wkrótce na płockim zamku pożądana dla króla nastała cisza. Zbigniew odciągnął do Gniezna, Bolko ruszył do Krakowa i Wrocławia, przy królu jeden Sieciech pozostał, schorzałego starca piastując niemal jak dziecię, a czyniąc z nim, jak z dziecięciem, co pragnął.

Ze dworu królowej w tym czasie zniknęła Niemka, Greta, a Judyta mocno po niej tęskniąc i ręce łamiąc, okazywała, jakby wcale nie wiedziała, co się z nią stało. Uskarżała się na tę stratę przed królem, a Władysław rzekł, że jako ją dosyć płochą zawsze znał, sądzi, iż w wielkiej ludzi gromadzie, co na wiecu byli, któremu w oko wpaść musiała, a ten ją sobie zmówiwszy, pochwycić musiał i uwieść.

Nie było to wszakże tajemnicą dla innych, iż w zwartym orszaku, który Zbigniew, nocą z sobą ujeżdżając, prowadził, znajdowała się między dworem niewiasta z twarzą osłonioną, z której młodzież żarty nieprzystojne stroiła, a ona im po niemiecku, łając, odpowiadała.

Nadeszła zima, wiosna i Sieciech znowu cierpliwie

czekał zręczności, aby myśli swe wykonać bezpiecznie. Nie wiodło mu się. Brakło powodów do zaczepki, do napaści, do zwaśnienia. Królowa się niecierpliwiła zwłoką, trzeba było począć coś, aby koniec przyśpieszyć.

Pod okiem króla spiskować nie mógł tak swobodnie, duchowieństwo było mu w znacznej części nieprzyjazne; zjechał więc do dziedzicznego Sieciechowa swojego, gdzie panem był i na przyjaciół dokoła mógł liczyć. We wszystkich też ziemiach miał sojuszników wiernych dotąd, którzy mu o wszystkiem donosili i czekali rozkazów.

Był już Sieciechów naówczas grodem warownym, na którym pańskie dworce i opactwo benedyktynów na jednem się niemal podwórcu mieściły. Od czasów Chrobrego mnożyła się tu chwała Boża pod osłoną grodziska mocnego, które pokój zabezpieczało.

Sieciech też dla własnego bezpieczeństwa umocował był jeszcze zamczysko nad Wisłą, wałami je silniejszemi obsypał, tynami potężnemi otoczył i trzymał tu wybraną załogę, bo choć w kraju panem był, knując sam zdradę — wrogów się lękał i pokoju nie miał.

Budowy opactwa i zamkowe graniczyły z sobą. Sieciech, królewskie nadania dla benedyktynów pomnożywszy, obdarzając klasztor ciągle, z opatem i przełożonymi będąc w związku statecznym, przez zakonników wiele mógł wiedzieć i działać. Mnisi mu byli przychylni, żyjąc niemal chlebem jego.

Miał Sieciech, jak naówczas wielu możnych panów, żonę z Rusi, kniazia córkę, która mu znaczne wniosła bogactwa. Tę na zamku swym chował i syna wyrostka, który przy matce i pod opieką księży rósł, zawczasu się przysposabiając nauką wszelką do świetnego losu, jaki ojciec miał mu zgotować. Kształcono go na rycerza zarazem i na człowieka, coby drugim rozkazywać umiał.

W Płocku siedział ten, co się jeszcze królem nazywał, ale w Sieciechowie wojewoda królował, na całą ziemię wyciągając ręce, niebardzo zważając na mło-

dych panów, którym bujać dawał do czasu. Patrzał zdala, co robili.

Gdy Bolko, zasiedziawszy się w Krakowskiem i na Śląsku, począł sobie coraz bardziej jednać ludzi i swobodniej poczynać, donoszono o tem wojewodzie, i Sieciech dłużej już ścierpieć tego nie chciał. Młody królewicz groźnym się stawał.

Król chorzał i słabł coraz bardziej; trzeba było coś począć i kości rzucić, nie czekając dłużej. Wojewoda przybył w tej myśli do Sieciechowa, przez posły tajemne powoławszy zaufanych ku sobie.

Wieczorem dnia letniego, gdy Sieciech na zamku sam jeszcze był, a stęskniona po nim żona, przyjmując go, frasowała się, iż przybył jej ponury, nie przyniósłszy z sobą do domu wesela, oznajmiono Strzepę, który był prawą ręką wojewody.

Ów Strzepa wyrósł z niego, jemu winien był wszystko, lecz też szyję za niego dać był gotów. A był to człek, co się niczego nie wzdragał, ani pokłonić, ani uniżyć, ani porwać i zabić, ani zdradliwie zaskoczyć. Takim zawsze był, jakim go pan mieć chciał. Dał mu Sieciech siostrę w małżeństwo, majętności z nią, a do nich obiecywał jeszcze więcej. Siostra ta wprawdzie niemłodą już była, twarzy niepięknej, humoru niemiłego, ale ona wiązała go z Sieciechem, a wojewoda panować miał i kraj cały pod siebie zagarnąć.

Zdawna to już obmyślonem było, jak i to, że wojewoda żonę swą rzucić miał, aby wdowę po królu, siostrę cesarską, poślubić.

Gdy Strzepa przybył, choć doma wszystkich Sieciech zdawał się być pewnym, wnet z izby precz wyszli na wał, nad Wisłę, aby się tam naradzali swobodniej.

Strzepa choć bratu, jako panu się do kolan kłaniał. Sieciech dumny, już się czując niemal królem, hołdy te jako należne od niego przyjmował.

— Strzepa — odezwał się na wały wyszedłszy i po okolicy się z nich rozglądając — czas nadszedł, pora coś poczynać.

— Myśmy też wpogotowiu — odparł przybyły. — Rozkazujcie, co czynić mamy?

— Zbigniewa się nie lękam — począł wojewoda. — Bolka się pozbyć potrzeba. Rośnie, mężnieje i strasznym stać się może. Porywczy i zapalczywy jest, pójdzie z nim łatwo!

Zdawali się naradzać, patrząc sobie w oczy, aż Strzepa się odezwał:

— Cóż! Ludzi nań nasadzić, gdy na łowach będzie — krótka sprawa.

Mówił zimno i obojętnie, jakby o małą rzecz chodziło.

— Bez ludzi się nie obejdzie — odparł Sieciech — niełatwo mu podołać. Ludzie języki długie mają, wyda się zdrada i rzucą ją na mnie. Nie można.

— Lepiej wiecie, jak czynić — przerwał Strzepa— przykazujcie. Zrobi się, jak zechcecie.

Wojewoda, obejrzawszy się, zbliżył się doń, jakby tu nawet, gdzie byli sami i żadna żywa dusza dokoła się nie ukazywała, nie czuł się jeszcze bezpiecznym, lękał się podsłuchania i zdrady.

— Bolka na Czechów wyprawimy — rzekł. — Granica tam nie śpi, najeżdżają ją ciągle, król na nas czyha. Nie brak powodu do wyprawy. Puścimy posłuchy, że na nas chcą zrobić wycieczkę, Bolko pójdzie otoczon naszymi, pójdziesz i ty z nim.

— Pójdę! — rzekł krótko Strzepa.

— Weźmiesz co najpewniejszych, Halkę, Strzegonia, Żużłę, Zaboja — kogo wybierzesz, w lasach czeskich napotkacie pewnie jaką gromadę rabusiów, Bolko się zapędzi za nią — wówczas wasza rzecz, żeby zginął! Nie powie nikt, że z ręki waszej, — na to Czechy są!

Strzepa pomyślał nieco.

Stanie się, jak postanowicie, — rzekł. — Trzeba będzie jednak oderwać go od drużyny. Chłopcy młode, zażarte w boju, czujne, na krok go nie odstępują.

— Bolko, gdy zoczy nieprzyjaciela — nic go nie wstrzyma — mówił Sieciech. — Wasza rzecz odwró-

cić drużynę i rozerwać ją... Gdy się sam jeden zapędzi w lasach, któż wie, jak zginąć może? Czechów nasadźcie!

— Czechów nam nie potrzeba — odparł chmurno Strzepa, — zasadzkę uczynimy pewną. Pomówcie jeno z innymi, abym sam nie był.

Zwołałem ich wszystkich — cicho rzekł wojewoda — z tamtymi wszakże, jak z tobą, mówić nie chcę. Twoja sprawa zagaić z nimi.

Spiskowcy wszyscy zjechać mieli tegoż wieczora do Sieciechowa; jakoż przybył wkrótce Strzegoń, po nim Żużła i Halka, a wkońcu Zabój, którego Żelaznym nazywano.

Po królewsku gości i czeladź ich przyjmowano, gospodarz ochoczo zabawiał ich, a gdy do wieczerzy zasiedli sami, bo Juljanna, żona Sieciecha, nie pokazywała się wedle ruskiego obyczaju, czeladzi precz odejść kazano i wojacy przy dzbanach wina i miodu poufną rozmowę poczęli.

Wszyscy ci dowódcy byli z dziecinnych lat zakuci w zbroje, nawykli do rozlewania krwi, lekceważenia własnego i cudzego życia.

Na wszystkich Sieciech, jak na Strzepę, mógł rachować, tak sądził przynajmniej.

Wojewoda zajmował miejsce w końcu stołu na krześle podniesionem, po monarszemu prawie; po obu stronach jego siedzieli Strzepa, Strzegoń, Żużła, potakując śmiechami, Halka, który pił i milczał, i Zabój z bystrem wejrzeniem; w głowach ich już wino i miód wesołe myśli rodziły.

— Cóż Strzegoń, ty stary, z młodego pana rad jesteś — spytał wojewoda.

— Ja go zdala widzę tylko, dzieciak to jeszcze — odparł siwy wojak, — ale krew dawnych Bolków w nim się odzywa. Jak nie zginie zamłodu, wojak z niego dzielny będzie.

Niebardzo się ta pochwała podobała Sieciechowi; zamilkł i spojrzał pytająco na Żużłę.

Ten się rozśmiał.

— Za wcześnie się rwie i poderwie się, jak młody koń, — rzekł, głową potrząsając; — nadto gorący.

— Ja też tak myślę, — potwierdził Sieciech.

Halka popatrzał, rękę ogromną namuloną do kubka wyciągnął, białka mu w oczach łysnęły, wąsa potargał. Zabój Żelazny rozśmiał się.

— Co tam o tych wróblach gadać, kiedy my orłów mamy, — zawołał, wskazując na Sieciecha, — nie trzeba nam młodych wodzów, dawni starczą.

Wojewoda, jakby nie słyszał, odezwał się.

— Król nam coraz gorzej niedomaga; chory jest, życie z niego ucieka, jak na dwu przyjdzie królestwo, rozchwycą je sąsiedzi.

— Dwie głowy, — dodał Strzepa, — to gorzej, jak żadna...

Nikt nie przeczył; Sieciech powstał z siedzenia, drudzy za nim ruszyć się chcieli, dał im znak, aby pozostali, okiem rzucił na Strzepę, wskazując mu, że pora nadeszła i wyszedł z komnaty.

Gdy drzwi się za nim zamknęły, obejrzał się Strzepa.

— Między swymi jesteśmy, — odezwał się, — czas podobno co poczynać! Sieciech nam panować powinien, nie kto inny. Nim król umrze, trzeba, jeśli nie obu, — jednego się królewicza pozbyć!

Nikt się nie myślał sprzeciwiać.

— Jak nasz pan wojewoda zostanie sam, — mówił dalej, — mogę zaręczyć, że każdemu ze starych sług swoich tyle nada ziemi i lasów i osadników, iż go możnym na wieki uczyni. Nie kto z nim panować będzie, tylko my.

Jeden Strzegoń siwy milczał jakoś i nie dawał znaku żadnego; obrócił się ku niemu szwagier Sieciecha.

— A wy co na to mówicie?

— Ja? Albo to wątpicie, że pójdę, gdy mi każą? — rzekł Strzegoń. — Widzicie, żem posiwiał w służbie, a nigdym od wodza nie odstał.

Rozmowa tak rozpoczęta, coraz się cichszą stawać zaczęła i poufniejszą; wszyscy ponachylali głowy i słuchali Strzepy, który głosem stłumionym nieco, ale wyraźnym opowiadał coś i tłumaczył. Potakiwano głosami i uśmiechami.

— Tymczasem — głośniej odezwał się Strzepa, — trzeba, aby jeden z naszych przy nim był, aby mu się w łaski wkupił, radził i prowadził. Chłopiec, jak ogień, byle na łowy i wojnę — poleci w ciemną noc, gotów samotrzeć na półsotka. Sprawą tego, kto do niego przystanie, aby go zaprowadził, gdzie potrzeba.

Na was nie padnie poszlak żaden — mówił, zwracając się ku Strzegoniowi. — Wyście starzy, pamiętacie Bolka Szczodrego. Młody królewicz słuchać o nim lubi, łatwo się do was przywiąże, pokocha. Jak nie wy, to nikt!

Strzegoń, który oczy miał w stół wlepione, nie rzekł ani tak, ani nie. Bębnił po drzewie palcami, słuchając, jakby się to go nie tyczyło.

— Pójdziecie z waszym oddziałem pod Wrocław,— mówił Strzepa. — Staniecie tam z rozkazania króla i wielkiego wojewody przy królewiczu. W kilka dni, jak on do wszystkiego ochotny i prędki, za serce go chwycicie.

Na te słowa wszedł Sieciech i rozmowa się zwróciła inaczej.

— Mnie się widzi — odezwał się do niego Strzepa, — że Strzegonia z pułkiem zawczasuby królewiczowi posłać było potrzeba. Gdy iść przyjdzie, będzie ludzi miał wpogotowiu. Pod Wrocławiem wykarmić się łatwo.

Szwagrowie w oczy sobie popatrzyli; Sieciech na siwego dowódcę spojrzał i rzekł:

— Tak radzicie?

— Tak my uradzili społem — odezwał się Żużła.— Niema między nami drugiego, coby królewiczowi mógł lepiej usłużyć.

To mówiąc, rozśmiał się; Sieciech nie dał poznać, że rozumiał, o co chodziło, i po namyśle dodał:

— Jeżeli Strzegoń gotów — czemu nie — niech idzie.

— Ja idę, gdzie mnie posyłają, nie przebieram — rzekł Strzegoń. — Żołnierz zna wodza tylko, a woli swej niema.

Tak się skończyła narada.

Sieciech odpuścił swoich, po kubku jeszcze na sen im dając wina, gotowanego z korzeniem. Pokłonili się wszyscy i rozeszli na nocleg; jedni do dolnej izby na zamku, inni dla gorąca pod swoje namioty, — inni znów do ojców do klasztoru.

Strzegonia, gdy już miał odchodzić, Strzepa za rzemyk od kaftana pociągnął i zatrzymał, poczynając mu coś szeptać na ucho.

Znali go, że na starość skąpym się stał, a chciwym do zbierania złota. Zręczny Strzepa ująć go chciał zaraz i odezwał się, że na dwór królewiczowski jadąc, wystąpić trzeba było przystojnie, więc łańcuch sięby zdał na szyję. Strzegoń miał wprawdzie stary, lecz niepoczesny.

Poszedł pośrednik do wojewody i wprędce powrócił, niosąc łańcuch ciężki, piękny, a prócz tego kubek misternej roboty.

Staremu, gdy chował te dary, aż się oczy zaśmiały.

— To wam pan wojewoda przysyła — rzekł Strzepa — bezliku. A jutro z podarków, dla wszystkich przeznaczonych, swoją część odbierzecie. Od was najwięcej zawisło. Trzeba, żeby królewicz wam zaufał. Za serce go weźmiecie, o bitwach mu opowiadając. Okażecie mu miłość, to ją wam odda w trójnasób, bo taki on jest.

Strzegoń słuchał uważnie, ale mówił niewiele; zdało się więc nauczycielowi, że mu w pamięć wrazić potrzeba to, czego po nim wymagano. Poprowadził go z sobą na wały, a że noc piękna była, księżyc przyświecał, skwar ustał, przechadzali się jeszcze.

— Jako wasz druh, ostrzec was muszę — mówił Strzepa — czego należy unikać, a co robić. Zbytnio się z miłością dla pana wojewody nie chwalcie, ani okazujcie mu, że mu we wszystkiem jesteście podlegli, toby ich od was odstręczyło. Lepiej choćbyście czasem i plunęli na nas, mruknęli, a stęknęli. Za to was kochać będą! Królewicz go nie lubi, Magnus mu zazdrości i lęka się, a co przy nich jest — wszystko nasze wrogi! I wy też w to grać musicie.

Strzegoń głową potwierdził. Rad nierad musiał słuchać do zbytku długiej nauki, którą Strzepa nie jeden raz powtarzał, i jeszczeby może nią nękał starego żołnierza, gdyby kury piać nie zaczęły i dzwonek do chóru nie odezwał się w klasztorze. Dopiero go odpuścił.

Nazajutrz przez dzień cały pojedyńczo wołał do siebie wojewoda zebranych dowódców i umawiał się sam na sam z nimi. Przyjmowano ich gościnnie, obdarzano, pojono i karmiono, a wielkie obietnice na przyszłość czynił Sieciech i Strzepa.

Trzeciego dnia okrytych sukniami kosztownemi, opatrzonych we zbroje nowe, odpuścił dopiero wojewoda, zapewniwszy się, iż wolę jego spełnić są gotowi.

Po odjeździe dowódców, gdy jeden Strzepa pozostał, w obecności opata benedyktynów, którego z wielką czcią na dworze przyjmowano, właśnie, gdy siedzieli na rozmowie, nadbiegł posłaniec pilny, jakoby od czeskiej granicy,

Wobec gości tych, dworu i mnóstwa czeladzi, goniec sprawił swe poselstwo, donosząc, że z nad granicy czeskiej wiedziano na pewno, iż napad na Śląsk się gotował. Przysłany był z tem, aby się co najrychlej do odparcia obrony miano, siły gromadzono, gdyż Czesi na Wrocław się sposobili.

Wieść ta, rzucona tak jawnie, popłoch sprawiła wielki.

Chory król, którego nie oszczędzano, zafrasował się i zatrwożył mocno o dzielnicę Bolkową i ukochanego syna. Wysłał po Sieciecha i czekał nań, jak na zbawcę.

Nadjechał wojewoda tak pożądany, a nim zbroję podróżną zdążył złożyć z siebie i przyodziać się, już komornicy króla biegli, aby ku niemu pośpieszał. Słaby król w obawie niewysłowionej bronił się modlitwami; nakazano nabożeństwo po kościołach na odwrócenie niebezpieczeństwa.

— Zbawco mój! — zawołał król do wchodzącego. — Śpiesz na ratunek! W tobie nadzieja! — Śląsk i Bolka ratować trzeba co najrychlej!

Wojewoda mógł dobrze w pańską myśl ugodzić, zarówno rozdrażnić go i ułagodzić. Królowa pomagała skutecznie i zwolna chory do zwykłego wrócił stanu. Jak trzcina za wiatrem chylił się, gdzie chciał wojewoda.

Z obawy o ukochanego Bolesława z początku król chciał się kazać Zbigniewowi do niego przyłączyć. Byłoby to popsuło wszystko i utrudniło zasadzkę; Sieciech więc starał się przekonać Władysława, że od pomorskich granic sił nie można było odciągać, a to, co Bolkowi posyłano starczyło na zwycięskie Czechów odparcie, bo ci się nie spodziewali zastać Polaków gotowych.

Zbigniew, choćby wiedział o niebezpieczeństwie brata z pomocą dlań pewnieby się był nie kwapił.

Życie w Gnieźnie gnuśnie się wiodło; królewicz o nic nie dbał więcej, krom wspaniałości i blasku, jakim się otaczał. O rycerskich sprawach myśli, ni mowy nie było, a choć dla oka sprawiano zbroje, zbierano konie, psy i sokoły, Zbigniew ani się spytał o nie, chyba, gdy miał występować i cały tabor ten za sobą dla okazania swej potęgi i wielkości prowadził.

Resztę czasu spędzał z lada kim, byle mógł się z wymową i rozumem popisać, znalazł, ktoby go słuchał i potakiwał, a chwalił.

Mało kto rad był z tego pana. Szemrali władycy, arcybiskup tylko bronił go, bo przed nim układać się musiał, obiecując, że z niego człowiek urośnie do rządów i państwa obrony.

VII.

Bolko przemieszkiwał najczęściej we Wrocławiu, razem z Magnusem. Godzili się z sobą dobrze, bo wojewoda, człek wojenny, rycerskiego ducha, serca otwartego, rad był zawczasu królewicza przeciwko Sieciechowi, nieprzyjacielowi swojemu, sposobić i uzbroić. Młody pan coraz bardziej za serce go chwytał.

Wojsław, ochmistrz królewicza, który ostatniemi czasy nie na wiele się już przydał Bolkowi, bo ten mu się wymykał na swobodę, zachorzawszy w Płocku, do Wrocławia za nim podążyć nie mógł. Być może, iż z Magnusem obcować niebardzo sobie życzył, a namiestnik, widząc w nim powinowatego Sieciecha, nie dowierzał mu i nie lubił go.

Jednego dnia, gdy słota się zawzięła uparta, a na łowy i gonitwę wybrać się nie było sposobu i Bolko od okna do okna chodził, narzekając, wpadł ulubieniec pański, Prószynka, i zawołał:

— Stary Strzegoń z pułkiem tu przyciągnął, nie wiem z czyjego rozkazania. Czeka na miłość waszą, prosząc, aby się mógł pokłonić.

Bolko widział go kędyś dawniej, ale znał mało; rad mu był i odezwał się:

— Dawaj go tu, na słotę i Strzegoń dobry!

Prószynka wprowadził zaraz starego wojaka, którego siwe włosy przypominały Bolkowi dawne czasy, a o tych rozmawiać lubił.

— Dawno już musicie we zbroi chodzić? — zapytał

— Ze Szczodrym w Kijowie byłem zamłodu — odpowiedział Strzegoń.

— Toście dla mnie gościem miłym — rzekł — Bolko, o królu tym i o jego wojnach powiedzieć coś będziecie mogli. Nieprawdaż, że Bolko sławnym był bohaterem? Wy, coście go znali i chodzili z nim, wiele o nim wiedzieć musicie. Zapalczywym był, prawda — ale serca złego nie miał.

Tak się poczęła znajomość i rozmowa ze Strzegoniem, którego młody pan zaraz posadził na ławie, miodu dlań przynieść kazał i gościnnie zabierał się przyjmować.

Co się ze Strzegoniem stało, sam on może dobrze nie wiedział, poruszyło się w nim coś, krew oblała mu twarz. Głos świeży i wesoły młode czasy mu przypomniał, a Bolko sam — owego zuchwałego wojaka, którego on kochał.

Zmieszał się stary. Gdyby był mógł, szedłby precz, sromał się w duszy tego, z czem przybywał.

Przyjęcie królewicza było serdeczne i ujmujące; umiał poszanować starego, napierać mu się zaczął powieści, jak to tam było na Węgrzech, jak na Rusi, jak po powrocie z Kijowa, i jak ów mężny król, stawszy się zabójcą, zginął marnie.

Przy pierwszem tem spotkaniu, które dłużej trwało, niż się obaj spodziewali, Bolko przystał do Strzegonia, polubił go i nie dał mu gdzie indziej mieszkać, jak przy sobie.

Stary, dopiąwszy celu odrazu, chodził i rad i zafrasowany, a niepewien, co dalej robić.

Królewiczowi właśnie takiego wytrawnego człowieka potrzeba było do boku; brał go więc z sobą do izby, schodziła się drużyna, stawała młodzież kołem, dawano staremu jeść i pić, co zapragnął, byle mówił, a rozpowiadał, jak to dawniej bywało, jak starzy wojowali.

Zrazu zacinał się Strzegoń, patrzał, wahał, potem, gdy się z tą młodzieżą zżył, poznał ją, pokochał, opowiadał żwawo, ochotnie, zapalał się nierzadko i miecza dobywając, ukazywał, jak ten tamtego płatnął, jak się ów obraniał i t. d. Więc śmiechy, wykrzyki, a radość wielka panowały — podarki się sypały i Bolko na chwilę się z nim rozstać nie mógł.

Nie dosyć, że Strzegoń sam bywał ze Szczodrym na Rusi i na Węgrzech, ale od starych, co z Chrobrym wojowali, nasłuchał się dawnych o wojnie powieści, o zbrojach, jakie nosili, o wszelakim sposobie potykania się w polu, dobywania miast i obronie, o fortelach

wojennych, o tem, jak się narody zbroiły i skąd broń swą dostawały, a jaka im najlepiej służyła.

Przechodziły całe dnie na tych gawędach, a że Bolko w zamknięciu i zadusze nie lubił siedzieć, skoro pozwoliła pogoda, zabierał starego z sobą w las, a często nawet, co mu najmilszem było, noc spędzali w chróścianym namiocie u ogniska.

W miarę jak się to przedłużało, Strzegoń stawał się coraz niespokojniejszym. Młodzieńcza ufność, dobroć, otwartość Bolka za serce go brały; patrzał na ten kwiat śliczny, ledwie rozkwitły, a pomyślawszy, iż go na śmierć ma wydać, gryzł się w sumieniu, żal go porywał wielki.

Nigdy wprzódy nie miał zręczności zbliżyć się do królewicza, znał tylko Sieciecha, który wielką nad nim miał siłę i nie wahał się dlań uczynić ofiarę; teraz przemówiło serce, brakło mu odwagi, by spełnić, do czego się zobowiązał.

Podstęp ten, do którego użyty był za narzędzie, inaczej mu się przedstawiał. Przełamali z sobą chleb, nieraz obozowali pospołu, sypiali pod namiotem jednym, zbliżyły się dłonie; żołnierz poczynał być w niezgodzie z sobą samym.

— Co tu począć? — przemyśliwał nocami — jednego albo drugiego zdradzić muszę!

Człek był prosty, sobie samemu nie ufał, nie wiedział, czy się ma księdzu spowiadać, czy wróżki poradzić. Poganina jeszcze w nim było dużo, bo od młodu na wojnach o religji myśleć, ani się jej uczyć nie miał czasu. Razem z innymi na półpogany obawiał się księży, jak czarowników. Napełniali oni w owych czasach trwogą lud pospolity; stąd powstała u gminu owa zła wróżba, gdy się księdza spotkało w drodze. Miano ich za potężnych, cudami władnących guślarzy nowego Boga.

Jednego dnia, gdy z królewiczem u Magnusa gościli, oznajmiono proboszcza z kościołka Panny Marji, ojca Tyburcego. Staruszek to był, Polak, Krakowianin rodem, który za wielkiego mędrca nie pragnął ucho-

dzić, rad z ludźmi obcował, wesół był i więcej pocieszał, niż straszył. Tem różnił się właśnie od innych, co więcej grozili, niż pocieszali. Śmiała mu się poczciwa twarz pomarszczona, nią już samą ludzi ku sobie pociągał i ujmował.

Duchowieństwo, zwłaszcza obce, Włochy i Francuzy, których naówczas pełno było w Polsce, krzywo nań patrzało i lekko go ważyło, wyrzucając mu, że nazbyt był pobłażającym; lecz, że o. Tyburcy dla siebie surowym był, pobożnym i wielce świątobliwym, przebaczono wkońcu zbytnią jego łagodność; biskup go szanował, lubił i bronił.

O. Tyburcy zaszedł tak biesiadujących, że Strzegoń ujść nie mógł; Bolko, wielce pobożny, poszedł go w rękę pocałować i przysiadł się zaraz do niego. Stary żołnierz trzymał się zdala.

Rozpoczęła się rozmowa, proboszcz jak był zawsze pogodnej myśli, tak i teraz żartobliwie począł zagadywać, rozpytywać i opowiadać. Takiego duchownego Strzegoń, jako żyw, nie widział jeszcze, poczuł, że go coś ku niemu ciągnęło, a obawa czarów znikła zupełnie.

Mówiono o dawnych czasach; Strzegoń i ojciec Tyburcy obaj je dobrze pamiętali. Od słowa do słowa ożywił się stary wojak, przemówił, rozśmiali się do siebie i przystali ku sobie łatwo. O. Tyburcy począł go rozpytywać o rodzinę, znaleźli się wspólni znajomi, ksiądz był choć do rany przyłożyć.

Nazajutrz rano Strzegoń poszedł, ot tak, sam nie wiedząc, dlaczego, na mszę świętą do Panny Marji, a po mszy zajrzał do zakrystji.

Zobaczywszy go, staruszek poznał i pozdrowił pobożnie, a potem pochwalił, że o kościele pamiętał.

— Mój ojcze — odparł Strzegoń zakłopotany — naprawdę niema mnie chwalić za co, bo ja nie dla mszy świętej do kościoła przyszedłem, ale za interesem do was. Chcę się was poradzić w rzeczy bardzo ważnej i tajnej.

Wyszli więc nazad z zakrystji do kościołka i ksiądz, nie biorąc go do konfesjonału, usiadł z nim na ławie. W kościele nie było nikogo, lampa się tylko paliła przed ołtarzem i w oknach ptactwo, przysiadając, szczebiotało.

— Ojcze mój — odezwał się Strzegoń, którego strach jakiś ogarnął w chwili, gdy się już miał zwierzyć — zaufać wam mogę — wszak mnie nie wydacie?

— Dziecko moje — odpowiedział o. Tyburcy — choć żołnierz, musisz przecie wiedzieć o tem, iż przysięgamy na to, że tego, co nam kto powierzy, nie opowiemy nikomu, choćby na mękach życie dać przyszło. Mów, nie lękaj się, utonie to, jak w studni.

Westchnął Strzegoń i włosy potargał siwe.

— Sprawa jest taka — rzekł. — Nietajno nikomu, że Sieciech królestwa pragnie nie od dziś dnia. Na drodze mu stoją dzieci królewskie — szczególniej Bolko, na którego przygotowano zasadzkę pod pozorem wyprawy na Czechy, aby go zgładzić. Ja tu przybyłem nie poco innego, tylko żeby się z królewiczem poznać i podružyć, a wciągnąć go tam, gdzie ma życie dać. Posłano mnie, poszedłem. Tu przybywszy, gdym Bolka poznał, miły panie, za serce mnie wziął, nie mam siły dać go na zabicie. Co począć? Zdradzić muszę albo jednego, albo drugiego.

Ojciec Tyburcy słuchał spokojnie, nie poruszył się nawet na to straszne wyznanie.

— Powiedzcież wy mnie — odezwał się łagodnie— jak się wam zda? Czy lepiej zdradzić szatana, który na zabójstwo godzi, czy Pana Boga, co miłość nakazuje nawet dla wrogów? Królewicz ci nic nie uczynił, chyba dobro, panem twym ze krwi jest, a Sieciech takim poddanym i sługą, jako i wszyscy. Jak ci się zda? Mów sam?

— Alem słowo dał! — odparł Strzegoń.

— A cóż warte słowo dane na złe? Choćby nawet i przysięga, że się popełni grzech? — rzekł ksiądz. — W takim razie krzywoprzysięstwo jest cnotą, a wierność słowu zbrodnią. Pomyśl jeno, czy ten, który sięga

po berło i koronę przez krew, może być błogosławionym i z sobą królestwu przynieść błogosławieństwo?

— A, no! — westchnął Strzegoń — jest jeszcze droga jedna. Jam stary, pokłonię się i pójdę precz, nie chcąc zdradzić ni jednego, ni drugiego.

— Tak — rzekł ojciec Tyburcy. — Tylko naówczas przyjdzie w miejsce wasze inny, mniej sumienny i litościwy człek i zrobi to, co wy mieliście uczynić. Bolko więc zginie; nie żal ci go?

— A! miły ojcze — przerwał Strzegoń żywo, ręce składając. — Serdeczne to paniątko, żeby miało ginąć marnie — pomyśleć strach! Jam ze śmiercią oswojony, napatrzyłem się padających trupów, jak liści w jesieni — a no — żeby ten kwiat korony królewskiej padł!...

— Nie daj Boże, aby się to nieszczęście stało! — odezwał się ojciec Tyburcy.

— Cóż mam czynić? Co? — zapytał żołnierz.

Jęli się namyślać oba; ksiądz się na ołtarz zapatrzył, jakby z niego chciał czerpać natchnienie, potem rzekł:

— Wprost poufnie powiedzcie Bolkowi wszystko, wyznajcie mu szczerze, z czem was posłano.

— Wstyd mi! — zamruczał stary. — Nie chcę, aby wiedział, że ja się tego podjąłem. Lubi mnie, gotówby znienawidzieć.

— Chcesz, abym ja mu o tem oznajmił? — zapytał ojciec Tyburcy.

— A gdy was spytają, skąd to wiecie? — podchwycił Strzegoń.

— Ja nie potrzebuję mówić, skąd to wiem — rzekł proboszcz. — Możemy uczynić lepiej jeszcze: pójdę z tem do biskupa. Biskup, który dawniej dosyć Sieciechowi sprzyjał, dziś wraz i z Magnusem z Bolkiem trzyma i kocha go. Pasterz sam ostrzec może, a skąd o tem wie, nikt go powiedzieć nie znagli.

Namyślał się jeszcze Strzegoń.

— Niechże tak będzie — rzekł, schylając się do rę-

ki księdza — uczyńcie to skoro, bo czasu do stracenia niema.

Rozmowa, wśród ciszy kościelnej prowadzona, skończyła się, gdy ojciec Tyburcy ujął starego żołnierza za ramiona, uścisnął i całować go począł.

— Poczciwy mój stary — zawołał. — Nie odejdziesz niewynagrodzonym za to coś uczynił. Bóg ci odpuści grzechy twoje, ja ci daję rozgrzeszenie! Doznasz błogosławieństwa, będziesz miał szczęście na ziemi i w królestwie Bożem.

To mówiąc, przeżegnał go, nad pochyloną głową krzyż kreśląc, pobłogosławił i ocierając łzy, wywiódł go do zakrystji, skąd Strzegoń wymknął się ostrożnie, przez nikogo niepostrzeżony, a powróciwszy na zamek, musiał dla niepoznaki skłamać, że do płatnerza chodził, bo mu u zbroi dwa nity puściły i kawał żelaza obwisło.

Bolko tego dnia rano konie ujeżdżał, w lesie było jakoś do łowów niezdarno, wiatr dął gwałtowny.

Z południa, co się rzadko trafiało, ujrzano orszak biskupi, który się ku zamkowi kierował. Jak tylko o nim dano znać, Magnus wyszedł natychmiast na spotkanie. Biskup zamknął się z nim na osobności i naradzał długo. Powiedział mu o zasadzce na życie królewicza.

Namiestnik zafrasował się wielce, ale oznajmienia o niej na siebie brać nie chciał, boby go posądzano, że przez nieprzyjaźń dla Sieciecha potwarz nań rzuca. Okazało się, że Magnus coś przewidywał i domyślał się pono.

Posłano dworskiego na łąkę po królewicza, który, konie porzuciwszy z drużyną, sam w cwał przygnał na zamek.

Wszyscy, co go spotykali po drodze pędzącego na rumaku, jakby zrosłego z nim, z włosy na wiatr puszczonemi, z twarzą pałającą, z wesołym wzrokiem, jasnem czołem, stawali napatrzeć się i nacieszyć młodym rycerzem. Wpadł z koniem prawie na przedsienie, osadził go, skoczył i biegł do wojewody.

Magnus wychodził na spotkanie.

— Miłościwy panie — rzekł — są ważne sprawy. Przybył z niemi biskup, pomówić trzeba, chodźcie!

Właśnie Magnus tych słów domawiał, gdy na podwórce wjechało trzech ludzi. Bolko poznał w nich dwu ojcowskich dworzan i starszego nad nimi, któremu król ufał najwięcej. Zamiast więc iść do biskupa, musieli czekać, aby się dowiedzieć, z czem przybywali.

Biesior, komornik królewski, zsiadłszy z konia, przyszedł do kolan się skłonić Bolkowi. Jak wszyscy prawie, co Władysława otaczali, przekupionym był przez Sieciecha i służył mu wiernie. Człek był roztropny, chytry, przebiegły i ostrożny.

Wprowadzono go do pierwszej izby, a królewicz począł pytać z czem był posłany.

Dobył naprzód Biesior pierścionek królewski, na znak, żeby mu wiara była dana, a potem mówić począł:

— Król, pan nasz, ma pewną wiadomość, iż od granicy czeskiej gotuje się napaść wielka, którą koniecznie uprzedzić trzeba. Posyła więc miłości waszej pułki swe na pomoc i rozkazuje natychmiast iść w lasy na rubieże. Do boku miłości waszej naznaczeni są co najdzielniejsi rycerze: Halka, Strzegoń, Zabój Żelazny.

Magnus słuchał i bladł z gniewu.

Biesior zapytany, czyby miał jeszcze co do oznajmienia — dodał, że jak tylko zjadą pułkowodcy, natychmiast z nimi na granicę śpieszyć potrzeba. Oni zaś wiedzieć będą, gdzie i jak prowadzić mają królewicza.

Uradował się Bolko niezmiernie i omal nie uściskał Biesiora; Magnus zmilczał, wziął go zaraz z sobą, aby ugościć po podróży i nakarmić, a zdawszy na ręce mistrza, sam z oczekującym Bolkiem udał się do biskupa.

— Wyraźny jest cud Boży — zawołał Magnus, wchodząc. — Łaska Opatrzności chciała ocalić nas i to królestwo

Obrócił się do królewicza, który szedł po pasterskie błogosławieństwo.

— Posłuchajcie naprzód, miłościwy panie, z czem tu do nas przybył ojciec nasz przewielebny, a poznacie jako Bóg wielki czuwa nad wami!

Biskup natychmiast począł, patrząc na królewicza, który spoważniał.

— Przybyłem do was z przestrogą — rzekł. — Uknuta jest zdrada wielka; króla słabego, nie domyślającego się jej, wmieszano w nią. Sieciech wojewoda wymyślił od Czech niebezpieczeństwo jakieś, postanowił wyprawę na granicę. Chce was, miłościwy królewiczu, wysyłać na nią z tymi, którzy są wyznaczeni, aby cię życia pozbawili. Strzegoń, Halka, Strzepa, Żelazny — nasadzeni są, aby, odwiódłszy w lasy, zgładzili cię.

Bolko pobladł raczej z gniewu, niż obawy.

— Dzięki niech będą Bogu — zawołał — iż zdradę odsłonił. My też sami teraz, wiedząc o niej, myśleć o sobie musimy; wszystkie pułki są Sieciecha, dowódcy ich, potrafimyż się im obronić? Ślązaków Magnusa i mojej wiernej drużyny mało jest!

— Na grodzie się zamkniemy w ostatku — odparł Magnus — otwarcie oni nie wystąpią. Dobrze jest w lesie mordować nocą, ale jawną zdradę popełnić — nie wiem, czy się ważą!

— Jeśli wojewoda swe siły obliczył — zawołał Bolko — i na to jest gotów; nie widzę innej rady, jak natychmiast słać do Zbigniewa, niech w skok w pomoc nam przybywa ze swymi. Dzisiaj mnie, jutro jemu, moja sprawa, jego sprawą! Poczyna Sieciech ode mnie, na nim skończy.

— Rozumna rada! — przemówił biskup. — Tylko, czy Zbigniew usłuchać zechce? — zawołał.

— Poprzysiągł mi sojusz i braterstwo — zawołał królewicz.

Magnus, do którego się zwrócono, milczał, ale nie przeczył.

— A! — odezwał się nagle Bolko — wierzę wszystkiemu, co mówicie. Cudownie się to sprawdza — lecz —

Strzegoń! Strzegoń, którego pomawiają o zdradę, Strzegoń, aby być miał nasadzony na mnie, temu nie mogę dać wiary! Nie! — krzyknął — ślijcie po niego, panie wojewodo...

Strzegonia długo wyszukać nikt nie mógł, jakby w ziemię wpadł. Szperano za nim po kątach, po ciemnych zakamarkach, aż ktoś przypadkiem znalazł go w szopie na sianie, z głową pokrytą, jakby spał, choć, jako żyw, oka nie zmrużył.

Zawołany, nie mógł odmówić, poszedł.

W drodze, idąc przez podwórce, napotkał Biesiora. Dowiedział się od niego, z czem przybył, i zmiarkował, że stanowcza nadchodziła godzina. Wlókł się do królewicza, jak na ścięcie. Magnus, który nań czekał, poprowadził go do izby przed biskupa i Bolka.

Na widok osiwiałego wojaka, królewicz, w którym wszystko wrzało, a słowa w sobie nigdy nie mógł strzymać ni ważyć, zawołał:

— Strzegoń, słuchaj! Przyszły tu wieści straszne, ohydne, oskarżenie niegodziwe. Ciebie, starego mojego druha, ciebie z innymi obwiniają, żeś ty mnie chciał wydać na stracenie, był z Halką, Strzepą i Zabojem wyznaczony na to. Nie wierzę! mów!

Wszyscy mieli weń oczy wlepione. Strzegoń blady stał milczący, ręką wodził po twarzy i brodzie, wzdychał, podnieść wzroku nie śmiejąc.

— Strzegoń! mów! — powtórzył Bolko.

Ze Strzegoniem działo się, co bywa czasem ze strzałą, która na cięciwie uwięźnie i nie może wyrwać się długo, aż nagle struną popchnięta świsnęła i leci.

Milczał uparcie, milczał, potem głowę podniósł i krzyknął w głos:

— Tak! prawda! Posłano mnie, abym królewicza prowadził na zasadzkę, ulitowałem się i sam życie dam, a tego nie uczynię — nie! nie! — nigdy!

Bolko, zarumieniony z radości, na szyję mu się rzucił.

— Stary, poczciwy druhu! niech ci Bóg płaci! jam ci ufał!

Biskup począł też wychwalać uczynek chrześcijański, a Magnus, przystąpiwszy, starego po ramieniu uderzył, wołając:

— Nacóż nam innych świadków i lepszego przekonania nad to zeznanie! Ten stanie za innych!

Przybity, znękany, zawstydzony stał Strzegoń, wodząc ciągle ręką drżącą po głowie siwej.

— Pułki Sieciechowe już tu ciągną! — Radź, co czynić?

— Bramy zamknijcie — odparł Strzegoń — niech za miastem obozują.

— A wasi? — spytał Magnus.

— Ja i moi zostaniemy z wami — krótko odparł stary, do kolan się kłaniając królewiczowi. — Moi setnicy pewni, w ludziach można wybór zrobić... Nasze namioty za miastem, jak były, zostać mogą.

Zabrano się natychmiast posyłać do Zbigniewa, choć nie wszyscy i jemu ufali.

Bolko, jak sam słowo rycerskie miał za święte, tak pewien był pomocy brata. Ważyła ona wiele, gdyż sile tej zaufać było można, a na Krakowian, Sandomierzan i najlepsze pułki, długo będące pod rozkazami wojewody, nikt rachować nie mógł. Owszem z pewnością wiedziano, iż pójdą gdzie on rozkaże i uczynią, co im podszepnie.

Ślązacy, którzy już byli do Bolka przystali, na wieść, iż mu zagrażało niebezpieczeństwo, wnet, od następnego dnia począwszy, poczęli się ściągać z okolicy do Wrocławia, z czem kto miał, małemi i większemi pocztami.

Na zamku ścisk był przez całe dnie jak na targowicy w święto; przybywali ludzie coraz nowi, a każdemu przyjeżdżającemu opowiadać musiano, co się stało.

Powstał powszechny lament i oburzenie na Sieciecha. Odgrażano się nań, śmierć mu zapowiadając.

Gdy Ślązacy w znacznej liczbie się zgromadzili, Magnus ich zawołał do tej samej izby, w której niegdyś Zbigniewa im stawił. Stanął przed nimi Bolko, które-

go gniew każda chwila pomnażała, rozdrażniony i pełen zapału.

Na widok młodego pana poczęto wołać i okrzykiwać, witając pokłonami, rękami i czapkami.

Magnus przemówił naprzód niewielu słowy. Wstał potem królewicz sam i odezwał się głosem wzruszonym:

— Zlitujcie się, ziemianie, niedoli mojej, przyjdźcie mi w obronę. Sieciecha zdrada, nie od dziś uknuta, grozi wybuchem. Jednał złotem przyjaciół, opłacał zdrajców, godził na życie moje, chcąc posiąść panowanie. Dowodów dosyć jest na to, a i ten coś znaczy, że Wojsław, który mnie nie opuszczał nigdy, który czuwał nade mną, chorym się stał, aby mi nie towarzyszyć, bo pewnie, jak pokrewny Sieciecha, wiedział, że tu na życie moje godzą. Zeznają ci, co nasadzeni byli, iż im zalecono zabić mnie.

Ledwie dano mówić królewiczowi, taką zgrozą przejęła wszystkich zdrada jawna wojewody. Ziemianie wołać poczęli:

— Nie damy wam nic uczynić, nie damy! Włos wam z głowy nie spadnie! Bezpiecznym jesteś między nami. Nie chcemy Sieciecha, ani jego panowania. Pójdziemy z tobą, staniemy przy tobie!

Bolko, widząc, że nie jest sam i mnogich ma przyjaciół, odzyskał całą swą odwagę i rycerskiego ducha.

Tymczasem zamek poczęto przysposabiać do obrony, gdyż nikt zaręczyć nie mógł, czy Sieciechowe pułki oblegać go nie zechcą.

Namiestnik kazał co prędzej ściągać żywność i ludzi. Znaczniejsza część ziemian, którzy z pocztami przybyli, pozostała na zamku, do domów nie powracając. Na nich można było polegać.

Oczekiwano Zbigniewa, gdy w kilka dni popłoch się stał; zamiast niego, oznajmiono o przybyciu Wojsława, ochmistrza królewicza, który z oddziałem swoim u bram się stawił.

Przykazane już było, ażeby nie wpuszczano nikogo. Dano znać Magnusowi.

Bolko, który od dzieciństwa do Wojsława był nawykł i ufał mu, choć go widział bliskim Sieciecha powinowatym, w zdradę jego wierzyć nie chciał. Byłby się wyrwał doń i pewnie do miasta wprowadził, ale namiestnik ruszyć mu się nie dał i do wrót pojechał co prędzej.

Wojsławowy orszak nie był zbyt liczny. Na czele jego stał otyły wódz, który się wolno obracał, mówił powoli, chodził ociężale, ale bił się mężnie i krzepko. Widać to po nim, iż zamknięte wrota, na które zmuszony był patrzeć, oczekując tak długo, już go niecierpliwiły. Magnus, nie otwarłszy nawet furty, wyszedł na wyżki nad bramę i stamtąd go pozdrowił.

— Panie wojewodo! — zawołał Wojsław. — Co się to u was dzieje? Dlaczego nie puszczają mnie do królewicza?

— Nie wiecie? — odparł Magnus, kręcąc wąsa. — Czyż wam to jeszcze mówić potrzeba?

— Nie wiem! Na Boga się klnę, że nie wiem! — odparł ochmistrz.

— Więc muszę wam powiedzieć — odezwał się Magnus — Sieciechowym jesteście powinowatym, a Sieciech zdrajcą jest. Wpuścić was nie możemy.

Wojsław głowę podniósł i usta rozwarł szeroko:

— Klnę się wam, że zdrady w sercu nie mam — rzekł — o niczem nie wiem. Sieciecha dawno nie widziałem. Chcecie-li — niewinność moją, jak obyczaj chce, ze sześcią świadkami uroczyście poprzysięgnę w kościele! Zdrajcą nikomu nie byłem, a obelgi tej — nie daruję!

Magnus głową potrząsał.

— Kum wasz, krew wasza, Sieciech, przysięgał wiarę królowi i rodowi jego, a przecie na życie dziecka pańskiego godzi, czego mamy dowody. Poprzysiężecie i wy i sześciu waszych, aby tylko na zamek wnijść i ludzi nam przekupować, a warcholić. Nie będzie z tego nic; — ani was, ani waszej przysięgi nie chcę. Jedźcie z Bogiem.

Na wały około wrót, dowiedziawszy się o Wojsła-

wie, nagromadziło się ludu mnóstwo. Poczęli tedy wołać z tłumu:

— Precz! precz! od bram zdala... Ze zdrajcami precz!

Słysząc wrzawę tę i widząc, że drudzy się już do kusz i łuków zabierają, jakby strzelać chcieli, Wojsław, nie śpiesząc, konia w milczeniu zawrócił i od bram odjechał, ale niedaleko w dolinie położył się obozem ze swymi.

VIII.

Gdy posłany od Bolka, dniem i nocą goniąc, co koń zmógł, przybieżał do Gniezna rano, zastał właśnie królewicza Zbigniewa na modlitwie w kościele, bo życie się wiodło rozmaicie, ale o panu Bogu i świętych nie zapominano. Eks-kleryk tem bardziej do kościoła uczęszczał, iż z arcybiskupem Marcinem chciał być dobrze, potrzebując go i skarbiąc sobie łaskę jego.

Właśnie msza poranna arcybiskupia ku końcowi się miała, gdy Marko Sobiejucha przybiegł do kościoła, niosąc do ucha pańskiego owo poselstwo pilne.

Staruszek o. Marcin żegnał już krzyżem przytomnych, a rzuciwszy okiem na królewicza, spostrzegł, jak mu Marko coś w ucho szeptał, jak Zbigniew, poruszony, żachnął się wtył i natychmiast precz z kościoła chciał bieżeć.

Kleryka, który do mszy mu służył, wysłał arcybiskup do Zbigniewa, aby odchodzącego wstrzymał i do zakrystji przywiódł go. Miał jakieś przeczucie świątobliwy kapłan, iż ważnego coś zajść musiało.

Zbigniew się zawrócił.

Ojciec Marcin, zaledwie dokończywszy modlitwy, pośpieszył z pytaniem:

— Co się stało?

Nie mógł zataić Zbigniew i oświadczył, że brat pilno go wzywa w pomoc przeciw Sieciechowi.

— Stało się to, co się zdawna gotowało! — rzekł, wzdychając, arcybiskup.

Spojrzał nań pytająco królewicz.

— Nie zwłóczcie, a w pomoc mu pośpieszajcie — dodał o. Marcin. — Nieprzyjaciel to wasz wspólny i królestwa waszego. Jedź, ciągnij i niech ci Bóg błogosławi.

Zbigniew stał, wahając się.

— Ojcze przewielebny — rzekł — mam-li się przez to ojcu narazić? Brat mi nie nazbyt sprzyja, poco mu pomagać? Sprawa nie moja...

— Sprawa twoja — rzekł żywiej arcybiskup — wspólna wasza. Masz iść, póki czas. Inaczej na ciebie kolej przyjdzie i nie będzie cię bronić komu... Ludzi zbierz, a pośpieszajcie! Niech Bóg szczęści dobrej sprawie.

Staruszek podniósł rękę drżącą i pobłogosławił nią Zbigniewa, który stał ciągle.

— Ojciec wasz, biedny pobożny król nasz już sobą nie włada, już przed sobą nie widzi nic; uwolnicie go z więzów, występując przeciw wojewodzie. Dawno czułem w nim zdrajcę!

Z temi słowy Zbigniew odszedł poruszony i obrachowujący, co miał czynić.

W dworcu już nań czekano. Greta stała we drzwiach, wabiąc go ku sobie. Marko ścigał go i zabiegał; patrzyli mu oboje w oczy, chcąc z nich wyczytać, co myśli.

W progu Sobiejucha się odezwał:

— A! miłościwy panie nasz! szczęście się wam śmieje! Królewicz Bolko przyciśnięty pomocy żąda; szalonyby był, ktoby mu ją dał! Gdy nieprzyjaciel tonie, głupi rękę wyciąga!

Królewicz popatrzał nań tylko, gdy Greta w sieniach już nań następowała.

Niemka zmieniła się tu w dobrym bycie i próżnowaniu, królując i czyniąc, co chciała po swej myśli. O piękność swą mniej była dbałą, wiedząc, że Zbigniewa zawsze przy sobie utrzymać potrafi. Roztyła się,

postarzała, a choć świeciło jeszcze na twarzy trochę wdzięku, resztka młodości, więcej w nich było bezwstydu, niż uroku. Poczynała sobie z królewiczem śmiało, bo inaczej brał górę i tylko zuchwalstwem wygrywała.

Wbiegła za nim do izby i gdy siadł zmęczony, uderzyła go po ramieniu, wołając:

— A co, przyszła pora! Nie ruszajcież się! Niech Bolko ginie, wam przyjdzie całe królestwo! Niech ginie zuchwały dzieciak! niech ginie! — powtarzała, nogą bijąc i rękami.

Zbigniew siedział pogrążony, jakby nie słyszał i nie słuchał; namowy te i kuszenia obiły się o niego, nie poruszając wcale. Obrócił się do Sobiejuchy:

— Ludzi kazać zwołać, ile ich jest! do koni! żywo! Dwór, drużyna, pułki, kto żyw, niech się zbierają w pochód przed wieczorem! Słyszysz, co mówiłem? Zwoływać ludzi w pochód!

Greta dawała znaki Markowi, aby ją z nim samą zostawił, Sobiejucha nie ustępował.

Po chwili rzekł pokornie:

— Ja uszom nie wierzę! Wasza miłość nie możecie tam iść. Poco my tam? Nie będzie czasu zebrać pułków wszystkich, a z tą garścią, która tu jest, co pomożemy! czekać, aż się wszyscy ściągną, będzie za późno.

Królewicz się namarszczył.

— Tyś tu księciem i wodzem, czy ja? — wybuchnął, idąc ku niemu groźnie.

Uląkł się Sobiejucha, ale stał, gdy śmiała dziewczyna, za połę sukni pochwyciwszy Zbigniewa, pociągnęła go, mruczącego jeszcze, do drugiej izby; tu dlań stół był zastawiony, bo przede mszą królewicz nie jadł.

Posadziła go za stół, polewkę mu z wina podsunęła, mięso z misą odkryła, chleb poczęła krajać.

Rada była wywołać słowo; Zbigniew uparcie milczał, rzucił potem nóż, który już był w ręku, z siedzenia się zerwał i poszedł ku oknu.

Właśnie podwórcem szedł jeden z sotników, tak spokojnym krokiem powolnym, jakby się nic nie stało na świecie. Zobaczywszy go, książę krzyknął:

— Psubraty! Co jedziesz na żółwiu! — azali niewiadomo rozkazanie! Wszyscy ludzie do koni, kto żyw! Ruszaj, biegnij, wołaj! W rogi niech trąbią, aby konie z paszy wracały. Idź!

Sotnik stał zdumiony.

— Na koń siadaj, leć na podzamcze, do obozu, po szopach, ludzie na koń... — A nu!

Powtórzony rozkaz usłyszawszy, sotnik się zerwał i kopnął co prędzej ku szopom. Wtem, we drzwi wszedł Marko czerwony z gniewu.

— Miłościwy królewiczu! — zawołał. — Do nóg waszych się kładnę, nie czyńcie tego! Nie godzi się wam iść! Sami przeciwko sobie idziecie. To nie może być!

Greta milczała.

Zbigniew, który złym będąc aż do wściekłości, szalał, kłaniającego się nogą potrącił.

— Precz mi z oczów! Hurki wołać — rzekł, miotając się.

Hurko był oprawcą i stróżem przy ciemnicy.

Na hałas w izbie poczęli się zbiegać komornicy. Zbigniew im wskazał Marka.

— Do kuny go wsadzić! Do ciemnicy, do kłody — wołał książę. — Hurko do mnie!

Nim Marko miał czas słowo przemówić, komornicy, którym dojadł był, widząc pana rozgniewanego, pochwycili go i opierającego się na rękach niemal precz wynieśli.

W miejsce Sobiejuchy zawołany tysiącznik, człek prosty a posłuszny ślepo, który służył tylko aby żyć i zarabiać wojną na łupach, a czasu pokoju na ludziach, których wodził — dostał rozkaz zbierać co żywo i w gotowości być przed wieczorem.

Dopiero rozporządziwszy tak, Zbigniew spojrzał na stół, na kubek i misy i siadł do śniadania.

Greta, widząc go tak zapalonym, odzywać się nie śmiała. Wiedziała, że burzę trzeba przeczekać i zajść z innej strony. Podsunęła mu dzbanek z winem, nalała

kubek... Królewicz począł, śpiesząc się gwałtownie, jadło chwytać i szybko popijać. Pilno mu było. Greta czekała i patrzała napozór spokojna.

Dopiero, gdy mu się lice zarumieniło od napoju, odezwała się płaczliwie:

— A! a! trzeba mi pana, z którym mi tak dobrze było, tracić! Kto wie, co będzie z tej wyprawy! Drżę, myśląc. Ludzi mało macie. Posłaniec mówił, że przeciwko wojewodzie was wołają, a Sieciech ma tysiące! — O mój Boże miły! by mi pana mojego nie zabili, nie ranili. Co ja poczne nieszczęśliwa sierota! co ja poczne!

Zasłoniła twarz chustą i fartuchem, bo płakać jej było potrzeba.

Spojrzał Zbigniew, który miał już czas poznać ją lepiej, i ramionami strząsnął pogardliwie.

— Ej ty! — zawołał. — Nie myśl, że mnie odurzysz albo nastraszysz! Idź lepiej, suknie i odzież gotuj dla mnie, pilnuj niech sakwy wiążą!

Greta ciągle płacząca, zbliżyła się z twarzą napół zakrytą.

— A! wam — przebąknęła, — wam się zdaje, że na Sieciecha iść, choćby we dwóch na jednego, mało znaczy! Wojewodzie wy nie uczynicie nic! Z nim wam albo razem iść, albo od niego ginąć. On tu pan.

— A tego ja właśnie nie chcę, żeby on tu był panem! — zawołał Zbigniew.

Greta nieśmiało rączkę mu położyła na ramieniu, poczynając go głaskać i podpieszczać.

— Pocóż wam samym iść! — szepnęła — poślijcie z lichem, gdy chcecie. Król się na was rozsierdzi, Sieciech mścić się będzie.

Milczał Zbigniew; niewieście fortele nie pomagały.

Na podwórcach tętnić zaczynało. Odzywały się rogi, nawoływali się ludzie, pędzono konie z bliższych łąk, biegli żołnierze, wlokąc zbroję i znosząc oszczepy. Dowódcy krzyczeli, ruch coraz większy się wszczynał. Greta nie wiedziała już dalej co poczynać.

— Wy Bolkowi wierzycie — rzekła wkońcu. — Któż to wiedzieć może, czy to nie zasadzka, nie zdrada? Może na was zastawiono sidła?

— Magnuş jest z nim — nie może to być — odparł Zbigniew.

— O! Magnus — gniewnie poczęła Niemka — taki dobry jak Bolko, jak oni wszyscy. Wy sobie sami kamień do szyi przywiązujecie!

Mówiła długo jeszcze, ale książę zdawał się jej nie słuchać.

Zjadłszy, wyjrzał oknem, na komorników zawołał i wyszedł z izby, zostawując ją zaperzoną, nieprzytomną prawie z bezsilnego gniewu. Za wychodzącym podniosła dwie pięści zaciśnięte, zakręciła się i do swej izby pobiegła.

Nie było już sposobu powstrzymać go. Marko siedział w ciemnicy, Gretę przepędzono, w podwórcach ludzie się gromadzili, nowe oddziały z okolicznych gródków przybywały, ale w tak prędkim czasie nad kikaset głów zebrać nie było podobna.

Najgorzej na swej wierności dla Sieciecha wyszedł Sobiejucha, dla którego pozostać zamkniętemu na cały czas niebytności pańskiej, nie korzystać z wyprawy, stracić zaskarbioną łaskę tak niespodziewanie, było klęską straszną.

Wysłał jednego ze stróżów do Zbigniewa, prosząc go pokornie o uwolnienie, ofiarując się iść, gdzie mu każą; książę rozśmiał się złośliwie i przykazał tylko z ciemnicy do izby go przeprowadzić, a w niej go trzymać do powrotu o chlebie i wodzie, aby się nauczył szanować pana.

Nie pomogły ponawiane błagania i prośby innych sług; królewicz śmiał się szydersko, czyniło mu to rozrywkę, że mógł nieco uzuchwalonego poskromić.

Przy pożegnaniu Greta się za nim wstawić próbowała. Zbigniew jej w oczy popatrzył i rzekł przez zęby:

— Młodszego sobie znajdziesz!

Tem ją do milczenia zmusił.

Ku wieczorowi pan, dwór i oddziały były w gotowości; drużyna była przybrana cudacko, a Zbigniew, pierwszy raz występujący rycersko i z wielką ochotą, nie omieszkał nakazać, aby wyciągając z zamku, w rogi dęto i śpiewano.

Szedł królewicz, nie kryjąc się z tem, że wyprawa była mu po myśli. Obalenie wojewody Sieciecha znaczyło dlań wiele, nie obawiał się nikogo, prócz niego. Znał jego rozum, przewagę nad królem, siłę w kraju; wolał, ażeby mu pozostał młody Bolko, którego się chytrością i podstępem pozbyć spodziewał. Dlatego chętnie usłuchał arcybiskupa, nie dał się powstrzymać nikomu i, wyjechawszy z Gniezna, kazał iść nawprost lasami, dopókiby konie spoczynku nie potrzebowały.

Przewodnicy, spędzeni z osad, wiedli na Wrocław z największym pośpiechem.

Tu przygotowania wojenne nie ustawały; Ślązacy, część Krakowian, Sieciechowi i rodowi jego przeciwnych, ściągali się zbrojno do zamku. Ludzi zbierano, skąd tylko wziąć ich było można; pułki Strzegonia, zmieniwszy starszyznę, w części przeciągnięto dla królewicza. Magnus czynny słał na wszystkie strony, pomagał biskup, a z nim duchowieństwo całe, bez którego nicby się uczynić nie dało. Gród starano się na wszelki wypadek umocnić.

Wysłani na granicę szpiegowie potwierdzili to, że u Czechów nikt się nie myślał nawet na Polskę sposobić.

Gdy Zbigniew po przyśpieszonym pochodzie stanął pod zamkiem z ludźmi swymi, Magnus i Bolko gotowi byli nietylko się bronić w miejscu, ale wyruszyć przeciwko Sieciechowi, nie czekając na niego.

Dochodziły wieści z Płocka, że wielki wojewoda rąk też nie opuszczał i, zabrawszy chorego króla, pościągnąwszy wojsko, ile go mógł znaleźć, szedł już na spotkanie królewiczów, bo mu oznajmiono, że i Zbigniew pojechał się z Bolkiem połączyć. Nie było czasu do stracenia, Magnus oblężenia w mieście rad był uniknąć.

Dwaj bracia powitali się w bramie, jakby najczulsza miłość ich łączyła Ze strony Bolka uczucie było szczere, wdzięcznym się czuł bratu, że w pomoc mu przybywał. Rzucił się na szyję Zbigniewowi i ująwszy się za ręce, przeprowadzeni przez tłum Ślązaków, wśród okrzyków szli na zamek.

Chociaż nieszybko naówczas przez wielkie obszary puste i lasy przechodziły wieści po kraju, — po chatach, osadach, miastach, wszędzie już wiedziano o tem, iż synowie oba, z wojskami się przeciwko ojcu przysposobiali.

Jedni brali stronę Sieciecha, drudzy królewiczów. Duchowieństwo różnie było usposobione, ale znaczniejsza część otwarcie lub tajemnie szła za arcybiskupem, przeciwko wojewodzie.

Dnia jednego wreszcie, gdy już coraz bliżej o nadciągającym Sieciechu słychać było, połączone pułki Bolka i Zbigniewa ruszyły z Wrocławia, przy wielkiem zbiegowisku ludu, z Magnusem razem ku Żarnowcowi, dokąd i królewskie siły zmierzać miały.

Gdy już wyciągać przyszło a miasto opuszczać, Bolko, pobożniejszy, z konia przed kościołem zsiadł, aby od kapłana wziąć błogosławieństwo.

Zbigniew jechał tak obojętny, jakby na wilki się wybrał, lub na dzikich Pomorców. W duszy młodszego dziecka, kochającego ojca, rodził się niepokój, ażali nie było ciężkim grzechem z orężem występować przeciwko niemu?

W ostatniej godzinie myśl ta gryzła go mocno. Gdy ojciec Tyburcy wyszedł na próg ze święconą wodą i krzyżem, aby im pobłogosławić, Bolko przypadł doń tak poruszony, że staremu łza się zakręciła w oku.

— Ojcze — odezwał się — błogosławcie, ale proście Boga, aby się ta wojna nieszczęsna bez krwi rozlewu skończyła. Ojca naszego, króla, ujął zdrajca i przeciwko nam prowadzi! Idziemy, zmuszeni jesteśmy iść przeciw rodzicowi własnemu!

— Starcowi łez, sobie zgryzot oszczędzicie — odezwał się o. Tyburcy. — Jeżeli zgoda możliwa,

jednajcie się. Niech Bóg prowadzi i błogosławi, a da pokój i zgodę między pany chrześcijańskiemi.

Z temi wyrazy pocieszającemi Bolko siadł na koń; wojska już przodem wyciągały milczące. Zbigniew jechał wesół, szyderski, choć dokoła miał zasępione czoła i ludzi niespokojnych a frasobliwych.

Z jednej strony dzieci, z drugiej król, ojciec, z obu wojska jednej ziemi, bracia i powinowaci. Każdemu na myśli było, że własną krew przelewać będzie. Przeklinano człowieka, który ten rozdział uczynił i nieszczęścia był przyczyną.

Im dalej posuwały się wojska ku Żarnowcowi, tem w Bolku rósł niepokój. Z drogi już chciał przodem do króla słać, ale nikt się na to poselstwo nie ofiarował. Znane w wielu razach okrucieństwo Sieciecha odstraszało, przewrotność jego o skutku wątpić kazała.

Już byli o półtora dnia drogi od Wrocławia, gdy nie znajdując nikogo, coby do króla chciał jechać, Bolko z Magnusem się naradziwszy, wyprawił do Wrocławia nazad, aby o. Tyburcego uproszono i przywieziono go. A że drogi po długich deszczach rozkisłe były, zatrzymano się spocząć i obozowano, pókiby staruszek nie przybył.

Duchownemu przystawało najlepiej być pośrednikiem do układów.

Zbigniew nie wiedział o niczem, gdyż zgody żadnej nie pragnął. Powtarzał ciągle jedno, że trzeba Sieciecha precz wygnać, albo mu głowę wziąć, iż śmiał stawać między ojcem a dziećmi.

Wielu zapalczywych mu wtórowało; o królu zresztą, jakby go na świecie nie było, nikt nie myślał, wiedziano, że stał się narzędziem posłusznem.

Z małym, skromnym orszakiem, danym mu dla bezpieczeństwa, wyjechał o. Tyburcy przodem ku Żarnowcowi. Obóz też, ruszywszy się po spoczynku, wolniejszym pochodem za nim się posuwał.

Choć lud to był rycerski, ochotny do boju, posłuszny, widzieli wszyscy, że ociągał się i niesporo szedł na tę wojnę.

Począwszy od Bolka, do ostatniego z ciurów, nikomu ona miłą nie była, a wielu straszną się wydawała i bezbożną. Każdy to w pamięci miał, że gdyby przyszło do walki — stanąłby przeciw druhom, z którymi nieraz pił, jadł i legał po obozach, — myślał każdy, że ręka mu opadnie i zadrży, gdy ją na jednego ze swoich podniesie. Ani śpiewów, ani okrzyków, ani raźnego ducha nie było. Posępnie się wlokło wojsko, wzdychali ludzie, wielu przeklinało.

Można było przewidywać, że wielu rzuci oszczepy, gdy je przyjdzie broczyć we krwi własnej; jednego Sieciecha, gdyby się im w ręce dostał, niktby pewnie nie oszczędzał i nie miał nad nim litości.

Rachowano, że ojciec Tyburcy powróci, nim do Żarnowca dociągną. Tak się też stało.

Drugiego dnia ujrzeli zmęczonego i obmokłego staruszka, którego obok na koniu jadący pacholik podtrzymywać musiał, a inny mu konia za uzdę prowadził, bo nim sam ojciec Tyburcy nie mógł kierować.

Zaledwie się pokazał zdala, poskoczyli ku niemu Bolko, Zbigniew i Magnus. Zdjęto go z konia i posadzono pod drzewem, aby odpoczął; obstąpiła go starszyzna.

— Cóż król? — Co Sieciech? — Jak poselstwo przyjęto? — zarzucono go pytaniami.

— Król? król płacze — odpowiedział staruszek — nie mówi nic, ręce łamie. Sieciech za nim stoi, Sieciech za niego odpowiada, Sieciech tam jeden jest, reszta nieważy nic! — Sprawiłem poselstwo. Król sam nierychło dał mi podyktowaną sobie odpowiedź, że oszczerstwo żywe jest, co o wojewody zdradzie i przeniewierstwie ludzie głoszą, że bez niego on żyć, ani być nie może, nie chce, że go nie porzuci, ani się go wyrzecze.

Usłyszawszy tę odpowiedź, zamilkli wszyscy. Nie było więc ratunku. Wojna stawała się nieuniknioną. Załamywali ręce pocichu wodze i żołnierze. Ociągać się nie było już powodu. Magnus dodawał serca.

— Cofać się nam za późno — rzekł — trzeba ginąć

lub na swem postawić. Sieciech nam nie przebaczy nigdy!

Dano hasło do ciągnienia, wojska ruszyły znowu takim pochodem żałobnym, jak szły wprzódy. Już i Pilica była blisko, a gdy z lasów pierwsze się oddziały wysunęły i ukazał zamek, nad wielkim stawem ustawiony, wodami oblany, Bolko wskazał u brzegów rozłożone szeroko namioty białe, stada koni, ogniska i chorągwie powiewające nad niemi.

Królewski obóz w niewielkiej się znajdował odległości, tak, że uciszywszy się, głosy i gwary od niego dochodzące posłyszeć było można.

Magnus w odległości takiej, aby się z sobą ludzie stykać nie mogli i zdrady nie knowali, wojsku pod lasem położyć się kazał. Stanęły dwa zastępy oko w oko przeciwko sobie.

Królewski obóz miał zamek, staw i groble, o które się opierał, królewicze poza sobą jeno las, z którego się wydobyli. W milczeniu poczęto się rozkładać na równinie, a namioty tak rozwinięto, aby Sieciechowi zdać się mogło, iż wojsko liczniejsze było, niż w istocie.

Słońce zachodziło, gdy Ślązacy i Krakowianie położyli się i ogniska rozpalać zaczęto. W drodze wyraźne milczenie i smutek tu się stały jeszcze bardziej uderzającymi; ludzie pocichu legli na ziemi spoczywać, jakby z niej wstać nie mieli.

Bolko nawet zapał wojenny utracił, Magnus siedział ponury, Zbigniew za wszystkich poruszał się, szydził i odgrażał.

Już się ku nocy brało, gdy spostrzeżono ludzi kilku na koniach, od Żarnowca, groblą jadących, którzy gałęźmi zielonemi wiewali nad sobą i w róg przed nimi trąbiono.

Magnus i Bolko, którzy konie zawsze mieli gotowe, skoczyli na nie i wybiegli przeciwko poselstwu temu. Na kilkadziesiąt kroków przybliżywszy się, poznali o. Lamberta z kilku komornikami królewskimi, jadącego ku nim powoli. Stanęli na łące, a Bolko z konia zsiadł, aby księdza pozdrowić.

Kapelan królewski jechał z twarzą tak bolesną i zachmurzoną, iż zrazu słowa dobyć z niego nie było można. Poselstwo to mu ciężyło, rozwarł ręce szeroko i zawołał:

— Upamiętajcie się! Co czynicie! Ażali dzieciom przeciwko ojcu iść się godzi!

Nie dając Bolkowi słowa odpowiedzieć, wojewoda Magnus podchwycił śpiesznie:

— Nie przeciwko królowi, ani przeciwko ojcu idziemy, ale przeciw Sieciechowi! Nie złożymy oręża, aż pójdzie precz ten, który królewską władzę sobie przywłaszczył i na życie królewskich dzieci godził.

— Oszczerstwo jest! — zawołał z oburzeniem o. Lambert.

Magnus wnet zwrócił się, powołując ku sobie stojącego Strzegonia, którego zobaczył szczęściem w chwili, gdy mu był najpotrzebniejszy.

Rozmowa się przerwała, aż stary nadbiegł konno i na zawołanie się stawił.

— Mów! — odezwał się Magnus — świadcz o prawdzie! Nie nakazano ci, nie zapłacono ciebie i innych, abyście królewicza na zasadzkę prowadzili?

— Tak jest — począł stary, w piersi się bijąc — tak jest! Boże mi dopomóż, gotowem to poprzysiąc w kościele. Oprócz mnie wezwani niech zostaną do przysięgi i na sąd Boży: Halka, Strzepa i Zabój Żelazny. Nie chcę gubić duszy, prawdę powiem, choćbym cierpieć za nią miał!

O. Lambert spojrzał przerażony, spuścił głowę i zamilkł.

Zbliżył się ku niemu Bolko.

— Ojcze mój — rzekł — znacie mnie zdawna, że ojca miłuję, a życie zań dać byłbym gotowy. Nie przeciwko ojcu idę, ale dla wyzwolenia go z rąk złego człowieka. Sieciecha niech odegna precz, z nim zgody niema! Zdrajcą jest!

O. Lambert długo wyrazu nie mógł znaleźć na odpowiedź, aż się cicho odezwał:

— Stójcież obozem, jak stoicie, nie ruszajcie się, niech się krew nie leje napróżno! Jadę do króla...

— Cóż to pomoże? — przerwał Magnus. — Sieciech ze swych szpon na chwilę go nie wypuszcza. Nie uczynicie nic!

— Mnie to zostawcie — rzekł o. Lambert — nie podnoście oręża, póki jest najmniejsza nadzieja. Kto pierwszy krew przeleje — bratobójstwa winien będzie.

— Stać więc mamy i czekać, aż nas wojewoda otaczać każe, a wypatrzywszy miejsce i czas, naskoczy i wyrzeże? — zapytał gniewnie Magnus.

— Król tego nie dopuści — przerwał o. Lambert. — Czekajcie ażali mnie i innych duchownych zgody się wymodlić nie uda.

— Weźcie z sobą o. Tyburcego — dodał Bolko — ten jest świadom wszystkiego i pomoże wam, a gdy się co stanie, wiadomość nam przyniesie.

Posłano po starego. Dwaj duchowni oddalili się wkrótce razem, do Żarnowca wracając.

Długa, jak wiek, czarna, posępna, smutna noc przeszła nareszcie; na brzask się zabierało. Patrzano w stronę zamku: ani ojciec Tyburcy, ani o. Lambert nie przybywali.

Słońce się już było podniosło dobrze, gdy na haci przez moczary idącej, ujrzano jezdnych. Bolko, poznawszy ojca Tyburcego po czapce, siadł na koń i puścił się ku niemu czwałem. Miał jeszcze jakąś nadzieję, że król ulituje się i przelewu krwi nie dopuści.

Zdala zobaczywszy królewicza, staruszek ręce podniósł do góry i zdawał się dobrego coś zwiastować.

Na głos przybieżawszy, Bolko posłyszał wołanie:

— Sieciech z częścią wojsk uszedł na zamek swój do Sieciechowa, niema go! Król czeka na was! przebaczyć gotów wszystko!

Na wieść o oddaleniu Sieciecha radość wielka wybuchła w obozie całym. Wołać zaczęto i wykrzykiwać:

— Niema wojewody! musiał iść precz!

Zbiegli się starsi rozpytywać, jak i kiedy uszedł Sieciech i jak się to stać mogło.

Ojciec Tyburcy opowiadał, że nocą, widząc króla zachwianego, obawiając się, aby przy zgodzie z dziećmi nie ujęto go, Sieciech sam zażądał oddalić się ze swymi wiernymi, puszczając się nagle ku Wiśle i Sieciechowu.

Nie byłby pewnie ustąpił, gdyby duchowieństwo nie stanęło przeciwko niemu i nie starało się króla nakłonić do zgody.

Co rychlej poczęli się gromadzić starsi z wojska, których Magnus prowadził. Bolko odżył, śmiała mu się twarz rozradowana. Zbigniew, który wprzódy niemal wesół był, teraz pochmurniał i mruczał gniewnie, ale się cofać sam jeden nie mógł.

Starszyzna siadła zaraz na koń, a na jej czele oba królewicze z Magnusem. Dzień piękny i jasny przyświecał szczęśliwej zgodzie.

Nie dojeżdżając do zamku, Bolko stanął i zawołał Prószynkę.

— Nie godzi się nam przed ojcem stawać z bronią, którąśmy przeciwko niemu podnieść byli zmuszeni — rozbrójmy się!

Zbigniew zakrzyknął z początku i słuchać o tem nie chciał, dopiero, gdy zobaczył młodszego, przykład mu dającego z siebie, miecz odpiął i oddał słudze, przykazując go nieść za sobą.

Tak się milcząco ku zamkowi zbliżali. Ludu przy królu, oprócz dworu, nie pozostało wiele; znaczniejszą część wojska i to najlepszego Sieciech uprowadził z sobą.

Na zamczysku lichem dość i ledwie ogrodzonem, który tylko głębokie z czterech stron przekopy broniły, cisza panowała straszna. Widać było część dworu Władysława, w podwórcu stojącą.

Zsiedli z koni królewicze, Magnus, starszyzna; pieszo się udali do pana. Do izby królewskiej synów naprzód samych puszczono.

Smutny widok oczy ich uderzył, gdy drzwi się

otwarły przed nimi. Król chory leżał na lichem dosyć posłaniu na ziemi, blady, dysząc ciężko, zmieniony dziwnie, bo zwykle dobrotliwy i powolny, zdał się być gniewnym i z bólu prawie nieprzytomnym.

Drgnął, usłyszawszy otwierające się drzwi, podniósł głowę i zobaczywszy synów, opuścił ją na posłanie, zamykając powieki, jakby na nich patrzeć nie chciał. Twarz, którą Bolko znał tak dobrze, uśmiechającą mu się zawsze z wyrazem czułości i dobroci, była jakby przestraszona i napiętnowana cierpieniem. Blade ręce, wystające z pod kożucha, którym był okryty, rzucały się i drgały konwulsyjnie.

Bolko pierwszy przypadł do nóg ojcowskich; nie ujął go jak zawsze, nie uścisnął, zbył obojętnem milczeniem bezwładnem. Surowiej jeszcze popatrzał na Zbigniewa. Oba poczęli się korzyć przed ojcem, a starszy rzekł:

— Ojcze miłościwy, nie obwiniaj nas, żalu nie miej, mamy świadki jawne, które poprzysięgną, że zdrada knowana była. Sieciech na królestwo twe godził, dlatego nam życie chciał odebrać.

Napróżno czekali odpowiedzi, król potrząsnął tylko głową, milcząc.

Dopiero, gdy przez okno zobaczył cisnących się panów śląskich i Krakowian, których Magnus z sobą prowadził, jakby się ich uląkł, bełkotać coś począł. Ponieważ ci, co na króla czekali, w ciasnej izbie pomieścićby się nie byli mogli, król skinął na komorników, aby mu rękę podali i z synem razem wystąpił do przedsienia, zgarbiony, z głową zwieszoną, jakby zawstydzony i upokorzony.

Na widok tego schorzałego starca drżącego, wszyscy odkryli głowy, a Magnus się przybliżył ku niemu.

Rozpoczął mowę do króla, w której gdy zdrady, uciski, przekupstwa i tyranję wojewody opowiadał, otaczający jęli przerywać, wołać, pokrzykiwać ze wszech stron.

Króla przeraziło to widocznie, pobladł, powiódł

oczyma i co podniósł głowę, to ją spuszczać musiał, jakby przestraszony tem hukaniem i głosami.

Słowa z niego dobyć nie mógł nikt. Synom nie dawał przebaczenia, panom przyzwolenia na nic, oczyma osowiałemi wodził po zgromadzeniu, na wszystko przystając, nie pożądając nic.

Zacięte usta, brew namarszczona, czoło sfałdowane okazywały, że dusza jeszcze się nie uspokoiła, że uległ sile, lecz przekonań swoich nie zmienił.

Napróżno Bolko i Magnus odzywali się doń kilkakrotnie, wywołując choćby słowo — milczał.

Bolko go całował po rękach, — cofnął mu dłonie i chował je przed nim; na zapytania nalegające, głową obojętnie potrząsał... Usta mu się poruszały czasem, głos z nich nie wychodził.

Mowa Magnusa i wrzawa nieprzerywana, trwająca w podwórcu czas dosyć długi, znużyły wkońcu króla tak, iż się już ledwie na nogach mógł utrzymać; komornicy zaprowadzili go do łoża, albo raczej na rękach zanieśli.

Tymczasem oba wojska pod zamkiem się połączyły, starszyzna zeszła, obradując, co dalej czynić przystało.

Magnus pierwszy rzekł:

— Zdrajca pociągnął do Sieciechowa, tak twierdzą wszyscy; dopóki on na tej ziemi, pokoju w niej nie będzie. Ścigać go musimy i iść za nim, póki nie wyżeniem go precz.

Cały ten dzień zeszedł na przygotowaniach do wyprawy na Sieciechów, która postanowioną została. Oznajmiono królowi, iż nazajutrz rano ciągnąć potrzeba; nie sprzeciwił się, szepnął tylko ojcu Lambertowi, aby o świcie ze mszą był gotowy.

Do dnia połączone siły ruszyły naprzód z pod Żarnowca; króla wsadzono na konia, a cały dwór, ojciec Lambert, Magnus i synowie kołem go otoczyli.

Dnia tego i następnych nie przeszło u króla to milczenie i zanurzenie w sobie.

Dopiero, gdy się Wisła ukazała, a za nią na przeciwnym brzegu mury opactwa sieciechowskiego i zam-

ku, król drgnął żywiej, poruszył się, otaczający go ujrzeli jakby promyk jaśniejszy na twarzy jego.

Od ludzi, pochwyconych na pastwiskach, dowiedziano się zawczasu, iż wojewoda z całą siłą swą do zamku swego się schronił, a wojska do obrony miał poddostatkiem.

Bolko znów już czuł tylko i widział przed sobą to, co najwięcej mu było upodobanem — wojnę! Dla walki zapomniał o wszystkiem, biegał po szeregach i pierwszy z drużyną swą, wyprzedzając innych, poskoczył ku brzegowi rzeki, która od zamku dzieliła, aby przeprawę i bród opatrzeć.

Zamek silnie był opasany wałami, tynami, przekopy, Wisła tuż pod nim płynęła szeroka i do przebycia niełatwa. Brodów, dawniej pozatykanych, teraz trzeba było szukać dla przeprawy, a czółen ani promu po tej stronie nie było. Poniżej i powyżej zamczyska musiano ludzi słać, aby próbowali, gdzie najmniejsza była głębina.

Przeprawiwszy się wreszcie, zamek niełatwo zdobyć było, oblegać go musiano.

Wojewoda ostrożny we wszelki zapas opatrzył gniazdo swoje, które bronić długo się mogło. Na wałach widać było lud mnogi, zbrojnych rycerzy, a między nimi i czarne suknie benedyktynów.

Nim coś postanowiono o przeprawie, obozem z tej strony Wisły położyć się musiano, obrawszy miejsce suche i nieco wznioślejsze dla rozbicia namiotów.

Cieszyli się wszyscy, że król tego dnia, gdy się go najsmutniejszym widzieć lękali, do siebie przychodzić poczynał. Nie był już tak w sobie pogrążonym i milczącym.

Przodem wysłana czeladź królewska u samego niemal brzegu Wisły namioty pańskie rozbiła. Nie zdało się to dobrem Magnusowi dla chłodu od rzeki i wilgoci, chciał je kazać cofnąć nieco na suchszy pagórek opodal, ale przybywający Władysław ręką dał znać, iż chce tu pozostać.

Przypisano to znużeniu i chęci prędszego spoczyn-

ku, ale że po raz pierwszy niemal wolę jakąś objawił, poszanowano ją.

Mrok już padał, gdy się oddziały rozkładać poczęły. Bolko i Magnus, wyręczając w tem o nic się nie troszczącego Zbigniewa, posłali natychmiast ludzi brodów szukać, drzewo sposobić, tratwy zbijać, aby nazajutrz począć przeprawę przez rzekę.

Bolko późno już wśliznął się do ojcowskiego namiotu i uradował się wielce, znalazłszy go nie siedzącym i zadumanym, jak tych dni ciągle bywało, lecz przechadzającym się z twarzą rozjaśnioną.

Zobaczywszy syna, król stanął, drgnął i jak pochwycony na gorącym uczynku, spuściwszy oczy, powlókł się na swe siedzenie.

Słowa już z niego dobyć nie było podobna. Widząc zaś, że Bolko zabiera się dłużej przy nim pozostać, po chwili król wskazał mu przez otwór namiotu niebo czarne, gdyż noc się stała ciemną bardzo, i zamruczał:

— Noc, noc, dajcie mi spocząć! Potrzebuję odpoczynku.

Ucałowawszy zimną rękę ojcowską, cofnął się Bolko.

Namiot dla niego opodal trochę od królewskiego rozbito.

Zbigniew ze swemi strażami stał też w tej stronie. Ludzie, pomęczeni wszyscy śpiesznym pochodem, wcześnie się na spoczynek zabierali.

Bolko zrzucił zbroję i ciężką odzież, drużynę spać odprawił, sam też wesoło zabrał się na posłanie oczekujące nań, nakazawszy Prószynce, który u wnijścia sypiał, aby go zbudził, jak na brzask, o świcie.

Cisza coraz większa objęła wkrótce obóz cały. W Sieciechowie też światła gasnąć poczynały na zamku, jedno tylko jakieś czerwonawe na górnej połaci, niby lampa u obrazu, płonęło jasno.

Czarna noc, wilgotna, chmurna o krok prawie nic widzieć nie dozwalała. Po znużeniu twardym snem usnęli wszyscy.

Krzyk i wrzawa zbudziły Bolka nagle. Prószynka

się porwał, chwycił królewicz, wprost biegnąc do zbroi i miecza, bo sądził, że sieciechowi żołnierze na czółnach się podkradli i na obóz napadają.

Wtem Magnus wpadł w opończy jednej, z głową nienakrytą, zdyszany.

— Król! — krzyknął — król!

Nie mógł wymówić więcej; zatamowanym, głuchym głosem powtarzał ciągle:

— Król!

Struchlał ze strachu Bolko, porwał się biec, lecz Magnus go wstrzymał.

— Króla niema! Król uszedł do Sieciechowa!!

Wiadomość ta była tak niespodziana i dziwna, że Bolko jej wierzyć nie chciał; jak stał wybiegł ku królewskiemu namiotowi.

Widok był straszny; resztę ludzi królewskich, którzy pozostali, jęczących, klękających, wypraszających się, wiązano i bito.

Namiot dokoła oblegała starszyzna, wściekła z gniewu, obrywając z niego płótna, krzycząc i odgrażając się.

Napróżno komornicy króla zaklinali się, iż o ucieczce nic nie wiedzieli; słuchać ich, wierzyć im nie chciano. Zbigniew, chwyciwszy się półnagi ze swego legowiska, latał gniewny, odgrażając się i jątrząc drugich jeszcze.

Całe wojsko biegło po konie, jakby nieprzyjaciel zagrażał, ludzie wdziewali zbroje, szykowano się, trąbiono, potracili głowy wszyscy.

Wtem jeden z czeladzi króla, zagrożony mękami, bo go już na ogień brać chciano, pokląkłszy, opowiadać zaczął, jak się to stało.

Władysław już musiał mieć umowę jakąś przez tajemnego posłańca z Sieciechem uczynioną. Gdy się wszyscy rozeszli, nie pozwolił z siebie sukni zdejmować, ludzi poodprawiał i trzech tylko zaufanych przy sobie zostawił. Pacholę, które spało u płotków, namiotów, widziało potem przelękłe, jak od zámku cicho podpłynęło czółno i stanęło u brzegu.

Król wysunął się z namiotu i samoczwart pośpieszył co prędzej ku łodzi, która z nim natychmiast odbiła. Chłopiec nie śmiał krzyknąć z obawy, aby go trzej ludzie, przy królu będący, nie zamordowali.

Zdrętwiał Bolko z żalu po biednym ojcu; inni na króla, jako na zdrajcę, ciskali pioruny. Niewypowiedziany zamęt w całym obozie poruszył wszystkich. — Co poczynać? Wojna zaledwie ukołysana i zażegnana groziła znowu.

Nim z tego krzyku, nieładu i przekleństwa przyszło do rady i rozmysłu, południe już na niebie było.

Magnus najprzytomniejszy zawczasu człeka pewnego i zręcznego przez rzekę posłał do Sieciechowa, aby dostał na podzamczu języka. Widziano, że gdy wczora tłumy stały na wałach zamkowych, dziś prawie tam pusto było. Kilku mnichów, niewiast kilka i zprosta odzianych ludzi pokazywało się kiedy niekiedy z poza ostrokołów.

Wojsko znikło.

W parę godzin dano znać, iż król i Sieciech, z siłami niezbyt wielkiemi, jakie koło siebie mieli, — ruszyli, ciągnąc ponad Wisłą, jak się zdawało, ku Płockowi.

Potwierdził to człek przybyły z językiem, który na podzamczu słyszał, że w Płocku zamierzano się bronić i trzymać.

Opadły ręce Bolkowi. Zbigniew przeklinał, obwiniając brata, Magnusa i wszystkich, że się królowi wymknąć dali.

— Na Płock! Do Płocka — grzmiało po obozie. — Na Sieciecha!

Nazajutrz do dnia część sił ruszyła na krakowskie grody, reszta znaczniejsza posuwała się wślad za Sieciechem i królem przeciwnym brzegiem Wisły.

Jesień sprzyjała dosyć wyprawie. Magnus, dowodzący główną siłą, ciągnąc za sobą Bolka, który szedł z nim posłuszny, ale bezwolny, pośpieszał ku Płockowi.

Krótkie noce dawano na spoczynek, stając późno na nocleg, budząc się przed brzaskiem do zachodu. Obawiano się, by Sieciech, znacznie ich wyprzedziwszy,

nie wzmocnił się zbytnio na płockim zamku i Mazurów więcej nie ściągnął ku sobie.

Gdy pod Płock przywlokły się oddziały, wojsko tak było znużone pochodem, tyle go jeszcze z gorszemi końmi podbitych i bezsilnych zostało na tyłach, iż strach brał, aby Sieciech, wyrozumiawszy słabość, nie napadł, a nie rozproszył.

IX.

Dni kilka upłynęło; z jednej strony sposobiono się ciągle do obrony, z drugiej do oblegania i szturmu. Magnus się troszczył tylko o to, co uczyni, jeżeli się rokowania i zwłoki przedłużą, a mrozy i zima nadejdą. W obozie wojnę — na dworcu biskupim duchowieństwo zgodę i układy gotowało.

Wieść o tem, co zaszło i posły, przez o. Filipa rozesłane do Gniezna, Krakowa, Kruszwicy, zgromadziły znaczny zastęp prałatów do Płocka. Na czele ich stał nieprzyjazny Sieciechowi arcybiskup Marcin, zastosowujący się doń Lambert krakowski i Paulin Ciołek kruszwicki. Pośpiesznie podążyli na zawołanie wszyscy, bo i sprawie kościoła zawichrzenie to szkodliwem było.

Na zamku królowa i wojewoda gotowi byli bronić się do ostatka, słać do obozu królewiczów, aby starszyznę przeciągnąć na swoją stronę, użyć wszelkich środków, by się przy władzy utrzymać. Spiskowano tu, nocami wyprawiano ludzi poprzebieranych, czynność była gorączkowa, zapamiętałość coraz większa.

Tymczasem na dworcu biskupim zebrani duchowni, zgorszeni, zatrwożeni, przez o. Marcina podbudzani mocno, postanowili nie dopuścić walki. Przed ich potęgą korzyło się ostatecznie wszystko.

Arcybiskup Marcin, zaledwie zsiadłszy z konia, głośno zapowiedział, że między ojcem a dziećmi dla jednego ambitnego człowieka boju nie dozwoli, kościelną władzą zagrozi i powstrzyma go.

Gdy na zamku Sieciech i królowa dowiedzieli się o przybyciu biskupów, wojewoda uląkł się i zwątpił o sobie, — arcybiskupa obawiał się najbardziej.

Nie dając czasu o. Marcinowi do widzenia się z królem, wojewoda natychmiast z pocztem pojechał na dworzec biskupi.

Właśnie na radę około arcypasterza gromadzili się duchowni, gdy ujrzano nadbiegającego wojewodę. Zdaleka palcem nań wskazując, zmarszczony starzec zawołał:

— Ten ci to jest, przez którego zgorszenie i nieszczęście na nas przychodzi.

Gdy w progu ukazał się Sieciech, trzej pasterze siedzieli już milczący, otaczając w pośrodku nich zajmującego pierwsze miejsce arcybiskupa. Twarz jego zwykle łagodna, teraz była gniewną, surową, straszną. Samo milczenie, którem na pozdrowienie odpowiedział, groźnem było i pełnem znaczenia.

— Ojcze najprzewielebniejszy — zawołał dumnie Sieciech — choć nie powołany, staję tu, jakby na sąd wasz dobrowolnie. Obwiniają mnie tu wszyscy wrogowie moi, chcę, abyście sądzili między mną a nimi.

— I sądzić musimy, a będziemy — zawołał arcybiskup uroczyście — sądzić będziemy nie ludzkim sądem, ale Bożym. Tak, naszą rzeczą jest nie dopuścić zgorszenia. Wy, wojewodo, jesteście kamieniem obrażenia, wy słabym królem władniecie, wy królową, wy przekupionymi ludźmi!

Sieciech, stojąc zarumieniony, zlekka próbował uśmiechać się szydersko.

— Tak — rzekł — teraz tu niema winowajcy, jeno ja, niema zbrodniarza, tylko ten — wskazał na siebie — ten jest zabójca, łupieżca, zdrajca, cudzołożnik. Lecz posłuchajcież obwinionego, bo sąd i rozbójników słuchać winien.

— Gdy nie są pochwyceni na gorącym uczynku! — odparł arcybiskup.

Oczyma surowemi mierzyli się duchowni, zachęcając do wytrwania w tem usposobieniu.

— Cóż możecie mieć na obronę waszą? — dodał starzec.

— Ja? Króla mam, króla i jego słabość — zawołał Sieciech. — Gdyby nie ja, rozpadłoby się królestwo to na kawały, zajechaliby je nieprzyjaciele. Pomorcyby krzyże powywracali, Czesi znowu łupili kościoły! Gdy nie było władzy i dłoni — musiałem panować ja, aby bezkrólewie nie nastało. Nie na króla, nie na królewiczów, nie na mnie patrzcie, którzy wszyscy śmiertelni jesteśmy, ale na państwo to i na losy jego!

Arcybiskup i towarzysze jego milczeli długo; począł wkońcu ojciec Marcin, pomyślawszy.

— Nie o państwo to, ani o ziemię szło wam, wojewodo, ale o własną sprawę. Chcieliście korony dla siebie. Mąciliście wodę, aby łatwiej w niej łowić. Znamy was nie od dziś dnia. Nie będzie was kosztowało nic przez krew dojść do panowania. Aliści władza świecka w tem królestwie, jako w innych, pod naszą jest, pod Bożą; my stoimy, jako kapłani, na straży sprawiedliwości. Papież korony rozdaje i z tronów strąca, my wiążemy i rozwiązujemy. Piotrową mocą, myśmy sędziami, my nie dopuścimy, aby się srom dział panu, a dzieciom krzywda. Myślicie się opierać? Stawajcież jako Masław z pogany i po pogańsku, bo po chrześcijańsku nie możecie. Ustąpić musicie z królestwa tego, a my pokój uczynimy!

Wojewoda, ostatnie wyrazy posłyszawszy, zbladł, zachwiał się.

— Ja mam więc za winy wszystkich odprawiać pokutę? — rzekł.

— Bo wy zgrzeszyliście najwięcej — dodał arcybiskup.

Sieciech spojrzał na biskupa Filipa, który mu groźnem odpowiedział wejrzeniem, potem na Lamberta, który miał oczy spuszczone i milczał, patrząc na otwartą księgę, na Paulina w ostatku, ale ten się nie odzywał i z założonemi na piersiach rękami ku stropowi poglądał.

Wojewoda nie mówił nic, oczy mu zachodziły krwią, która ze zbladłych warg ustępowała.

— Idźcie! — dorzucił o. Marcin. — Dopóki możemy ocalić wam życie, idźcie!

— Gdybym chciał — odezwał się niewyraźnie Sieciech — król odejść mi od siebie nie da. Król się nie obejdzie beze mnie, ufa mi. Wie, że nawet własnym dzieciom wierzyć nie może, że tylko ja mu byłem wiernym. Ja!

— Tak! — odpowiedział arcybiskup — król w rękach waszych, jako ciasto, które urabiacie na taki placek, jaki wam do smaku! Wiem o tem. Mnie królewska moc nie zastrasza; pomazańcem Bożym on nie jest, korony nie miał, panował z przyzwolenia naszego i ziemian, gdy cofniemy je my i oni, ustanie moc jego.

Wojewoda, któremu wyrazów na obronę zdało się braknąć, stał przybity. Dano mu chwilę namysłu, o. Marcin mierzył go oczyma.

— Wy, ojcze przewielebny — odezwał się Sieciech — nie od dziś dnia jesteście mi nieprzyjacielem.

— Tak, bom ja was poznał zawczasu — mówił starzec, — bom patrzał na sprawy wasze i w sercu czytał. Ujęliście sobie sromotnie królowę, niewiastę nieopatrzną i płochą, króla ujarzmiliście, Zbigniewa chcieliście się pozbyć klasztorem i więzieniem, Bolka zabójstwem.

— Potwarz! — wybuchnął Sieciech.

— Ci, którym płaciłeś za to, świadczą przeciw tobie — przerwał arcybiskup. — Idźcie, sprawa wasza osądzona. Myślcie, aby ustąpić dopóki czas.

Starzec ręką wskazał na drzwi, ale wojewoda stał nieporuszony.

— Tak-li ma być — przebąknął. — Ani król, ani ja nie ustąpimy, wojny się nie ulękniemy. Będzie wojna!

— Ja nie dopuszczę do wojny! — powstając, krzyknął arcybiskup. — Ja, com od was obu silniejszy Chrystusowem ramieniem, świętokradzkiego tego krwi przelewu nie dozwolę. Rzucę między wojska laskę

moją, krzyż Pański, na który nikt się nastąpić nie waży. Nie wyzywajcie tej potęgi, od której zginął królewski brat! Pomnijcie na los jego...

Wojewoda spuścił głowę, jak złamany tą groźbą.

— Ojcze — odezwał się głosem słabym — nie ojcowskie, nie pasterskie są to słowa.

— Bo nie synowskie czyny wasze — wołał arcybiskup.

— Jam dla wiary chrześcijańskiej pracował, klasztory uposażałem, krzewiłem ją, rozprzestrzeniałem — rzekł Sieciech. — Władzy pragnąłem tylko dla tego, abym pogaństwa resztę mógł wytępić. Kościół...

— Kościół i bez was stać będzie! — odparł, unosząc się starzec. — Nie troskajcie się wy o Chrystusa, a korzcie się przed mściwą ręką Jego. Nic skażonego nie wnijdzie do królestwa Bożego i was za sługę nie potrzebujemy, chyba w pokutniczej szacie.

Wojewoda jeszcze się z wyjściem ociągał, gdy ojciec Lambert, wzrok skierowawszy ku niemu, wskazał mu oczyma, aby izbę opuścił.

Starzec zarumieniony był i gniewny. Słowa nie mówiąc, wojewoda ustąpił.

Po wyjściu jego milczenie panowało długą chwilę, aż biskup Filip się odezwał:

— Kto wie, czy nas teraz wojewoda dopuści do króla?

Arcybiskup wstał żywo.

— Mnie? — zapytał. — Śmiałby?

Od dworca do zamku nie było daleko, mała przestrzeń je dzieliła.

— Idziemy natychmiast do króla — dodał ojciec Marcin.

Przywołano kapelana i kleryków, arcybiskup wdział swe suknie uroczyste, krzyż, wzięty z kościoła krucyferowi, rozkazując nieść przed sobą. Duchowieństwo i prałaci towarzyszyć mieli i poprzedzać pasterza. Biskup Filip w dzwon kościelny rozkazał uderzyć.

Arcybiskup nie dał się powstrzymać ani na chwilę; natychmiast ustawił się orszak duchowieństwa, przyo-

dzianego w komże z krucyferem na czele, biskupi otoczyli ojca Marcina i nieustraszony starzec skinął, aby szli ku zamkowi.

Zdala już musiano widzieć ten pochód uroczysty. Dziedziniec około dworca królewskiego pełen był ludzi, wojskowych, koni, dowódców, żołnierzy.

Sieciech nie miał czasu wydać rozkazów, a gdyby nawet był zalecił nie dopuszczać arcybiskupa, próżnemby to było, bo poprzedzanemu przez krzyże, idącemu w ubiorze pontyfikalnym, nikt w świecie nie byłby śmiał drogi zapierać.

Rozstępowali się co prędzej wojskowi, niektórzy na kolana padali, inni cisnęli się do rąk biskupów, całując je i dopraszając się błogosławieństwa. Sędziwy pasterz doszedł tak do drzwi dworca bez najmniejszej przeszkody.

Tu komornicy, dworscy, czeladź, wszystko, co nad miarę pobożnego króla otaczało, rozstąpiło się posłusznie; nikt nie śmiał wątpić nawet, iż król musi przyjąć duchowieństwo, dla którego przystęp zawsze był wolny.

Otwarto szerokie podwoje izby, w której siedział Władysław; starzec ze swem otoczeniem całem ukazał mu się niespodzianie. Na widok jego król zmieszany podniósł się naprzód z siedzenia ruchem gwałtownym i upadł na nie wpół omdlały. Wojewoda tylko co był wszedł do niego, nie mając czasu na rozmowę, gdy duchowni we drzwiach się zjawili. Arcybiskup z towarzyszami swymi, resztę prałatów zostawując w przedsieniach, śmiałym krokiem zbliżył się do króla.

— Miłościwy panie, — odezwał się, surowo spoglądając na wojewodę — przychodzimy do ciebie samego i pragniemy rozmowy bez świadków.

Oczyma przelękłemi, jakby litości prosząc, król Władysław mierzył arcybiskupa, a razem pochwycił za rękę Sieciecha, dając znak, że nie chce, by się oddalał.

— Ojcze, ja bez niego nie mogę nic, proszę was!

— A my z nim i przy nim nic nie możemy — odezwał się o. Marcin surowo. — Dziecię, z matką będąc,

piastunki nie potrzebuje. Kościół jest matką waszą, miłościwy królu.

Wojewoda stał jeszcze, gdy arcybiskup dodał łagodniej.

— Błagam was, panie, oporu kościołowi nie stawcie, nie sprzeciwiajcie się jego władzy, bo dobra waszego chce i pokój przynosi z sobą. Bądźcie pamiętni na los brata waszego!

Strwożony tem przypomnieniem król załamał ręce, puściwszy dłoń wojewody, i pochylił się, zdając tracić przytomność. Potem wzrokiem nieśmiałym Sieciechowi wskazał, ażeby ustąpił.

Wojewoda był zmuszony cofnąć się nareszcie i postąpił kilka kroków, gdy majestatycznie, dumnie, z gniewem na twarzy weszła królowa Judyta. Widać w niej było ową siostrę cesarską, ufającą w potęgę brata.

Wstrzymała się niedaleko od progu.

— Król, a małżonek mój — poczęła — chorym jest na ciele i umyśle. Dlaczego przewielebność wasza o sprawach państwa z nim mówić chcecie, gdy ma namiestnika i zastępcę?

Arcybiskup wcale nie zmieszany zapytaniem, odpowiedział z przyciskiem.

— Dlatego, miłościwa pani, że namiestnik ten nie zastępuje króla, ale sam nim chce być. Wasza miłość zechcecie nam bez przeszkody dozwolić mówić z panem naszym; potrzeba jest tego wielka.

Twarz królowej oblała się rumieńcem.

— Wy, tu, ojcze przewielebny, nie najwyżsi jesteście — zawołała — Rzym nad nami i wami jest. Ja poślę do papieża, do cesarza.

— Ślijcie miłość wasza do kogo się wam podoba — rzekł spokojnie arcybiskup — ja też słać będę. My w królestwie tem cesarzowi nie podlegamy; chociaż go szanujemy, poddani jesteśmy Rzymowi i ojcu naszemu jednemu tylko. Z rąk jego odebrałem instytucje i paljusz. Boga tylko i jego znam nad sobą.

Zagniewana królowa chciała mówić jeszcze, gdy

przerażony coraz bardziej król, rękami gwałtownie poruszając, dał znak, by ona i Sieciech odeszli.

Zmierzywszy złośliwemi oczyma duchownych, Judyta razem z wojewodą znikła za zasłoną.

Arcybiskup zwolna i łagodnie przybliżył się do króla, a widząc go drżącym, i aż do omdlenia prawie strwożonym, rzekł doń:

— Niech się uspokoi dusza wasza, miłościwy panie, niech błogosławieństwo Boga pokoju, zgody i miłości zstąpią na nią w Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Amen.

Król przeżegnał się z pośpiechem.

— Gałąź oliwną niesiemy ci, — miłościwy królu — mówił dalej arcybiskup — nie wojnę. Sieciech was kusi do niecnej walki z dziećmi własnemi; my jej nie dopuścimy w imię kościoła.

Król nie odpowiadał nic, brak mu było doradcy, patrzał dokoła, jakgdyby Sieciecha szukał.

— Nie sądźcie, miłościwy panie, — ciągnął dalej arcybiskup — ażebyście przy sobie mieli siłę; wojewoda mami was tem, jako mamił i oszukiwał w rzeczach innych. Tyle macie ludu, ile on go złotem kupić zdołał. Ludzie się brzydzą bratobójstwem Kaina i rzucą broń przy pierwszem spotkaniu. Sromotnie pobiją was dzieci, a ten sam wojewoda, którego ocalić pragniecie, zginie w walce, albo gorzej — od oprawcy!

Król jęknął.

— Tak, Sieciecha i zdrady jego wyrzec się trzeba— mówił starzec. — Błagam was o to w imię kościoła, matki naszej! Nie zgodzicie się, — ja krzyż mój rzucę między szeregi, aby, depcząc świętokradzko wizerunek Zbawiciela, musiały iść na siebie, tak, jak ewangelję depcząc, pójdą zabijać braci.

Na królu mowa arcybiskupa uczyniła wrażenie wielkie; począł płakać, pochylił się do rąk starca i całując je, wołał:

— Ojcze mój! ojcze! nie nastawajcie na Sieciecha, — proszę za nim, ja bez niego żyć nie mogę.

— Grzechem jest obcego człowieka przekładać nad

krew, nad dziecię własne—rzekł arcybiskup.—W grzechu śmiertelnym jesteście, nikt was nie rozgrzeszy. Nie chcecie-li gubić duszy, wyrzeknijcie się tego szatana, który was uwikłał w siecie swoje.

— Uczyńcie, jako prosimy, uczyńcie! Kościół radzi, kościół nakazuje — mówił ojciec Marcin. — Nie usłuchacie, kościół, matka wasza, sięgnie po miecz i po tę siłę, jaką ma, by nie dopuścić zgorszenia i zguby!

Groźby te, powtarzające się ciągle, złamały wreszcie króla. Zostawiony sam sobie, strwożony w sumieniu, przestał się opierać, ugiął głowę, zdawał się godzić na wszystko.

— Ocalcie mu życie! — począł błagająco. — Wrogowie na nie nastają! Jeśli go opuszczę, zamordują go mściwi.

— Niech uchodzi z życiem, byle szedł precz z królestwa tego, — odezwał się arcybiskup.

Król głowę osłonił rękami.

— Dajcie mi czas! Miejcie litość — nie naglijcie! Nie chciejcie śmierci mej!

Ojciec Marcin ustąpił nieco; niepodobna było nad nieszczęśliwym panem nie mieć politowania.

— Dzień i dwa weźmijcie do rozmysłu — rzekł powolnie — lecz nie ustąpię stąd, dopóki państwu pokoju nie ubezpieczę, a dzieci skruszonych do nóg waszych nie przyprowadzę.

Dalsza rozmowa niemożliwą już była; siły chorego wyczerpały się, ojciec Marcin błogosławił go.

— Bóg niech będzie z wami — rzekł. — Pomnijcie, miłościwy królu, że w rękach waszych są losy królestwa tego i że przelana krew spadnie na sumienie wasze... Niech Bóg odwróci, niech Bóg oświeci, niech Bóg wam doda siły!

— Amen! — dodali towarzysze arcybiskupa.

Wzruszony król chciał do drzwi odprowadzać duchownych, lecz sił mu brakło; podniósł się z siedzenia i padł na nie w niemocy wielkiej. Zimny pot czoło mu oblewał.

Nadeszła wreszcie godzina wieczornych modlitw

i, jak zwykle, powołano kapelana królewskiego, aby je z królem odmawiał.

Nim przystąpił do nich, ojciec Lambert, który arcybiskupowi posłusznym być musiał, wezwał króla, ażeby oczyścił swe sumienie przypomnieniem grzechów i roztrząsnął w sobie, azali przeciwko Bogu i władzy kościoła a tym, co ją sprawiali, nie czuł się winnym.

Milczącemu Władysławowi powtórzył kapelan, że najwyższy pasterz, brat tego, który zasiadał na rzymskiej stolicy, wezwał go do uczynienia zgody i spytał, jak spełnić to żądanie? Nalegał na posłuszeństwo, zbawienie czyniąc od niego zawisłem.

Król nie opierał się już, oświadczył gotowość do wszelkich ofiar, otrzymał błgosławieństwo i modlitwy się rozpoczęły.

Wojewodę musiał poświęcić. Jakkolwiek przywiązany doń, duszy swej zań oddać nie mógł.

Nazajutrz rano, jak świt, obudziwszy się, król rozkazał przywołać Sieciecha i sam na sam pozostał z nim długo.

Wojewoda, od wczoraj zmieniony i posępny, zdawał się sam widzieć konieczność ustąpienia dla ocalenia życia.

O wszystkiem, co się na dworcu działo, wiedział arcybiskup. Z jego ręki czuwał tu posłuszny ojciec Lambert, grożąc interdyktem i klątwą.

Z zamku widać było machiny oblężnicze, które w obozie Magnus kazał przygotowywać, ściągające się oddziały, zbijane promy i łodzie, które lada chwila przeprawę przez rzekę zapowiadały.

Wojewoda myśleć już musiał tylko, jak wczas uchodzić, aby nie być pochwyconym. Co chwila donoszono mu, iż z pułków jego ludzie gromadami przechodzili do obozu za Wisłę, inni zagrożeni przez duchownych po lasach się rozpraszali. Na pozostałych też coraz mniej rachować było można, tak wpływ księży onieśmielał ich i ochotę do walki odbierał. Rosła na zamku trwoga, której nikt oprzeć się nie mógł.

Ostatnie wysiłki króla wstawiania się za Sieciechem, którego chciał przy sobie, bodaj bez władzy żadnej zatrzymać, nie powiodły się. Odpowiadano od arcybiskupa, że w takim razie za życie wojewody ręczyć nikt nie mógł, tak nań nieprzyjaciele byli zażarci.

Przez cały ten dzień naprzemiany panowały na dworze rozpacz, narzekania, nadzieje pozyskania sobie duchownych darami i obietnicami nadań nowych, ofiarami, które odrzucano, zwątpienie wreszcie i trwoga. Po kilkakroć chodził i wracał uproszony ojciec Lambert od króla i wojewody do arcybiskupa, nic otrzymać nie mogąc nad to, co zapowiedziano — wygnanie.

Gdy upłynął czas, dany królowi do namysłu, trzeciego dnia arcybiskup z towarzyszami znowu się udał na zamek, aby usłyszeć odpowiedź stanowczą.

Wojewoda po raz pierwszy stracił męstwo, nadzieję i wiarę w to, ażeby się mógł dłużej utrzymać. Kościół stawał przeciwko niemu, a król z nim walczyć nie mógł.

W izbach królowej lament był i narzekania a groźby. Sieciech tu przesiadywał teraz, bo do Władysława przystęp mu tamowano. Judyta jedna przyszłości się wyrzec nie chciała i starała pocieszać skazanego, który zupełnie zwątpiwszy o sobie, siedział złamany, przybity i półmartwy.

— Ustąpić im dziś potrzeba! — mówiła królowa — lecz nie koniec na tem! Niech robią, co chcą, poślę do Rzymu skarżyć, będę słała od cesarza o pomoc, niech przyjdzie i zawojuje ten kraj, a zagarnie. Wy uchodźcie, abyście się przechować mogli do czasu. Do Niemiec wam potrzeba, — tam was przyjmą i schronią.

Wojewoda, mający przez żonę stosunki na Rusi, łam się spodziewał znaleźć skuteczniejszą pomoc, — więc odparł, że na Rusi woli przebywać.

— Chrońcie się, gdzie chcecie — odparła królowa — ale nie oddalajcie się od granicy, aby być wpogotowiu. Ja nie zaśpię, a królowi też pokoju nie dam, aż się to wszystko odmieni... Stary arcybiskup nie po-

żyje, następca inny być musi, przyślą go z Niemiec lub Rzymu... Wy powrócicie, wy musicie powrócić — dziś trzeba najdroższe ratować życie.

O tem też tylko i o zemście, którą gotował, myślał Sieciech... Zmniejszony dwór sposobił się w drogę do Sieciechowa, skąd uchodzić miał na Ruś, nie widząc się w kraju bezpiecznym. Co godzina zmniejszał się orszak skazanego na wygnanie.

W obozie za Wisłą wiedziano tegoż dnia, że król musiał się zgodzić na opuszczenie Sieciecha, a gdy wobec świadków uroczyste dał na to słowo arcybiskupowi, padł zemdlały, tak, że go na łoże przeniósłszy, ledwie słudzy mogli do życia przywrócić.

Ojciec Lambert, który, jak wielu duchownych naówczas, potrosze lekarzem był, pozostał przy chorym, niosąc mu razem religijną pociechę.

O wygnaniu wojewody w tejże chwili piorunem po obu obozach wieść się rozeszła; wszędzie ją przyjmowano okrzykiem radosnym. Wojsko, starszyzna, duchowni, lud, dla którego wojna była najstraszniejszą klęską, ciesząc się, powtarzali, iż Sieciecha już niema!

Dumny Sieciech, przed którym niedawno płaszczyło się wszystko, miał teraz tylko czeladź i niewolnych ludzi przy sobie.

Co się w duszy nagle upadłego człowieka dziać musiało — któż wypowie?

Jedni drugich ostrzegali, aby się nikt nie ważył iść z nim i na niepewne puszczać losy, bo mu wszystkie posiadłości i ziemię zabrać miano i wywołanym być miał na wieki.

Przechodzącego przez podwórza omijano zdaleka, niektórzy kryli się przed nim do przedsieni i po szopach, aby gwałtem nie pociągnął ich z sobą.

Wojewoda chciał raz jeszcze iść do króla. Komornicy, którym arcybiskup i duchowni surowe wydali rozkazy, stanęli u drzwi, nie dopuszczając wnijścia. Zażądał, aby ktoś od niego z poselstwem udał się do pana, — nie znalazł człowieka, coby się tego podjął.

Niektórzy ze śmielszych dworzan króla dobrali tę chwilę, aby mu przypomnieć, jak się dawniej z nimi obchodził i wyrzucać mu na oczy prześladowanie, które cierpieli od niego. Odegnany ode drzwi, ujść musiał z niczem.

Pozostawała mu jedna królowa, która, wyrzekając, płacząc i przeklinając, swoimi ludźmi, Niemcami i Węgrami, otoczyła go dla bezpieczeństwa.

Ze szczupłą garstką czeladzi Sieciech puścić się nawet nie śmiał do granicy i wahał się, co pocznie, gdy ze dworu Judyty dano znać o posłuchu, że spisek był uczyniony, i jeśliby pozostał dłużej, miano go wydać w ręce Magnusa. Królowa sama zaklinała i nagliła do odjazdu.

Nadchodził wieczór, nie było chwili do stracenia, — wojewoda w komnacie królowej wdziawszy opończę szarą i czapkę prostą, pobiegł do koni swych i ludzi. Kilkudziesięciu ledwie zastał w miejscu, bo wszyscy, wygnaniem zastraszeni, kryli się i uchodzili.

Przed nocą trzeba było zamek opuścić. Jeden gościniec ku lasom pozostał jeszcze wolnym, i tym o zmroku musiał Sieciech pośpieszyć na zamek swój, nimby do Sieciechowa nadeszła wiadomość o jego upadku, aby żonę, dziecię i skarby ocalić.

Zaledwie wyjechał za bramy, niepoznany szczęściem, gdy arcybiskup Marcin wysłał kapelana swego do Zbigniewa, aby zwiastował pokój, przebaczenie i wygnanie wieczne Sieciecha, którego król wyrzec się musiał.

Zarazem Władysław zrzekał się dobrowolnie panowania, zostawując sobie tylko Płock i kilka grodów na Mazowszu. Z płaczem prosił o. Marcina o spokój, aby za grzechy mógł Boga przebłagać i reszty dni dożyć w ciszy, nie jako król, ale człek znękany, który umrzeć pragnie w zgodzie z sumieniem.

Późno w noc już, przeprawiwszy się czółnem za Wisłę, kapelan arcybiskupi dostał się do obozu i namiotu Magnusa.

Zaledwie usta otworzył, gromada, która biegła

z nim, zasłyszawszy — pokój — rozpierzchła się po namiotach. Krzyki odzywały się zewsząd radosne, ochocze, wesołe, ludzie z dalszych stanowisk, porzuciwszy kotły, ognie, lecieli, aby się dowiedzieć i odnieść swoim wieść dobrą.

Noc cała spłynęła w radości wielkiej, ochocie i śpiewach; co było czółen, promów i tratew chwycili wnet ludzie, aby do Płocka płynąć i co prędzej swoich zobaczyć.

Z zamku też od króla śpieszyli niektórzy do królewiczów i Magnusa, a co było młodzieży — do Bolka. Ten radował się tylko tem, że ojca zobaczy znowu i rękę jego ucałuje. O niego dowiadywał się od wszystkich, nad nim bolał i rad był pośpieszyć ku niemu. Zarazem Pomorcy, którzy się o Santok kusili, niepokojem go nabawiali; chciał biec bronić granicy.

— Jutro do króla — wołał do swoich — a gdy o niego będziemy spokojni, pojutrze kto żyw z moich, na Santok, na pogany!

Młodzież wtórowała mu ochotnie, powtarzając:

— Na Pogan! na Pomorce!

Zbigniew stał obojętny i słuchał.

— Mnie — rzekł — pilniej do Gniezna, aby precz wymieść tych, co mi tam gospodarowali, ład zaprowadzić i spocząć po tych utrapieniach.

Wojna ta, a raczej włóczęga, spanie pod namiotami, żołnierskie jadło, słoty, zimna, niewygody srodze Zbigniewowi dokuczyły. Niczem były benedyktyńskie posty i twarda pościel klasztornej celi obok głodu w pochodzie, snu na trawie przemokłej, niepokoju dniem i nocą, z dodaniem konia, który nogi rozłamywał i zbroi, co ramiona ciężarem dusiła.

— Na Pomorców naprzód pójdziemy! — rzekł do niego Bolko.

— Tylko nie ja — odezwał się Zbigniew — ja pod dach na spoczynek; wy, jak wola! mnie się siły wyczerpały.

Drużyna Bolkowa odwróciła się od niego; poszedł się pocieszać z Zahoniem do swojego namiotu.

X.

Lat kilka upłynęło od wygnania Sieciecha, który z Rusi ruszyć się ani przedsiębrać nic nie mógł.

W zamku płockim na kilka dni przed wniebowzięciem Panny Marji wielkie czyniono przygotowania. Ściągały się zewsząd wozy, jechały gromadki zbrojne, gościńcami płynął lud, gwarząc, a nie widać było niepokoju ani postrachu, jaki zwykł wojnę poprzedzać i zwiastować niebezpieczeństwo. Owszem, ludzie się radować zdawali, około grodu śmiechy i śpiewy słychać było.

Stary Strzegoń, który był dowódcą królewskiej załogi na grodzie, siedział pod izbą swoją, w tylnych zabudowaniach dworca królewskiego. W podwórkach krzątano się wszędzie, umiatano drogi, oczyszczano kąty, ustawiano brzózki zielone, przywiezione z lasu, pancernicy pod szopami czyścili zbroje i odzież odświętną otrzepywali.

W ruchu tym, swobodnym, wesołym, ożywiającym ludność zamkową, czuć było byt dobry i pokój, jakiego tu dawniej nie widziano. Śmiechy się rozlegały raźne, tylko bliżej zabudowań, w których król Władysław przebywał, sprawiano się ciszej, bo służba pańska, stojąca w progu, pilnowała, by wrzawy nie wszczynano.

Człowiek, który z postawy na wojaka wyglądał, konia w miejskiej zostawiwszy gospodzie, powoli posuwał się ku zamkowi. Niemłody już był, włos miał nawpół z siwym zmieszany, brodę też pasami po bokach siwą.

Szedł i pilno się rozglądał, jakby tu obcym był, choć dobrze znał drogi i ścieżki i nie pytał o nic nikogo. Ludzi kręciło się dosyć, więc nie zwracano nań uwagi, nikt go też nie zaczepiał, jakby ci, co go mijali, nie znali go wcale. Ten i ów spojrzał na przechodnia i obojętnie mu się przypatrzywszy, do swej roboty powracał.

Przychodzień, wsunąwszy się na zamek, pobłądziwszy po dziedzińcach, siedzącego na kłodzie pancernika, który zbroję wycierał, zapytał o Strzegonia, gdzie-

by go podtenczas szukać było potrzeba. Żołnierz, zaledwie podniósłszy głowę, wskazał w stronę izby, na której progu spoczywał właśnie stary, piwa kubek nawpół wypróżniony mając przy sobie.

Dzień letni już się miał ku wieczorowi, a że skwarny był, napój się przydał dla ochłody.

Zdala zoczywszy Strzegonia, przybyły stanął nieco, obejrzał się dokoła, a widząc wszystkich zajętych, przybliżył się ku niemu. Ten też już mu się pilno przypatrywał czas jakiś, jakby go poznawał, a pewnym nie był, czy się nie myli.

Gdy przychodzień podszedł, stanął i uśmiechnął się — Strzegoń aż się zerwał, aby mu bliżej zajrzeć w oczy.

— Czy mnie stary wzrok nie myli? — zawołał.

— A nie — jam jest, ja — dziwnie się uśmiechając i wkoło oglądając, rzekł przybyły.

— A cóż wy tu porabiacie? Lat tyle widać was nie było? Ludzie prawili, żeście na Ruś poszli z Sieciechem?

— Na Ruś? hm! Mało to ludzi na Ruś i bez Sieciecha ciągnie, a stamtąd tak samo wrócić można, jak pójść! — począł przybysz.

— Cóż was tu przyniosło? — pytał Strzegoń.

— Ot tak, z ciekawości może się przywlokłem — rzekł podróżny, oglądając się bacznie — a nielepiejby do izby na rozmowę?

Strzegoń się odrobinę zawahał.

— W izbie bo skwar i much tyle, że wyżyć trudno, pójdziemy gdzie w chłód do szopy.

— Idźmy i w chłód, jak wola — zgodził się przybysz.

Tak we dwu pociągnęli niedaleko, w otwarte wrota odryny, gdzie świeżego siana właśnie nabito aż pod dach, że ledwie zprzodu miejsca trochę było, aby się na niem położyć.

Patrzyli na siebie dawni znajomi, napatrzyć się nie mogąc.

— Tyś utył, ale postarzał — rzekł podróżny.

— A tyś schudł i podupadł troszkę — odpowiedział Strzegoń.

— Co za dziw! włócząc się między obcymi? — westchnął pierwszy.

— Wróciliście do nas? — pytał dowódca.

Podróżny głową potrząsnął, nachylił się do ucha Strzegoniowi i począł mówić.

— Myśmy się z Sieciechem niedaleko od granicy odbili, a uwierzycie, że choć siedzim blisko, nie wiemy prawie, co się u was dzieje, jakby mur nas przedzielał. Sieciech zawsze ma nadzieję powrócić. Powiem wam prawdę, posłał mnie, abym mu przyniósł języka.

Strzegoń wstrząsnął się cały, spojrzał zukosa, głową poruszył.

— A cóżeście za języka dostali? — rzekł sucho.

— Jeszcze żadnego, bom i pytać się lękał, — mówił podróżny. — Myślałem, że tu znajdę niepokój, zwadę i biedę, a no — dotąd nie widzę.

— Bo ich niema — rzekł Strzegoń.

— Cóż robicie?

— Potrosze wojujemy, a czasem się spoczywa — odezwał się dowódca.

— A król?

— Król? Stare panisko, w kożuch zawinięte, ledwo żywe, dogorywa, modląc się Bogu.

— A któż mu sieciechuje?

— Nikt chyba.

— Hej! hej! I bez Sieciecha żyjecie, jakby go już na świecie nie było — dodał przybysz.

— Ani pamięci już u nas o nim niema — zakończył Strzegoń.

— A król?

— Bolał dużo i przeboleć musiał — mówił dowódca. — Długo nawet Bolka odpychał; teraz znowu go miłuje, jak oko w głowie. Któżby mógł inaczej!

Podróżny skrzywił się, słuchając.

— Przecie i Zbigniew niewiele gorszy! — wtrącił.

— O! o! — przerwał Strzegoń — zasię! Kleryk czasem zrywa się do mieczyka, a no mu się z nim nie-

szczęści. Co go wyjmie, to schować musi, nie umoczywszy, chyba w wodzie! Radby on, żeby się zań ludzie bili, sam woli Niemki gładzić po twarzy. Język ma mocny, a pięść słabą.

Począł się śmiać Strzegoń stary.

— Bolko złoty pan! — ciągnął Strzegoń — ale chłopię szalone. Jemu tylko w lesie a w polu, pod namiotami dobrze i wesoło; klerykowi w chacie u ogniska. Dwu ich jest jednego ojca, a do siebie niepodobni wcale.

— A królowa Judyta? — zapytał przybysz.

— E! e! — syknął Strzegoń — co mi tam w babskie mieszać się sprawy! Jak poczynała niegdy, tak i dzisiaj Niemców młodych kręci się koło niej siła, baba w skoki chodzi, śmiechami żyje i zestarzeć nie chce... Siedzi w niej licho.

— A po wojewodzie nie zatęskniła? — dodał przybyły.

— Nie wiem. Pewnie dwa albo i trzy dni musiało jej być markotno — mówił dowódca. — Co miała za jednym z tęsknoty umierać, kiedy ich dziesięciu mieć może na to miejsce?

— Przecie stara — mruknął obcy.

— Pomarszczona i straszna — dodał Strzegoń — a czem się garnek napoił zamłodu, tem skorupy jego cuchną.

Milczeli jakiś czas; przybyły wyciągał siano z pod siebie i gryzł je, jakby ze złości.

— Co tu u was tak wygląda świątecznie? — zapytał.

— Niby nie wiecie, że święto za dni parę przypada! — rzekł Strzegoń. — A no, mało tego, uroczystość będzie znaczna, król stary Bolkowi i jego drużynie rycerskie pasy ma dawać.

— I Zbigniewowi też? — zapytał podróżny.

— Poco mu drugi, kiedy już jeden dostał sobie — odezwał się Strzegoń. — Choć niebardzo wojował, ale zawczasu rycerstwo to wyprosił u czeskiego króla. Pysznił się niem Bolkowi na złość, gdy ten, krew przelewając, pasą nosić nie śmiał.

Mówili jeszcze z sobą, gdy Strzegoń posłyszał wołanie na dziedzińcu i na sianie zostawiwszy towarzysza, rzucił się z odryny dowiedzieć, co się stało.

Na koniu, pianą i potem okrytym, leciał ku szopom młody, ciężką zbroją okryty cały, chłopak, w którym wysłaniec Sieciecha poznał Bolka.

Lat kilka uczyniły go dorosłym, silnym mężem, a więcej nad lata ciągły trud wojenny go ukrzepił.

Choć złem okiem patrzał nań posłaniec, nie mógł się oprzeć wrażeniu, jakie piękność, męstwo i siła wywierają. Puszek młodzieńczy okrywał twarz ogorzałą, zdrowiem kwitnącą, wśród której bystrych oczów dwoje, jak dwa czarne, świeciło, diamenty. Widać było prawie, jak pod tą czerstwą skórą krew żywo płynęła.

Pańska i rycerska postawa budziła poszanowanie; znać w nim było zdala królewskie dziecko, dowódcę, nawykłego rozkazywać i niczem się nie dać ustraszyć.

Strzegoń spotkał się z nim wśród podwórca; Bolko właśnie konia osadził i zeskoczył z niego.

— Stary mój! — krzyknął głosem doniosłym a drżącym — ludzi! ludzi! Do koni! co jest najlepszego! kto żyw, dziś, zaraz ze mną!

— Cóż się stało, miłościwy panie? — podchwycił, kłaniając się, Strzegoń.

— A! psia gromada ujada nad granicą! — wołał Bolko. — Zwąchały wilki wściekłe, że my tu świętować mamy — Pomorcy znowu Santok oblegają!

Strzegoń stał pomieszany, nie wiedząc, jak spełnić rozkaz.

— Miłościwy panie, święto wielkie tuż przed nami! Uroczystość wasza! Sproszono duchowieństwo, władyków, wojewodów, król, póki żyw, chce was przepasać!

— Słuchaj! — krzyknął królewicz — czasu jest dosyć! Natychmiast na nich, sprawim się chyżo, zbójów przegnamy i wrócim żywi i zdrowi po pasy! Znam się ja z tą hałastrą, która pierzcha, byle jej siąść na karki! Strzegoń! stary! na rany Boże! Na całą noc w pochód — kto żyje! Trąbić na ludzi — dodał, rozgorączkowując się — nim księżyc wnijdzie, na całą noc ruszamy.

W tej chwili poruszyło się wszystko na zamku, bo w rogi uderzono... Chory król, posłyszawszy to hasło wojenne, uląkł się i komornika wysłał z pytaniem, co się stało?

Bolko biegł z nim do ojca zdyszany. Władysław siedział w swem krześle, otoczony czeladzią, z usty otwartemi i wargą obwisłą, która się teraz rzadko zamykała; oczy miał wlepione we drzwi, czekając wylękły na syna.

Wyciągnął doń ręce...

— Wojna? napaść? — zawołał.

— Santok oblegają te pogańskie syny, ta tłuszcza zbójecka! — począł Bolko — iść muszę!

Król się zmarszczył.

— A uroczystość nasza? a sproszeni goście?

Rozśmiał się królewicz.

— Będą godowali tu, aż powrócę — zawołał — pierwsza rzecz na pas zarobić. — Wolę Santok od pasa. Gdybym ja tu rycerzem został, a oni mi zamek ubiegli, gotówbym się na tym pasie obwiesić!

Mówiąc to, całował rękę ojca, który go do piersi przycisnął.

— O! ty! ty! rycerzu mój! — odezwał się pieszczotliwie — pociecho moja! Ilekroć ty idziesz ode mnie, strwożone serce idzie za tobą. — Tyś mi jedyny, ty nie dasz spustoszyć tej ziemi, a sławie naszej zaginąć. Odżywisz ją!

Zapłakał król, ale z radości.

— Ojcze miły — rzekł, ściskając go, Bolko — gości strzymajcie, niech poczekają mało, aż powrócę. Przyniosę na mieczu pogańską krew, blizny może — z niemi do pasa przystąpić milej mi będzie.

Wiedział stary król, że wstrzymywać go byłoby napróżno, westchnął, całując i raz jeszcze spojrzał nań, a twarz mu się radością rozśmiała.

Dawnych żalów śladu nie było ni w sercu ojca, ni syna; odkupił je Bolko miłością wielką i troskliwością o starego rodzica, którego, jak piastunka, sam jeden doglądał, bo królowa wcale oń nie dbała.

Jeszcze byli na rozmowie, gdy w dziedzińcu niezmierna wrzawa, rogów piskliwe granie, krzyki i śpiewy niesforne, rozlegające się nagle, zwiastowały przybycie Zbigniewa.

Król mimowolnie przerażony drżeć zaczął, obłąkanemi powiódł oczyma i uspokoić się nie mógł, choć mu oznajmywano, że królewicz syn jechał z tym szumem rozpustnym.

— Znano go z tych wjazdów, których zwyczaju pozbyć się nie chciał, choć go o nie strofowano. Otaczał się ludźmi, którzy posłuszni mu, w każdej osadzie, do każdego gródka się zbliżając, swawolę tę powtarzali.

Dziwacznie wyglądał orszak starszego królewicza, który sobie dzikich a rozpasanych ludzi dobierał, a stroił ich osobliwie, w szaty jaskrawe, czuby i pasy, obwieszając konie i ludzi dzwonkami i trzęsidły. Miłe mu to było, co najgłośniej brzęczało.

Wybiegł Bolko w podwórce, dając znaki rękami, aby się ta czereda uciszyła, wołając, że król chory.

— Zawsze chory — odparł z konia Zbigniew — przecież królewiczom na zamek, jak złodziejom, pocichu wkradać się nie przystało!

Zsiadłszy z konia, podali sobie ręce, witając się chłodno, Zbigniew przybrał wyraz szyderski i dumny.

— Cóż, młody rycerzu! — odezwał się. — Gotujesz się, słyszę, do pasa, pilno ci być musi go dostać!

— Nieprędzej, aż na niego zarobię — odparł z równą dumą Bolko. — Właśnie się zręczność nadarza, bo Pomorcy Santok oblegają. Za godzinę ruszam. Chcesz ze mną? Rad będę.

Zbigniew się zadumał.

— Jam się na wyprawę nie przysposobił — rzekł— ludzi mam garść małą, na niewieleby się przydali. Patrzeć zaś na twe bohaterskie dzieła nie potrzebuję, bo wiem, żeś mężny i nieustraszony. Zostanę przy ojcu.

Mrok padał i skwar dzienny znacznie się zmniejszył, gdy młode pacholę w zbroi już, przy mieczu, w całym rynsztunku przyszło pożegnać ojca i wziąć błogosławieństwo jego na drogę.

Nie śmiał wstrzymywać go ojciec, uścisnął i szepnął:

— Wracaj cały i zdrów, szczęśliwie a prędko! Niepokojem srogim mrzeć będę za tobą!

Po wyjeździe królewicza zamek zdawał się pustym, brakło mu tego życia, które z sobą przynosił. Z nim też najdzielniejsza młodzież zniknęła. Lecz w tejże prawie godzinie przybywać zaczęło sproszone duchowieństwo, władycy, ziemianie.

Wielu starszych wiodła ciekawość, bo choć wszyscy znali i wiedzieli, czem był pas rycerski, obrzędów uroczystych przy wkładaniu go mało któ z nich był świadkiem.

Dzień cały po wyruszeniu Bolka nie było o nim wieści.

Nazajutrz następowało Wniebowzięcie Panny Marji, na tę uroczystość wyznaczone. Królewicza oczekiwano niecierpliwie. Król, choć chory, kazał się nieść na nabożeństwo do kościoła katedralnego, gdzie arcybiskup z towarzyszami celebrował.

Odprawiono nabożeństwo poranne, nastąpiło wieczorne: Bolka jak nie było, tak nie było, nakoniec i noc zapadała — słuchu żadnego nie miano o nim od granicy.

Niepokojąc się, król wysłać kazał jednego z najsprawniejszych ludzi swych, aby się starał dostać języka. Goniec miał już wyruszać pod noc, gdy za bramami zahuczało, jakby wicher się zrywał. Bolko biegł w kilkadziesiąt koni, z drużyną swą i czeladzią, pierwszy na zamek wracając.

Wszyscy wybiegli przeciw niemu z pochodniami, z radością, wołaniem głośnem, tak, że i Zbigniew musiał wyjść przeciwko brata, choć z gotowem szyderstwem na ustach.

Powracający Bolko miał na sobie ślady zwycięskiego boju, który stoczył, odpychając Pomorców od Santoka; jechał z hełmem porąbanym i pogiętym, w zbroi potłuczonej, na której widać było ciężkie razy, na koniu, jak on sam, poranionym i pobitym. U siodła wi-

siały żelazne rękawice pogruchotane, oszczep pokrwawiony i nadłamany sterczał, pochwy miecza całe krwią były zbroczone, płaszcz i kaftan miał podziurawiony.

Dość było spojrzeć nań, aby widzieć, że sam brał udział w najgorętszej walce i musiał z niej wyjść zwycięsko. Ci, co się znali na rycerskiej sprawie, zobaczywszy go, wyczytali na nim wypisaną całą historję walki, podnosili ręce z podziwem i uwielbieniem, obwołując młodego pana.

Gdy wszedł tak do ojca, znowu powstały okrzyki na widok zbroi, hełmu i miecza. Król wstał, aby go uściskać i do piersi przycisnął. Duchowni z poszanowaniem patrzali, jakby wracał z wojny krzyżowej.

Większa część wojska pozostała przy odsieczonym Santoku, Bolko sam tylko z drużyną przybieżał w skok, aby, nim się panowie duchowni rozjadą, otrzymać dobrze zasłużony pas rycerski.

Nie było już jednak podobna dnia tego rozpoczynać przygotowań do obrzędu, bo i królewicz i towarzysze jego, śmiertelnie strudzeni, potrzebowali odetchnąć, przysposobić się, nimby spowiedź, poprzedzającą uroczystość, odbyć mogli.

Stanęło też na tem, aby dopiero dnia następnego rozpoczęły się ceremonje, które ściśle zachować chciano, tak, jak się gdzie indziej odprawiały.

Na dworze króla Władysława był już zdawna Michno z Zadora, wielce Bolkowi ulubiony, ciekawy mąż, którego losy różne i własna wola po świecie szerokim nosiły długo tak, iż znaczniejszą część życia przebył na dworach królów Francji i cesarzów niemieckich.

Wielką powagę miał stary; nałóg sobie uczyniwszy z ładu surowego, pilnował niclitościwie wszystkiego, co się do spraw rycerskich odnosiło.

Następującego dnia Bolko z dwunastu towarzyszami swoimi szli naprzód na nabożeństwo, odziani skromnie, jak pokutnicy, a przy mszy świętej wszyscy spowiedź odbywali. Nie godziło się dnia tego żadnej zażywać rozrywki, ni wspólnie z innymi biesiadować. Stół

mieli osobny, jadło skromne i niewytworne. Dzień upłynął na skupieniu ducha i nabożeństwie.

Wysłuchawszy nieszporów, wszyscy pozostali w kościele, gdzie przed wystawionym w ołtarzu wielkim Sakramentem i przy płonącej lampie noc całą przebyli na czuwaniu i modlitwach.

Bolko i towarzysze jego, jednako odziani, mieli suknie z prostego sukna grubego, bez ozdób żadnych, na kształt sutanny, którą duchowni nosili.

Jak tylko rozedniało wyszedł biskup Filip ze mszą świętą, po której przystąpili wszyscy do stołu pańskiego.

Szli potem do przygotowanej łaźni, w której wyparzywszy się i obmywszy, zmienili odzież, biorąc bogatszą, krojem świeckim zrobioną, krótką i bramowaną.

Zwyczaj, którego Michno pilnował, wymagał, aby po łaźni położyć się do łóżka i w niem przyjmować odwiedziny przybywających z powinszowaniami.

Bolko oprzeć się chciał temu przymusowemu spoczynkowi, lecz stary choć na chwilę go lec przymusił, aby się obyczajowi zadość stało. Wpuszczono ciekawych i przynoszących życzenia, na których nie zbywało.

Gdy się odwiedziny te skończyły, Michno, Strzegoń i Leliwa Neńko, stary też wojak, przystąpił do odziewania królewicza wedle obyczaju.

Podał mu pierwszy gzło, u szyi i pięści złotem wyszywane, białe jak śnieg, bo oznaczające szatę niewinności, przyozdobioną cnotami. Drugi przyniósł koszulę z drutu żelaznego, jak siatkę misternie plecioną. Ta oznaczała jakby włosiennicę rycerską, godło trudu, bólu i wstrzemięźliwości.

Na ono drugie gzło żelazne wdziano mu kaftan łosiowy, który pierwsze okrywał, tak jak człowiek cnotę swą i boleść winien przed oczyma bliźnich osłaniać skromnie. Na kaftanie poczęto opinać zbroję, całe ciało osłaniać mającą, aż do rękawic i nagolenników.

Na nią narzucił mu Strzegoń płaszcz rycerski na

ramiona, szczęściem z lekkiej tkaniny, gdyż skwar sierpniowy na potłuczonem świeżo ciele, sińcami po boju okrytem, ledwie ciężar ten cały dawał udźwignąć.

Tak samo przyodziani zostali towarzysze Bolkowi wszyscy, dla których on gzła, zbroje i miecze jednakowe zawczasu przysposobił.

Przybrani wszyscy młodzi, pacholęta jeszcze, uroczyście szli do kościoła, gdyż król chciał, aby pasowanie ani w izbie, ani w podwórcu, ale w katedrze się odbywało.

Szedł naprzód królewicz przed ołtarz wielki i tu odprawiwszy modlitwę krótką, przystąpił do ojca, przed którym składać miał przysięgę.

Jedna dla wszystkich rycerska klątwa brzmiała, jako krwią, życiem, mieniem, nie szczędząc ich, rycerz miał bronić wiary świętej i kościoła, walczyć z pogany, osłaniać sieroty i wdowy, stawać w obronie wszelkiemu uciśnionemu.

Po złożeniu przysięgi dopiero przystąpili do królewicza Strzegoń i Michno, aby mu złocone przypiąć ostrogi.

Klerycy, z ołtarza wziąwszy pobłogosławione miecze, z których każdy zawieszony był na bogato sadzonym pasie złocistym, a pochwę miał sianą w drobne krzyżyki złote, nieśli je przed króla.

Ukląkł Bolko u kolan ojcowskich, a Władysław, trzykroć mieczem uderzywszy go po ramieniu, drżącemi rękami przypasał mu rycerskie znamię.

Uderzenia, jak przy bierzmowaniu, oznaczać miały, iż rycerz znosić był powinien cierpliwie ciosy i razy — za wiarę i za prawdę.

Wstał Bolko, cały radością promieniejący, dziękując ojcu, a że król sił dosyć nie miał, aby wszystkim towarzyszom jego pasy nakładać, wyręczała go starszyzna, dopełniając obrzędu.

Na dany znak odezwały się przed kościołem rogi, trąby i co było gędźby, uderzono we dzwony, a okrzyki tłumów zagłuszyły wszystko. Lud cały, w podwórcach stojący, nowych rycerzy witał. Było to widowisko

dlań nowe, po którem obiecywały się otwarte stoły i beczki, co radość większą jeszcze czyniło. Bolka też kochali wszyscy i cieszyli się tem, co w ich oczach miało większe znaczenie, niż król i starszyzna mu przypisywała.

Na Zbigniewa mało kto patrzał, ukryć więc mógł gniew, jakim pałał, zazdrość i pragnienie zemsty. Zazdrościł młodszemu wszystkiego: oznak miłości powszechnej, męstwa, serca ojca, sławy i rycerskiego pasa, choć i on dziś włożył swój kosztowny i lśniący, ażeby się nim pochlubić.

Nikt ani na niego, ni na ten strój nie spoglądał.

Zaledwie uciszyło się nieco w kościele, gdy z prezbiterjum, gdzie stali kapłani, z pośrodka ich, dał się słyszeć głos, który wszystkich niemal zdumiał.

— Książę panie, Władysławie pobożny! Pocieszył dziś Bóg królestwo twe, podeszłe lata twoje, chorobę twą, a ziemię tę przez nowego pokrzepił rycerza.

Błogosławiony żywot, który wydał na świat syna takiego!... Dotychczas Polska nękana była przez nieprzyjaciół, ten młodzian ją do dawnej przywróci potęgi [1]).

Zdumieli się wszyscy temu głosowi proroczemu, który wyszedł, jakby mimowolnie natchniony, z ust mnicha, stojącego za biskupami.

Mnich ten, mówiono, Gallem był, a przybywszy przed laty kilku do tej ziemi, nieznane na Zachodzie dzieje jej spisywał. Człek był duży, opasły, twarzy szerokiej, rumianej, wesołej, ust i warg wydatnych, oczu wypukłych, śmiałego wejrzenia. Gdy się nań wszystkie zaczęły zwracać oczy, głowę pochylił, pokłon czyniąc biskupom, otarł pot rzęsisty z czoła i cofnął się nieco za kleryków, aby nań nie patrzano.

Poszli potem ku stołom. Króla nie było, spoczywał, czy spał, znużony i osłabiony, królowa też ze swoim dworem jadła w izbie osobnej. Przy stołach

[1]) Gallus.

gospodarzyli podczaszowie, komornicy, wojewodowie. Wrzawa i radość były niezmierne.

Bolko ze swymi dwunastu nowo-pasowanymi rycerzami osobno na podwyższeniu jadł, jakby mu już miejsce wyższe nad innymi należało.

Zbigniew wprost poszedł do niego, i choć siedzenia dlań przygotowanego nie było, kazał je sobie obok Bolka postawić. Przybył tu już z twarzą nie tak zaogniona, został na niej tylko ów wyraz szyderski, który jej był zwykłym. Popatrzył na wesołego brata i, rozparłszy się szeroko przy nim, kubek sobie przysunął.

— Pięknie wam ten mnich prorokował! — wyrwało mu się wkrótce. — Kapelan to wasz, czy służka?

— Nie znam go wcale — odparł Bolko — i nierad byłem, że tak nieopatrznie wystąpił. Brzemieniem jest przepowiednię taką nosić na sobie...

I wnet postarał się odwrócić rozmowę.

— Cieszy mnie — odezwał się — iż wszystko składnie szło. Winienem to staremu Michnie. Ani na cesarskim dworze piękniejby być nie mogło. Królowa nawet, co na nas jak na wilki dzikie patrzy z pogardą, dziś się, słyszę, zdumiewała rycerstwu naszemu!

— Mierzyć się myślisz z cesarzem! — rzekł. — Strzeż się, byś ludzi nie śmieszył!

— I na turnieju i w polubym gotów z nim się mierzyć! — odparł Bolko. — A wy — dodał — chcecie-li też stanąć z nami do gonitwy?

— Ja? Nie miałem Michny, coby mnie tej sprawy uczył — rzekł Zbigniew złośliwie. — Gdzieżeście widzieli, aby klerycy do turniejów się brali? A to wszystkim wiadomo, że mnie inaczej, jak klerykiem, nie zwiecie.

— Nie ja — odpowiedział Bolko — ja cię zowię bratem.

— Bratem! bratem! — podchwycił Zbigniew cicho. — Dziś to jakoś tak wyglądało, jakbyś mi panem chciał być.

Wyrwało mu się to mimowoli prawie, i nim Bolko miał czas odpowiedzieć, Zbigniew, dopiwszy kubka,

wstał, idąc pomiędzy ludzi, a potem do niewieściego dworu królowej, z którym rad przestawał.

Wkrótce potem Bolko ze swymi wyszedł także, gotując się do turnieju zapowiedzianego.

Choć Michno stary pragnął bardzo uczynić go prawdziwym turniejem na sposób zachodni, i czasu, i miejsca, i ludzi po temu nie miał, bo się na gonitwę nie przygotowano, a mało kto do niej miał wprawę.

Wyjechał naprzód Bolko w całej zbroi, z tarczą i włócznią, na koniu, kropierzem okrytym, a przeciwko niemu jeden z drużyny, bo innego nie znalazł, coby się z nim chciał mierzyć.

Pobiegli na się, tknął włócznią swą Bolka Leliwa, ale się ośliznęła, sam zaś silnie pchnięty w środek zbroi, z konia się zwalił.

Poczem Bolko już więcej nie chciał się próbować z nikim, aby nie sądzono, że go własna drużyna oszczędza, a obcych nie było.

Między sobą z różnem szczęściem ucierali się młodzi, pasowani dnia tego rycerze, przy oklaskach i okrzykach ogromnych. Padali i dźwigali się, kruszyli kopje, szermowali mieczami, aż wesoło na nich patrzeć było.

Królowa, przypomniawszy sobie obyczaj, wystąpiła niespodzianie z podarkami, które cztery najpiękniejsze panie z jej orszaku rozdawać miały, ale Bolko nagrody odmówił.

Wieczorem, gdy powietrze ochłodło, zbierały się gromadki, witali znajomi, bratali ci, co dawniej się nie znali, ochoczo i wesoło gwarzono i podśpiewywano.

Tu rozpowiadano wyprawę ową przeciwko Pomorcom (przez Sieciecha nasłanym) i o pogromie ich w odwrocie, gdy już łupami obciążeni spoczywali.

O wielkim wojewodzie, który niedawno panował tu wszystkim, nikt teraz ani wspomniał.

Niepostrzeżony jego wysłaniec wsunął się pomiędzy goszczących, nasłuchiwał, wyzywał nawet przypomnieniem palatyna, — ludzie się go nie zdawali rozumieć. Ci, co przypadkiem napomknęli o nim, sarkali nań. Co uczynił dobrego — zapomniane było, co złego zrobił —

o tem dłużej pamiętano. Nie żałował go nikt, szczególniej ci, co mu byli wszystko winni.

Tajemny poseł ostrożnie tu i owdzie szepnął o tem, jak to on państwo chciał w jedno połączyć, aby silnem było; zahukano go, bo każdy lękał się, aby ziemia jego nie służyła i słuchać nie była zmuszoną. Przekonać się mógł wyprawiony na zwiady, iż nie miał poco jechać, bo Sieciecha nikt tu nie chciał.

Miał on i do królowej Judyty poselstwo tajne, szepnął jej coś ostrożnie, sądząc, że bardzo wdzięcznie będzie przyjętym; królowa popatrzała nań zdziwiona wielce, zapytała odniechcenia o dawnego ulubieńca. Słuchała odpowiedzi roztargniona.

— Jeśliście od niego przysłani — rzekła — bądźcie ostrożni, nie bawcie tu długo. Gdyby was poznano i schwycono, z ciemnicy się wydobyć byłoby trudno. Wojewoda wrogów zostawił dużo, a druhów nie ma. Dobrze mu tak, gdy więcej chciał, niżeli mógł.

Królowa miała doń żal srogi, a że oprócz tego poseł był stary i niepoczesny, długo z nim nawet mówić nie chciała. Pierścienia, który na znak przyniósł, oglądać sobie nie życzyła; poszedł więc i skrył się, lękając, aby nie był zdradzonym.

Późno w noc spotkał go Strzegoń w podwórcu, wlokącego się do miasteczka na gospodę.

— Nie mam tu co popasać długo — rzekł mu poseł — bywajcie mi zdrowi; miejsce po nas zarosło, znaku nie zostało... Trzeba na Rusi osiąść i o powrocie nie myśleć.

KONIEC CZĘŚCI II-EJ.

POWIESCI HISTORYCZNE – Tom XV

J. I. KRASZEWSKI

KRÓLEWSCY SYNOWIE

CZASY WŁADYSŁAWA HERMANA i BOLESŁAWA KRZYWOUSTEGO

CZĘŚĆ III

1 9 2 9

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE

DRUKARNIA ZAKŁADÓW WYDAWNICZYCH
M. ARCT, SP. AKC. W WARSZAWIE
CZERNIAKOWSKA 225.

I.

Lat dwa upłynęło od owej pamiętnej rycerskiej uroczystości.

Pierwszych dni czerwca na zamku płockim w kościele słychać było przez dzień cały bijące dzwony. Nie wołały one na zwykłe modlitwy lud pobożny, ani na ucztę weselną, nie śpiewały triumfu, ani dziękczynienia; zwolna, smutnie jęczeć się zdawały, poruszając bez spoczynku.

W podwórcach widać było stojących ludzi z rękami opuszczonemi, z pochylonemi ku ziemi głowami; duchowieństwo w komżach i kapach czarnych ciągnęło z kościoła na dworzec, którego drzwi i okiennice otworem stały. Wewnątrz mnogie światła gorzały.

Na świecie wiosna była wesoła, zieloność młoda, — na zamku smutek i trwoga. Zdawano się oczekiwać na coś, wyglądać z obawą, królowej nawet izby stały zaparte i około nich nie było ludno.

Król umarł!

Dogorywał długo, życiem ciężkiem i tęsknem, modląc się o śmierć szczęśliwą, płakał nad sobą i niepokoił się losem ziem swoich.

Żadnego z synów przy nim w godzinie ostatniej nie było. Bolko na Śląsku we Wrocławiu siedział, Zbigniew w Gnieźnie. W chwili skonu dopiero obu im dano znać.

Arcybiskup, którego wieść smutna bliżej zaskoczyła, poprzedził synów i, zebrawszy duchownych, u zwłok królewskich odprawiał modlitwy za spokój duszy.

Pięć dni mijało od śmierci króla, a żaden z synów nie przybył jeszcze. Z dnia na dzień czekano na nich z pogrzebem. Sędziwy pasterz gońców za gońcami wysyłał.

Miało się ku wieczorowi, gdy się orszak pod zamkiem ukazał, a po jaskrawych sukniach, kitach, kołpakach, nieładzie, w jakim biegł ku wrotom, łatwo w nim było poznać Zbigniewa.

On to był w istocie. Dniem i nocą pędząc bez spoczynku, udało mu się wyprzedzić brata. Zgraja, towarzysząca mu, czwałem, z wrzawą wpadła, jak do domu, na podwórze zamkowe.

Królewicz zsiadł ze spienionego konia, o krok ode drzwi żałobnej komnaty, z której powolny śpiew księży dochodził. Spoczywały w niej na marach zwłoki Władysława już przyodziane, jak do pogrzebu.

Nie śmiano mu na skronie włożyć tej korony, której nie dostał za życia, ale tylko czapkę książęcą. Zamiast berła, krzyż trzymał w ręku i tulił go do piersi. Pas rycerski świecił na biodrach, a ramiona osłaniał purpurowy płaszcz bogaty. Dokoła rzędem stali i siedzieli biskupi, prałaci, kapłani, mnisi czarni, klerycy, pieśń naprzemiany zawodząc żałobną.

Zbigniew, przede drzwiami stanąwszy, rzucił okiem we wnętrze i zawahał się, co miał czynić z sobą. Skinął na Marka, który mu towarzyszył, przyzywając go ku sobie.

— U drzwi skarbca — odezwał się — straż natychmiast postawić, aby mi się go nikt tknąć nie ważył. Płock i Mazury są moim działem, co w Płocku jest — do mnie należy jednego.

Była to pierwsza myśl syna u zwłok ojcowskich.

Mówiąc to, wahać się nawet zdawał jeszcze, oddać-li zaraz cześć należną ciału ojcowskiemu, czy pójść, gdzie chciwość wołała.

Wtem zatętniało głucho, drugi orszak konny wjeżdżał w bramy zamkowe. Był to Bolko z ludźmi swoimi.

Bracia zmierzyli się oczyma, w których łatwo wyczytać było, że niewielką miłością tchnęli ku sobie.

Młodszy, z konia zsiadłszy, wprost do izby żałobnej podążył, ukląkł u stóp katafalku i na mieczu oparty, modląc się, płakać zaczął.

Zbigniew, zamiast wnijść z nim razem, w podwórcu został, — ani mu ojca żal, ani ludzi wstyd było. Nakazywał wszędzie stawić straże i rozporządzał się niemi, jakby już gród obejmował we władanie.

Do izby, w której księża nucili pocichu, przez okna pootwierane wpadał głos jego chrypliwy, nakazujący, gniewny prawie. Głuszył chwilami modlitwy. Zbigniew zapowiadał bratu i wszystkim za wcześnie, że się tu czuje i chce być panem.

Po skończonej modlitwie i ucałowaniu stóp zmarłego ojca, zwolna wyszedł Bolko w podwórze i załzawionem okiem potoczył dokoła.

Zbigniew stał, jakby na niego oczekiwał. W twarzy jego malowała się niecierpliwość człowieka, który się trwoży i radby co rychlej przebyć grożące mu niebezpieczeństwo. Patrząc na Bolesława, umyślnie w głos powtórzył wydane rozkazy.

— Straż mi postawić u skarbca, objąć zamek. Aby mi się tu nikt nic tknąć nie ważył i nie śmiał.

Bolko, zarumieniony, ręką wskazał na otwarte drzwi izby, w której zwłoki ojca złożone były.

— Nie pora nam myśleć o ojcowskich skarbach, ani o tem, co do kogo należeć będzie. Nie zmuszajcie mnie, abym i ja straże stawiał, a o prawa moje się upominał.

— Jakie prawa? — gwałtownie wybuchnął Zbigniew. — Płock jest moją dzielnicą, a co w nim — to moje. Starszym jestem i młodszego nie dopuszczę, aby mi przodował.

— Jam syn królewski — odparł Bolko. — Tyś syn ojca naszego z pierwszego małżeństwa swobodnego, z łaski przypuszczony do równości ze mną. Z łaski! Skarby ojcowskie do mnie należą!

Zbigniew zbladły, z oczyma roziskrzonemi, rzucił się na Bolka.

— Ani mi śmiej tego rzec raz jeszcze! — zakrzy-

czał. — Pochwycić cię każę i rozbroić, a nie będę w tobie znał brata!

Bolko zmierzył go pogardliwym wzrokiem.

— Ty! mnie! — rozśmiał się — ty! Zapytaj, co ciebie czeka, gdy litość i cierpliwość moją wyczerpiesz. Ty przybłędo jakiś!

Zbigniew ręką chwycił za miecz, Bolko uderzył dłonią po rękojeści swojego i krok ku niemu postąpił. Kleryk się cofnął nieco strwożony. Oba drżeli z gniewu i oczyma na siebie pioruny ciskali.

— Zdzisław Belina! — zawołał Bolko. — Straż postawić u drzwi skarbca, a kto będzie śmiał się zbliżyć do nich, wiecie, co z nim czynić. Macie miecze u boku.

Ruszyli się natychmiast Bolesławowi, a choć ich była gromadka mniejsza, nikt nie śmiał przeciw nim występować. Znano, co mogli.

— Nie ważcie mi się nic tknąć! — zahuczał Zbigniew. — Zamek mój, jam tu panem!

— Nie słuchając tego, wierna drużyna Bolka, na skinienie jego już się rozchodziła. Wzrok młodszego padł w tej chwili na otwarte drzwi, przez które ciało ojca i twarz zżółkłą widać było. Zawstydził się i ocknął.

— Zbigniewie — rzekł łagodniej — nie pora przy zwłokach ojca, które na pogrzeb czekają, wyzywać się braciom i waśnić! Niech ciału oddana będzie cześć, rozprawimy się z sobą później.

— Tak! Byś, nim się pogrzeb odbędzie, opanował, co należy do mnie — począł starszy. — Ja cię znam!

I znak groźny zrobił ręką. Bolko wzruszył ramionami.

— Nie wyzywaj mnie! — zawołał — nie wyzywaj mnie w tej godzinie, gdy ból mój podwaja gniew i wzgardę dla ciebie. Powtarzam ci, nie wyzywaj, byś nie żałował!

— A ja ci mówię — krzyknął starszy — nie śmiej następować na mnie i na prawa moje. Mam siłę większą od twojej, zgniotę cię. Ty tu stać nawet nie masz prawa! Zamek mój, ziemia moja, wszystko moje — precz!

Uniósł się Zbigniew, lecz jeszcze słów tych nie dokończył, gdy Bolesław, który miecza nie dobył, tylko przez poszanowanie dla zwłok ojca, poskoczył, wołając:

— Precz ty stąd, przybłędo nikczemny! Bezwstydny chciwcze i przechero!

Wrzawa ta z podwórza doszła wreszcie do izby żałobnej; arcybiskup strwożony, przeczuwający co się stało, w czarnej kapie, w mitrze, z laską pasterską w ręku, wychylił się na przedsienie — podsłuchał spór, patrzał na waśń braci!

Przerażonemu tem, co oczy jego widziały, głosu zabrakło. Domyślił się, kto był przyczyną gorszącego sporu, ze słów, które podchwycił.

— W imię Boga ukrzyżowanego! — zawołał naostatek. — Hamujcie się! Upamiętajcie! Kto z was wszczął ten spór, królewiczu Zbigniewie?

— Ojcze — odparł głosem drżącym, nie śmiejąc od ściany odstąpić krokiem, Zbigniew. — Ojcze! jam nie winien! Upominam się o to, co mi należy! Skarby po ojcu są moje! Starszym jestem. Płock jest mojem dziedzictwem.

Nic nie mówił Bolko, patrzał na arcybiskupa.

— Kazałem straże stawić u drzwi — mówił Zbigniew dalej — bo wiem, że tu będą czyhać na własność moją.

Biskup w ziemię laską uderzył.

— Królewiczu Zbigniewie — odezwał się — wiecie zaprawdę, iż wam sprzyjam. Ratowałem was z więzienia, wolność wam wyprosiłem, przyznanie synem, przebaczenie! Hamujcie się, abym się nie stał sędzią waszym i nieprzyjacielem! Nie macie słuszności za sobą!

— I wy przeciwko mnie jesteście! — wykrzyknął Zbigniew. — Wy, ojcze!

— Jestem za sprawiedliwością — rzekł arcybiskup surowo. — Porzućcie ten spór bezbożny, idźcie pożegnać ojca, aby mu cześć ostatnia oddaną była, a mógł odpocząć w spokoju...

Ręką drżącą nakazująco wskazał na otwarte drzwi izby.

Ruszył się Zbigniew, lecz zwrócił do swoich ludzi.

— Pamiętajcie — rzekł — abyście mi na chwilę drzwi skarbca nie opuszczali. Gdzie podskarbi?

Z tłumu, który ten spór zgromadził, wystąpił stary Zbilut Podkowa i w milczeniu się pokłonił.

— Klucze mi dajcie! — zawołał do niego Zbigniew.

— Nie waż mi się tego czynić! — zagrzmiał głos Bolka.

Arcybiskup załamał ręce. Była chwila groźnego milczenia. Żaden z braci ustąpić nie chciał. Wtem arcybiskup wystąpił z całą powagą wieku, dostojeństwa i uroczystej chwili.

— Nim nowego pana dostaną te ziemie — odezwał się — jam opiekun ich i zwierzchnik. Rozkazuję ci, Zbilucie, abyś klucze zachował przy sobie, dopóki my, duchowni ojcowie i wykonawcy woli zmarłego króla, sporu nie rozstrzygniemy.

Podskarbi skłonił się i ustąpił natychmiast, aby więcej pozywanym nie był. Bolko też oddalił się i kilka słów szepnąwszy swej drużynie, ani patrząc już na Zbigniewa, posunął się ku izbie, w której ciało wystawione było.

Sam jeden pozostawszy ze Zbigniewem, ojciec Marcin ręce podniósł do góry i odezwał się głosem, przejętym żałością:

— Nad sobą miejcie litość! Ażali to postępek dziecięcia? Chcecie być synem królewskim, a rodzica uczcić ani opłakać nie umiecie! Ten synem jest tylko, co pobożnem dlań był i posłusznem dziecięciem.

Zgromiony Zbigniew spuścił głowę, lecz widać było, że uległ raczej z musu, niż skruchy.

Patrzali nań ludzie zgromadzeni z obawą, a zarazem ze wstrętem jakimś — on sam sromał się postępku swego, ale go się nie kajał. Wolnym krokiem począł iść za starcem ku drzwiom, namyślając się i ociągając, gdy arcybiskup pochwycił go za rękę i niemal siłą poprowadził przed ojcowskie zwłoki.

Nie można już było dłużej ociągać się z pogrzebem. Ludu tysiące, Mazurów, Polan, Ślązaków, starszyzny, ziemian, urzędników, oczekując nań, stały pod zamkiem; zebrane tłumy zalegały wszystkie podwórza, przygotowania były uczynione, śpieszono więc z ostatniemi obrzędy. Nim wieczór zapadł, zwłoki złożono w trumnie dębowej i niesiono ją odkrytą do kościoła.

Liczne duchowieństwo, dwaj synowie, córki, dwór postępowały za trumną, przez komorników w czerni odzianych niesioną; królowej Judyty nie było tylko, powiadano, iż leżała chora.

Niesiono oznaki władzy — miecz królewski, czapkę książęcą, laskę wodza, tarczę malowaną, broń pańską, wiedziono konia, okrytego kapą czarną. Kościół napełnił się pobożnymi i pamiętnymi dobroci pana, który choć słabym był, — ale okrutnym, ani bezlitosnym nie okazał się dla nikogo.

Na całą noc, mieniając się, duchowieństwo pozostało przy ciele, nucąc psalmy i odmawiając modlitwy.

Sędziwy arcybiskup Marcin, obawiając się, aby Zbigniew i Bolko znowu zwady nie rozpoczęli, pod klątwą zakazał im, aby się nie ważyli rozmowy nawet wszczynać ze sobą.

Noc upłynęła spokojnie, ale drużyna Bolkowa i Zbigniewa ani usnęła, ni się rozbrajała; jedni z drugimi ucierali się na słowa, docinając sobie i swym panom wzajemnie. W powietrzu czuć było walkę.

Ci, którzy na straży nie stali, podzieleni na osobne gromady, obozowali w podwórzach, podpatrując się i oczyma mierząc nieufnie.

Jak dzień odezwały się znowu dzwony żałobne. U trumny stał Bolko, a opodal niego Zbigniew. Arcybiskup mszę uroczystą odprawiał, a gdy ostatnie pieśni przebrzmiały, zabitą już trumnę na dany znak spuszczono do otwartego wśród kościoła grobu, nad którym kamienny pomnik miał stanąć.

Choć w ciągu ostatnich lat chory król prawie zapomniany dogorywał, gdy trumnę spuszczać miano, rozległy się po kościele jęki i płacze dworu, komorni-

ków, czeladzi, która starca kochała i litowała się nad nim.

Bolko upadł na trumnę i objął ją rękami, zanosząc się od łkania; Zbigniew pozostał, nie ruszając się, chmurny i blady, jakby ten cały obrzęd nie obchodził go wcale.

Z kościoła szli wszyscy ku zamkowi wprost na stypę, ów chleb żałobny, który był w obyczaju.

Arcybiskup Marcin, choć znużony wielce i bezsilny, kazał się także prowadzić, chcąc czuwać nad porządkiem i zgodą, dopókiby zwaśnionych braci nie przejednał.

Obecność jego hamowała wszystkich, nie śmiano poczynać nic. Bracia tylko osobne zajęli stoły, Bolko ze swymi jak najdalej od Zbigniewa, który też otoczyć się kazał drużynie, lękając się napaści.

Dokoła arcybiskupa zgromadziła się zwołana przez niego sędziwsza starszyzna, wojewodowie, starostowie, dostojnicy dworu, ziemianie i władycy. Chciał o. Marcin z ich pomocą spór o dział i władzę zwierzchnią rozstrzygnąć.

Dopóki uczta trwała, mówiono pocichu, głosząc tylko pochwały zmarłego, pobożność jego szczególniej, bo tą się najwięcej odznaczał. Nikt też na nim krwi nie poszukiwał, bo przebaczał chętnie, a karał mało.

Dawszy znak swoim, wstał potem arcybiskup i przeszedł ze starszyzną do tej izby, z której wczoraj zwłoki króla wyniesiono.

Tu było przygotowane osobne siedzenie dla arcybiskupa i duchowieństwa; ławy dla starszyzny, dla królewiczów stołki, suknem okryte.

Obaj wiedzieli, iż zawołani będą jako przed sąd pod pasterską laskę.

Obok o. Marcina miejsca zajęli Baldwin, nowy biskup krakowski, Francuz rodem, ciemnego włosa, oblicza więcej rycerskiego, niż kapłańskiego, następca po zmarłym od roku Lambercie, Paulin kruszwicki, Dionizy poznański, Filip płocki. Za nimi zasiadali wojewodowie, starostowie i różnych imion i dostojności

starszyzna, jaka na pogrzeb zjechać mogła. Wśród niej otyły Magnus wrocławski jedno z pierwszych miejsc zajmował.

Zaledwie się tu zgromadzili, gdy Zbigniew, choć niepowołany jeszcze, pośpieszył pierwszy rozogniony i niecierpliwy, aby się nie dać uprzedzić.

Bolko, zobaczywszy go wychodzącego, wstał także, wiodąc z sobą dawnego ochmistrza Wojsława, Zdzisława Belinę, mężnego dowódcę Skarbimierza, Pawła i kilku innych mężów rycerskich a poważnych.

Zbigniew zaledwie się ukazał, nie zważając na arcybiskupa i duchownych, ani starszyznę, do której zagajenie sprawy należało, podniósł głos z butą wielką i hałasem, chcąc mówić za sobą.

Nie podobało się to wszystkim, i arcybiskup nawet niechętnie głową potrząsał.

Wśród rozpoczętej właśnie gwałtownej mowy, w której się o prawa do Płocka i do skarbów ojcowskich dopominał, wszedł zwolna, z powagą rycerską, otoczony drużyną swą Bolko i zajął przeciwną stronę izby, mowy bratu nie przerywając.

Zbigniew własnemi wyrazy rozogniał się coraz bardziej i głośno wykrzykiwał:

— Nie ustąpię, nie dam stąd ani prószyny, pokrzywdzić się nie dozwolę. Co na zamkach w Krakowie i Wrocławiu jest, do tego ja nie roszczę prawa, ale co mnie należy, nie dam! Wszystko to mojem jest!

Gdy to mówił, ślina mu z ust pryskała, język się z gniewu plątał, pięści podnosił, nogą tupał, myśląc może, iż tem zastraszy brata. Bolko zachował się spokojnie Gdy potok ten wyrazów wylał się cały, pomilczał trochę i ręką uderzył po mieczu, który zabrzęczał.

— Praw moich dowodzić nie potrzebuję — rzekł krótko — wie świat cały, że jestem synem królowej, gdy ten oto dzieckiem jest niewiasty, którą ojciec miłował, nie poślubiwszy. Wie to cały świat, że go do klasztoru dano, aby ukryć srom urodzenia. Z łaski go król przyjął na prośby ojca naszego Marcina, z łaski

mu dział dano. Ten ci dziś wszystkiego chce, gdy do niczego praw nie ma!

Dumnie patrzał Bolko.

— Hamuj się, miłościwy królewiczu — podnosząc ku niemu rękę, przerwał arcybiskup. — Ktokolwiek on jest, bratem twym uznał go ojciec, dział naznaczył, chciał, abyście żyli w zgodzie. Na to przysięgaliście żywemu, dotrzymajcie umarłemu, aby dusza jego spokój miała. Jęczeć będzie utrapiony na świecie drugim niezgodą waszą. Chciał król, abyście się dzielili państwem; w tem i skarb objął, który do jednego należy, ale dwu wspólnym jest.

Baldwin, biskup krakowski, który niedobrze rozumiał jeszcze polską mowę, kazał ją sobie tłumaczyć i dodał po łacinie:

— Sprawiedliwe ze wszech miar jest, aby skarb królewski tak samo, jak państwo, był podzielony, a któremu ojciec dwie trzecie ziemi przysądził, ten i dwie trzecie skarbca wziąć powinien.

Arcybiskup gnieźnieński zachmurzył się nieco, usłyszawszy ten wywód, lecz krakowskiego pasterza poparli wnet Paulin, a nawet Dionizy. Zbigniew, który łacinę rozumiał, żachnął się straszliwie, za głowę porywając.

— Sprawiedliwem to jest — dodał Bolko — nie żebym ja przez chciwość skarbów więcej pragnął, ale przeto, że Zbigniew wojny nie zna, nie lubi i nie chodzi na nią. Mnie ludzi zaciągać, mnie kraj obraniać, mnie nieustannie na czatach stać potrzeba.

Potwierdzali biskupi szmerem, potakiwali ziemianie. Zbigniew blady oglądał się wokoło, nikogo za sobą nie mając, oprócz arcybiskupa, który choć był za działem połowicznym, sam przeciw wszystkim stawać nie chciał.

— Dzielcie wedle prawa Bożego i sprawiedliwości — dodał Bolko. — Co wyrzeczecie, ja, jako posłuszny syn kościoła, przyjmuję za dobre.

Zbigniew zamilkł, dziki uśmiech twarz mu wykrzywił.

— Słabym ja dziś tu się widzę — rzekł cicho — a no drażnić i małego nie przystało, bo pokrzywdzony znaleźć może sojuszników i pomoc.

— Pomnijcie słowa ojca — odezwał się Bolko — które zapisane są, że kto z nieprzyjacioły i wrogami wiązać się będzie, temu dział jego i ziemie odjęte być mają.

Padł tedy wyrok, wedle wyrzeczenia Baldwina krakowskiego. Zbigniew z zagryzionemi usty go słuchał. Bolko głowę skłonił.

Arcybiskup z siedzenia się podniósł.

— Nie dosyć na tem — rzekł. — Niby uczynionem nie było, gdybyście sobie jako bracia rąk nie podali, nie poprzysięgli zgody i miłości.

Zbigniew cofnął się, słysząc to.

Arcybiskup zmierzył go wejrzeniem surowem. Potrzeba było znowu namowy, próśb, nacisku duchownych, aby go zmusić do zwrócenia się ku bratu.

Ruch ten spostrzegłszy, Bolko sam wyszedł przeciw niemu z pogodną twarzą i rękę pierwszy wyciągnął. Rad nie rad Zbigniew dłoń podać musiał.

— Bracie — rzekł — nie ostoi się ziemia nasza bez zgody, ja tobie, ty mnie pomagać będziesz.. Jam człowiek miecza i wojny, pójdę na wrogów za ciebie i za siebie; ty czuwaj w domu i porządku strzeż. Będę ci wiernym, skoro ty mi nim być zechcesz.

Zamruczał słów kilka niewyraźnych starszy, a widać było, że na nim polegać nie mógł Bolko; rachowano na to, że czas gniewy złagodzi, a sama siła spraw wspólnych zbliży braci.

Nazajutrz rano z obu stron do działu wyznaczeni panowie zeszli się do skarbca królewskiego ze Zbigniewem i Bolesławem razem.

Izba była wielka, ciemna, warowna, cała z muru grubego, z kratami w oknach żelaznemi i drzwi miała podwójne kute, drągami ciężkiemi założone.

Nie były to owe niezmierzone skarby Mieszka i Bolka Wielkiego, ani się nawet ze Szczodrego bogactwy porównać nie mogły, ale skromne życie króla, wojny

szczęśliwe za czasów Sieciecha dozwoliły zebrać dosyć srebra i złota. Leżały stosami sztaby grube i bryły, stały mnogie naczynia, misy, dzbany, kubki, blachy ozdobne; wisiały kosztowne szuby i suknie.

W osobnych skrzynkach złożone były co droższe ozdoby stroju, łańcuchy, pasy, kolce, pierścienie i wysoko w owych czasach cenione wonności i balsamy ze wschodu przywożone.

Wzięto na wagę grzywien kruszce, na liczbę odzieże, opony, sukna w sztukach, jedwabne tkaniny, bisiory, kożuchy i skórki sorokami powiązane.

Pożądliwemi oczyma mierzył to wszystko Zbigniew, gdy Bolko, po skrzynkach spojrzawszy, rzekł, na jednej z nich kładąc rękę:

— Przysądzono mi dwoje trzecich, bracie, tak-li?

Głową potwierdził Zbigniew, przeczyć nie mogąc.

— Bierz połowę — odezwał się Bolko — ale to niech będzie mojem.

W skrzynce leżały proste obręcze złote, korony przyniesione przez Kazimierza, Szczerbiec Chrobrego i włócznia św. Maurycego, która berłem była.

— Zgoda-li? — spytał Bolko.

Zbigniew widział tylko w tem kruszcu wagę i cenę, nie obchodziły go uświęcone pamiątki, wzruszył ramieniem.

— Zgoda! — rzekł obojętnie.

Bolkowi zajaśniały źrenice i Szczerbiec ująwszy w jedną, włócznię w drugą rękę, zdjął kołpak, obie ze czcią całując.

— Dzielcież, mili panowie, jako chcecie — zawołał — ja najdroższą cząstkę mojej części zabieram!

To mówiąc, mieczyk przycisnął do piersi i pokłoniwszy się, wolnym krokiem wyszedł ze skarbca, komornikom za sobą rozkazawszy nieść korony.

Gdy się odwrócił od Zbigniewa, ten szyderskiem okiem powiódł za nim.

— Połowa moja! — krzyknął radośnie — połowa moja!

Starszyzna potrząsała głowami, widząc w tem złą

wróżbę, że przez chciwość królewicz sprzedał koronę i berło.

Szeptał mu coś na ucho Marko, który bardzo pilnie działu doglądał.

— Gdy kraj posiędę — rzekł pogardliwie Zbigniew — koronę mi złotnicy ukują, a arcybiskup ją poświęci. Potrzebniejsze mi złoto i srebro, niż stare żelastwo.

Nie ustąpił troskliwy o swe mienie Zbigniew, dopóki mu część jego wydzieloną nie została. To, co Bolkowi należało, czeladź jego, w skrzynie składając, natychmiast wynosiła.

Wieczorem już wiedzieli wszyscy, komu się korony obie, berło i drogi dar Ottona, włócznia, jak relikwja szacowana — dostała. Arcybiskup westchnął i szepnął:

— Bądź wola Twoja!

II.

Kilka lat upłynęło. Rosnął zamek krakowski, rósł i gród pod Wawelem, z ziemi podnosiły się kościoły ku chwale Bożej, a rósł też i potężniał Bolko Krzywousty, chwili nie spoczywając. Jedna ledwie się wojna skończyła, już na drugą w trąby trąbiono; rzekłbyś, że ktoś nasadzał wrogów i wichrzył umyślnie, aby mu nie dać spokoju.

Rad był król, że wojny wojsku jego zgnuśnieć nie dawały, że na wyprawach żołnierzy sobie sposobił, których się nie wstydził wziąć do boku, lecz ilekroć brata wspomniał, chmurzyło mu się czoło.

Wyciągnął doń dłoń nieraz, — a spotykał martwą rękę, która go odpychała.

Zbigniew siedział zawsze zaczajony w swej płockiej jamie. Posyłano do niego, aby ludzi dał, — rozproszeni byli, ciągnąć nie mogli, na czas się stawić nie zdążyli!

Na Pomorzu nieustannie się burzyło; poganie, zaledwie ukarani, zrywali się do odwetu. I teraz go się

spodziewano; trzeba było uprzedzić Pomorców i w gnieździe ich przygnębić, ów morski brzeg, o którym marzył Bolesław, zawojować, oczyścić, wrota na świat ściśniętej ziemi otworzyć.

A z domu ruszyć, wroga zostawując za sobą, niebezpiecznem było. Zbigniew czyhał na chwilę dogodną. Napróżno starszyzna domagała się pozbycia jawnego zdrajcy i wyrzucenia go z dzielnicy, Bolesław lękał się, aby go nie pomawiano o chciwość władzy. Czekał.

— Gdy go pochwycę na uczynku i przeniewierstwo jawnem się stanie, — naówczas go ukarzę.

Wyprawa na Pomorze przysposobiała się tajemniczo. Bolko na Śląsku lud zbierał i najmężniejszych swych wodzów miał u boku.

Dość było spojrzeć na nich, ażeby poznać nieustraszonych rycerzy: Żelisław Belina rękę miał uciętą w boju. Rozbitą czaszkę Wojsław, na której szram głęboki pozostał. Skarbimierz jedno oko stracił w bitwie.

Bolkowych ran i blizn nikt zliczyć nie mógł. Bez ręki, bez oka, z głową przerąbaną — wszyscy oni szli znowu w bój ze swym królewiczem naprzedzie. Żołnierz prosty za wodzem, nie dbając, jak on, o życie, rzucał się przebojem na nieprzyjacielskie tłumy.

Pułki zebrane stały już pod Głogowem, gdy na radzie rzekł Skarbimierz do księcia:

— Miłościwy panie! Daremny nasz bój z pogany i przelewana krew. Mamy w domu nieprzyjaciela, co tamtym poganom otuchy dodaje i podżega, sam wystąpić nie śmiejąc. Dopóki go żywić będziemy, pokoju nie będzie.

Bolko poruszył ramionami niechętnie.

— Słyszę ja ciągle, że go o to obwiniacie, a uwierzyć mi temu trudno. Gnuśny jest, zazdrosny może, ale o zdradę posądzać go nie chcę.

— My go wszyscy za zdrajcę znamy! — odezwali się inni.

— Wziąć go z Płocka i w grodzie którym pod strażą osadzić — odezwał się Wojsław — wówczas i Pomorcy buty się pozbędą.

Bolko na to głową potrząsał.

— Uczynimy inaczej — rzekł. — Skarbimierz bywał raz u niego, zna go, niech jedzie jeszcze, powie mu ode mnie, że go cały świat obwinia. Gorzej, — sam on obwinia się, uparcie pomocy mi odmawiając. Niech więc raz prawda się okaże. Chce on panować, niech panuje i niech granic broni — chce trzymać dzielnicę, niech w niej służy...

Skarbimierz głowę skłonił.

— Poślecie, pojadę — rzekł.

— Jedźże rychło i powracaj wczas — dodał książę. — Pilno mi z Pomorzany skończyć i dotrzeć do morza, które pogaństwo w swej mocy trzyma.

Tegoż dnia, dobrawszy ludzi, Skarbimierz wyruszył z Płocka, sam jeden bez towarzysza, w duszy gniewny, bo zdrada, której Bolko wierzyć się wzdragał, jawną dlań była i dla wszystkich.

W podróży poseł tyle tylko spoczynku miał, ile go konie i dwór potrzebowały; a stanąwszy w Płocku w pół dnia, wprost do biskupa, nie na dworzec królewski, zajechał.

U Zbigniewa tejże godziny wiedziano, że przybył od Bolka wysłany, i nim się Skarbimierz przebrać podążył, przyszedł doń Marko.

Ów sławny niegdyś wojak, teraz już z ciężkością konia mógł dosiąść, tak mu brzucha przybyło, ociężał i z rycerza stał się przebiegłym dworakiem.

Nieczyste sumienie strwożyło się przybyciem nowego posłańca; chciano wiedzieć, co przynosił.

Sobiejucha stawił się z uniżonością wielką. Widocznem było, że chciał naprzód być uwiadomiony, co od Bolesława wiózł do brata. Na zapytanie Skarbimierz odparł dumnie:

— Z czem przybyłem, pewnie wam odgadnąć nie było trudno. My się za was bijemy, wy tu siedzicie w jamie, iść z nami nie chcecie, ludzi nam nie dajecie. Chcemy raz mieć koniec i wiedzieć, czy wroga mamy, czy brata? Z tem przybyłem.

Marko udał zdziwionego niezmiernie.

— Czyż może być, ażeby już do tego doszło! — zawołał. — Godziż się, abyście wy do nas się tak odzywali? Cóżeśmy zgrzeszyli? Co my winni! Lud mamy brzydki, który się rozbiega po lasach, ani go nagnać do służby... Niezdarni, leniwi — daliście nam takich poddanych, że nimi orać tylko chyba.

Skarbimierz był gniewny.

— Jak ich wam odbierzemy — rzekł, — zrobimy z nich żołnierzy.

Sobiejucha śmiać się niby począł.

— Cha! cha! żartujecie! odbierać już chcecie! Brat bratu przecież oka nie wykole.

Nagle, wyrzekłszy już to, spojrzał na Skarbimierza, który jednego oka nie miał, i strwożył się, iż mu się głupie słowo wyrwało. Poseł nie zdawał się zważać na niego.

Wyszedł natychmiast, a Marko mu towarzyszył. W dziedzińcu ochmistrz Zbigniewa wstrzymał go, okazując się przyjacielskim.

— Miłościwy panie — rzekł cicho — nie przemawiajcie zbyt ostro do naszego pana. Człek chorowity, zgryźliwy, weźmie do serca. Nie trzeba zgody psować, póki jest.

Nic na to nie odpowiedział przestrzeżony.

We dworze czekał już nań Zbigniew, ale bez większego orszaku i występu; niespokojnym był i o przygotowaniach zapomniał. Powitał przybywającego nader łaskawie.

— Znowu mnie chorym zastajecie! — odezwał się, pokaszlując — dopust Boży na mnie ta słabość!

— Życzymy zdrowia waszej miłości — począł Skarbimierz — życzymy z serca, bo to uparte choróbsko trwa zbyt długo, a Pomorcy nam pokoju nie dają.

Nim Zbigniew, zaciąwszy usta, przygotował się do odpowiedzi, Skarbimierz, przy świadkach nie chcąc mówić więcej, poprosił, aby sam na sam mógł poselstwo przełożyć.

Weszli do bocznej komory, Zbigniew usiadł w ką-

cie przyciemnionym, tak, aby mu twarzy widać nie było.

— Mówcie, co przynosicie! — odezwał się. — Czy to tajemnica jaka?

— Nietajemna to rzecz — począł Skarbimierz — a no niemiła. Posłany — przynoszę, co mi dano. Skarży się brat waszej miłości, a pan nasz, że szczerymi mu być nie chcecie. Wiemy dowodnie, że nań zmawialiście Czechów, że przeciw niemu nasyłacie Pomorców.

Nie spodziewając się wyrzutu tak jawnego, porwał się Zbigniew, wołając:

— Śmiecie tak mówić do mnie?

— Śmiem mówić to, na co dowody mamy — ciągnął nieustraszony Skarbimierz. — Nie rok, nie dwa to trwa, — cierpliwi byliśmy. Nie daliście nam ani jednego człowieka na obronę granic. Posyła pan nasz, prosi: — obiecujecie, a nigdyście nam nie dotrzymali. Zapytuje Bolesław i wiedzieć chce, czyście mu bratem i druhem, czy wrogiem?

Gdy to mówił, twarz Zbigniewa mieniła się gniewem, zapalczywością, wściekłością niemal i chytrym spokojem, który chciał okazać. Walczył z sobą, twarz mu siniała, trząsł się cały, wreszcie głosem płaczliwym, jakim dziady żebrzą pod kościołami, odezwał się, hamując:

— Boże miłosierny! co za dola moja! Jestem znieważony, uciśniony, osądzony, odepchnięty, potępiony. Najmniejszego tu w tych ziemiach nie mam znaczenia, ani siły, siedzę na najgorszej dzielnicy — chorzeję, marnieję, ginę i za moją miłość i wierność — taka nagroda!

Skarbimierz mu przerwał.

— Miłościwy książę! słów my dosyć słyszeliśmy!

— Tak! — gniewnie krzyknął Zbigniew, zmieniając głos — tak, uczynku mi żadnego nie zadacie. Wiem, że nazywacie mnie zdrajcą, — a ja was zowię potwarcami! Zdrada! gdzie dowody? pokażcie, gdzie? jaka? To czynię, co chcę, jestem u siebie panem.

— Brońcież się sami od nieprzyjaciela — odparł poseł. — Dotąd my sami bronić was musimy.

— A kto was prosi o to? — wołał Zbigniew. — Jam pomocy nie wzywał nigdy.

— Mamy więc dopuścić, aby Pomorcy, spustoszywszy wasz kraj, poszli nasze pustoszyć — rzekł Skarbimierz.

— A toć nie mnie, ale sami siebie bronicie! — śmiejąc się śmiechem złym i groźnym, podchwycił książę. — Co mi do tego? wdzięczności wam nie winienem.

— Miłościwy panie! — mówił Skarbimierz — królewicz Bolko panem jest pobożnym, cierpliwym, pokój miłującym.

— A ja też, ja też! — wtrącił książę.

— Cierpliwość i miłość wkońcu się jednak przebrać może — dodał Skarbimierz. — Nie chcecie bronić państwa, ani dawać posiłków, — stracić możecie dzielnicę.

Zbigniew pobladł, głos jego znowu stał się żebraczym i płaczliwym.

— Azali ja co winien jestem! — począł, ręce łamiąc. — Nie szanuję ja brata? Życzę mu dobrze, radbym posiłkować, ale ja sam chory i ciężki, a ludzi nie mam. Zazdrośni, podli, nikczemni pomawiają mnie o zdradę! Jam wierny, jam nieszczęśliwy!

Skarbimierz spojrzał nań tak wyzywająco, że Zbigniew znowu ton zmienił. Gniew zwyciężył i wychodził najaw.

— Czego chcecie ode mnie? — krzyknął. — Z czemeście tu przyszli? Jestem-li ja synem króla, bratem Bolesława, równym mu, czy nie? Jeślim równy, odpowiadać mu nie potrzebuję. Czynię, co chcę — wyższego nad sobą, oprócz Boga i ojca papieża w Rzymie, nie znam.

Odwrócił się ku oknu.

— Taką mi dajecie odprawę!? — zapytał poseł.

— Bo nie wiem, czego śmiecie się domagać ode mnie! Nikomum hołdu nie winien, ni służby! — rzekł książę.

Mówił to i znowu łagodniał nagle. Twarz ku oknu zwrócił po raz drugi, popatrzał w nie, potem się pochylił ku gościowi z uśmiechem na ustach i wyrazem łagodnym. Zdjął z szyi łańcuch i chciał go włożyć na Skarbimierza; ten się cofnął z pokłonem.

— Teraz podarku od waszej miłości przyjąć mi się nie godzi — rzekł — wdzięczen zań jestem.

— Cóż się stało? — począł, łańcuch na ławę rzucając, Zbigniew. — Dlaczego przysłał do mnie Bolko! Kto mnie oskarża? Co mi zadają?

Głos jego był coraz słabszy i łagodniejszy.

— Miłościwy panie, nikt wam, wy sami szkodzicie sobie — odezwał się Skarbimierz. — Stronicie od brata, zapominacie o nim. Domagamy się posiłków, na nas całe brzemię, — nie dajecie nam ich. Obiecujecie, a gdy rachujemy na nie, nie przychodzą.

— Jam nie winien! jam nie winien! — przerwał książę. — Zaprzysięgam niewinność moją. Zdrady w mojem sercu niema! Kocham brata, a jestem posądzany i czerniony. Jakże się zbliżyć, gdy wiem, co mnie tam czeka? Wymówki, podejrzenia, niewiara.

Westchnął ciężko i zsunął się znowu w kąt ciemny, łańcuch zdjęty powoli wkładając na szyję. Milczał.

— Co mi każecie powiedzieć panu naszemu? — spytał poseł.

— Powiedzcie mu, że ja się do żadnej nie przyznaję winy — chłodno odparł Zbigniew. — Boleję nad tem, iż daje wiarę ladajakiej potwarzy, że mnie posądza. Kocham go, szanuję, wiernym mu jestem i będę.

Książę mówił, jąkając się, prędko, niewyraźnie, to się wysuwając z kąta, to chowając weń, powtarzał jedno niespokojny. Raz jeszcze posła chciał w łańcuch przybrać, ale Skarbimierz się cofnął i odszedł.

Wieczorem wezwano go do stołu, ugaszczając hojnie. Marko sam odprowadził go na dworzec biskupi, próbował badać i odparty został milczeniem.

Nazajutrz rano Skarbimierz opuścił Płock, gniewny z tego, co tu widział i słyszał, pewny, że owa miłość braterska i wierność była zdrady pokrywką.

Biskup nie taił, iż Zbigniew na naradach i odgróżkach cały czas trawił.

Przybywszy do Głogowa, nie potrzebował mówić Skarbimierz, co przywiózł z sobą.

— Kłamstw się nasłuchałem bezecnych — rzekł. — Ani ludzi, ani koni, ani posiłków żadnych nie dadzą.

Opowiedział wszystko Bolesławowi, zamykając tem znowu, że zdradę raz znieść potrzeba i ze Zbigniewem koniec uczynić.

Zmilczał królewicz, woląc pomstę lub usprawiedliwienie zostawić czasowi.

Na myśli i sercu miał teraz zdobycie Kołobrzegu, tak jak niedawno Białogród pomorski ubiegł i opanował.

Pomorcy czujni byli, stawili czaty, pilnowali się od tego, który sam jeden dla nich był strasznym. Wojna z nimi była niejako wojną świętą. Tu się chroniły resztki pogaństwa, a póki ono się tam gnieździło, pokoju Polska nie miała. Upokorzeni, pobici, poskromieni, jutro się burzyli i powstawali znowu. Zawierali pokój w potrzebie, nazajutrz zrywali go, porę upatrzywszy dogodną.

Teraźniejsza wyprawa cios im miała zadać śmiertelny. Bolesław chciał na nich napaść niespodzianie, jak piorun z obłoków. Pieszych ludzi z tarczami nie brał wcale, ażeby nie zwalniać dla nich pochodu. Cała jazda, najlepsza, jaką miał, stała pod Głogowem: Ślązacy, Krakowianie, zaciężny lud wszelki, na koniach najsilniejszych, w najzupełniejszej zbroi.

Gdy pułki się zebrały wszystkie, a młody pan wyjechał je obejrzeć, rozradowało się mu serce i wielka otucha w niego wstąpiła.

Patrząc na to wojsko, w ciągnieniu czuć było, że ono zwycięskiem powróci, tak z oczów wodzów i prostego człeka biła odwaga i wiara, że idzie mocą Bożą, nie swoją, za sprawą wiary, — nie dla łupu.

Żelisław bez ręki, Wojsław z czaszką rozpłataną, Skarbimierz bez oka otaczali bohaterskiego królewi-

cza, który pod chorągwią poświęcaną, z krzyżem jechał, dysząc chęcią walczenia za wiarę.

W pochodzie zastępy nuciły nie swawolne pieśni, ale niedawno na świat wyszłą z kruchty gnieźnieńskiego kościoła, starą pieśń wojowniczą o Bogarodzicy.

Nie rozlegały się jednak śpiewy głośne, cicho postępowały szeregi przez lasy i pustynie, chcąc ubiec nieprzyjaciela. Szły wielkiemi bory i ostępami, mijając sioła i grody, bez dróg, manowcami, które przewodnicy wskazywali.

Im bardziej zbliżali się ku granicy, tem kraj pustynniejszym się wydawał. Nikt się tu mieszkać nie ważył, bo niktby się nie utrzymał cało dla nieustannych napadów pogan. Stały puszcze ciche, dzikie, zapomniane, jak je Bóg stworzył, ledwie tknięte ludzką nogą.

Im dalej szli, tem w ściślejszych wojsko postępowało szeregach. Nikomu nie wolno było wybiec naprzód, ani wtyle pozostać, ni wbok się rzucić samopas, ani w róg dawać hasła, ni nawet pieśni zanucić.

Trzeciego dnia, gdy tak szli, nad rzeczułką postrzegli ludzi, którzy ryby łowili. Byli to Pomorcy. Tych, żeby swoim znać nie dali, chwytać musiano i powiązać.

Tu już szlaki, jakiemi dzicz owa na Polskę chadzała, gdzie niegdzie widne były. Spotykano opuszczone szałasy, obozowiska stare, ogniska wygasłe i szkielety koni, co tam popadały w drodze. Rachowano, że śpiesząc, szóstego dnia z Głogowa do Kołobrzegu dociągnąć mieli. Lasy się przerzedzały, polany szersze widać było, śpieszyć musiano, aby kto nie podpatrzył i nie uprzedził.

Piąty dzień dobiegał do wieczora, gdy raz ostatni położono się w lesie obozem.

W powietrzu woń jakąś czuć było inną, wiało już sąsiedztwem morza z szerokiego świata. Wiatr szedł od wybrzeżów na lądy, przeto i ostrożności mniej było potrzeba, bo się głos nie rozchodził daleko.

Las rzadki u szerokiej łąki i stawu wybrany był z rozkazu Bolesława na obozowisko. Wnet po przy-

ciągnieniu, na samym wierzchołku piaszczystego wzgórza ołtarz ustawiać poczęto. Walkę za Krzyż Pański modlitwa o pomoc Bożą poprzedzić miała!

Dano ludziom spoczywać do północy, a gdy po gwiazdach poznano, że ranek się zbliżał, ruszyli wszyscy, ołtarz otaczając dokoła, na którym o. Hilarion bezkrwawą składał ofiarę.

Dzień to był sobotni N. Panny Marji. Wigilją pościli wszyscy, a przy mszy świętej starszyzna i z ludu, kto chciał i mógł, do stołu pańskiego przystępowali.

Wśród ciszy lasu klęczące szeregi zbrojne z odkrytemi głowy, które kapłan z hostją obchodził, zbrojąc na krzyżowy bój — obrazem były wspaniałym!

Zaledwie dokończono obrzędu, gdy chorągiew poświęcona podniosła się w górę i cichym głosem ozwał się hymn:

Bogarodzico Dziewico!

Zaczęto go nucić stłumionemi głosy, pomnąc na bliskość nieprzyjaciela, ale w uniesieniu pieśń rosła, potężniała, pamięć na niebezpieczeństwo znikła.

I brzmiała pieśń silniej coraz, coraz pełniej i ogromniej... Śpiewał królewicz, drużyna, starszyzna, wojsko, a kto pieśni nie znał, wtórował jej głosem, bo mu ona do serca mówiła, krzepiła je i rozgrzewała.

Razem z pieśnią rósł dzień i światłość. Poczęta o zmroku, rozdarła ciemności, chmury się rozpierzchły na niebiosach, lazur ukazał się czysty i, jakby modlitwą wywołane, słońce wyszło, siejąc ogniem na ziemię.

Wojsko siedziało na koniach; szybko zbierano na wozy sprzęt kościelny, — pozostała garstka doskoczyła raźnie wierzchowców. Królewicz jechał przodem, gnał, pędził, bo niecierpliwością gorzał wielką. Skarbimierz, Żelisław, Wojsław hamować musieli, tak się wszystko naprzód rwało.

Z piaszczystego wzgórza widać już było poniżej gród warowny, wałami otoczony, rzeczką Persantą oblany z tej strony, od której iść mieli.

Szeroko rozsiadały się budowy jego drewniane i mury w pośrodku gdzie niegdzie się wznoszące; dalej

wyglądały u przystani stojące statki z maszty wysokiemi i pozwieszanemi żaglami, a dalej świeciło jeszcze morze płowe, jak drogi kamień mieniące się barwy tęczowemi; złotem dziane, lazurem przetykane, zielenią szafirem, ametysty i srebrem sadzone. Lekki wietrzyk poruszał fale jego, pędząc ku brzegom, jakby rozłożoną szatę czarowną fałdował, białemi obszywając bramy; ginęły gdzieś na horyzoncie owe przestrzenie niezmierzone, jakby się tam z niebem połączyły uściskiem.

Wojsko stanęło na chwilę.

Garść go była na ten gród wielki, obronny, ubezpieczony. Wszystko się tam jeszcze spać zdawało, milczało.

W sercu kraju któżby się spodziewał, kto przeczuwał nieprzyjaciela? Ten tylko, co się dostał do Białogrodu, mógł na Kołobrzeg się ważyć.

Na widok przyszłego pola walki przeżegnali się wodzowie. O. Hilarion, kapelan książęcy, podniósł do góry krzyż, chorągwie podniosły się wyżej, konie rżały niecierpliwie.

Bolko milczący jechał naprzedzie. Persanta była od deszczów wezbrana. Stał na niej nieco opodal most i przy nim bród widać było, ale tam lada chwilę mieszkańcy się mogli ukazać i popłoch uczynić.

Widok grodu silnego strwożył nawet najśmielszych.

— Hej, ludku ty mój mężny — odezwał się. — Gdybym ja was nie znał, nie rachował na to męstwo, nie wiódłbym ja was na taki bój, w tak daleki świat! Uciekać nie możemy, kraj nasz wrogi otaczają, trzeba iść i trzeba zwyciężyć! Z Bogiem, naprzód!

— Boże, zmiłuj się nad nami! — zakrzyczano w szeregach i pułki runęły w rzekę.

III.

Już Bolesławowi przepłynęli Persantę, gdy miasto budzić się zaczęło.

Dwa pułki zostawiwszy w odwodzie za sobą, z resztą rzucił się Bolko na ludne, szerokie przedmieścia.

Mieszkańcy, których ta napaść niespodziana schwyciła napoły rozespanych, ani wiedzieli zrazu, co zagrażało, ani się bronić mogli. Niewysłowiona trwoga opanowała ludność. Bezbronne otworem stało wszystko, — domostwa malowane, izby i szopy, kupi różnej i sprzętu pełne, ludzie w gzłach, półnadzy, zrywający się ze snu; targowice bogate, jakie tylko nad morzem widzieć można, żelazo, kruszec, skóry stosami i kupami.

Skarbimierz z małym oddziałem, minąwszy przedmieścia, puścił się wprost na najbliższą bramę grodu, Żelisław godził na drugą, aby się dostać do wnętrza.

A tu już mnogi lud, wrzawą przerażony, z domostwa się wysypując, zalegał ulice i rynki. Zaledwie Skarbimierz wpadł do środka miasta, gdy grad kamieni, drzewców, sprzętów, naczyń posypał się na żołnierzy. Tłum obległ go, cisnął się pod nogi koniom, za uzdy chwytał, pałkami bił jeźdźców— padali jedni pod nogi koni stratowani, bieżeli drudzy, krzyk rozpaczy, jakby jeden głos, jeden ryk potwory dzikiej całym wstrząsał grodem.

Siekąc na wszystkie strony, krwawiąc i płatając, bo oszczepów w ciasnocie użyć nie było można i spuściwszy je, mieczami tylko rąbano, posunęli się Skarbimierzowi w głąb, szli, dopóki lud zbity w jedno ogromne ciało nie nacisnął ich, nie począł gnieść i przeć tak, że po trupach nazad ku bramom cofnąć się musieli.

W pośrodku przedmieścia na pagórku wyniosłym stał okazały gmach z drzewa, na ogromnych słupach wzniesiony, szkarłatną barwą malowany, oponami obwieszony dokoła. Była to świątynia pogańska Trygława, czczonego przez Pomorców, do której z dalekich stron ludy po wyrocznie chodziły.

Tu także dopadł oddział jeden, spodziewając się większego łupu, lecz u parkanów, opasujących budynek, ściśnięty tłum guślarzy, wieszczków, posługaczy rozpaczliwie świętości swych bronił. W ciasnych wrotach z dzidami i toporami stali rozwścieczeni starce, ko-

biety, młodzież, i rzucając się na miecze Polan, chwytali je gołemi rękami, krwawiąc i rzeżąc, byle oręż wyrwać nieprzyjacielowi. Drudzy jeźdźców z koni ściągali, lub bezbronni kąsali i rwali ich jak zwierzęta dzikie.

Parkan drewniany, który dokoła obwodził świątynię, gdy go przeć i rąbać poczęto, obalił się wkońcu, przygniatając sobą część obrońców.

Gdy ten pas rozerwany został i padł, reszta ludu stanęła w progach świątyni, z tąż samą broniąc jej zaciętością. Tu bój był najstraszniejszy, bo z jednymi przed sobą stojącymi, z drugimi, którzy zewnątrz oblegali, walczyć musiano.

Wśród walki tej jedna z opon, które jeszcze kryły wnętrze świątyni, urwana padła na głowy tłumu i poza nią ukazał się olbrzymi posąg trójgłowy, cały blachami złotemi obity, u którego stóp na kamiennym ołtarzu płonął ogień napół już przygasły. Na słupach i w głębi na tylnej ścianie wisiały oręże kosztowne, tarcze, zbroje i hełmy, stały oszczepy stosami, połyskiwał złoty i srebrny sprzęt świątyni.

Cisnąc przed sobą starców i niewiasty krzyczące, obalając je pod nogi, żołnierze wpadli do środka.

Tu już nie bój, ale rzeź się poczęła, bo nikt nie ustępował, nie chciał poddać się żaden. Leżący na ziemi nożami rozcinali brzuchy koniom, kaleczyli tratujących ich ludzi, czepiali się jak pijawki i ciągnęli za padającymi. Póki stało w nich życie, do ostatniego drgnienia bronili swojego boga i chramu.

Krew ciekła z progów dokoła, po trupach i duszących jeszcze ciałach iść trzeba było do posągu i kilku ludzi, drągami podparłszy ztyłu, zrzucili go z pod stawy, na której był wzniesiony.

Olbrzymi bałwan z trzaskiem obalił się na ziemię i padając na ciała, kupami leżące przed nim, zgniótł je, aż krew z nich trysnęła. Pół świątyni zalegał kloc ten drewniany, który z blach odzierać poczęto. Jedni chwytali ze ścian zbroje, włócznie i stanice poświęcone, drudzy dobywali się do podziemnego skarbca świątyni,

który pełen był złotych i srebrnych naczyń, opon i wszelkiego sprzętu drogiego.

Nadbiegający później poodrywali boczne opony i gmach stanął naprzestrzał otwarty... Pustoszyła go garść zwycięzców.

Zaledwie ci, co zdobyli świątynię, mieli czas ujść z niej, gdy już płomię obalonego ołtarza poczęło chwytać szaty na trupach, a wiatr, rozdymając ogień, niósł go po gmachu całym. Zaczęły płonąć słupy i ściana tylna, suche drzewo smolne gorzało szybko i ogień, pnąc się po niem, dachu już sięgał.

Obciążeni łupami, musieli co prędzej unosić życie z płomieni, które szerzyły się, obejmowały wszystko i jednym stosem czyniły olbrzymią budowę.

Wyschłe słupy, przepalone od dołu, wnet się chwiać poczęły i gdy dwa z nich przejadł ogień, ciężki dach z belkami, z ogromnym łoskotem runął, pokrywając sobą trupy, krew przelaną, posąg Trygława i straszne owo pobojowisko.

Rozpryśnięte iskry niosły się stąd na dachy domostwa dokoła, w których dokazywali żołnierze.

Wybiegały z nich, jęcząc, półnagie niewiasty i padały, sznurami za szyje chwycone. Innych niemiłosiernie dobijano.

Był to straszny odwet za krwawe spustoszenia osad polańskich na granicach!

W bramach walczyły jeszcze dwa pułki Skarbimierza i Żelisława, chcąc się dostać do wnętrza miasta; lecz oprzytomniała ludność, chwyciwszy broń, przystępu broniła tak rozpaczliwie i zajadle, jak ci, co padli w gruzach świątyni.

Trzy razy, rozbiwszy tłumy, wparł się Skarbimierz do wnętrza i trzykroć został wyparty tym murem ludzi, wśród którego i trupy, nie mogąc paść, drogę tamowały, popychane przez żywe masy, co je ściskały dokoła.

Wśród płomieni, rzezi, wrzasku Bolko obiegał gród, szukając wnijścia, zbierając rozpierzchłych ludzi...

Bój ten dziki, krwawy, szalony przedłużał się dzień

cały, trwał do wieczora. Nie było już nadziei zdobycia grodu samego, kazał więc królewicz dać hasło do odwrotu, na zbiór rozpierzchłym.

Lękać się było można, aby poganie, klęską do rozpaczy przywiedzeni, nie wybili się z przeważną siłą z miasta i nie rzucili na oblegających.

Świątynia obalona, złupione i zniszczone przedmieścia, ogromna liczba niewolnika, bogaty łup płaciły za wyprawę, — siały trwogę imienia Bolesławowego u pogan. Cel był choć w części osiągnięty.

Długo napróżno nawoływano do odwrotu, wśród wrzawy i trzasku płonących domostw rogów słychać nie było, dymy zasłaniały chorągwie, które na znak do góry podnoszono. Musiała starszyzna biec na pogorzeliska i upojone żołnierstwo gwałtem prawie z między domostw i zwalisk wyciągać. Nie jeden też tu padł schwycony, gdy się zapędził, przywalony belką, padającą z góry, raniony pociskiem z murów, z których kamienie i strzały się sypały.

Mrok padał, gdy z trudnością udało się pułki, upite zwycięstwem, nazad przez Persantę przeprowadzić na wzgórze, gdzie na część nocy obozem się położyć musiano, dopókiby żołnierz oszalały nie ostygł, niewolnika nie spętano, nie zbito gromady, nie rozporządzono odwrotu. Długo tu leżeć nie było można, bo część ludności z przedmieść rozbiegła się po okolicy, i co chwila odwetu a napaści dziczy spodziewać się było trzeba.

Zwolna skupiał się żołnierz rozprzęgły. Bolesław, który, jeszcze na koniu stojąc, patrzał na pogorzelisko i gród niem opasany, smucił się wielce. Nie takiego pożądał zwycięstwa. Przy koniu jego stał Skarbimierz ranny, ze zbroją potłuczoną, tak smutny i zawstydzony, jak on.

— Bóg nam nie pobłogosławił — mówił królewicz — łupu wiele! Co po nim? gród, gniazdo ocalało! Świątynię spaloną odbudują, a serce miasta zostało całe! Odrodzi się wężowe plemię z popiołów.

— Strzymać ludu nie było siły, ni sposobu — mówił, wzdychając, Skarbimierz. — Ponęta zbyt wielka

była, jeńca stręczyło się mnóstwo, dziewczęta i chłopcy kraśne i zdrowe, kupi i bogactw mnóstwo. Nieszczęsna chciwość zgubiła nas!

Nic nie rzekł Bolko. Niepocieszony był, wyprawa o gród się rozbiła, rycerstwo jego nie posłuchało głosu wodzów. Myślał w duchu, że powrócić musi raz jeszcze, aby dopiąć, co postanowił.

Całą noc nikt nie spoczął, do czynienia było wiele. Ciągle jeszcze zwlekali się opieszali. Zrzucano zdobycz na kupy, opatrywano, obmyślano, jak z nią powracać. Konie i wozy wprawdzie znalazły się w zdobyczy także, lecz tych nie starczyło, żołnierz musiał brać na barki i konia, czego porzucić nie chciał.

Młodszych jeńców, do pracy zdolnych, pętano i wiązano kupami, starsi padali ofiarą.

Dziki ów lud, znany Polanom z wypraw, na miejskich śmieciach wyrosły, innym się wydawał, słabszym zarazem i dorodniejszym, zuchwałym, a do boju niewiele wprawnym. Jeńcy z ziemi się podnosili, z jękiem spoglądając na zgliszcza miejskie, wyciągali ręce ku nim i płakali. Nikt o litość nie prosił, wiedzieli, że ojcowie ich, którzy Polan napadali, nie mieli jej dla nich. Z oczyma wlepionemi w morze siedzieli drudzy, wiedząc, że go już nie zobaczą.

Noc już była, gdy garść jeszcze zbłąkanych żołnierzy ukazała się od strony miasta.

Gdy się zbliżyli, Żelisław, który na czatach stał, postrzegł pomiędzy żołnierzami nędznie odzianych ludzi kilku, napół obnażonych, poufnie rozmawiających z prowadzącymi. Już z języka poznał w nich swoich, lecz do wojska nie należących.

Wybiegłszy przeciw nim, ze zdumieniem ujrzał w nędznych łachmanach, boso idącego przodem Ślązaka, ziemianina Krupę, którego przed kilku miesiącami kupa jakaś Pomorców ze dworu jego nocą porwała i uprowadziła z rodziną całą.

Krupa, którego trzymano uwięzionego w grodzie dla okupu, korzystając z trwogi i zamieszania, razem z kilku innymi wyrwać się potrafił, z wałów spuścił

i zbiegł z nimi do swoich. Niewolą był tak osłabły, iż choć go radość wielka z odzyskanej swobody ożywiała, zaledwie mógł wydobyć z siebie słowo.

Wszyscy, obstąpiwszy go, prowadzili wprost do Bolesława, aby się czegoś od niego dowiedzieć.

Zobaczywszy go, królewicz, który tylko co legł spoczywać, wstał uradowany wielce, wołając:

— Milszy ten oto łup jeden nad całą kupę złota. Niech Bóg będzie pochwalony za niego i świątynię, którąśmy w perzynę obrócili! Reszta za grzechy nasze!

Krupa, płacząc, ściskał kolana pańskie, a że słabym był, królewicz mu wina kazał nalać komornikowi, aby siły do mówienia odzyskał. Obstąpiono go kołem.

Począł opowiadać Krupa, jaka trwoga panowała w mieście, i upewniał, że gdyby w pierwszej chwili udało się było wpaść gromadzie zbrojnych do środka, miasto zdobyteby zostało, a z niem skarby wielkie, oręża mnóstwo i niewolnika polskiego niemało.

Dopytywali go drudzy o jeńców różnych, nad granicami pochwytanych. Liczył niektórych Krupa, co zostali w Kołobrzegu, opowiadał o innych, że ich posprzedawano za morze i do innych miast pomorskich. Z dzielnicy tylko Zbigniewa, jak upewniał, pobranych uwalniano bez okupu. Potwierdzało się tem porozumienie księcia z nieprzyjacielem.

Z niedowierzaniem słuchał o tem Bolko, inni do opowiadania podbudzali, badając, jak to być mogło?

— Nieinaczej jest, tylko tak, jak mówię, prawda to święta — dodał Krupa. — Nie jeden raz, ale dziesięć razy widziałem Pomorców, powracających z wyprawy. Więźniów pobranych u nas stawiono zaraz i szła starszyzna, dopytując ich: czyj? z jakiej dzielnicy? Bolesława, czy Zbigniewa? Kto rzekł, że Bolesława był, sprzedawano go i wiązano, Zbigniewowych zaś puszczano wolno, aby się panu oznajmywali, i mówiono głośno:

— Druh to nasz jest, czynić mu się krzywdy nie godzi!

Starszyzna krzyczała gniewna:

— Nie tak-li? nie mówiliśmy?... Jawnym zdrajcą jest! Na was i na królestwo nasze wiąże się z nieprzyjaciółmi. Głowęby dać winien!

— Że Pomorcy z nim, a on z nimi zna się dobrze — mówił Krupa — naoczne miałem dowody. Widziałem, jak do niego posyłano, jak on tu swoich ludzi potajemnie wyprawiał, oznajmując, kędy książę nasz, gdzie i z jaką siłą się znajduje.

Słysząc to, dowódcy miotali przekleństwa i z gniewu utrzymać się nie mogli. Milczał Bolko zasępiony. Krupa nietylko szczegóły najmniejsze przytaczał, ale prawdę słów swoich przysiąc był gotów, wraz z kilku innymi ludźmi, jak on zbiegłymi z niewoli.

Więc choć dzień ten mógł rozweselić serce królewicza, chmurny położył się przy ognisku, jakby największą poniósł klęskę.

Bolko był nadto rycerskiego i chrześcijańskiego ducha mężem, by łatwo do surowości względem brata dał się skłonić. Zaklinano go i naglono napróżno; stał przytem, aby raz jeszcze słać do Zbigniewa. Chciał mu oddać zwierzchnią władzę nad królestwem całem, byle go bronił i knować przeciw niemu zaprzestał. Nie mogli go przekonać ani stary Wojsław, ani Żelisław, ni Skarbimierz.

Ten, słuchając ostatniego postanowienia pańskiego, rzekł do królewicza:

— Na nic się nie przyda ofiara. Wojować on nie umie i nie będzie, a knować nie przestanie. Przyjdzie-li państwo to i ziemie jego na ręce nieudolne, rozsypie się wszystko i rozerwie.

Bolesław, nic nie rzekłszy, przy swojem trwał.

Nazajutrz, gdy wojsko łupami obciążone w pochodzie było, kazał do siebie Skarbimierza przywołać, podarki mu z łupów dla brata wydzielić, między innemi dziesiątek chłopców w Kołobrzegu pochwyconych i do Płocka go z tem odprawił.

Miał on jeszcze o wierności napomnieć Zbigniewa, grożąc mu, iż w ostatku dla obrony własnej i ziem tych

coś przeciw niemu począć będzie musiał, choćby serce bolało.

Niechętnie Skarbimierz z małym pocztem wyruszył znowu, zawracając się z drogi do Płocka. Nie pochwalał on tej pobłażliwości i zwłoki, bo Zbigniewa znał dobrze.

W Płocku o wyprawie na Kołobrzeg nie wiedziano jeszcze, gdy Skarbimierz z jeńcami na zamku się stawili. Opadli go wszyscy, pytając, opatrując, dziwując się tak szybkiej wycieczce.

Przypadł Sobiejucha zdyszany, wylękły, a zobaczywszy niewolnika i podarki, posłyszawszy o nowem i nadzwyczajnem zwycięstwie, o zabranej zdobyczy, ręce załamał.

— Mnie tam nie było! — wołał, udając zapalczywość wielką. — Byłbym tych pogan siekał bez litości i łupem się pożywił. Pewnie się nie bronili!

Przyprowadzonych chłopców zabrawszy z sobą, Marko pośpieszył do pana.

W chwilę potem i Zbigniew, nie czekając przybycia posła, niecierpliwy wyszedł sam przeciw niemu blady i niespokojny. Nie wierzył opowiadaniu; płaczące dzieci kołobrzeskie sam rozpytywać począł. Potwierdziły mu one straszliwe zniszczenie przedmieść, spalenie świątyń, zabrane łupy ogromne.

Na twarzy Zbigniewa gniew się malował straszny, musiał czekać na uśmierzenie go, nim przeciwko posłowi wyszedł dalej. Przeczuwając złe grożące, stał się wielce łaskawym.

Gdy Skarbimierz ukazał się w podwórcu, postąpił ku niemu, ręce podnosząc i wołając:

— Bogu niech będą dzięki za zwycięstwo! Orężowi miłego brata mojego szczęści się zawsze. Błogosławieństwo niebios jest nad nim!

Wysłuchawszy tego nieszczerego wynurzenia się, poseł prosił o rozmowę na osobności.

Źle to już wróżyło; zasępił się Zbigniew; spojrzał trwożliwie, w sumieniu się czując nieczystym.

Weszli do izby razem. Skarbimierz, nie zwlekając, począł:

— Miłościwy książę! pono ostatni to raz sprawiam poselstwo. Pan nasz srodze jest ur wiony jawną nieżyczliwością waszą. Dowody mamy żywe, że gdy my krew lejem, walcząc z Pomorzanami, wy z nimi w przymierzu jesteście.

— Ja? z pogany? przeciwko bratu?! — zakrzyknął Zbigniew. — Godziż się mnie tak obwiniać? — Chcecie się mnie pozbyć! Szukacie pozoru.

— W Kołobrzegu w ręce nasze wpadli ludzie, którzy poprzysięgną... — rzekł poseł.

Zawahał się książę nieco, lecz wprędce znów, zapalając się, mówić począł:

— Kłamstwo niecne! potwarz niegodziwa! Poróżnić nas chcą ludzie, aby mnie zgubić. Zaprawdę tłumaczyć się przed wami i uniewinniać ujmąby było dla mnie. Oto sam jadę do Wrocławia na rozmowę z bratem. Wyprzedźcie mnie, oznajmijcie. Jutro lub pojutrze wyruszę.

Drugiego dnia rano, gdy Skarbimierz miał jechać, wiedzieli już ludzie jego, że owych dziesięciu chłopców potajemnie, bez okupu Pomorcom odesłano. Tak dalece pilno z tem było Zbigniewowi, iż nawet odjazdu posła nie czekał!

Bolesława zastał Skarbimierz we Wrocławiu odpoczywającego, wojsko też po ciężkiej wyprawie potrzebowało wczasu. Pośpiech, walka, powrót łupem obciążonych — zmogły i znużyły.

Lecz lud to był młody i krzepki, po największem znużeniu prędko się dźwigający, tak, że w kilka dni, gdy król do obozu swego pojechał, nie znalazł już na ludziach prawie śladu szalonej owej wycieczki, o której rozpowiadając, starsi mieli ją za niepodobną do wiary.

Na dzień wyznaczony Zbigniew się nie stawił, Bolkowi już dokuczał spoczynek, chciał znowu słać do niego, gdy trzeciego dnia dali mu znać ludzie, iż płocki książę przybywa.

Jechał jak zwyczajnie, gdy w największym był strachu, z najhałaśliwszą wrzawą, ze dworem, postro-

jonym cudacko, nakazawszy co sił dąć w rogi, w bębny bić, a ludziom na różne głosy zawodzić. Znano go już z tego, bo się nigdy inaczej, jak z tym szumem i wrzaskiem nie jawił.

Chociaż w podwórcach hałas się rozlegał straszliwy, Bolko nie wyszedł naprzeciw brata. Powitał go w progu Skarbimierz i wprowadził do izby.

Spotkali się zimno. Bolko wstał, zobaczywszy wchodzącego, skinieniem głowy go przyjął i miejsce obok siebie ukazał.

Zawczasu się przygotowawszy na rozmowę z bratem, Zbigniew przybrał do niej twarz wesołą, spokojną, niemal dobroduszności pełną. Przywdział też starszego powagę.

Bolko z natury otwarty, serdeczny, nie umiejąc ukryć, co czuł, siedział zimny, na licu miał gniew i na wodzy go utrzymać nie umiał. Spostrzegłszy to, Zbigniew uczynił się słodszym dlań jeszcze.

— Bracie miły! — odezwał się. — Oddawna pragnąłem rozmówić się z wami. Przez posły źle się sprawy czynią. Ludzie stanęli między nami i kąkol sieją.

— Jam też rad posłyszeć z ust waszych, co na obronę swą macie — odezwał się Bolko. — Czyny twoje jawne i jasne przeciw tobie świadczą... Przypomnijcie, ile już lat od śmierci ojca upłynęło. Byliżeście mi choć raz w czem pomocą? Siedzieliście zamknięci u siebie, mnie znać nie chcąc. Jam za siebie i za was wojować musiał. Z tymi, z którymi ja się biłem, wyście się kojarzyli.

— I wy temu wierzycie? — śmiejąc się, rzekł Zbigniew.

— Cóż macie na swą obronę? Są świadkowie! — zawołał Bolko.

— Ja? Mam sumienie moje — rzekł Zbigniew poważniej. — Nigdy nie występowałem przeciwko wam! Nie szedłem na wojnę, bo do niej, jak wy, zdolny nie jestem!

— Dlaczegóż ludzi mi swoich dać nie chcieliście? — pytał Bolko.

— Ludzie moi z twoimi się mierzyć nie mogą, wstydby mi było — rzekł Zbigniew. — Chcecie! dam ich, poślę. Nie słałem ich, bo się na niewiele zdadzą, macie swoich dosyć. Bałem się sromu!

Wyraz mowy łagodny, pozorna jej szczerość ujęły Bolka. Zaczynał już, będąc zawsze skłonnym wierzyć każdemu (wszyscy mu to zarzucali), miękнąć i słabnąć. Zbigniew to uczuł i śmielszym się stał, mówiąc za sobą.

— Bracie — rzekł z wyrazem przestrogi poważnej — ludziom nie wierzcie... Ci, co nas otaczają, przewrotni są, a ciebie i mnie używają za narzędzia do swoich celów. Drużyna twoja radaby cię widzieć na czele wszystkich ziem, więc podburza na mnie, który stoję na przeszkodzie. Nakłaniają cię do popełnienia niesprawiedliwości. Łupem moim radziby się zbogacili. Sądzicie mnie zaocznie z ich słów.

Bolko słuchał. Miał wprawdzie dowody zdrady jawne, a wstyd mu było je bratu w oczy wyrzucać. Rad je był tłumaczyć tak samo sprawą jego drużyny.

— Nie dosyć ci dawnych moich przyrzeczeń? — mówił Zbigniew — nie wierzysz im? Weźmij swą starszyznę na świadków; wobec nich nowe uczynimy przymierze, podamy sobie ręce raz jeszcze, poprzysiężemy. Będę ci wiernym, dam ludzi i posiłki, szczerze i po bratersku chcę stać przy tobie.

Czegóż więcej mógł pożądać Bolko? Rozjaśniła mu się twarz, wyciągnął rękę. Zapomniane zostało wszystko. Po chwili poufnej rozmowy szli, ująwszy się pod ręce, do stołów, które na nich czekały.

Skarbimierz spojrzał tylko i posmutniał; jawnem dlań było, że Bolko się dał uwieść znowu. Postrzegł, że i inni dowódcy spoglądali niechętnie na płockiego księcia.

Belina bez ręki, stojący niedaleko, szepnął, wzdychając:

— Panie, jużci zgoda zrobiona?

— Nieinaczej; nowe, uroczyste zawieramy przymierze, którego będziecie świadkami. Poprzysięże je.

— Przysięga nic nie kosztuje — rzekł Belina cicho.

Inni też wojewodowie trzymali się opodal i nieufnie, ale Bolko na to nie zważał.

Zbigniew tegoż dnia sam i przez swoich podarkami i słowy zręcznemi starał się sobie pozyskać panów, z których prostoduszniejsi dali mu się wziąć, jak brat.

Zwołano starszyznę, wystąpili przed nią obaj bracia, stanął Zbigniew i wobec panów, duchownych i świeckich, głosem śmiałym, jawnie ponowił uroczyste przyrzeczenie drużby i wierności Bolkowi.

— Klątwą ją na Ewangelji gotów jestem stwierdzić — dodał, rękę wyciągając.

— Amen! — rzekł przytomny biskup.

— Amen! — odezwał się stojący u boku Skarbimierz. — Lecz, jeśliby i to uroczyste poprzysiężenie nadwerężone było i złamane, natenczas my miłościwego pana naszego prosić, błagać i zaklinać będziemy, aby uczynił koniec, jak przystało, sam kraje te objął i rządził niemi, gdy sam jeden bronić ich musi.

Zbigniew głowę tylko pochylił, ale krwią mu twarz zaszła.

Po uczcie dnia tego wyjechali bracia do obozu, około którego gonitwy z oszczepami odbywać się miały w szrankach. Zbigniew ujrzał tu wojsko, jakiego nie widział, rycerstwo, którego postawa, męstwo, zręczność napełniły go zazdrością i gniewem.

Wieczorem późnym, gdy sam na sam pozostał z Sobiejuchą, Zbigniew puścił wodze roznamiętnieniu, które przez dzień cały ukrywać musiał.

— Zmusili mnie nożem na gardle do przysiąg — rzekł do zausznika swego — ale wymuszone śluby nieważne są. Sromem mnie tu poją i żółcią! Pomszczę się, lub zginę raczej, niżbym żył w tem upodleniu! Jak sługa i dworak jego musiałem się tu włóczyć za nim i podziwiać jego rycerzy! Nigdy mu tego nie przebaczę! Czekałem długo, przyjdzie i moja godzina.

Marko za kolana go chwytał, prosząc, aby milczał, tak się lękał, aby ich nie podsłuchano.

— Miłościwy książę! z mową bądźcie ostrożni; wszystko się zrobi, co zechcecie. Nadarza się zręczność.

Zasłaniając się rękami i szepcząc pocichu, Marko oznajmił panu, że ziemianin, mieszkający nad granicą pomorską, zaprosił właśnie księcia Bolesława na poświęcenie nowo zbudowanego kościoła i ślub swój, który się wkrótce miał odbyć.

Książę z małą garstką drużyny obiecywał zjechać w gościnę. Łatwo będzie nasłać kupę Pomorców, dając im znać o tem.

Zbigniew pochwycił myśl tę chciwie i namiętnie.

— Na wagę złota jego trupa opłacę! — zawołał mściwie. — Niech raz przynajmniej ta dzicz go zmoże i pomści się za własną krew i za mnie!

Uradzono pocichu tego wieczora, aby Sobiejucha z drogi jechał do Gniewomira pomorskiego i dał mu wiedzieć czas i miejsce, gdzie Bolka mogli prawie bezbronnym pochwycić.

IV.

Wesela w owych czasach odbywały się jeszcze na wpół pogańskim obyczajem. Wstyd było mniej nad dni czternaście zebranych gości przyjmować, a inaczej ich ugaszczać, jak pojąc i pobudzając do szaleństwa, nie umiano. Co tylko mógł mieć dom, co się kupić, wymieniać, sprowadzić dało, musiało otworem stać dla gości.

Niejeden naówczas ubogim się stawał przez wesele, gdy go proszone tłumy obsiadły i objadły. Wprawdzie goście przywozili podarki, ale każdy też nawzajem otrzymać musiał dar jakiś. Raz w życiu sprawiało się takie wesele, raz przez dni czternaście pan młody był książęciem, pani młoda księżną; królowali swem szczęściem, odbierali hołdy, lecz płacić za nie musieli, jakby książętami byli w istocie.

Nikogo naówczas od wrót domu nie godziło się odpychać, a kto zasłyszał o godach, wlókł się na nie

zdaleka, aby się napoił i nakarmił dosyta. Nie miał kto innego podarku dla nowożeńców — przywoził z sobą pieśń, błaznowanie, wesołość na wymianę — drudzy gusła i wróżby. Do bogatszych władyków zjeżdżały się ziemie całe, każdy z liczną drużyną; im kto majętniejszy, tem z większym dworem. Gdy pan młody rad był — miesiąc cały trzymał gości.

Na osiem dni przed weselem ludzie się już ściągali, mniej nad drugie tyle po ślubie trzymać się nie godziło. Gdy obrzędy kościelne połączyły się później ze starym obyczajem, wesela stały się uroczystsze jeszcze, a niemniej huczne. Duchowieństwo na wiele zbytków starszyzny przez szpary patrzało; dużo pozwalało się czasu takich ślubowań, czego kiedy indziej surowo broniono.

Niemal na samej granicy siedział Skarbimierza powinowaty, młody Niemir, który w królewiczowskiej drużynie służył, a Żelisława Beliny córka zań wydaną być miała. Wszystkie te grody były w łaskach i zachowaniu u Bolesława.

Gdy Niemir przybył prosić o pańskie błogosławieństwo, rzekł mu, śmiejąc się, królewicz i uderzając go po ramieniu:

— Wojny na czasie nie mamy. Pomorcy popłoszeni cicho siedzą, czemuż i mnie na gody nie wezwiecie?

Niemir do kolan się pochylił.

— Mógłżebym ja mieć to szczęście i pana widzieć u siebie?

— Muszę zjechać, choć nie prosicie — odezwał się Bolko. — Jednego dnia nas nieboszczyk król na rycerzy pasował — braterstwo z sobą mamy. Zda mi się też, że w lasach mieszkacie, dokoła ich tam i zwierza musi być pełno. Zjadę razem na gody i łowy. Wszakci i kościół pono święcicie?

— Tak, miłościwy panie! — mówił wesoło Niemir. — Postawiłem dom Boży, chędogi, acz mały. Biskup ma go poświęcić, a ja w nim pierwszy ślub wezmę.

— Ja wam więc będę drużbą! — rzekł Bolko ochoczo.

Niemir, przyklęknąwszy, chciał go za to w rękę po-

całować, Bolesław za głowę go uścisnął i odprawił uradowanego.

Pana mieć na weselu doma — szczęście było wielkie. Choćby we sto koni przybył, a miesiącami siedział, Niemir cieszyłby się takim gościem.

Niemir nie potrzebował się zbytnio o przyjęcie kłopotać, choć rodziny swej, drużyny króla, przyjaciół i znajomych kilkuset się spodziewał. Pełne już były śpichrze owsa, stały stogi siana, mąka na chleb leżała w worach, zwierza nabitego solonego i świeżego wisiało więcej, niż potrzeba. Rybacy pamiętali, aby sieci codzień zarzucać na stawach.

Gospodarz, przyjaciele, czeladź już na dni kilkanaście przed zjazdem zajęci byli ściąganiem co jeszcze do uczty kilkunastodniowej brakło.

Zawczasu też złaziła się wszelka gawiedź weselna: gędźbiarze z gęślami, kobzami i lirami, guślarze, śpiewacy, błazny i wesołki. Ludzie ci żyli z wesel i chodzili z jednych na drugie, bo się nie było można bez nich obejść, bez ich piosenek, pogadanek, zagadek, żarcików, wróżb, któremi gości zabawiać było ich obowiązkiem.

Krewni i drużbowie przybywali też zawczasu, mieścili się po kątach, aby nie zawadzać nikomu i pracowali pospołu z dworem swoim, aby na dnie uroczyste, wszystko się przygotowało, jak należy.

Chociaż to był początek jesieni, pory, w której zwyczajnie odbywały się wesela, bo dostatek w gumnach był największy, drzewa jeszcze stały z zielenią i znalazło się jej dosyć na powyścielanie dróg, obwieszenie i ustawienie budowli, do których i nowiuteńki kościołek należał.

Duchowni temu połączeniu dwóch obrzędów: poświęcenia kościoła i wesela niebardzo byli radzi, ale trudno było odmówić człowiekowi, który swoim kosztem wzniósł dom Boży i w nim się błogosławieństwa na życie nowe dopraszał. Mruczano, że weselne szały niedobrze się godzą z poważnym obrzędem i gody nie

przystały tam, gdzie się Bogu święci chram nowy; lecz biskup nie sprzeciwił się, duchowni też milczeli.

Na tydzień przed obrzędem zjazd liczniejszych gości się rozpoczął. Królewicza dopiero najwcześniej na dwa dni przed weselem się spodziewano.

Jechały Beliny, gdzie się jaki z tego rodu znajdował, Skarbimierzycy, powinowaci nawet dalecy. Proszono i nakazywano do wszystkich, bo im silniejsze a huczniejsze wesele, tem większa cześć dla nowożeńców.

Podczas gdy się spodziewano Bolesława, przeciw któremu młodzież o milę wyjechać miała, wszyscy już prawie zgromadzeni byli na dworze. Panny młodej tylko z matką nie było jeszcze, bo ta dopiero na dziewiczy wieczór ze świetnym orszakiem zjechać miała.

Dziedzińce wszystkie pełne były już i nabite, po całych dniach około stołów, beczek i kadzi ludu się kręciło mnogo, a podczaszowie zapraszali i nalewali. Śpiewy rozlegały się szeroko i dziwnie z sobą mieszały, bo często dwóch śpiewaków w różnych stronach podwórza zawodziło, każdy inaczej.

Wpośród tej wrzawy ochoczej, która mało nie po całych trwała nocach, bo choć jedni szli do szop, drudzy, wypocząwszy, wstawali, wywabiani śmiechami— ściągnął z innymi gośćmi dla wesela wrzekomo, z widzenia ledwo znany Niemirowi, Marko Sobiejucha, ochmistrz księcia Zbigniewa.

Przybywał pańsko, przyodziany ze służbą niczego, z podarkiem, jak należało, i z językiem, którym dobrze obracać umiał. Przyjęto go, jak i drugich gościnnie, dziękując za pamięć i łaskę.

Marko się wnet rozgościł i w tłum poszedł do mis i dzbanów, między któremi był jak w domu. Powieści wnet weselnych przerozmaitych opowiadać jął mnóstwo.

Trudno go było zrozumieć zawsze, skąd ród wiódł, bo niemal wszystkie ziemie swoje i obce znał, a zdało mu się wszędzie równo, byle dostatnio było. Wesoły człek wnet sobie druhów jednać począł.

W kilka godzin po jego przybyciu młodzież, która całym pocztem wyruszyła naprzeciw Bolka, wprowadziła go z okrzykami ogromnemi wraz z gospodarzem, który też przeciw pana wyszedł z chlebem i solą.

Bolko przybywał wesół, rad, śmiejący się, i jakby dla gospodarza wystąpić pragnął, najśliczniejszą i najdzielniejszą młodzież sobie przybrał do boku, z której urodą i siłą nikt się zrównać nie mógł.

Chłop w chłopa, jak dębczaki wyrosłe bujno, twarze rumiane, oczy wesołe, płeć zdrowa, ogorzała, barki silne, budowa giętka, jechali na koniach niewielkich, ale tak zbudowanych jak oni, z nozdrzami rozwartemi, z grzywy długiemi posplatanemi, na każdym koniu okrycie szyte, na każdym wojaku zbroja świecąca, jak srebro, u boków miecze ciężkie, przez plecy łuki, u nóg oszczepy spuszczone, na szyjach łańcuchy, na barkach płaszcze. Było takich z pół seciny, nie licząc dworu pańskiego starszego, czeladzi i chłopiąt a pacholąt do posługi.

Królewicz miał na sobie zbroję taką, jakiej tu jeszcze nie widziano, misternie szytą z żelaza, jakby z miękkiej tkaniny, malowaną czarnemi pasy i złotem. Rycerski też pas jego lśnił się, gdyby kwiatami przepleciony w barwy osobliwe, które cudną sztuką w złoto wpuszczone były. Miecz miał z rękojeścią z jednego kamienia drogiego, a przez plecy na sznurze złotym kościany róg rzezany, na którym, jak żywa, siedziała przyczajona jaszczurka. Róg wisiał na złotych pierścieniach.

Wszystko, co żyło, wytoczyło się ze dworu na powitanie pana, okrzykując go, śpiewając, klaszcząc mu w dłonie, przypadając do nóg, chwytając za ręce. Miał bowiem u ludzi miłość tak wielką, iż ci nawet, co go nie znali, kochali go zdaleka, a ci, co się doń zbliżali, miłość dlań czuli większą jeszcze.

Chciano królewicza ugaszczać w domu, lecz wolał do stołu zasiąść na podwórzu z ziemiany i rycerstwem, bo mu tu raźniej było. Niemir sam przy panu sprawiał

podczaszostwo i służył. Nieopodal umieścił się Sobiejucha, Bolka z oczu nie spuszczając.

Wkrótce zawzięła się rozmowa o łowach, bo gdy nie było wojny, królewicz zabawiał się łowami, co ją przypominało.

Chwalił się gospodarz, iż w lasach turów, żubrów, łosiów, jeleni i wszelkiego zwierza miał poddostatkiem, tak, że jak do śpiżarni, posyłał do boru, gdy mu mięsa było potrzeba.

Dwa dni jeszcze zostawało do wesela, a za stołem Bolko długo siedzieć nie lubił. Ozwał się zaraz Marko, iż o tych lasach cuda słyszał, jakoby jedyne były do myślistwa i całe osobliwe, czem królewicza ciekawość zaostrzył.

Nalegał szczególniej, iż na uroczyskach, które Wilczemi Bagnami zwano, o osobliwych stworzeniach słyszał, które między tury a żubrami środek trzymały, a jakich nigdzie indziej nie znajdowano.

Zajął się tem mocno królewicz. Gospodarz nie zaprzeczał, że coś słyszał o tem, ale zwierza podobnego nie spotkał nigdy, ani on, ani żaden z jego ludzi, a na Wilczych Bagnach, ku granicy już leżących, gorszy czasem zwierz zabiegał od tura, bo i Pomorców tam zabłąkanych widywano.

Marko zaklął się, że nigdy o niczem podobnem nie słyszał.

— A! no! — rozśmiał się królewicz — toby to dopiero były łowy nad wszelką zwierzynę!

Śmiali się i drudzy, gospodarz raz jeszcze powtórzył, że jego bartnicy nieraz tam płoszyli małe kupki pogan, które za zwierzem, czy za innym łupem, się zapędzały.

Bolesław, niezmiernie tem poruszony, gorącej jeszcze i łakomiej chciał się na Wilcze Bagna na łowy wybierać.

— Gospodarzu — zawołał — jutro, niedalej jak jutro, spraw nam łowy na Bagnach.

— Miłościwy panie! wola wasza! — rzekł Niemir.— Ludzi wziąć trzeba poddostatkiem...

— Cała moja drużyna pójdzie ze mną — odparł królewicz.

Bolesław kazał się obudzić wcześnie; czeladź miała konie nakarmić i napoić przed świtem. Zaczęto zaraz brać psy na sznury, konie uzdać i oddział cały, z niespełna stu ludzi złożony, wesoło się puścił w lasy. Gdy już wyjeżdżać mieli, Niemir przyszedł do nóg się pokłonić królewiczowi.

— Miłościwy panie — odezwał się — gdybyście mi łaskę uczynić chcieli, tobyście na Wilcze Bagno dziś nie jechali, tylko na uroczysko Marusze. Tam zwierza też dosyć, a jabym się Pomorcami cały dzień nie trwożył.

Marko stojący niedaleko, aż się rzucił.

— O! o! — wtrącił żywo. — Co pan sobie ma rozkoszy odmawiać! Gdzie tam kto kiedy Pomorca widział! A choćby i znalazł się jaki włóczęga, to go do siodła przytroczą.

Bolesław rad był, że go poparto. Chciało mu się tego uroczyska, roześmiał się, przeżegnał, popatrzał na swą drużynę i tych, co się do niej przyłączyli, i krzyknął:

— A no! Na Wilcze Bagna, w imię Boże, prowadź, młody Niemiro!

Sobiejucha, który wczoraj wielką okazywał do jechania ochotę, teraz właśnie okulał. Opowiadał, że mu koń jego wszetecznie na nogę nastąpił, z czego opuchła, tak, że już ją baba musiała okurzać i zaparzać. W istocie nogę jedną miał poobwijaną, i włosy sobie niby z głowy rwał, że na koń siąść, a owego tu żubra widzieć nie mógł.

Jak to u Bolka zawsze we zwyczaju bywało, z podwórca ruszając, wszyscy się przeżegnali krzyżem świętym, zmówili modlitwy i w las puścili.

Droga na Wilcze Bagno borem była i pustynią, nie torowana, dzika, ciężka, szła gąszczami. Jadąc dobrze parę godzin, przedzierać się musieli, aż brat Niemirów zawołał, że się już nareszcie do miejsca zbliżają.

W istocie z za przerzedzonych trochę drzew prze-

glądała nizina mokra, w części gnijącemi zawalona kłodami.

Drużyna królewicza, nawykła wietrzyć w polu i nosy mająca, jak u dzikiego zwierza, czułe, poczęła wołać, że ludzie gdzieś musieli być blisko. Czuli dym i woń jakąś nieleśną...

Zdało im się, że jakiś szelest po bokach słyszeli, ale że łowy miały się tu poczynać dopiero i psów nie puszczono jeszcze, nikt się w bok dla rozpatrzenia nie odbijał

Bolko, jadący przodem, już się na łąkę przedzierał, gdy w tejże chwili chrzęst i łomot straszliwy odezwał się naraz dokoła, jakby nagle las od wichru się walił. Ziemia zatętniała.

Nie było to ani stado łosiów, ani trzoda żubrów — tętniały końskie kopyta, dzwoniła broń żelazna.

W jednej chwili wszyscy za oszczepy chwycili i stali wpogotowiu.

Ze wszech stron ukazywali się, przedzierając przez gąszcz i łomy, Pomorczycy. Liczba nacierających zdawała się ogromna, las był ich pełen.

— Kupą! — zakrzyczał Bolko. — Trzymać się gromady! Razem! Twarzami do nich. W imię Pańskie!

O ile obliczyć się dawało przestrzenią przez napastników zajętą, było ich co najmniej kilkuset, doskonale uzbrojonych i dobranych chłop w chłopa.

Lecz Pomorcy mieli też do czynienia nie z pospolitym żołnierzem, ale z wyborem najdzielniejszej młodzieży, która za dziesięćkroć liczniejszy hufiec stała.

Nikt przytomności i odwagi nie stracił, sparli się wszyscy ramię na ramieniu, głowami końskiemi i oszczepami naprzód, huknęli:

— Boże, zmiłuj się! — i sami rzucili się na Pomorców.

Uchodzić nie było sposobu; dzicz otaczała dokoła, zajęła tył, osaczyła boki, z za każdego drzewa wyglądała twarz, sterczała dzida okrutna, błyskał miecz, świstały strzały. Roiło się pogaństwem wszędzie — szeregami postępowali ściśniętemi.

Jawnem było, że nie przypadek zapędził w tę matnię, ale zdrada jakaś i zmowa piekielna. Przeleciało przez myśl Bolkowi, jak go Niemir prosił, by nie jechał, a Sobiejucha namawiał.

W osiemdziesiąt oszczepów na pół tysiąca lub więcej ludzi rzucić się było rozpaczliwem i groźnem, ale w Bolku szalony gniew rozbudził nie męstwo już, a wściekłość. Puścił się z nieodstępującymi go w gęsty szyk pogan i tłuc ich począł straszliwie.

W pierwszem starciu na wszystkich bokach przewaga tego tłumu była tak wielka, iż mnóstwo z drużyny pod mieczami i oszczepami padło.

Niektórym pozabijano konie, tak, że z bronią pomiędzy towarzyszami cisnąć się musieli i walczyć pieszo przeciw napastnikom, rąbiącym z góry. Garść Bolkowa zbiła się w jeden kłąb, królewicz, wpadłszy z nią między szeregi, tak gwałtownie natarł na nie, że je złamał i przez szyk nieprzyjacielski przedarł się, drogę zasławszy trupami. Mógł uchodzić, ale rozjadły, zwrócił się na dzicz raz drugi, dobijając się do resztki ludzi, która od niego odcięta została.

Za drugiem tem natarciem Pomorczycy przerażeni, choć się bronili, cofnęli się i rozstąpili, koniowi tylko Bolesławowemu przebito bok tak, że chwiać się pod nim począł. Niemira brat przypadł doń ze swoim koniem.

— Królewiczu! — krzyknął. — Na miłość Bożą, bierzcie konia mojego, bierzcie, a ratujcie się, lepiej, bym ja ginął, niż wy, bez którego zginą ziemie nasze! Z konia się trzewia wloką!

Gdy to mówił, koń padł i Bolko ledwie miał czas na podanego przeskoczyć, pchając go znowu ku poganom.

Droga za królewiczem trupami ludzi i koni była usłana. Stała się rzecz do uwierzenia trudna, iż tej garści nieustraszonej, która przy Bolku została, ulękli się napastnicy, widząc szał, z jakim rwała się na nich; poczynali uchodzić.

Najmniej dwóchset położyła drużyna królewicza i Bolko.

Walka zajadła trwała przez kilka godzin. W samym jej początku jeden z czeladzi pierzchnął, wprost biegnąc do Niemirowiec z wieścią o nieprzyjacielu. Szczęściem wpół drogi spotkał hufiec ludzi weselnych, zabawiających się łowami niedaleko, ci natychmiast w cwał pobiegli na pomoc Bolesławowi.

Przybyli za późno, gdyż już Bolkowi, którego spotkali w pięciu ludzi wolno jadącego za uchodzącymi Pomorcami, rzucić się na nich i pomścić straty nieodżałowanych druhów było za późno.

Zsiadł królewicz na pobojowisku, z płaczem niemal patrząc na trupy swoich towarzyszów, którzy, walcząc mężnie i zasłaniając go, wyginęli wszyscy prawie [1]).

Na nim samym nie było całego kawałka zbroi, nie miał miejsca na ciele, któregoby nie rażono; potłuczony był od stóp do głów. Żelastwo pogięte i podziurawione, hełm strzaskany, miecz poszczerbiony, oszczep skruszony, świadczyły, iż nie unikał niebezpieczeństwa.

Mowę stracił teraz i padł jak nieżywy, aż go wodą trzeźwić i oblewać musiano. Krew z ran mnogich się sączyła. Nie zważając na to, chciał biec i mścić się za swoich, lecz mu gwałt prawie zadano, i pochwycono napowrót do Niemirowiec.

Smutny, jak pogrzeb, był powrót na owo podwórze, z którego niedawno wyruszyli tak wesoło. Ludzie szli naprzeciw niego z załamanemi rękami, witając go łzami.

Postradał całą prawie najmilszą drużynę swą, ukochanego Prószynkę, innych wielu, a i brat Niemira, który mu konia dał, zginął także.

Starszyzna, Skarbimierz, Żelisław, Magnus — wszyscy otoczyli go z narzekaniami i wymówkami.

— Godziłoż się, możnaż było z tą garścią, przeciw

---

[1]) Gallus.

nawale walczyć, gdy uchodzić tylko, ocalić siebie należało! — wołano.

— Przeklęty kto wskazał miejsce to na łowy! — krzyczeli drudzy.

Narzekanie było powszechne, płakali starzy, niewiasty jęczały, słuchając opowiadania.

Ostatnich jego towarzyszów porąbanych zsadzono z koni, bo się już dźwignąć nie mogli. Ciekła krew z nich i z koni pokaleczonych.

Bolko, połamany hełm zdejmując z głowy, odezwał się:

— Co się stało, stało się Bożym sądem i wyrokiem. Pomóżcie mi do pomsty nad pogany, a wymówek nie czyńcie — bo próżne są.

Sobiejucha z nogą opuchłą, co mu do łowów przeszkadzała, znikł był od rana. Dopiero, przypominając wszystko i ważąc, zrozumiano czyją to sprawą być musiało. Podniosło się wołanie powszechne przeciw Zbigniewowi jako zdrajcy; Bolko potrząsał głową i przeczył, a nie chciał jeszcze wierzyć posądzeniom.

Zawiedziono królewicza do łaźni, gdzie z niego zbroję i kaftan zaledwie ściągnąć zdołano, tak razami były powbijane w ciało i krwią zakrzepłą przywrzałe. Położono go później na spoczynek, obwinąwszy ziołami i płachtami. Nazajutrz jednak wstał i z drugimi razem w kościele i na weselu był przytomnym.

Nie było już ochoty do zabaw i śpiewów, tak wszystkim na pamięci stali ci nieszczęśliwi towarzysze pańscy, których zaraz po ślubie grzebać musiano.

Pamiętne to Niemiry wesele w długie czasy zwało się „krwawem" i w rodzie sobie opowiadano.

Bolko, ledwie spocząwszy nieco, z Magnusem razem śpieszyć musieli do Wrocławia, bo nadbiegli gońce, że od granicy czeskiej o napaści słychać było...

Wszyscy w tem czuli i widzieli ukrytą rękę Zbigniewa; jeden Bolko, gdy mówiono o tem, milcząc, głową potrząsał i przeczył.

V.

Pomiędzy współczesnymi Bolesławowi Krzywoustemu niema jednego z panujących, któryby z nim szlachetnością charakteru stał narówni.

Zbigniewowi podobnych, równie jak on nieudolnych, a jak on panowania chciwych, znajdujemy wielu.

Po jawnej prawie zdradzie i owem nasadzeniu Pomorzan, z których zasadzki cudem się udało ujść Bolesławowi, Zbigniew musiał się wyrzec pozoru uległości dla brata i począł występować przeciw niemu otwarcie.

Pomorzan i Prusaków miał za sobą, — rachował może i na pomoc z czeskiej strony. Zaczęto z pośpiechem ściągać ludzi i uzbrajać grody: Gniezno, Spicymierz, Łęczycę. W Kaliszu naprędce nową twierdzę wzniesiono.

Sobiejucha, dogodny do pochlebstw, potakiwania i drobnych posług, nie na wiele się zdał panu swemu. O innych myśleć trzeba było, sposobiąc się do wojny. Potajemnie ściągnięto obietnicami wielkiemi dowódców kilku, którzy się w dawnych wojnach wsławili, a na Mazowszu posiadłości mieli.

Dwór Zbigniewów inną teraz przybierał postać. Gnuśna cisza ustąpiła niespokojnym przygotowaniom. Najemni wodzowie wmawiali w nieudolnego, a chciwego władzy księcia, że łatwo pokona brata, gdy przeciw niemu z całą wystąpi siłą.

Pomorcy, Prusacy, Czechy mieli ze wszech stron na dany znak oskoczyć Bolesława, zajmując ziemie jego; wojska Zbigniewa, poparte przez nich, dokonać reszty i osaczonego obalić.

Książę płocki, podniecany, roił już pewne zwycięstwo i panowanie przyszłe nad Polską całą. Cesarza miał lub spodziewał się mieć za sobą. Otwarto skarbiec na zaciągi, nie żałując na nic. Gniezno i Płock roiły się zewsząd ściągającym ludem.

Zewsząd biegły doniesienia do Krakowa i Wrocławia o groźnem niebezpieczeństwie.

Z Czech wygnany Borzywój z młodym bratem, Sobiesławem, którzy napróżno żebrali pomocy u cesarza Henryka V, a nie mieli już czem opłacić, chronili się teraz na dworze Bolesława. Przyjęcie i wzięcie ich strony ściągało nienawiść, zemstę panującego w Czechach Światopługa.

Bolko, zagrożony, całe swe siły gromadzić musiał, ażeby podołać temu, co nań nagle spadało. W zdradę brata o takiej godzinie nie chciał wierzyć; choć była jawną, potrzebował mieć jej dowody. Jeszcze więc raz postanowił wyprawić posłów do Zbigniewa, choć wszyscy tę powolność ganili.

Wybrano ich dwu, a że Skarbimierz potrzebnym był wojsku, ofiarował się stary Wojsław z młodym Pietraszkiem Żemłą, jednym z drużyny Bolesława, cudownie ocalonym pod Niemirowcami.

Bolesław kazał im pośpiesznie i stanowczą przynieść odpowiedź.

Tym razem posłowie otwarcie powiedzieć mieli Zbigniewowi, że, nieudolnym się okazawszy do panowania, winien był bratu posłuszeństwo. Zagrażano mu odjęciem dzielnicy, o której obronie i teraz, jak wprzódy, nie myślał.

Wojsław z towarzyszem ruszyli natychmiast do Gniezna i tu zastali Zbigniewa.

Zmieniony był wielce pan ów od czasu jak otucha w serce jego wstąpiła. Znaleźli go siedzącego w podwórcu, napół uzbrojonego, otoczonego rycerstwem i udającego rycerza. Urosła w nim buta śmieszna.

Dwór krzykliwy, grajki, muzyka, zgraja włóczęgów, pościągana zewsząd, nie odstępowała go na chwilę. Marka teraz zastępował Benno, Niemiec, sprowadzony dla dowództwa nad wojskami, które się zbierały.

Niemłody awanturnik ten czynniejszym był nad Marka, a niemniej nad niego chełpliwym. Karmił pana swojego wyśmiewaniem tego wszystkiego, co w Polsce spotykał, szczególniej Bolkowego rycerstwa, przeciw któremu się straszliwie i zuchwale odgrażał.

W towarzystwie Przemka, knezia pomorskiego, Cze-

chów kilku i Horna zastał przybywający Wojsław księcia, zawczasu rozkazującego otrąbywać swe przyszłe zwycięstwo. Benno lekceważeniem nieprzyjaciela — serca mu dodawał.

Gdy mu posłów od Bolka oznajmiono, rzucił się zrazu, jakby strachem ogarnięty, Zbigniew z ławy; chciał ujść, aby się namyśleć, lecz za późno już było. Wojsław nadchodził, a Benno męstwo w nim krzepił.

— Miłościwy książę — rzekł — każcie im zaraz przystąpić i krótką dajcie odprawę. Staną-li ostro? Niema co już oszczędzać ich i o zgodzie mówić... Wojna nieunikniona, im prędzej, tem lepiej!

Drudzy potakiwali także.

Zbigniew jednak do izby wszedł, dworowi kazał stanąć i dopiero posłów, dopominających się śpieszno posłuchania, wpuścić polecił.

Wojsław, Żemła i kilku z drużyny ich stawili się przed księciem.

Już z twarzy Zbigniewa znać było, że inne wiatry powiały; siedział naperzony, gniewny, zły, dumny, nie tając się z niechęcią, z jaką przybyłych przyjmował.

Wojsław, człek ciężki i powolny, niełatwo się dawał ustraszyć; pokłoniwszy się księciu, rzekł:

— Miłościwy książę! Dopraszam się, czybym poselstwa nie mógł sprawić na osobności, bo mam twarde do wypowiedzenia słowa.

— Jam ci do nich przywykł od mego miłego braciszka! — wybuchnął Zbigniew. — Mówcie, co macie, posłucham; będę wiedział, co czynić.

— Miłościwy pan nasz, książę Bolko — odezwał się Wojsław zwolna — po raz ostateczny wzywa was ku pomocy i wspólnemu wojowaniu z nieprzyjacioły.

— Przeciw komu? — odezwał się książę.

— Naprzód Pomorców, pogaństwo podbić trzeba i zniszczyć. Dopóki tam krzyża nie zatkniemy, póki do Retry i Arkony zewsząd lud biegać będzie, — ani u nas się chrześcijaństwo nie ostoi, ani spokoju mieć nie możemy.

Zbigniew głową potrząsł pogardliwie.

— Pomorców trzeba sojuszem pociągnąć, a nie siłą — rzekł. — My im rady nie damy. Nie pokonało ich cesarstwo.

— Cesarz miał wielu innych nieprzyjaciół i zachodów — mówił Wojsław — ziemie te z prawa do nas należą zdawiendawna, nasze są! Po Pomorcach Borzywojowi pomagać musimy.

— Jemu?! — krzyknął Zbigniew. — Ja?... jemu?! Borzywoja znać nie chcę!

— Zatem z nami nie trzymacie i jesteście przeciw nam? — odezwał się Wojsław.

— Ja tak dobry, jak i Bolko — przerwał Zbigniew. — Dlaczego ja mam iść z nim, nie on ze mną? Ja starszym jestem.

— Miłościwy książę — począł powoli Wojsław. — Oto już lat bodaj pięć dobiega, jak czekamy, abyście zbroję wzięli i oręż, a szli wojować. Trudno było iść z wami, gdyście się ruszyć nie chcieli.

— Czy z tem was tu w poselstwie wysłano, abyście mi plwali w oczy, na moich śmieciach?! — zawołał Zbigniew ze złością.

— Nie! ale żebym powiedział prawdę i żądał od was prawdy — odparł powolnie i cierpliwie Wojsław.

Książę zwrócił się do stojącego przy sobie Benna i śmiać się do niego począł szydersko.

— Hę?... prawdy ci się zachciało, ty stary wieprzu! Będziesz ją miał, gdy ci powiem, że pluję na pana twego, tak, jak ty na mnie, a za słowa, któreś mi śmiał rzec, pójdziesz do ciemnicy!

Skinął ręką na swoich.

— Posłem jestem — rzekł niezmieszany Wojsław spokojnie.

— Ty! Ty szpiegiem jesteś, nie posłem! — zakrzyczał książę. — Przyszedłeś, aby mnie podpatrzyć i zawieźć wiadomość, gdzie i jaką mam siłę! Wiedzże tę prawdę, że pójdę na was, na Bolka! a Czechy, Pomorcy i Prusacy pójdą ze mną!... Pójdę, zgniotę go, upokorzę i rzucę pod stopy moje!... Rozumiesz?

To mówiąc, wstał wzburzony gniewem, tem większym, że Wojsław patrzał mu w oczy śmiało, nieulękniony wcale, choć na skinienie Zbigniewa wystąpili zaraz pachołkowie i poselstwo otaczać poczęli, cisnąć je precz ku drzwiom.

— Do ciemnicy ich zamknąć i strzec! Szyją mi za nich odpowiecie! — dodał książę do jednego ze starszyzny. — To moja odpowiedź miłościwemu bratu!

Posłowie i ich drużyna stali gromadą, miejsce zajmując aż do progu. Gdy na skinienie księcia obejmować ich chcieli pachołkowie, Żemła się zwolna cofnął za swoich aż do wyjścia, wybiegł szybko przez drzwi otwarte, dopadł koni stojących w podwórzu, siadł na swojego co prędzej, będąc pewien nóg jego, i, jak strzała, puścił się ku bramie. Nim miano czas dostrzec ucieczkę i rozkazać w pogoń iść za nim, już się odsadził daleko.

W kilka minut dopiero Benno, opatrzywszy się, skoczył na dziedziniec, wołając na ludzi, aby zbiega gonili; lecz nim się zebrali do koni, Żemła był na podzamczu, wpadł pomiędzy domy i dobiwszy się do zarośli, ogrodów, opłotków, szop, które tu stały gęsto, znikł między niemi. Nie wiedziano nawet, w której stronie go szukać, a i pytać nie było kogo, bo na drożynie od pól mało ludzi było.

Chociaż Wojsław i reszta poselstwa uwięziona została, było komu Bolkowi opowiedzieć o ich losie i o jawnem wystąpieniu Zbigniewa przeciw niemu.

W Krakowie niecierpliwie czekano na wieści. Bolko był właśnie powrócił z Koźla, zamek zastał pełen gości; przyjmował teścia swojego, Światopełka kijowskiego, mnogo z nim przybyłych Rusinów i Czechów.

Radzono o gotującej się wojnie, gdy Żemła przypadł sam jeden, odarty, na koniu wychudłym, znękany długą i śpieszną drogą, przywożąc wiadomość o poselstwie.

Pobiegła zaraz czeladź dać znać panu, który, że z gośćmi swymi na wielkiej izbie w zamku siedział, natychmiast Żemłę do siebie przywołać rozkazał.

Za stołami na poczestnem miejscu siedział Baldwin, biskup krakowski, Światopełk kijowski z kilku książęty, Czechów dosyć, wojewodów i starszych ziemian.

Już z tego powrotu i z odzieży domyśleć się było można, jaki los spotkał posłów. Wypadł Bolko przeciw Pietraszkowi.

— Bóg z tobą! — Coć się stało?

— Gromadąśmy pojechali — odparł poseł — a oto sam, ledwie się wyrwawszy od więzów, powracam. Tam już wszystko przeciw nam gore jawnie: grody się sposobią, wojsko ściąga wielkie; Zbigniew nie tai się, że wojnę wypowiada i zuchwale się odgraża. Wojsława i wszystkich naszych kazano do ciemnicy wsadzić, jam ledwie, konia dopadłszy, ujść zdołał.

Bolko nie chciał wierzyć uszom, tak przykrą mu była zdrada braterska; lecz wolał już to wystąpienie odkryte, niż knowania pokątne. Gdy się namyślił nieco, twarz mu się rozpogodziła.

— Niechże tak będzie jako jest — rzekł. — Tak lepiej! Węgrowie mi w pomoc przybędą przeciwko Czechom, a my sami na Zbigniewa, Pomorców i Prusaków starczymy, da Bóg! Nie wróci już pan brat na grody swoje, skoro podniósł się na mnie. Sam wyrok na siebie pisze.

Oczy mu zapłonęły gniewem.

Tegoż dnia (bo w Krakowie czasu nie marnowano) wydano rozkazy do pochodu, gońce się rozbiegli na wszystkie strony. Trzeciego dnia, gdzie jakie pułki stały, ruszały do najbliższych grodów i zamków Zbigniewa.

Bolko ze Światopełkiem, z drużyną swoją i jego, z czeskimi wychodźcami, których na zamku zawsze pełno było, wychodził jakby na łowy z gorącością wielką.

Nim Zbigniew do boju miał czas się przygotować, nim Benno ludzi do pułków pozbierał i uzbroił, nim po zamkach spodzieli się napadu, już Skarbimierz, Żelisław i najlepsi dowódcy, dopadłszy ich, prawie bez

walki jeden po drugim zabierać zaczęli. Żadnego z grodów oblegać nie potrzebowali, przed groźbą samą otwierano im bramy, wiedząc, że jak dobrym panem jest Bolko i chętnie pokornym daje rękawicę swą na znak przebaczenia, tak nad zuchwałymi rycerstwo jego nie ma litości.

W Gnieźnie zabierano się dopiero na tę wojnę, do której w pomoc nie mieli wielkiej iść ochoty Pomorcy, ażby zobaczyli, jak i komu się powiedzie, a Czesi też niebardzo śpieszyli, gdy do Gniezna poczęły przychodzić jedna po drugiej wieści smutne o pozabieranych już grodach.

Nie było dnia, by kilku zbiegów nie nadbiegło, donosząc, że Bolkowe wojska zamek jaki opanowały.

Jak straszną była buta Zbigniewa niedawno, gdy sobie zwycięstwo obiecywał, tak gniew i wściekłość, w którą wpadł, rozum mu odebrały.

Światopełk, towarzyszący zięciowi, radował się powodzeniu, lecz widząc rosnącą zapalczywość Bolka, lękał się, aby jej cugli nie puścił i nie stał się zbyt okrutnym przeciw bratu. Baldwin, biskup krakowski, przewidując, że książę unieść się może zbytnio i narazić arcybiskupowi Marcinowi, który Zbigniewowi sprzyjał, pośpieszył do obozu i nie odstępował Bolesława, wiedząc, że pośrednictwo jego będzie potrzebnem.

Gdy Bolesław doszedł do Gniezna, nie było już w niem ani arcybiskupa Marcina, ani Zbigniewa. Załoga jednak dosyć silna, zamknąwszy się w okopach, zabierała się ku obronie. Wojskiem zamkniętem na grodzie dowodził Benno, nie wiedzący o losie pana i chcący okazać, że w wojennej sztuce jest biegłym. Okopy mocne, tyny na nowo poprawione, samo położenie miejsca warowne dawało nadzieję, że obronić się czas jakiś będzię można i może doczekać odsieczy.

Zaledwie pod wrota podszedłszy, Bolko, wedle obyczaju swego, kazał z rogami iść ludziom i otrąbić, wzywając do poddania.

Nie odpowiedziano na zawołanie, — owszem tu i owdzie puszczono strzały ku oblegającym. Nazajutrz

kazano się do szturmu gotować, lecz że wojsko wypocząć potrzebowało, mało co dnia tego przedsiębrano.

Wzajem tylko łajali się ci, co na wałach stali, z tymi, co je opasali; odgrażano się, kamieniami ciskano i dzień zszedł na przygotowaniach.

Lecz Benno, mając czas się rozmyśleć, a może i dostać języka, zwątpił nieco o sobie. Dał mu znać przybyły ukradkiem człek, że Zbigniew był już za Wisłą, a inne zamki wszystkie wpadły w ręce Bolkowe. Nie mając więc ochoty stawić karku na szturm, przy którymby opór życiem przypłacił, Benno, naradziwszy się ze swymi, powołał starszyznę do wrót na rozmowę.

Postanowił się układać.

Bolesław powiedzieć mu kazał tylko, że ma wrota otworzyć i poddać się, nie mieszkając, bo innych układów nie dopuści.

Naówczas Benno zażądał rękawicy od księcia na znak łaski i przebaczenia, a gdy tę mu przyniesiono, pocałowawszy ją, sam wyszedł na spotkanie księcia, który, po prawej ręce mając biskupa, po lewej teścia, jako zwycięzca, przy odgłosie trąb na zamek wjechał.

Na spotkanie jego wyszedł też i Wojsław, tylko co z ciemnicy wypuszczony, a z nim jego drużyna. Z radością wielką wszyscy prosto od bram poszli do grobu św. Wojciecha z dziękczynieniem.

Natychmiast, ledwie zająwszy Gniezno, ciągniono na Łęczycę, poddawały się zamki po drodze, osadzano w nich starostów i pochód był jednym triumfem.

Zbigniew, nie wiedząc, gdzie się schronić, zamknięty w małym gródku nad Wisłą, losy swe przeklinał i trwożył się o przyszłość.

Ale obrońców i opiekunów miał w panach duchownych, w arcybiskupie szczególniej, który całkowitego wydziedziczenia dopuścić nie chciał.

Starszyzna Bolkowa, wojewodowie Magnus, Skarbimierz, Żelisław głośno się domagali co najmniej wygnania zdrajcy, jątrzyli nań brata, przypominali, ile lat wichrzył i jak niebezpiecznem było przy najmniejszej zostawić go władzy. Niektórzy wprost się dlań

śmierci domagali, aby wygnany z sąsiadami nie knował i nieprzyjaciół nie podburzał.

Już w czasie zwycięskiego pochodu poseł arcybiskupa zalecił biskupowi Baldwinowi, by ratował zwyciężonego. Postanowiono przez teścia Światopełka, przez duchownych wymóc na Bolesławie, by wojewodów głosu nie słuchał i miłosiernym był bratu.

Z zamku łęczyckiego, kędy cokolwiek spoczywano, zabierał się Bolko cios ostatni zadać Zbigniewowi, gdy jednego rana, po mszy świętej ujrzał uroczyście wchodzących do izby, w której się z wojewodami naradzał, arcybiskupa Marcina, biskupa Baldwina z prałatami kilku i Światopełka ze swym dworem.

Z wnijścia ich domyśleć się było można, że szli z poselstwem jakiemś i prośbą. Starszyzna domyśliła się łatwo o co szło dawnemu opiekunowi Zbigniewa.

— Synu mój — odezwał się ojciec Marcin do całującego drżącą rękę jego Bolesława, — synu mój! witam cię słowami Ewangelji: Czyńcie miłosierdzie, jako pożądacie, aby ono wam uczynionem było. Modlimy się codziennie słowy Chrystusowemi: Odpuść winy nasze, jako my je odpuszczamy naszym winowajcom!

Spojrzał arcybiskup na zarumienionego królewicza, a biskup Baldwin zawtórował słowy:

— Chrystus Pan zbójcom swoim na krzyżu przebaczył i dał nam przykład, który przykazaniem miłosierdzia jest!

Wojewodowie, stojący nieco zdala, marszczyli się, widząc już co zamierzano wymóc na panu, łatwo wrażeniu ulegającemu. Oni przeciwni byli miłosierdziu, którego skutki, znając Zbigniewa, przewidywali. Walka, dziś skończona, wznowić się musiała.

Bolesław milczał jeszcze, gdy Baldwin się odezwał:

— Za bratem twym, panie, prosić cię przychodzimy. Zwyciężyliście go, zajęliście ziemie, nie gnębcie go i nie karzcie, dajcie mu w spokoju oddychać powietrzem domowem.

Skarbimierz odezwał się zboku:

— Ojcze przewielebny! Miłosierdzie dobrem jest,

ale i nad nami je mieć chciejcie, nad panem naszym, który spokoju od zdrady jak nie miał, tak mieć nie będzie.

— Odejmcie mu władzę i panowanie — odezwał się Baldwin — ale nie czyńcie włóczęgą, żebrakiem. Puśćcie mu do żywota choć to Mazowsze, które ojciec dlań przeznaczył.

Bolesław nie przemówił jeszcze; spojrzał na swych wojewodów, ci zaczęli szemrać półgłosem, a arcybiskup nie dopuszczając, by się odezwali, powtarzać jął znowu:

— Czyńcie miłosierdzie!

Skłoniwszy głowę przed nim, królewicz zwrócił się do Magnusa, który najstarszym był. Wrocławski wojewoda i inni z nim, choć za surowością byli, nie śmieli się odzywać już przeciwko biskupom. Skłonili głowy pokornie, twarzami tylko okazując, co myśleli.

— Stanie się jako żądacie — odezwał się naostatek Bolko. — Puszczę mu do żywota jego Mazowsze; ale grody, które przeciwko mnie powznosił, zburzyć musi i iść ze mną, gdy go zawołam ku obronie.

Domawiał tych słów królewicz, gdy drzwi się otwarły z trzaskiem i wcale niespodziewany wszedł Zbigniew, nie jak zwyciężony i upokorzony, lecz jakgdyby sam przychodził przebaczać z pychą, która się w nim wzmogła wstydem i upadkiem. Chciał okazać, iż się nie czuł pognębionym. Ubrany bogato, wiódł za sobą kilku Mazurów, kilku dowódców w zbrojach i przy mieczach. Przystąpił do brata z udaną serdecznością i wprost rękami go objął za szyję, całując z natarczywością, której trudno się oprzeć było.

Bolko serce miał wielkie, umysł wrażliwy, uczuł się poruszonym, zwłaszcza, gdy Zbigniew, na skinienie arcybiskupa nieco pokorniejszą przybrawszy postawę, odezwał się głosem, jakby litości się domagającym:

— Ludzie nas różnią, ludzie kłócą i rozrywają, bracie miły! Ja nie pragnę nic, tylko cię kochać i służyć ci wiernie. Nie widzą mnie oczy wasze, ani moje was, a pomiędzy nami stoją wrogowie, co czyhają na mnie.

Sojusz czyńmy wierny, braterski, i niech go ojciec nasz Marcin pobłogosławi!

Uderzył się silnie w piersi.

— Wiernym ci będę!

Po Bolesławie znać było, że już zmiękł, a po wojewodach, że się na tę jego łatwość przebaczenia i wiarę dawaną zdrajcy oburzali.

— Mazowsze ci puszczam, winy zapominam — odezwał się Bolesław. — Przede mną wiele do zrobienia i przed tobą. Chcesz mi być sojusznikiem, chcesz, aby ludzie nie mogli stawać między nami, bądź przy mnie i ze mną, nie oddalaj się.

Twarz Zbigniewa dziwnie zadrgała i usta się zatrzęsły.

— Tego właśnie dusza moja pragnie! — rzekł nagle — nic innego! Ja z tobą, z tobą, bracie miły, dopóki mi żywota stanie! Gdzie każesz, kędy poślesz!

Rozpostarł obie ręce, uściskali się powtórnie, a staruszek Marcin, płacząc z radości, błogosławił pocichu.

VI.

Czarna, jak przepaść niezgłębiona, była noc jesienna. Królewicz, którego teraz królem już zwano, bo sam jeden panował, z nikim nie dzieląc władzy — stał obozem pod Wieluniem. Wojsko spoczywało znużone, ale czujność była wielka, nie zasypiała starszyzna. Bolko nauczył jej pilności tej, bo sam najpilniejszym był.

Ogniska przygasić nakazano, straże gęsto chodziły po obozie, w namiocie pańskim ulubieńcy jego, Skarbimierz i Żelisław, dotrzymywali pola czuwającemu Bolesławowi. Zniżonemi głosy rozmawiano pocichu.

Namiot królewski nielepszym był od tych, w których starszyzna jego noclegowała. Na dworze swym lubił Bolko wystawę, ale wygodami w pochodzie pogardzał. W jednej zbroi się kochał, i ta najpiękniejszą, choćby najdroższą być musiała.

Powaga w nim była z prostotą, majestat z chrześci-

jańską połączony pokorą. Nieznany człek, spotkawszy go, uchylał głowę przed nim, wybranego czując.

— Miłościwy panie — odezwał się Żelisław Złota-Ręka — spocznijcie już. Pora spóźniona. Bóg łaskaw, bezpieczni jesteśmy; nie napadnie na nas nikt w tę noc ciemną. Zbyt się troszczyć niema o co!

— Poślemy jeszcze czaty, ludzi doborowych, co wszystkie stanowiska obejdą — dodał Skarbimierz Jednooki. — Spocznijcie, panie, potrzeba wam spoczynku.

— Spocznę! o! noc długa! — odparł Bolko — ale wprzódy uczynię, co postanowiłem. Drużynę wezmę i obóz z nią objadę, potem już legnę spokojny do dnia białego.

— Zbyteczne to — rzekł Żelisław.

— Lepiej zbyt się troszczyć, niż za mało — rzekł król, śmiejąc się. — Drużyna czeka już na mnie, objedziemy okolicę; mam niepokój jakiś i trwogę...

— I ja pojadę z wami — dodał Skarbimierz.

Wtem chłopię uchyliło opłotek namiotu i oznajmiło:

— Stoi drużyna i wpogotowiu czeka.

Ruszył Skarbimierz, kazał sobie podać konia. Król zbroję poprawił, hełm włożył, płaszcz mu na ramiona rzucono, na miecz, który przypiął, popatrzał i wyszedł, przeżegnawszy się, z namiotu.

Noc straszliwie ciemna była, deszcz poprószał drobny, wilgotny wiatr kiedy niekiedy przesunął się po obozowisku, na szałasach poruszając gałęzie.

Wyszedłszy, król ucha nastawił, rękę doń przykładając.

— Słyszysz? — odezwał się do Żemły.

— Nic, jeno obóz, który zawsze tak dysze, gdy usypia — odpowiedział zapytany.

— Nie, nie tak on dysze — rzekł król — oddech ten znam! Słychać zdala tętent powolnie idących koni!

— To stado nasze na paszy — rzekł Żemła.

— Słyszę ja i stado — mówił król, potrząsając głową. — Tętent to inny: mierzony, zgodny...

Niespokojnie się obejrzał po swoich.

— Na konie! — rzekł stłumionym głosem.

Ręką wskazał i sam ruszył przodem.

Zaledwie kilkadziesiąt kroków oddalili się od namiotów, gdy w głębi gdzieś nocnej wyraźnie usłyszeli stąpanie koni, stłumiony brzęk żelaza, jak gdy się miecz zboku potrząsa i niby gwar jakiś głuchy.

Król podniósł się na koniu i ucha nastawił.

— Pomorce idą na nas! — zawołał. — Za mną, na nich!

Zaledwie się puścili z miejsca, gdy już na krańcach obozu, wśród ciszy nocnej, odezwały się krzyki, zabrzęczały i świsnęły dobyte miecze. Pomorce wtargnęli między namioty i szałasy.

Orszak królewski cwałem się rzucił w tę ciemność czarną jak otchłanie; szczęściem konie znały i czuły drogę, mijały ogniska i barłogi i dopadały na kraj obozowiska, gdy znaczny, jak się domyślać było można, oddział napastników, na szałasy się wdarłszy, zaczynał tratować uśpionych i mordować zbudzonych Ogromna wrzawa rozlegała się po całej dolinie. Ludzie przerażeni zrywali się z pierwospów nieprzytomni.

Koni nie było pod bokiem, zbroi i broni omackiem szukać musiano, zamieszanie straszliwe szerzyło się z trwogą razem. Lecz Bolko już na karkach Pomorcom siedział, którzy, wcale się nie spodziewając tej gotowości do boju, a ujrzawszy nieprzyjaciela zbrojnego, natychmiast się cofnęli i uchodzić zaczęli przelękli, sądząc, że wpadli w zasadzkę.

Mały oddział królewski rozdarł się na dwie połowy, aby z dwu stron razem na nieprzyjaciela uderzyć. Noc sprzyjała obronie, bo liczby szczupłej Pomorcy nie mogli zobaczyć — strach ją podwajał.

Uchodzili napastnicy, a lud tymczasem wybiegał z szałasów i chwyciwszy co znalazł naprędce, w pogoń śpieszył, poczuwszy, że nieprzyjaciel uchodzi.

Przed chwilą w śnie pogrążony obóz zakipiał, zawrzał, a starszyzna, wprędce gotowa, leciała pędem na pomoc Bolesławowi.

Sam on ze swoją drużyną ścigał uciekających z tą

wściekłością, która go w boju opanowywała i której nic pohamować nie mogło.

Skarbimierz musiał, zaskoczywszy przed konia, za cugle go pochwycić i gwałtem niemal wstrzymać od dalszej pogoni, która na zasadzkę niebezpieczną zaprowadzić mogła. Bolesław, gniewny na niego, ledwie się dał ubłagać, aby do obozu zawrócił.

Tu, zaraz po rozsypce Pomorców, pośpiesznie zaczęto przygasłe rozniecać ogniska; obóz, ciemny wprzódy, zaświecił czerwonemi dymy i płomykami, około których gromadziło się niespokojnie żołnierstwo. Choć niebezpieczeństwo już przeszło, zbroili się co prędzej ludzie, inni konie z pastwisk pędzili i uzdali. Krzyk, wrzawa, ale razem radość wielka ze zwycięstwa niespodzianego rozległy się szeroko.

Noc nagle dniem niemal się stała. Wszystko było już wpogotowiu do walki i wzywało do niej.

Bolko znużony, hełm zdjąwszy, wracał ku swoim namiotom, gdy Skarbimierz, który za nim pozostał był nieco, nadbiegł, zapowiadając, że jeńca jakiegoś, wziętego Pomorcom, prowadzono. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, miał to być któryś z dowódców wyprawy. Z nim zabrano także kilku ze starszych.

Przeprowadzony przez swoich wiernych, wszedł król do namiotu, a za nim pacholę, które śpieszyło, aby zbroję porozpinać i od ciężaru go uwolnić. Na hełmie znać było cięcie jedno, które się po nim ośliznęło, na piersi też zbroja była zgięta od uderzenia oszczepem; lecz Bolko nie czuł się rannym, nie wiedział nawet o tych razach i rozpromieniony weselił się, szydząc z tych, co mu wycieczkę odradzali.

Do namiotu ściągać się za nim zaczęli dowódcy, wszedł i Żelisław Złota-Ręka, lecz zagniewany i chmurny.

Z twarzy jego Bolko, który go znał dobrze, wyczytał troskę jakąś i niepokój.

— Cóż ty mi przynosisz? — zapytał.

— Niesmaczną rybę, którąśmy po nocy złowili! —

zawołał Żelisław — bodajby z nią raz był koniec przecie.

— Jaką rybę? Coć jest? — pytał król.

— Ujęto w całej zbroi rycerza, który zrazu rozpaczliwie chciał się bronić, a nie zdołał. Ten to jest, który tu Pomorców prowadził.

— Przemko? Czy zdrajca Gniewomir, któremum był ojcem chrzestnym? — spytał żywo Bolko — który z nich?

— Gorzej niż jeden z tych dwu — odezwał się Żelisław. — Boża prawica dała nam go w ręce, a dziś i ojciec Marcin nie będzie za nim śmiał rzec słowa.

Rzucił się król.

— Co mi prawisz zagadki!

— Zbigniewa, nie kogo innego, na czele Pomorców uciekającego, wzięto do niewoli.

Król osłupiał, opadły mu ręce, — wszyscy z podziwienia krzyknęli.

— Możeż to być? — odezwał się Bolesław. — Niedawno mi uroczyście przysięgał!

— A dziś go ujęto, jako zdrajcę, godzącego na was i na życie wasze! — rzekł Żelisław. — Mamy go w ręku, szkoda, że żywym.

Bolkowi jakby łza zakręciła się w oku, szlachetne serce czuło litość nad tak nisko upadłym człowiekiem.

Obstąpili króla dowódcy.

— Życie niech da! dosyć tego! — począł Żelisław.

— Miłościwy panie — dodał Skarbimierz — jeżeli mu i teraz przebaczycie, a puścicie go wolno, rzeczemy wszyscy, że niema u króla sprawiedliwości! Cóż będzie dla dobrych, gdy dla złych jest takie pobłażanie!

— Wszyscy my, ilu nas jest — dodał inny — domagamy się dlań kary. Dosyć krwi nas kosztuje, oślepić go, albo niech szyję da. Niema z nas jednego, coby mu rany jakiej nie był winien! a wielu poginęło przez niego!

I wszyscy zgodnie poczęli wtórować:

— Zgubić to złe zielsko! nie żywić go, niech ginie!

Bolko słuchał zasępiony.

— Do jutra, do rana — rzekł krótko.

Spojrzeli nań dowódcy, na twarzy malował się frasunek; odprawił ręką przybyłych, a gdy wyszli, przyklął na modlitwę i słyszano, jak jęczał, trwając na niej długo. O świcie msza święta z dziękczynieniem odprawić się miała, czekano na nią i nikt o śnie nie myślał. Gwarzono o osobliwej przygodzie tej nocy.

Dnieć nareszcie poczynało. Że deszcz prószył ciągle, ołtarz podróżny wystawiono pod namiotem, odchyliwszy ze wszech stron ściany, aby wojsko, dokoła stojące, celebrującego widzieć mogło. Król pokląkł i na kolanach mszy całej słuchał pobożnie. Śpiewano potem pieśni, odmawiano modlitwy, obrzęd się nierychło skończył.

Około króla zgromadziła się starszyzna niespokojna, szczególniej rycerstwo krakowskie, które Zbigniewowi zdrad jego i nikczemności przebaczyć nie mogło. Czekano tylko, aby Bolesław powstał, gotując się nań nalegać o przykładne ukaranie jawnego winowajcy.

Skarbimierz i kilku innych znikło i nie pytając o rozkazy, kazali więźnia prowadzić przed pana. Srogi był widok tego człowieka, idącego z wilczym wzrokiem, z twarzą trupio bladą, z usty zaciętemi, ociągającego się, przerażonego, mściwej, bezsilnej złości pełnego.

Miał jeszcze na sobie zbroję, w której go pochwycono, bo mu jej zdejmować nie dano. Po bokach za nim i przed nim szli pachołkowie z oszczepami i ci, co go uchodzącego pochwycili.

Pochód przez obóz już dlań był karą. Ścigano go obelgami, urągowiskiem, przekleństwy, śmiechami, podchodzili doń żołnierze, pięści mu do twarzy podnosząc, znęcano się nad nim bez litości. Gdyby nie ludzie, co go otaczali, padłby pewnie ofiarą zajadłych i rozwścieczonych.

Gdy się ukazał we drzwiach namiotu, Bolko spojrzał nań oczyma gniewnemi.

— Śmierci godzien jesteś! — zawołał — śmierci, przechero! Dawnoś to o łaskę prosił i przysięgał?

Zbigniew coś zabełkotał, czego dosłyszeć nie było można. Wszyscy zamilkli, czekając, azali co odpowie. Zaczął wreszcie niepewnym głosem:

— Głupi ludzie! Mnie w pogoni chwycono! Goniłem za nimi! Cóż to za wina? Goniłem!

Skarbimierz, nie mogąc znieść bezczelności tej, przystąpił doń wściekły i trzęsąc się z gniewu.

— Jak śmiecie to mówić! — krzyknął — ujęto was, gdyście zagrzewali uchodzących do powrotu, z pośrodka Pomorców! Broniliście się naszym, cięliście jednego!

— Kłamstwo! potwarz! złość, oszczerstwo bezecne, podłość — począł, ośmielając się coraz bardziej, Zbigniew, który, patrząc na brata, odwagi nabierał. — Chciano mnie zgubić! Podstęp jest!

Stojący za nim poczęli krzyczeć oburzeni, podnosić ręce groźnie i odgrażać się. Bolko rozkazał im milczenie i skinął, aby się rozstąpili. Nie odpowiedział jednak nic, wzgardziwszy kłamstwem oczywistem.

Zdala podniosły się głosy, zrazu ciche, potem coraz huczniejsze:

— Śmierć zdrajcy!

— Na gałąź z nim!

— Oczy mu wyłupić!

Wzburzenie było niezmierne.

— Czy to syn króla, czy niewolnika, — zahuczał ktoś z dowódców — jako zdrajca winien jedną ponosić karę. A co zdrajcom bywa? Niech trzy razy ze psem na ręku obejdzie targowicę, niech mu oprawca utnie brodę i precz z nim z ziem naszych, a gdy wróci — na pień głowa [1]).

Inni wprost wołali:

— Śmierć mu! śmierć!

Bolko stał z oczyma w ziemię wlepionemi.

Zbigniew zaognionym wzrokiem oglądał się dokoła. W chwili, gdy wrzawa ustała nieco, począł wołać:

---

[1]) Kara ta starosłowiańska w Czechach była naówczas w obyczaju.

— Na sąd Boży się zdaję! Sąd Boży! Oczyszczę się.

Niewielu nawet ze starszyzny znało obyczaj ten zachodni Sądu Bożego. Król, jako należący sercem do rycerstwa, szanował wszystkie jego prawa. W takiej walce dla oczyszczenia się tkwiła myśl, iż Bóg niewinnemu w pomoc przychodził.

Znaczniejsza część dowódców śmiechem powitała to żądanie, ale król się odezwał:

— Kto przeciwko niemu wystąpi na Sąd Boży?

Z pomiędzy starszyzny nikt ani myślał mierzyć się ze zdrajcą i człowiekiem pogardzonym. Prosty żołnierz, Bondrych, wyrwał się z gromadki opodal stojącej.

— Ja pójdę! — zawołał, podnosząc rękę.

Człek był szczuplejszy, mniejszy, słabszy nawet napozór od rozrosłego, opasłego, grubych kości i silnych członków Zbigniewa, ale z twarzy jego widać było żołnierza, zajadłą taką pijawkę, co gdy się komu przypije do boku, już go nie puści.

Spojrzawszy nań i na Zbigniewa, ze wzrostu i siły księciu było można łatwo wróżyć zwycięstwo. Sam on tylko zwątpił widać o sobie, bo wezwawszy na Sąd Boży, z przyjęciem go się ociągał.

Słychać było śmiechy i przedrwiwania szyderskie wkoło, co jeszcze onieśmielało.

Zwyczajem było, że kto stawał na sąd ów, czy przez walkę, czy przez żelazo gorące lub inną próbę jaką, wolno mu było wprzódy spowiadać się i przystąpić do ołtarza. A że Bolko pobożnym był, gdy Zbigniew, chcąc na czasie zyskać, mruknął, iż o księdza prosi, skinął, by kapelana wezwano.

Pilnowano go jednak, obstąpiwszy ciasno dokoła, w obawie, aby konia dopadłszy, z rąk się im nie wydarł. Na krok nie odstępowali go pachołkowie, a za nimi tuż, dozorując, szła starszyzna, nie spuszczając jeńca z oka.

Bondrych też do spowiedzi oświadczył się gotowym.

Smutny i zgryziony powrócił król do namiotu. Czuł, że od niego wszyscy się będą domagać surowej

kary, a krwią braterską, choć ten winowajcą był, zmazać się nie chciał. Na duszy bolał i smucił się.

Ksiądz tymczasem przybył i zasiadł do wysłuchania spowiedzi. Nim ją rozpoczął Zbigniew, wiedząc, jaki wpływ na króla mają duchowni, próbował ująć kapelana obietnicami wielkiemi, groźbą skargi do arcybiskupa, prośbami, wreszcie i zaklęciami. Ksiądz zbył go zimno, odpowiadając, że spowiedzi słuchać przybył, a nie sprawy, która doń nie należała.

Natenczas trwoga opanowała Zbigniewa, który ledwie mógł się zebrać na spowiedź i bezprzytomny odszedł po rozgrzeszeniu.

Czekano już nań. Bondrych stał w gotowości, cały we zbroję odziany, w hełmie, z włócznią długą, konia trzymając w ręku. Drugi tuż stał pod Zbigniewa. Tłum ogromny cisnął się dokoła.

Ponieważ na dworze i w wojsku turnieje na tępe włócznie i inne rycerskie zapasy często się odbywały, do tego starcia też umiano wnet wszystko przysposobić, jak było potrzeba. Wbito koły, zaciągnięto sznury, aby miejsce opasać i uczynić wolnem.

Dwu woźnych stanęło po bokach dla strzeżenia, aby walka odbywała się bez podstępu i wedle obyczaju.

Zbigniew widomie ducha stracił, nie mówił nic, z oczyma spuszczonemi czekał wpół martwy. Włócznię jedną, którą mu podano, odrzucił, przyniesiono drugą i ta była mu nie do ręki. Po długiem wzdraganiu się trzecią nareszcie ujął. Koń mu się wydał niedobrym, przyprowadzono innego. Rachować się zdał na coś, oczekiwać, zwlekać, próbując, czy się sprawa w inny jaki sposób nie rozwiąże. Spozierał wkoło, nie jawiło się nic, czas upływał.

Bolko, aby lepiej się walce przypatrzeć, stanął też za szrankami konno, u boku.

Woźni po trzykroć znak dawali. Przeżegnali się oba walczyć mający. Zbigniewowi ociężałemu pachołkowie konia dosiąść pomagali.

Bondrych pierwszy w szrankach zajął swe miejsce i czekał na przeciwnika. Leniwie wlókł się książę na

stanowisko. Po raz czwarty woźni okrzyknęli, dając znak uderzenia.

Puścił się Bondrych z włócznią podniesioną na Zbigniewa, który swoją też dźwignął nieco i konia ubódł ostrogą. W pierwszem tem starciu uderzył Bondrych księcia we zbroję. Zachwiał się dotknięty, ale za ciężki był i silny, w siedzeniu się utrzymał, włócznią swą nawet nie trafiwszy przeciwnika.

Że włócznie obie całe pozostały, rozjechali się z niemi, aby po raz drugi uderzyć na siebie.

Niebezpieczeństwo jawne zmusiło nareszcie księcia do obrony. Życie ratować musiał. Puścił się pędem wielkim, lecz w drodze natknął się na włócznię Bondrycha, która, górą idąc, hełm mu z głowy zdarła.

Od ciosu tego zachwiał się jeździec, koń pod nim spiął i Zbigniew nawznak runął na ziemię.

Okrzyk ogromny rozległ się dokoła.

Nim Bondrych miał czas nań poskoczyć, porwał się Zbigniew wylękły i za miecz chwycił.

Starli się teraz pieszo. Walka była nierówna, bo książę do robienia żelazem nigdy nie był miał zręczności. siłą tylko sobie pomagał. Ciął po hełmie przeciwnika i do drugiego razu się zamierzał, gdy ten tak silnie w ramię prawe go uderzył, że Zbigniew, zachwiawszy się, oślizgnął i padł na ziemię.

Bondrych już mu na piersi oparł kolano i mały mieczyk od boku dobywszy, zabierał się pchnąć go nim między blachy zbroi, gdy Bolko krzyknął, iż walki dosyć było, aby Sąd Boży się objawił. Woźni rzucili laskami na znak, że się skończyła.

Zbigniew z głową obnażoną, oczyma krwią nabiegłemi, leżał, rękami grzebiąc w piasku i usiłując się dźwignąć; wołał głosem rozpaczliwym:

— Życie mi daruj! okup dam!

Z pogardą i wstrętem odwrócili się wszyscy od niego. Bondrych puścił go rad nierad, mieczyk do pochew chowając. Bolko skinął nań, aby się przybliżył i wziąwszy łańcuch od Skarbimierza, na szyję mu go zarzucił.

Pachołków potrzeba było znowu, aby z ziemi podnieść wylękłego i potłuczonego Zbigniewa, który o niczem już nie myślał, tylko, by jakimkolwiek kosztem ocalić życie.

Właśnie, gdy się to działo w szrankach, Bolkowi gońce, wysłani na przepyty, wrócili i przywieźli z sobą pochwyconego człowieka. Prowadzono go przed króla.

Zbigniew, podnosząc się, zobaczył jeńca, a zdjęty trwogą nową, trząść się począł cały. Przy wysłańcu tym, który do drużyny jego należał, znaleziono w kaftan wszyty kawałek karty pergaminowej, list pod pieczęcią książęcą.

Przywołany kanclerz odczytał go Bolkowi. Zawarte w nim były wskazówki dla nieprzyjaciół, jak i gdzie na króla napaść mieli.

Dowody zdrady, jeszcze potrzebne — mnożyły się cudownie dla potępienia Zbigniewa. Trzymając kartę w ręku, kazał Bolko przywieść brata przed siebie, a gdy się wybladły zjawił, potrząsł nią nad głową jego i rzucił z gniewem pod nogi.

— Wzywałeś Sądu Bożego, świętokradco — zawołał — gdy jawna jest niepoczciwość twoja! Bóg i ludzie cię osądzili.

Wtem dokoła z wrzaskiem zawołano po kilkakroć:

— Głowę dać winien! Nie żywić go! zabić! zabić!

Jak nieprzytomny, chwiejąc się na nogach, stał Zbigniew, nie odzywając się już. Karta jego własna świadczyła, że z Sądu Bożego uczynił igraszkę. Na gardło mu godzono, siły w nim omdlewały, wołanie krwawe w uszach tętniało, zdając się co chwila grozić śmiercią.

Król stał gniewny, lecz zarazem hamując się widocznie. Ci, co go znali, po poruszających się wargach poznali, iż modlitwę odmawiał, którą mu zalecił był kapłan, gdy nim niepomierny gniew owładał.

Zdrajca strwożony pokląkł, a raczej upadł na kolana przed nim. Wyciągnął ręce.

— Bracie! jedna krew w żyłach naszych płynie, zlituj się nade mną dla pamięci ojca! Życie mi daj!

Pójdę stąd precz, nie chcę nic! Bierz wszystko, zostaw życie!

Mówił to głosem jękliwym, lecz głuszyli go stojący tu Żelisław i inni, wołając:

— Nie będzie zdradom tym końca, dopóki on żyw! Zadławić go! Śmierć! śmierć przecherze!

Im król w większej stał niepewności i skłonniejszym się zdał do zmiłowania, tem starszyzna głośniej się burzyła.

— Nie obronim ziem naszych — mówił Skarbimierz — puścicie go, to się do Czech powlecze, spiskować z Światopługiem, — pójdzie wichrzyć na Węgry, do cesarza. Nie będzie pokoju nigdy! Zwyciężony, poskromiony, ściąć go!

— Oczy mu wziąć — wołali litościwsi.

— Zamknąć go do ciemnicy na zawsze.

— Na gałąź ze zdrajcą!

— Na pień z nim!

Buchały dokoła takie gniewy, taka namiętność, że król nie mógł wyrzec słowa, głuszono go. Czekał, aby się wyburzyła złość, i skinął, aby Zbigniewa odprowadzono do namiotu Żelisława.

Ciągnięty przez pachołków, chciał się ku bratu rzucić Zbigniew, lecz Bolko cofnął się żywo i nie patrząc nań, poszedł ku namiotowi. Gromadą wszyscy za nim pociągnęli.

— Czas mi dajcie do namysłu — odezwał się, ręką wskazując wyjście. — Chcę być sam!

Wiedzieli wszyscy, co to znaczyło; rycerskiego ducha, ale nie okrutny król, gdy krew inaczej jak w boju przyszło przelewać, nigdy nie wydawał wyroku bez porady ojca duchownego.

Żadnego z biskupów nie było pod ten czas w obozie, krom jednego prałata, Francuza rodem, ojca Septyma, człowieka wielkiego rozumu i nauki, lecz niepomiernej surowości. Szanował go król narówni z biskupami i nie wątpiono, że mu jedna ze stolic się dostanie.

Domyślili się wojewodowie, poco szedł dworzanin królewski i na drodze na o. Septyma oczekiwali. Obstą-

pili przybywającego. Skarbimierz pierwszy doń przystąpił.

— Znacie — rzekł — ojcze mój, wiecie, co się u nas dzieje. Król się waha i skłania do przebaczenia. Radzić się was będzie, nie doradzajcież mu, aby dla łotra tego łaskawym był, a dla siebie okrutnym.

O Septym milcząco po nich poglądał. Ujął w ręce czarną suknię swą i ukazał ją mówiącemu:

— Widzicie — rzekł — kapłanem jestem, surowości doradzać nie mogę. Nie godzi mi się. Wiecie, co napisano o przebaczeniu nieprzyjaciołom. Przeciwko słowu Bożemu żadna ludzka mądrość nie waży. Uczynię, com powinien. Wyście ludzie żelaza — jam człowiek miłosierdzia!

— Litujcież się nad ziemiami temi, na które dzikiego zwierza wypuścicie! — zawołali otaczający.

O. Septym, nie mówiąc nic, ręką ich przeżegnał i poszedł do króla, który u wnijścia do namiotu stał, oczekując nań z niecierpliwością.

— Ojcze miły — zawołał — uspokójcie sumienie moje. Domagają się wszyscy brata mojego śmierci. Zdrada jawna, wina wielka, — ale bratem mi jest, krew ojca w nim płynie, mazać się nią nie chcę. Kainem być nie mogę. Co czynić? co czynić mam?

— Co każe sumienie — odparł o. Septym. — Rozum ludzki głupi jest, a sumienie rozumne. Czyń, co ci Bóg natchnie. Surowym każe ci być dla winnych, ale przebaczenie obłąkanym zaleca. Do łaski go przywracać, ziemie mu nadawać byłoby niebezpieczeństwem, ale życie ocalić godzi się. Cóż on sam bezbronny, wygnany uczynić ci może?

— Spiskować będzie z nieprzyjacioły — rzekł król.

— A bez niego będąż oni przyjaciółmi twymi, panie? — Przyniesież on im siłę? — spytał kapłan.

— Radzicie mi tedy i polecacie miłosierdzie — odezwał się król, oddychając lżej i z radością na twarzy, całując księdza w ramię. O! zrobiliście mi ulgę wielką, wy jedni odezwaliście się po Bożemu! Niechaj żyje, niech idzie, gdzie chce! Dziękuję wam!

Ojciec Septym uśmiechnął się, patrząc na króla i głowę przed nim skłonił. Siedli oba na dłuższą rozmowę. Dokoła namiotu przechadzający się wojewodowie czekali niecierpliwi i gniewni, spoglądając ku wnijściu.

Trwało to dosyć długo, gdy pożegnany w progu, wyszedł nareszcie Francuz, a król z twarzą rozjaśnioną ukazał się, podnosząc zasłonę. Przystąpili doń oczekujący, z oblicza już wnosząc, że nie po ich woli się stanie.

Zwrócił się król do Skarbimierza:

— Wojewodo mój — rzekł — nie miej żalu do mnie. Czem Bóg mnie natchnął, to uczynię. Nie przystało wam nalegać, abym okrutnym był. Z życiem niech idzie precz. Do granicy niech go wiodą i wyżeną.

Szmer powstał i wzburzenie między słuchającymi, nie śmiał jednak nikt głosu podnosić.

— Jest to w mocy mojej! — dodał król z powagą, która już żadnego oporu nie dopuszczała. — Wola moja taka. Życie mu daję, tak niech będzie.

Ucichło, smutek oblókł twarze. Milczenie trwało chwilę.

— Wy, miły mój — zwrócił się król do Skarbimierza — oznajmijcie mu wolę moją. Dacie mu do granicy ludzi bezpiecznych, aby mu się nic nie stało.

— Ku jakiej granicy? — spytał powołany.

— Niech idzie, gdzie chce! — dodał król.

Zaszemrano znowu, król spojrzał bacznie, ucichli.

Skarbimierz poszedł do namiotu, w którym więźnia trzymano i powrócił wprędce, bo długo z nim obcować nie chciał.

Zbigniew się domagał bratu za życie dziękować.

— Ani podziękowania, ani zgody, ani widzieć się z nim nie chcę — rzekł król.

Zapytany, czy miał prawo ludzi zabrać z sobą i ze skarbca część jaką, Bolesław rozkazał drużyny mu nie przeczyć i skarbiec oddać cały.

— Niechaj ma z czego żyć — dodał — lecz niech

uchodzi stąd z mieniem, aby mi nie przekupywał ludzi i nie wiódł ich na pokuszenie.

Tak się skończyła sprawa Zbigniewa ocalonego, gdy o życiu już zwątpił, miłosierdziem pobożnego brata.

Skarbimierz, któremu polecono spełnienie woli pańskiej, nie dopuścił gościć długo Zbigniewowi w obozie. Z kilku ludźmi odprawiono go natychmiast ku granicy czeskiej, skarbiec i drużynę wysłać za nim obiecując.

Powracający od granic ludzie, co go przeprowadzali, mówili, że im pięścią ściągniętą groził, obiecując prędkie przybycie.»

VII.

Zbiegły do Czech Zbigniew, niewiele się tu mogąc spodziewać, z Pragi udał się do cesarza Henryka V, jak inni ofiarując mu daninę, podległość, zapłaty, byleby mu do korony dopomożono. Za pieniądze naówczas kupowano u cesarza królestwa, za czeskie zapłacił był wprzódy Borzywój, Bolka sprzymierzeniec, potem Światopług dziesięć tysięcy grzywien, które zdarł z Żydów, z ludu, duchowieństwa tak, że w Pradze potem kawałka srebra ni złota nie pozostało, i wypłacić mu się nie było podobna. Na Zbigniewa przyszła kolej, jeżeli nie płacić, to obiecywać grzywny za polską koronę.

— Idź, miłościwy panie, na Polskę—mówił zbieg—idź, a pobijesz ją łacno. Lud cały nienawidzi Bolka, rad będzie się z pod jego żelaznej rękawicy wyzwolić. Pójdą wam w pomoc Czechy, mam i ja tam swoich, którzy na dany znak do nas przybiegną. Padnie, jak owoc dojrzały, ta cała ziemia w ręce wasze, ja wiernie z niej służyć będę cesarstwu.

Nie miał jeszcze pokoju z Pomorzem Bolko i oblegał Nakło, gdzie cudownie w dzień świętego Wawrzyńca odniósł zwycięstwo nad rozpaczliwie i zajadle broniącymi się pogany, trupem ich ścieląc kilkadziesiąt tysięcy, gdy już znużonemu bojem panu gońce wieść

przynieśli, że cesarz Henryk V, z czeskim Światopługiem i Zbigniewem z siłami wielkiemi ciągną na niego.

Zbigniew był głównym podżegaczem, wywdzięczał się za dane mu życie.

Wojsko zwycięskie, choć miało ducha, potrzebowało pokrzepić się spoczynkiem, wojna nowa wymagała czasu do przygotowania. Nie tyle może potęga cesarza, jak urok jego imienia był straszny. Zdało się, że ostatnia wybiła godzina. Ale Bolko miał Skarbimierza i wierną swą drużynę, nie uląkł się też i nie ugiął.

Cesarz z drogi wysłał listy do króla. Nazywał go w nich tylko: „żołnierzem swoim", jakby wasalem i hołdownikiem, żądał wojska w pomoc, lub trzechset grzywien rocznej daniny, a działu ziemi dla Zbigniewa.

Gdy na zebranej radzie przy królu odczytał ksiądz kanclerz listy te zuchwałe a dumne, dla ustraszenia i wyzwania napisane, stali długo z niemi wojewodowie Skarbimierz, Magnus i inni. Król, marszcząc brwi, patrzał po nich.

— Rany się jeszcze po Nakle nie zagoiły i ręce nie wypoczęły!

Rady były rozmaite. Nie stało już w Czechach możnych Wrszowców, którzyby się teraz byli przydali królowi. Ostatni z nich zbiegli do Polski, a innych krwawo, nielitościwie wyrzezano.

Za przekupieniem cesarza najwięcej obstawano.

Król słuchał, bawił się pasem swojego miecza i milczał. Z twarzy mu mogli wyczytać, że ani się wykupywać nie zechce, ani ukorzyć.

Gdy wszyscy się uciszyli, Bolko podniósł się i głos zabrał.

— Mili panowie moi — rzekł — wojsku cesarskiemu i czeskiemu wstępnym bojem nie podołamy. Ale czyż tylko na ten jeden sposób wojować można? Nauczyli nas Pomorcy, a i dawniej nieraz bywało za króla Bolka Wielkiego — żeśmy się obraniali, jako psy od niedźwiedzia, z boków urywając nieprzyjaciela. Rozumny molos ani niedźwiedziowi zprzodu na pazury, ani dzikowi pod kły nie idzie; chwyta go i drze kędy

może. Tak i my uczynimy z cesarskim niedźwiedziem. Na wielki bój mało nas, na doleganie napastnikowi siła. A oto i jesień kroczy, a kraj im obcy. Niech idą, niech próbują, a do głębi się wcisną, zobaczymy, co czynić mamy. Lasy i błota sprzymierzeńcami nam będą. W Bogu nadzieja, nie pożyją nas, a ujdą-li z życiem? — niech się z tego cieszą.

Skarbimierz jeden zamruczał:

— Święte słowo.

Inni frasobliwie spoglądali.

Król trwał w swojem bez namysłu, narazie kanclerza wezwać kazał i list na list odpisać tym samym zuchwałym tonem, jakim wyzwanie cesarskie pisane było.

— „Chcecie daniny albo ludzi naszych wojennych, jako daniny? przecz-że to i zacz dawać ją mamy? Alişci i baby się nawet bronią, gdy je napastują, cóż dopiero mężowie? Zdrajcy, co spiski knował, nikt mi nie narzuci, ani siłą mi go może prowadzić na ziemie moje. Pieniędzy i żołnierzy nie wam, lecz dla sprawy kościoła rzymskiego dałbym zaprawdę, lecz nie z nakazu i pod grozą. Zechcesz wojny, będziesz ją miał".

Wieść chodziła po świecie, a duchowni naówczas przez swą brać zewsząd mieli posłuchy, że cesarz odpowiedź tę odebrawszy, z gniewu wielkiego straszliwie się zaklął, iż choćby nie wiedzieć wiele ludzi miał stracić, pomści zuchwalstwo i do posłuszeństwa przymusi.

Bolko się już nie spodziewał czego innego, tylko wojny; póki czas zamki opatrywano, osady w nich pomnażano, ściągano ludzi; król nie odpoczął na chwilę, nie odetchnął. Czekano.

Jesień już była późna, gdy dano znać do obozu króla, że cesarscy i Czesi granicę przeszli i wtargnęli na ziemie śląskie, a Zbigniewa widziano, jako nieustannie przy cesarzu był ze swą gromadką, służąc mu za przewodnika.

Henryk V spodziewał się spotkać Bolesława u granicy z wojskiem i stoczyć bitwę. Żołnierz jego ciężki, uzbrojony potężnie, daleko lżej zbrojnego żołnierza polskiego zgnieść mógł łatwo.

U przeprawy przez Odrę czuwał Bolko.

Lasy naówczas niemal cały kraj gęsto przerzynały, wód też i błot więcej było i szerzej rozlanych, niż dzisiaj. Wszystkie gościńce leśne wcześnie pozawalano kłodami drzew podrąbanych, na moczarach pozrywano hacie, na strumieniach pozrzucano mosty. Na czatach stał najdzielniejszy hufiec Bolesława, który miał póty bronić przeprawy, pókiby posiłki dlań nie nadciągnęły.

Sam król w pewnej odległości od Głogowa się ustawił w miejscu bezpiecznem. Posły jego rozbiegły się dawno na Ruś i do Kolomana, o posiłki prosząc, lecz nimby nadciągnęły, Bolko sam, jesienią i słotą, musiał się bronić najeźdźcom.

Zaprawdę, patrząc na dwa obozy tych zapaśników, cesarski i królewski, każdyby się był uląkł przewagi pierwszego. Co tylko wiek ówczesny do wojny miał najkunsztowniej wymyślonego, tu było; najpiękniejsze zbroje, najlepszy oręż, najsprawniejsi rzemieślnicy do budowy machin oblężniczych. Wszystko to, mimo długiego pochodu, świetnie wyglądało. Szły wozy kryte, szły powodne, konie, powiewały chorągwie i proporczyki szkarłatne, ziemia tętniała pod kopytami koni, tak zbrojnych a strojnych jak ludzie. Z całego świata niemal pościągany żołnierz w cesarskim obozie się roił: Frankowie, Sasy, Czesi, Morawianie, Włosi.

Obóz Światopługów mało ustępował cesarskiemu. Rycerstwo było mężne, doświadczone niejedną wojną, za Alpami, nad Renem, do wszelkiego boju wdrożone, zwyciężać nawykłe. Tu, w kraju barbarzyńskim napoły, zdało się im łatwem dokonać zaboru. Szli, jakby dla zabawy.

Gdy wojska cesarskie za Odrą się ukazały, w Głogowie się ich nie spodziewano jeszcze. Bolkowe oddziały pilnowały brodów u Odry, poniżej i powyżej grodu samego. Tymczasem cesarscy wprost naprzeciw zamku zgruntowali rzekę i z rana ją przebrnęli bez przeszkody.

Zrazu w mieście trwoga powstała wielka, ale zało-

gą dowodził stary, wytrawny, powolny i przebiegły Wojsław, Głowa Rozcięta. Tego zastraszyć było trudno. Czuwał milczący. Zaparto wnet bramy, gawiedź z wałów spędzono, stanął gród, jakby wymarły.

Cesarscy go objeżdżali, obchodzili Wacek i Detryszek, opatrując zewsząd, i zawyrokowali, że się im obronić nie może, a poddać rychło musi. Posłano wraz ludzi z rogami pod wrota, aby trąbili, wywołując na rozmowę.

Stanął Wojsław, siwy, niepozorny człek, ciężki, a na oko pokorny. Domagano się wpuszczenia do środka. Wolał do nich wyjść sam, niż gości mieć u siebie, coby go podpatrywali — i furtą ku nim wystąpił.

Hr. Wacek na koniu siedzący w zbroi pięknej, w hełmie ze skrzydły, dumnemi go zmierzył oczyma.

— Szykujcie się do poddania cesarzowi — rzekł. — Zobaczcie, ilu nas tu jest — cesarskich i Światopługowych! Śmiech mówić o obronie!

— Sami my to już widzimy — odparł z udaną rezygnacją Wojsław — ale król a pan nasz surowym jest. Przysięgaliśmy mu nic nie poczynać bez wiadomości jego. Dajcie nam czas, posłów do niego wyprawimy.

— Nie! — zakrzyknął Wacek. — Nie myślcie, że nas oszukacie! Zwłoki się wam chce!? Czas zejdzie daremnie, my go nie mamy, bo całe wasze królestwo zawojować musimy.

Wojsław, westchnąwszy ciężko, zakładników ofiarował.

Z tem, sam nie chcąc stanowić, hrabia Wacek do cesarza jechał. Światopług i wszyscy dowódcy wołać zaczęli:

— Wziąć zakładników! Z pomocą ich łatwiej gród zdobędziemy! Wziąć rękojmię, a dać im dni kilka! I naszym się z pochodu utrapionego spoczynek należy.

Śmiano się z wielkiej prostoty głogowian.

Wieczorem czterech młodych mieszczan z rękami w kieszeniach, z głowami spuszczonemi, szli jak na stracenie do obozu.

Przyrzeczono im słowem cesarskiem, że wrócą cali, jeżeliby Bolko odmowną dał odpowiedź, ale sobie tak lekceważono Polaków, że im wiary dotrzymać nikt nie myślał. Dziczą ich przezywano, jak zawsze.

Zaledwie głogowianie: Patarz, Surma, Łowiec z Wojsławowym synem ukazali się, ku obozowi dążąc pod strażą, gdy Zbigniew przeciw nim poskoczył. Chciał ich zabrać, aby jednać sobie i grozić. Dano mu zakładników pod straż.

Młodzi słuchali go mówiącego z głowy odkrytemi, patrzali po sobie, a na pytania i namowy nie odpowiadali. Jeden drugiego w bok potrącał, wzdychali, stękali, głaskali głowy, łamali palce, kłaniali się i milczeli.

W obozie cesarskim uradzono, aby, czasu nie tracąc, zacząć budować tarany do bicia ścian i bram. Ściągnięto z pobliskich lasów kłody i dwupiętrowe rusztowania owe podnosić się zaczęły ku górze. Na belkach kładziono pomosty dla kuszników i strzelców, wiązano, ciosano i ochoczo szydzono sobie z głogowian, ukazując im te potwory straszne.

Lecz Wojsław też nie zasypiał, zagrzewał swych ludzi i do obrony się sposobił. Na mury, bramy, na wały ściągano, co tylko do odparcia napaści służyć mogło. Kamienie młyńskie, nabijane kołami ostremi, koła, ćwiekami ponajeżane, głazy ogromne, smołę, kotły do gotowania wrzątku, kłody z ostrokołami.

Dzień i noc jeździł a chodził Wojsław dokoła, opatrując, napędzając do roboty, nie szczędząc nikogo, kobiet, nawet i dzieci. Wiedział on dobrze, jaka będzie króla odpowiedź; król nie znał i znać nie chciał tego, co to jest poddać się bez walki, ze strachu. Za zbrodnięby poczytał i zdradę ustąpienie przed nieprzyjacielem.

Piątego dnia, gdy już mury opatrzone były, a gród gotów do obrony, wrócili posłańcy.

Wyszli naprzeciwko nim, zasłyszawszy o nich, Zbigniew, hr. Wacek, Niemców kilku i spoglądając, urągali się.

Starszy spytany, jaką odpowiedź przynosił, odpowiedział, że król szubienicą zagroził każdemu, ktoby

mówił o poddaniu się. Lepiej ginąć od miecza, niż iść w sromotną niewolę. Bogdajby zakładnicy przepaść mieli — miasto się bronić powinno!

Wojsław wnet po zakładników przysłał, aby ich wedle słowa cesarskiego wydano.

Cesarz Henryk gniewem się uniósł okrutnym. Posła kazał przypędzić przed siebie.

— Zakładników chcecie!—krzyknął,—wy krnąbrni, a nieposłuszni, coście wszyscy miecza warci! Zamek wydajcie, to ich mieć będziecie, nie, to i ich i was wszystkich wysiec każę do nogi! Nikt żyw nie zostanie!

Pojechał niemiecki graf do bramy, do Wojsława, z groźbą a łajaniem. Wysłuchał go dowódca. nie pokazując po sobie nic, a gdy dokończył, rzekł mu:

— Słowa nie strzymujecie cesarskiego; wiemy więc, czego się po was spodziewać mamy. Zamku nie damy; bierzcie go!

Zawarto bramy; wszystko się na tem skończyło.

W obozie cesarskim powstała wściekłość przeciwko zuchwalstwu temu. Światopług, hr. Wacek, Detryszek, Zbigniew, kto żył, nawoływać zaczęli do nagłego szturmu, do zniszczenia miasta i zrównania go z ziemią. Losem Głogowa chciano przerazić Bolesława i kraj cały.

Dnia tego jednak, choć się tak obóz poruszył, wrzał i kipiał, a ludzie pod mury podbiegali, sposobili się, odgrażali — nic do wieczora nie zrobiono.

Na wałach też cicho się sprawiano, miasto spać się zdawało.

Wieczorem tylko tarany owe straszne podtaczać zaczęto bliżej ku murom, i miasto dwu, które stały gotowe, cztery ich natychmiast pod noc poczęto układać, ciosać i wiązać. Topory słychać było przez noc całą.

Zbigniew zakładników zdał dnia tego cesarskim, nim poszli, przemówiwszy do nich, upór karcąc i nakazując, aby do swoich słali, do poddania się namawiali, bo inaczej życie stracą.

Zakładnicy popatrzali, głowami potrzęśli, nie odpowiedzieli nic, książę nalegać zaczął.

— Daremna to rzecz — odezwał się jeden. — Przeciw woli króla nikt nie uczyni nic, choćby szło o głowę.

— Idźcież na złamanie karku i niechaj was wywieszają! — krzyknął Zbigniew.

Wojsław zawczasu był uwiadomiony i co z zakładnikami uczynić mają, i że szturm będzie straszliwy. Na każdej połaci starszyznę poustawiał ze swej ręki, przysięgę pobrawszy z niej, że umrzeć każdy raczej gotów, niżeli wrota otworzyć.

Nazajutrz rano Niemcy jeszcze przysposabiali swe machiny, obchodzili mury, naigrawali się, odgrażali, gotowali, a kusznicy i łucznicy przeciągali kupami, aby siłę swą okazać.

Cesarz sam, wyjechawszy na koniu, patrzał i rozkazywał. Rozwinięto całą siłę, ażeby oblężonych nią przestraszyć.

Mieszczanie z przestrachem spoglądali na te przybory, na mrowiącego się nieprzyjaciela, na ten blask i przepych cesarskiego obozu, w którym rozlegały się śpiewy i trąby, na przeciągające hufce; słuchali urągań, odgróżek i łajania, ale zarazem spoglądali na Wojsława, który stał tak nieulękniony, jakby dla rozrywki na mur się wybrał.

Gdy przyszło do dawania zakładnika, a stary dowódca wiedział, że mieszczanie na słowo cesarskie niechętnie dadzą swe dzieci, przykład z siebie czyniąc, syna własnego posłał, nie mówiąc o tem cesarskim. Nieszczęściem poznano go tam, lub sam się zdradził butny chłopak tak, że gdy nań Zbigniewowi ludzie nastawać poczęli, iż Wojsławów był, przyznał się do tego, kryć nie myśląc.

Zbigniew w cięższem coraz był położeniu, od Bytomia cesarz nań prawie patrzeć nie chciał. Dopóki nie weszli na polską ziemię, wmawiał w Henryka, że mu się grody pod nogi kłaść będą i nikt czoła stawić nie śmie.

Teraz już i Wiprecht Groicz, i wszystka starszyzna, otaczająca cesarza, wiedziała, on sam wreszcie przekonał się, że z upartym Bolkiem nie pójdzie tak łatwo.

Coraz już trudniej było o żywność dla ludzi i koni, sąsiednie sioła prędko zostały ogłodzone, ludzie rozpierzchli się z resztą mienia po lasach. Kilka kupek picowników, co się zapędziły dalej, padły pod mieczami polskich zasadzek, albo mało co z nich wróciło. Jesienna wyprawa coraz groźniejszą się wydawała.

Cesarz z każdym dniem gniewniejszym był. Światopług chodził chmurny, Zbigniew sypał jeszcze słowy, obietnicami, dowody, ale nic się nie sprawdzało. Słuchać go już nie chciano.

Nazajutrz szturm przypuścić miano.

Zbigniew powziął myśl szatańską i pobiegł z nią do cesarskich namiotów. Trudno mu było już zyskać przystęp do cesarza Henryka, który na niego wszelką winę zawodów doznanych składał; wreszcie uproszony Światopług do namiotu go wprowadził.

Cesarz się z grafami swymi naradzał.

— Miłościwy cesarzu — odezwał się wchodzący książę — ażeby czasu drogiego nie tracić, a uporne miasto zmusić do poddania, jest środek prosty, a niechybny.

Obrócili się grafowie z pogardliwem niedowierzaniem: cesarz się ani odezwał, ani oczu nań nie podniósł.

— Na taranach powiązać ich zakładników — dodał Zbigniew. — Jest między nimi syn starosty. Nie będą przecie śmieli własnych dzieci mordować. Nasi kusznicy i łucznicy padną na bezbronnych i dostaną się do miasta.

Spojrzeli Niemcy na mówiącego z wyrazem zadziwienia i niemal oburzenia. Nieludzka rzecz była, słowo złamawszy, zakładnikami tymi dobijać się do miasta i korzystać z rodzicielskiej miłości.

Cesarz, uśmiechając się, dał głową znak przyzwolenia. Ten, który ojca nie poszanował, mógł nie mieć dla obcych litości. Szło mu o to, aby zdobyć miasto, — jak miało być zdobyte, nie dbał.

Zbigniew wyszedł zwycięski i uradowany.

Nadszedł dzień ten straszny, do którego przygoto-

wywano się modlitwami w trwodze wielkiej, we łzach tajemnych.

Jak świt poczęły wojska cesarskie zewsząd miasto opasywać, z tych zwłaszcza stron, z których najsłabsze się być zdawało. Pod bramy zataczano z wysiłkiem wielkim tarany owe olbrzymie. Łucznicy szli oddziałami wielkiemi. Rogi grały, lud się naciskał gęstemi szeregi. Zdala widać było cesarza samego pod chorągwią wielką, stojącego z grafami swymi, w szyszaku z orłem, w zbroi świecącej, na koniu, siatką żelazną okrytym.

Około niego w hełmach, całe twarze osłaniających, których właśnie używać dopiero poczynano, kręcili się groźnie pouzbrajani rycerze z włóczniami malowanemi, z mieczami błyszczącemi u pasów.

Na murach głowy tylko ludu śląskiego widać było. Z jednej strony walczył żołnierz stary i doświadczony, z drugiej prości ludzie, uboga czerń, niewiasty nawet. Ale też napaść stokroć od obrony była trudniejszą.

Pod główne wrota toczył się właśnie ów taran dwupiętrowy, gdy Wojsław, wypatrujący przez otwór muru, ujrzał na górnej połaci uwiązanych do sterczących na niej palów, własnego syna i zakładników.

Osłupiał stary, oczom własnym nie wierząc. Toczyła się ta potwora, przed którą, naigrawając się, jechał Zbigniew, wywołując ku bramie, aby na nią uwagę obrócił.

Chwilę na wyżkach u wrót panowało milczenie grobowe; zdumienie, litość, żal objęły głogowian, starzy ręce łamali z rozpaczy. Krzyk dziki dobył się potem z ich piersi i wszystko umilkło.

W innych też miejscach, gdziekolwiek mur się słabszym wydawał, podtaczano rusztowania, a skoro się zbliżyli do murów, wskakiwali na nie łucznicy, drapali się na połać górną i wpogotowiu stawali do rażenia strzałami. Na dolnej mieszczono najlepszą piechotę z tarczami i oszczepami, aby po spędzeniu obrońców, natychmiast mogła wpaść wyłomem do grodu.

Upłynęło jeszcze kilka pacierzy nim dano znak trąbami zarazem ze wszystkich stron do szturmu, ale głos trąb wnet zagłuszyły wrzask, łomot i huk straszny. Uwiązane na łańcuchach belki bić zaczęły w bramy i mury, kusze i łucznicy sypnęli z góry na oblężonych gradem: bełtów, pocisków i strzał, krzyki rannych, nawoływania dowódców rozlegały się ze wszech stron w powietrzu.

Nad główną bramą stojący Wojsław miał do wyboru mierzyć w piersi własnego syna, albo nie broniąc się, zdać miasto. Oko mu się zaiskrzyło, pierś wezbrała wściekłością na wiarołomców, przeżegnał się biedny ojciec i pierwszy dał znak do obrony zajadłej.

Gdy taran zaczął walić bramę, nie zważając na zakładników, sypnięto strzałami i kamieniami z murów ku oblegającym. Bracia i ojcowie zamknęli oczy, aby nie patrzeć i nie widzieć, gdzie szły ciosy i kogo dosięgły. Cesarscy, którzy stali obok zakładników, prawie bezbronni, bo się wcale nie spodziewali, aby przeciw nim walczyć się ośmielono, poczęli pierwsi, jęcząc, padać na pomoście.

Rozpaczliwy bój zawrzał ze wszech stron.

Cesarscy jednak, co szli, walcząc za cudzą sprawę, płatni i zaciągowi, choć mężnie się stawili, nie szli z takiem zapomnieniem siebie i ofiarą, jak głogowianie, którzy żon, dzieci, mienia i czci bronili.

Gdy z rusztowań zaczęto rzucać pociski, z murów odpowiedziano nietylko strzałami, ale wszystkiem, cokolwiek pod ręką się znalazło. Sypnęły się kamienie ogromne, które ciężarem pomosty taranów gruchotały, belki ostremi koły najeżone, koła, nabijane gwoździami, smoła gorąca, ukrop.

Rycerze, co szli za tarczami, z początku nie myśląc wcale, aby byli tak dzielnie i zawzięcie odparci, nieopatrznie się wystawili na ciosy i ranni zaczęli walić się, jedni drugich przygniatając.

Z obozu widać było najpiękniejszych tych tarczowników cesarskich, jak im kamienie młyńskie gruchotały hełmy żelazne, i głowy razem z niemi, łamały tar-

cze i piersi. Lud ten padał u murów wałem trupów i rannych.

Tym, co się obaleni, a żywi jeszcze chcieli ratować — nikt nie śmiał przyjść w pomoc, gdyż z murów bezustannie sypały się głazy i drzewo; lano wodę, sypano garnki ze smołą zapaloną, które oblewały ogniem i płonęły na ludziach, zadając im straszne męki.

Na widok tej obrony zajadłej cesarz pobladł z gniewu zarazem i strachu o swych żołnierzy. Lękał się postradać, co miał najmężniejszego w tym pierwszym boju o jeden z grodów, gdy ich tyle jeszcze i ziem tyle wojować było trzeba.

Odstąpić nie było sposobu, srom było wojsku cesarskiemu cofać się przed tą ciżbą w sukmanach. Nowych więc słano na pomoc, a ci zaledwie przybywszy, padali ranni, lub uchodzili pokaleczeni.

Na owych pomostach leżały już same trupy prawie, które nowo przybywający łucznicy zrzucać musieli precz, aby sobie miejsce uczynić.

Widok był krwawy i przerażający. Z rozbitych owych pocisków kamiennych, głazów, gruzu wznosiły się chmury pyłu, wygryzającego oczy, dym palącej się smoły wił się po ziemi, leżący i obaleni próżno się usiłowali uwolnić od zbroi, które, rozpalone od wrzątku i smoły, żywcem ich piekły. Z obu stron wzmagała się wściekłość, którą widok i woń krwi upaja. Dwu zakładników leżało zabitych przez własnych braci.

Cesarz patrzał na to zdala i sromem oblała mu się twarz. Oczyma szukał Zbigniewa, ale go wpobliżu nie było.

Stał pod taranem, zakryty ścianą z tarcic i z gniewu miotał się bezprzytomny. Rachuba jego była fałszywą, wstyd go ogarniał. Nie żal mu było ludzi, omyłka popełniona sromem go okrywała, lękał się nieprzyjaciół, których sobie przyczynił okrucieństwem.

Pod główne wrota, których część zatoczony taran przysłaniał, poczęto podkładać ogień i podkopywać się z drugiej strony, aby móc, podłożywszy drągi, wyłamać ogromne podwoje, całe żelazem obite.

Robotnicy pracowali tu ogniem i toporami zarazem, gdy z wierzchu pomiędzy rusztowania a mur spuszczono gwałtownie kloc olbrzymi. Ten spadając, zdruzgotał część taranu i z jego cząstkami spadł na karki tym, których on miał osłaniać. Wślad za nim posypały się kamienie, polał ukrop dymiący.

Wojsław ciskać kazał na drewniany pomost garnki ze smołą zażegniętą, która suche drzewo płomieniem objęła. Płomienie wznosiły się ze wszech stron...

Piechota co żywiej uchodzić zaczęła, rzucili się i łucznicy, stojący na górze ku drabinom. Wtem widłami żelaznemi chwytać ich poczęli ludzie z murów i kilku porwawszy na nie do góry, cisnęli na ziemię, na której trupami legli.

Syn Wojsławów cudem ocalony żył, drugi jego towarzysz, choć ranny, klęczał na pomoście, obwiązując ręce, aby zatamować krew upływającą. Sami łucznicy, przywiązując cenę do zakładników, zerwali im sznury i pochwycili z sobą. W sam czas właśnie, gdyż owo rusztowanie ogromne płonęło już ogniem zewsząd, trzaskało i walić się poczynało, głowniami ognistemi obsypując podnóże murów.

Ze wzgórza, na którem cesarz sobie obrał stanowisko, aby się przypatrzyć szturmowi, widać było każde poruszenie wojska. Zobaczył też Henryk i uchodzącego z pod bramy Zbigniewa, przed którym znaczek jego niesiono.

Nim się miał czas od murów odsunąć, kilka bełtów ugodziło go w zbroję, raziło konia, którego dosiadł i pokaleczyło dwóch ludzi, co z nim byli.

Zbigniew nie śmiał się już nawet zbliżać do cesarza, bo się lękał gniewu jego. Światopług z hrabią Wackiem i Detryszkiem szli z innej strony, cofnął się więc, mrucząc, ku padołowi i pozostał sam widzem gniewnym a bezecnym tego wysiłku, którego bezskuteczność widzieli już wszyscy.

Bój się toczył jeszcze. Było już z południa. Szturm cesarskich nie ustawał, ale siły mu znacznie ubyło. Trupów i rannych moc wielka leżała na wałach, co

się w grodzie działo, nie wiedział nikt, obrona była coraz gorętsza. Z wierzchołka wież poprzystawianych widziano padających od strzał, lecz tych wnet niewiasty chwytały i do domów odnosiły. Na ich miejsce stawali drudzy.

Obrona, do której niekoniecznie żołnierskich, byle silnych rąk dosyć było, zdawała się wzmagać i stawać dzielniejszą z każdą chwilą. Jeśli w którem miejscu na krótko ustała, a ludzie ośmieleni nacisnęli się tam, można było ręczyć, iż gdy podejdą, runie na nich zgotowane wcześnie mordercze jakieś narzędzie. Ludzie rozbierali domy, obalali szopy, wydzierali ze ścian bierwiona, progi z chat i budowli, nieśli całe łomy obalonych murów i spychali je na głowy napastników.

Nadchodził wieczór, który miał dać obu stronom spoczynek.

Cesarscy nietylko żadnych wrót nie naruszyli, nie złamali muru, ale stracili dwie wieże z taranami, próżno bełtów i strzał wypuścili mnóstwo, a padło ich nad miarę wielu.

Klęska dnia tego znaczniejszą była, niż zrazu mniemano. Sasi, Frankowie, Bawary, Turyngi ponieśli straty w ludziach i zbrojach znaczne. Nie rany to były jak w bitwie na polu stoczonej, ale srogie pobicia, zgniecenia, połamania rąk i nóg, od którego żadna zbroja osłonić nie mogła.

Rannymi bez ratunku i dogorywającymi w męczarniach napełniały się namioty.

Po wodzach i starszyźnie widać było zniechęcenie i zwątpienie. Naradzano się z sobą gromadkami, spoglądano zdala na te mury, stojące jak wczora, niewyszczerbione, nietknięte, całe, gdzie niegdzie tylko od ognia okopcone, pooblewane smołą i wodą.

Wyłomów od taranów i kłód prawie na nich widać nie było, ledwie się gdzie kamień usunął i odleciało wapno, zawisł jaki hak żelazny, na którym sterczał pocisk bezsilny. Tam, gdzie wewnątrz uszkodzone były mury, widziano już krzątającą się ludność, która kamień, ziemię i drzewo przynosiła dla naprawy.

Cesarz z własnej myśli wysłał dwu zakładników do miasta, wprzódy ich przed siebie kazawszy przywołać i groźnie im w swej obecności przez woźnego zapowiedziawszy, aby swych mieszczan do poddania się skłonili, gdyż inaczej cesarz nie da rękawicy, w pień każe wyciąć mieszkańców i gród obróci w perzynę.

Odprowadzono ku bramie głównej syna Wojsławowego z towarzyszem, którzy uprosili, że im i zwłoki zabitych zabrać z sobą dozwolono.

Gdy z wozem, na którym, okryte sukna kawałem, spoczywały trupy zakładników, zbliżyli się do głównej bramy, Wojsław wyjrzał sam, lecz się zrazu zdrady lękał i otwierać nie kazał. Dopiero, gdy cesarscy dobrze się oddalili, furtę otwarto i wpuszczono ocalonych.

Wojsław syna objął, długo z uścisku nie puszczając i słowa rzec nie umiejąc. Nadbiegli i drudzy, z jękiem, a narzekaniem wnosząc trupy, za któremi wnet się wrota zamknęły i gród umilkł. Żaden się już jęk nie dobył z niego.

W obozie cesarskim naradzano się niemal noc całą, a nie przyszło do żadnej zgody i postanowienia. Gdy dobrze rozedniało, poczęto się ruszać, jakby do nowego szturmu. Wojsko postępowało zwolna ku murom, nie z wczorajszym wrzaskiem i trąbami, ale opieszale, ociągając się, oględnie.

Wprzódy jeszcze cesarz woźnego swego (herolda) posłał z rogami do bramy, aby do poddania się wzywał. Zdawało mu się, że zakładnicy do niego nakłonią.

Gdy woźny, zbliżywszy się, trąbić kazał, długo się nikt nie ukazywał. Wystąpił potem na wyżki stary człek, którego Wojsław posłał dla tego, że się mógł dobrze z Niemcem jego mową rozprawić.

Ujrzawszy go, woźny cesarski podniósł głowę, ręką rzucając, i wołać począł:

— W imię jego cesarskiej miłości, pana mojego Henryka, wzywam was, abyście się wnet, nie mieszkając, poddawali, nie chcieli swej zguby, zniszczenia i śmierci.

Ślązak, którego Wojsław posłał, człek osobliwy,

nie na wiele się zdał rękami, ale język wprawny miał, jak najlepsza skóra.

— W imię jego królewskiej miłości, pana naszego Bolesława — zawołał — wzywam jego cesarską miłość Henryka, aby od naszego grodu ustąpić raczył. Skarbów nie mamy, żywności ino tylko, co na nasze gęby, a o strachu też u nas nic nie słychać.

Woźny, który orła wyszytego miał na kapie, piersi okrywającej, uczuł się tą mową strasznie dotknięty.

— Pomnijcie, czem jest cesarska moc — zawołał — która całemu światu panuje i rozkazuje!

— Ślązak, imieniem Potuch, pokłonił się i odrzekł:

— Szanujemy my jego cesarską miłość, ale mamy swojego pana, który nam bliższy jest. Tenby nas wywieszać kazał, gdybyśmy bramy otworzyli.

Nadbiegł w tej chwili Zbigniew ze swymi i począł zdala wrzeszczeć i ręką grozić:

— Ludzie głupi! bez mózgu bydło! co czynicie? Bolesław już waszym panem nie jest! Ziemia jego wszystka zajęta, nie oprze się nam z garścią swych niedobitków, którą Pomorcy zdziesiątkowali!... Jam wasz pan, nie kto inny! Ja wam rozkazuję zaraz mi bramy otwierać!

— My miłości waszej, jako żywo, nie znamy — odrzekł Potuch.

— Wywołajcie mi na mur Wojsława — krzyknął Zbigniew — abym z takim mówił, co rozum ma, a nie z wami!

Wtem z za murka ukazał się i powołany Wojsław, wyłażąc powoli; stanął i szłyk z głowy uchylił.

Do niego się obrócił Zbigniew zaperzony z gniewem.

— Co czynicie, szaleńcy? co czynicie, utrapieńcy!? Upokórzcie się i posłuszni bądźcie cesarzowi. Wasz Bolesław, co się po lasach musi, jak zbójca, ukrywać, nie dostoi... Wiecie, co moc jest cesarska? Poddawajcie się, chcecie-li być cali.

Wojsław popatrzał nań i rzekł krótko:

— Nie poddamy się.

Zbigniew plunął z gniewu i złości.

— Kamień na kamieniu z waszych murów nie zostanie! — począł, krzycząc — pójdzie gród z ogniem, nie ocaleje dusza żywa! Nie zmożemy was dziś, wrócimy jutro straszniejsi jeszcze i w gruzy obrócim ten psi barłóg wasz!

Wojsław głowę skłonił i rzekł chłodno:

— Nie poddamy się!

Stał jeszcze Zbigniew. Woźnemu cesarskiemu oddalić się kazał. Wojsława do furty zażądał jeszcze na osobną rozmowę.

— Abyście mnie zdradziecko ubili i miastu odjęli głowę? — rzekł Wojsław. — Nie pójdę.

Zaklinał się na Krzyż Pański Zbigniew; stary głową potrząsał.

— Klęliście się panu naszemu nie jeden raz, a zdradziliście go nie jutro, ale tegoż dnia, gdy przysięga nie zastygła — rzekł Wojsław obojętnie. — Nie idę.

Zbigniew się ofiarował oręż precz odrzucić, ludziom kazać jechać, byle z Wojsławem mówić mógł sam na sam. Stało się wreszcie, jak chciał. Gdy się rozbroił, — furtę nawpół otwarto, Wojsław się w niej ukazał.

— Dziesięć grzywien złota — rzekł książę — dla was, dwadzieścia srebra, jeśli zamek poddacie!

Wojsław oczy podniósł na niego.

— Ani dziesięcią tysiącami mnie nie kupicie! — rzekł ponuro. — Damy my wam dziesięć grzywien, abyście precz szli!

Rozsierdził się znów książę, poczynając grozić i łajać, lecz i to nie skutkowało.

Rozmowa zabrała dużo czasu, ale stała za pozór dlaczego dotychczas nie przypuszczano nowego szturmu, do którego nikt nie miał zbytniej ochoty. Tracić tu rycerzy, gdy dla pokonania Bolesława było ich potrzeba, cesarz się wahał, odradzali wszyscy.

Gdy nareszcie woźny i Zbigniew z niczem od wrót do cesarza powrócili, znaleźli tam już postanowienie, że nazajutrz o świcie wojsko całe ku Wrocławowi wyruszyć miało. Spodziewano się jeszcze w pochodzie na-

paść na Bolesława i, oskoczywszy go, do walnej przymusić bitwy.

Jesień coraz słotniejsza następowała; psowały się drogi, deszcz lał, rzeki wzbierały, grzęzawice stawały nieprzebyte.

W ciągu tego dnia pojedyńcze już tylko gromadki podkradały się z różnych stron pod mury, strzelając z kusz do ukazujących się na nich. I w tem szczęścia nie mieli, bo Wojsław wysłał strzelców starych kilkudziesięciu, którzy czatowali, mury obchodząc, a bełty z kusz ciskali tak trafnie, iż razili kogo wzięli na oko.

Straciwszy kilku, Niemcy i tych harców pod wieczór zaprzestać musieli.

Nazajutrz obóz zwijać miano. W milczeniu jedni, z odgróżkami straszliwemi drudzy, poglądając ku murom przeklętym, poczęli namioty ładować na wozy, konie ściągać i pułki szykować na błoniu.

Jawnem już było dla głogowian, że oswobodzeni wkrótce być mieli, nie wybuchli jednak z radością i milczenie na murach panowało. Obawiano się podstępu i zdrady.

Ze dniem bez rogów, okrzyków, cicho, powolnie zaczęli odciągać naprzód Sasi, których po długich włóczniach poznawano, Frankowie, potem Boje, Almanie i Czechy.

Z ostatnimi ciągnął też Zbigniew, cesarza unikając, który, ile razy mu się pokazał na oczy, wyrzucał mu, że go uwiódł i okłamał łatwem zdobyciem kraju, co mu się do stóp miał położyć.

Wielka owa buta i wesele, z jakiemi pod Bytom przyszli, znacznie w pochodzie przytarły się i ostygły.

Do cesarza już najulubieńsi słowa rzec nie śmieli, tak rozdrażniony i mściwy ciągnął. Zbigniew chował się, Światopług też burczał, że darmo do Polski się powlókł, gdy i doma było do roboty wiele. Spodziewał się Węgrów w gościnę, a prawdopodobnie i Ruś Bolkowi przyjść musiała na ratunek.

Wyciągnąwszy zaś raz, ciągnąć dalej zmuszeni byli, radzi czy nieradzi i wlekli się mokremi równinami ku

Wrocławowi. Wozy grzęzły, konie padały, ludzie chorzeli, narzekanie z dniem każdym było głośniejsze.

Grafowie i rycerze niemieccy, widząc, że i bić się nie było z kim, i rabować nie mieli co, srożyli się na Zbigniewa, narzekali nawet na cesarza. Widzieli, że kraj to był nie do podbicia, bo choćby bitwę wygrali, zawładnąć nim nie mogli.

Grody stały, jak opoki, oblane moczarami, a z bezpańskich pustyni, w których żywej duszy nie było, nawet szkapa się nie napasła. Lasy gęste straszyły, jak twierdze niezdobyte, bo każdy las zasadzką był, najeżoną przeszkodami; a gdy w nim kto zabłąkał i pozostał, nie powrócił do obozu. Puszcza go pożerała i śladu po nim nie było. Nocą mało kto mógł usnąć. Nie dosyć było stawić czaty, musieli żołnierze we zbroi się kłaść, bo często po dwakroć i trzykroć nocą na koń wołano. Rozruch się wszczynał, kupka jakichś ludzi, z ziemi wyrosła, rzucała się na namioty, na konie i ludzi, zabierała, co było pod ręką i nim się do obrony przygotowano, znikała.

Dwa czy trzy razy Niemcy w takich utarczkach zdawali się mieć przewagę, zmusili do ucieczki, popędzili za uchodzącymi, wpadli w jakiś zakąt, gdzie ich osaczono i wybito tak, że mało kto lub nikt nie wrócił.

Zbliżając się do Wrocławia, znękani na śmierć, prosili Niemcy Boga o walną bitwę, o nieprzyjaciela jawnego, ażeby raz niedola się ta skończyła.

Cesarzowi donoszono o wszystkiem, i o szemraniu w wojsku i o pieśniach na cześć Bolesława, których się już i Niemcy z nad Renu ponauczali; — zakazywano szemrać i śpiewać nadaremnie. Śpiewano piosnki szyderskie ciszej tylko, z biedy śmiech czyniąc, bo nie wiedziano, czem się już pocieszać.

Wołali ciągle Niemcy:

— Gdzie ów Bolesław? niechaj stanie, niech się nam pokaże!

Drudzy im odpowiadali szydersko:

— Niema go nigdzie, choć jest wszędzie, łapajcie, gdy możecie!

Nie dochodząc do Wrocławia, cesarz znowu zwołał grafów na radę; ale Zbigniewa, który też się na nią wybierał, nie dopuszczono. Zdrajcę zaczynano już podejrzewać o zdradę.

Zebrali się Światopług, Wiprecht, Wacek, Detryszek i inni dowódcy; Henryk zagaił sam z zapalczywością wielką:

— Wwiedli nas w kraj dziki, pogański — zawołał — gdzie i o chleb trudno, nie mówiąc o łupie, bez którego tyle ludu trudno utrzymać. Ja wojska żołdem nie opłacę. Bolesław, jak wilk wściekły, krąży i obrywa nas, nie śmiejąc wystąpić. Żołnierz czuwaniem i pochodem znużony pada, konie zdychają, lasy nieprzebyte, moczary niezgruntowane, robactwo zjadliwe, strzały zewsząd padają, wieśniactwo zawzięte, — pochodu tego dosyć już mamy. Na Kraków, na główny gród iść potrzeba, złupić go, okup wziąć; chyba to nam nagrodzi straty.

— Miłościwy cesarzu — odparł Groicz — nim do Krakowa dociągniemy, ażaliby nielepiej spróbować układów z Bolesławem. Poślijmy doń, zagrożmy mu, przecież znajdzie go ktoś w tej dziurze, w której zaczajony siedzi.

— Jedź sam, jeśli chcesz — odparł cesarz — jedź z tem, by mi moją dań, trzysta grzywien wypłacił. Wyjdę, — a nie, stolicę mu wezmę i zburzę!

Groicz więc, jako poseł, tegoż dnia do Bolesława wybierać się począł.

VIII.

Niełatwo było Bolesława wyszukać, ale woźnych cesarskich mając z sobą, jadąc jako poseł, Groicz, który spodziewał się i szwagra swojego, Borzywoja, zastać przy królu, puszczał się śmiało. Wziął z sobą kilkanaście koni i naoślep przed się pojechał, kędy zasłyszał, że największe siły być miały.

Rankiem wyruszywszy z obozu, wkrótce znalazł się

w puszczy, a i mili nią nie ujechawszy, został oskoczony.

Zatrąbiono, wołając, że poseł jest do króla od cesarza jadący na rozmowę. Kupka ludzi jezdnych, która otoczyła Groicza, nie czyniąc mu nic złego, ofiarowała się prowadzić. Zapowiadano, że król był niedaleko, ale musiał dalej pewnie odciągnąć, bo narówni się z wojskiem cesarskiem posuwał, aby go nie tracić z oczów.

Miał Groicz sposobność w podróży porównać wojsko swe z temi, których teraz ujrzał przed sobą. W porównaniu do cesarskich, Polacy, nawet Żemła, który oddziałem dowodził, niepocześnie byli uzbrojeni i nieobarczeni żelazem. Ale lud był krzepki, ochoczy, wesoły, silny i odważny.

Żadnego z nich prawie nie było, któremuby coś nie brakło: jeden rękę miał napół odrąbaną, drugi twarz przepłataną, inny nogę krótszą od rany, niektórzy kresy na policzkach, oczy powybijane, wargi porozcinane. A ludzie byli młodzi lub średniego wieku.

Owych misternych koszul żelaznych, plecionych, których zaczynano używać, nie widać było, ni też zbyt osobliwego oręża. Hełmy stare z nosami żelaznemi, u drugich i skórzane szłyki z obręczami, pancerzyska — ledwie ochłapy. Sam wódz lekką łuskową zbroją był okryty, i to nie żelazną, ale z rogu wyrobioną. Wielu ze skór grubych polepione mieli kaftany. Oszczepy ciężkie, grube, proce ladajakie, miecze staroświeckie krótkie, obosieczne, łuki niewykwintne, kołczany z łubu lipowego.

Pięknego pozoru to nie miało, mizernie się wydawało gościowi, ale w tych łachmanach i rupieciach ludzie siedzieli straszni.

W podróży cisnął ktoś toporem na zwierza i ubił go nim.

Jechali, prowadząc Groicza, lasem gęstym bez drogi, przepływając przez strumienie, przebierając się bokami trzęsawisk, kręcąc w prawo i lewo. Kilku z nich pobiegło przodem króla szukać i oznajmić mu.

Groicz jechał zwolna. Obiecywano mu Bolesława wieczorem lub nocą.

Przed wieczorem stanęli na łące pod lasem, koniom dając wypocząć i mieli już ciągnąć dalej, gdy dał się słyszeć tętent szybki.

Ludzi ze dwóchset, podobnych do tych, którzy towarzyszyli Groiczowi, nadbiegło żywo.

Pośrodku między nimi poznał lub raczej domyślił się króla Bolesława, bo przy jego boku i Borzywój jechał. Za nim Skarbimierz Jednooki, Żelisław Bezręki i kilku starszych, dwór i drużyna.

Ci wszyscy piękniej byli zbrojni, lecz i na nich nic nie świeciło, na królu tylko łańcuch z wizerunkiem ojca, którego on nigdy nie zrzucał.

Groicz zsiadł z konia i poszedł zaraz pozdrowić króla. Mylił się, sądząc zrazu z gotowości do rozmowy, iż go znajdzie najazdem strwożonym i gotowym do układów.

Pozdrowili się po rycersku. Król pod dębami, już z liśćmi napół opadłemi, kazał rozbić mały namiocik, tak lichy, że go za nim na koniu wieziono.

W mgnieniu oka czeladź płótno rozpięła. Weszli doń wszyscy ze starszyzny, a tuż się chleb, wino, mięso i co żołnierzowi dla nasycenia głodu potrzebne znalazło.

Król Bolesław wpatrującemu się weń Groiczowi zdał się tak dobrej myśli, iż mu odeszła otucha, z jaką przybył. Borzywój też, z którym się szwagier po bratersku pozdrowił, niezbyt przybitym był i chmurnym.

Nim do rozmowy z królem przyszło, szwagrowie z sobą na uboczu, wyszedłszy za namiot, poszeptali.

— Pomóżcie mi — rzekł Groicz do Borzywoja — aby się stała wola cesarska, a i wy na tem zyszczecie,— przemówię za wami. Bolesławowi grozi, jeśli się nie ugodzi, że mu cesarz państwo odbierze.

Dobroduszny Czech pokręcił głową, podniósł ręce i oczy w górę, i szepnął:

— A ja co mogę?

Borzywój w istocie przewagi tu i głosu nie miał, jak go i w kraju nigdy otrzymać nie mógł.

Weszli do namiotu na rozmowę.

— Miłościwy panie! — odezwał się Groicz. — Cesarz, a pan mój, na Kraków, stolicę waszą, wprost idzie; postanowił wziąć ją wam i zniszczyć, gdyż srodze rozżalony jest na was. Ratujcie siebie i państwo, dajcie jaki taki udział w ziemi Zbigniewowi, a nam trzysta grzywien dani; zgodę uczynimy.

Nim król miał czas odpowiedzieć, Jednooki Skarbimierz wtrącił ponuro:

— O księciu Zbigniewie ani słuchać nie możemy.

— A ja za pokój ani szeląga nie zapłacę, chociaż go pragnę — odezwał się Bolko. — Bóg mi świadkiem, wolę jako rycerz ginąć, niż żyć jako niewolnik.

— Dań cesarzowi przecież niewolą nie jest — odezwał się Groicz. — Tak samo jak cały świat papieżowi podlega i cesarzowi też wszystkie ziemie dań są winne.

— Niemieckie — tak — dodał król. — Nasze, nie! Rzymowi podlegli jesteśmy, bo na stolicy Namiestnik Chrystusowy zasiada; cesarzowi nie poddamy się nigdy.

Zakłopotał się mocno poseł tak stanowczą odpowiedzią, lecz, pierwszą tą odmową nie zraziwszy się zupełnie, powolniej nastawać zaczął.

Król słuchał, lecz jedno miał na ustach.

— Nie może to być. W domu u siebie ja cesarzem jestem. Gdybym nad sobą innego miał, — królem a panem nie byłbym, ale sługą.

Napróżno gardłował Niemiec; król śmiać się począł wreszcie i zukosa nań patrząc, odezwał się:

— Wojujcie, próbujcie siły! Niech wola Boża rozstrzyga między innemi! Na Kraków idźcie, — ja bronić będę, jak zdołam!

Znużyli się do nocy rozprawianiem napróżnem. Borzywój nareszcie szwagra odciągnął na stronę.

— Wy z nim nic nie uczynicie — rzekł. — Z nas tu wszystkich żaden nad nim siły nie ma, jednemu Skarbimierzowi wierzy i czasem go słucha. Gdybyście jego

z sobą, jako posła, do cesarza zabrali, a napatrzył się tam siły i potęgi pana, Henrykby go może darami i łaskawością mógł zjednać. Kto wie, możeby na jaką przystali ugodę. Danina mała jest, spokój drogi.

Tak nic nie uczyniwszy, Groicz nazajutrz o świcie, gdy do pożegnania przyszło, rzekł:

— Miłościwy panie, gdy odpowiedź waszą cesarzowi odniosę, boję się, iż mi wiary nie da. Wyprawcie ze mną od siebie posła, któryby sam wolę waszą oświadczył. Palatyn Skarbimierz ma pewne zaufanie wasze; każcie mu jechać ze mną.

— Prawa to ręka moja — odparł Bolko — niechętnie ją i na jeden dzień dam odjąć sobie. Ale trzeba-li, powolnym będę; pojedzie z wami!

Stało się więc, jak Borzywój podszepnął pocichu. Skarbimierz we dwadzieścia najlepszych ludzi i koni wybrał się natychmiast z Groiczem. Pożegnali się rycersko; król wesoło sobie żartował z własnego wojska i z hufców Henryka, a dobrej myśli był, jakby po odniesionem zwycięstwie.

W podróży dwaj wodzowie nieprzyjacielscy zbliżyli się nieco ku sobie, a Groicz mimowoli może wydał się z wielkiem znużeniem. Gdy lepiej poznał Skarbimierza, przekonał się, że był za twardym do ujęcia, za dumnym do złagodzenia uprzejmością, za rycerskim, aby się dał przekupić.

Ale na dworze i w otoczeniu Henryka V wszystko się na grzywny złote i srebrne obliczało, bo i cesarz sam za nie gotów był oddać wszystko; pomyślał więc Groicz, że może i Skarbimierza, choć drogo, kupić będzie można.

Obóz cesarski jeszcze się był nie ruszył z miejsca, na którem go zostawili, gdy Groicz z posłem powrócił. W namiocie swym pozostawiwszy Skarbimierza i dwór jego powierzywszy straży, sam poszedł naprzód do cesarza.

Ranek był właśnie. Po krótkiem oczekiwaniu, Groicz uroczyście wprowadził posła przed Henryka V.

Po drodze stało mnóstwo ludzi rycerskich, którzy

mu się przypatrywali, bo o tym jednookim wodzu, co i na Morawach i Pomorzu się wsławił, słyszano wiele.

Rycerska była postawa człowieka, — ale nie strojna i nie błyszcząca niczem. Zbroja na nim gruba, miecz z rękojeścią żelazną, pas nieozdobny, hełm pobity, kaftan prosty, płaszcz zszarzany, wcale wspaniale nie wyglądały.

Jak przybył, tak otarłszy się tylko z kurzawy i błota, przed cesarza szedł.

Jedyną ozdobą był na drugim palcu prawej ręki pierścień drogi, dar królewski. Rubin wielki, jak wołowe oko i jak ono okrągło wytłoczony, siedział w nim złotą, grubą objęty przepaską.

Cesarz, nim przypuścił posła, przysposobił się na jego przyjęcie, występując z całym majestatem i przepychem, który go w podróży otaczał. Stanęli dokoła namiotów rycerze w hełmach całych, w zbrojach świetnych, w pasach złocistych, w szatach bławatnych, na których piersi godła różne wyszywane były barwami. Wystawiono chorągwie przed namiotami.

Służba i dworzanie cesarscy: chorążowie, podkomorzowie, cześnicy, miecznik cesarski, woźni w świątecznych szatach, wszyscy z oznakami godności swych, w purpurze i złocie, otaczali Henryka, który przywdział też strój rycerski. Przypasał miecz, okrył się płaszczem szkarłatnym, i z powagą, a surowością siadł na przenośnem krześle tronowem, dokoła mając starszyznę swoją.

Szedł tak Skarbimierz wśród dwu szeregów pozłocistych rycerzy, grafów i panów, śmiało wiodąc oczyma i nie wstydząc się wcale ani prostej swej odzieży, ani wytartej zbroiczki. Wszystka ta wspaniałość straconą dlań była, bo wobec niej wyżej jeszcze podnosił głowę i jednem okiem swem otwartem, dumnie, a obojętnie spoglądał na przepych ten, rozumiejąc dobrze, dlaczego na pokaz go wywiedziono.

Groicz poprzedzał go, aby wprowadzić przed pana. Wkroczyli razem do wspaniałego, rozległego namiotu, do tej części właśnie, w której od złotych naczyń, sre-

ber i kosztowności blask był wielki, jak w kościele od ołtarza.

Cesarska twarz namarszczona i groźna nie ustraszyła też posła, a gdy Groicz poselstwo swe odprawił, Skarbimierz potwierdził je krótkiemi słowy, nie jak kanclerz lub kleryk, który wymowy zażywa umiejętnie i popisuje się z nią rad, ale jak żołnierz, co słowo niewiele waży, a pięknie go dobierać na wiązankę trefną nie zadaje sobie pracy.

Cesarz odezwał się zaraz w początku groźnie, iż na Kraków wnet ciągnąć będzie, że zuchwalstwu nie przebaczy, lecz mowa ta żadnego nie uczyniła wrażenia na starym żołnierzu. Słuchał jej milczący, nie okazując, by ją brał do serca.

Po cesarzu odzywali się inni, wystąpił kanclerz i kapelan Henryka, Wigand, w imię religji i kościoła skłaniając do posłuszeństwa, które ci, co ulegali głowie jego w Rzymie, papieżowi, winni też byli i cesarzowi.

Na to odpowiedział Skarbimierz, iż posłem jest, a nie władnie tu sprawą, więcej nie mogąc oddać nadto, co mu do zaniesienia powierzono.

Wśród tej rozmowy na skinienie cesarskie, poczęli się zwolna z tej części namiotu cofać do drugiej wszyscy przytomni, tak, że po chwili Henryk sam pozostał ze Skarbimierzem i, powstawszy z siedzenia, przybliżył się do niego.

— Palatynie — rzekł do niego głosem łagodniejszym — napróżno staracie się umniejszyć znaczenie wasze, a skromnym się czynicie posłem. Wiedzą ludzie, jak u swojego pana stoicie, i że wiele nad jego umysłem możecie. Czyńcie proszę, co dla pokoju i zgody potrzebne, my wam się wywdzięczyć potrafimy.

To mówiąc, cesarz zwrócił się ku głębi namiotu, gdzie stały skrzynie jego podróżne, naładowane srebrem, złotem i klejnotami i ku nim Skarbimierza prowadził.

— Nie sądźcie — rzekł, — abym był tak waszych trzechset grzywien pożądliwy, albo na zdobycz chciwy. Mam bogactw poddostatkiem. Nie żałowałbym

ich dla czci korony mojej. Patrzcie — dodał, wskazując na otwarte skrzynie — to są tylko moje podróżne zapasy, a jest tego pewnie więcej, niż u was?

Skarbimierz, któremu ta mowa, sam na sam w cztery oczy rozpoczęta przez Henryka, zdała się pokuszeniem o przekupienie go, zarumienił się i zafrasował zburzony, wahając się, co odpowie.

Myślał, jakby pogardę dla jego złota miał okazać, gdy oko jego padło na ów pierścień, na te czasy kosztowny i drogi, który miał na palcu. Szybko zdjął go z ręki z uśmiechem, i w silnej dłoni łamiąc go na dwoje, zawołał, do skrzyni go rzucając:

— My, miłościwy cesarzu, wyżej cześć i poczciwość cenimy nad złoto. Złoto niech idzie do złota!

I pierścień potoczył się na złocistą misę, z której czerwonem okiem zdał się cesarzowi urągać. Henryk zdumiony mocno, po chwili namysłu zamruczał półgłosem:

Hab Dank. (Dziękuję).

O przekupieniu tego człowieka już więc pomyśleć nie było podobna!

Cesarz powrócił na swe siedzenie, a wkrótce Skarbimierz, pokłoniwszy mu się, pożegnał go.

Nie zatrzymując się już potem w obozie, nie chcąc z nikim mówić więcej, choć mu się różni narzucali, poszedł Skarbimierz oburzony wielce do koni swych, ludziom siadać kazał i wyciągnął z obozu bez przeszkody, ciekawemi ścigany oczyma. Jednego mu człeka zabrakło, lecz gdy napróżno wołano go i szukano, a czekać nań nie mógł, ruszyli więc bez niego.

Po odjeździe posła cesarz gniewniejszym był jeszcze, niż przedtem. Podziękował za pierścień rzucony, ale nim, jak kamieniem, w piersi cisnął mu ten człowiek.

Nie było już co czynić, musiano ciągnąć pod Wrocław.

Wojsko ustawicznie napastowane, Sasi, Frankowie, Czesi skarżyli się, przeklinali tę wyprawę coraz głośniej. Pochód coraz cięższym się stawał. Zamiast łu-

pów spodziewanych na wozach wieziono trupy znakomitszych rycerzy, których chować na obcej ziemi nie chciano.

Czarnem suknem pookrywane wozy te ciągnęły za obozem jak nieustanne klęski i strat przypomnienie. Kto spojrzał na nie, ściskało mu się serce, a wielu mruczało, że gdy się dalej posuną i ich ten sam los spotkać może.

Tak wojsko Henryka i Czesi, wlokąc się niechętnie, coraz urywane po bokach i niepokojone przybyło na szerokie pola pod Wrocławiem. Tu się położyć miano dla wypoczynku, bo żołnierz był znużony i zniechęcony, a Bolesława oddziały coraz bliżej, gęściej i śmielej nacierały.

Zabierano się wrzekomo do oblegania grodu, w istocie, nie wiedząc, co czynić, bo o odwrocie więcej myślano pono, niż o dalszym pochodzie, gdy nowy cios dotknął wojsko sprzymierzone.

Z rodziny Wrszowiców, którą Światopług w Czechach wytępił, rozkazawszy zamordować Mutynę, Unisława, Domasława, Wakułę, Krasę, Neceszę, Borzytę — uszło kilku do Polski. Z dawniej tu osiadłych Wrszowców był przy Bolesławie Jan, syn Czystego, człek w sile wieku, męstwa wielkiego, który, o zgnębieniu rodziny swej krwawo wymordowanej słysząc, zemstę poprzysiągł Światopługowi.

Jan ten, gdy się Skarbimierz do cesarza wybierał, potajemnie się przyłączył do jego orszaku. Nie zważał nań nikt, aż gdy się już oddalił, postrzeżono, że jednego z ludzi nie stało. Gdy król o niego dopytywał, z drużyny niektórzy opowiadać zaczęli, że zaklął się zgładzić Światopługa, a pomścić krwi własnej.

Po powrocie Skarbimierza zapytano wnet o Jana Rawicza, ale w orszaku go już nie było. Co się z nim stało, nikt nie wiedział. Ci co z nim byli, mówili, że do obozu czeskiego poszedł, a gdy odjeżdżać przyszło, ani go zwołać, ni znaleźć nie mogli. Lękano się, czy poznawszy go jako Wrszowicza, nie ubili nieprzyjaciele rodu.

Jan tymczasem pomiędzy Czechów Światopługa wpadłszy, że się tam nie wszyscy znali, udawał, jakby do wojska należał. Nikt go nie poznał, ni się domyślał, poco przychodził. Wcisnął się między dwór i czekał sposobności.

Dnia 21 września, gdy w obozie radzono znowu i wszyscy się wodzowie do cesarza zbierali, Światopług jechał na ulicy swej lekko uzbrojony, aby też do rady należeć. Pełno było ludu około namiotów, zgiełk wielki, gwar ogromny, wszystkiemi językami wołano, krzyczano, sprzeczano się.

Światopług, nie mogąc się przecisnąć przez tłum żołnierzy, przekupniów obozowych i czeladzi, przystanął nieco, prawie pod samym cesarskim namiotem, gdy pieszy człek, zboku zaszedłszy, nagle podniósł oszczep okuty i żgnął nim w bok tak silnie, iż przebił go nawylot. Światopług, krzyknąwszy zaledwie, z siodła na ziemię się obalił.

Jeszcze ludzie stojący opamiętać się nie mogli, co się stało, gdy Jan Rawicz, konia stojącego dopadłszy, puścił się w obóz uciekać. Drudzy też konie chwycili, aby w pogoń iść za nim, ale zrazu ich wyścignął, potem, co się który zbliżył, rąbał tak, iż kilku padło, a reszta do zarośli go odprowadziwszy — wróciła z niczem.

Gdy cesarzowi dano znać o czynie zuchwałym, którego sprawca wśród białego dnia, z pośrodka obozu ujść zdołał, Henryk V struchlał, wierzyć nie chcąc wieści. Lecz krzyki, zawodzenie, płacze, przekleństwa do namiotu dochodziły.

Umysły coraz straszliwiej się burzyły. Czesi zaczynali wołać, że chcą precz nazad iść do domu, aby Borzywojowi drogę zaprzeć do Pragi.

Naprożno Groicz i inni panowie latali ze słowy cesarskiemi do obozu czeskiego; zwijano namioty, ściągano wozy, i nazajutrz o świcie Czesi zabierali się odchodzić, pozostawiając cesarza i Niemców wśród tej pustyni samych, na łup ośmielonemu Bolkowi.

Czuwanie tak wielkie opasywało ich dokoła, iż wyj-

ście Czechów jedną godzinę tajone ostać się nie mogło; wślad za tem Polacy musieli napaść na cesarskich.

Mrocznego poranku ruszyli Czesi z miejsc, które zajmowali, nie tak, jak szli na Polskę, ze wrzawą, śmiechami i odgróżkami, ale z żałobą, ze zwiniętemi proporczykami, znużeni, wybladli, smutni i w wielkiej części pieszo, postradawszy konie.

Jako owoce napadu wieźli na wozach trupy, a na jednym z nich, otoczonym starszyzną, stały mary czarno pokryte z ciałem Światopługowem. Tu jechał Detryszek i przy nim zakapturzony Zbigniew. Księża śpiewali psalmy, wojsko szło, jak za pogrzebem.

Dano mu spokój do granicy! nikt uchodzących nie napadał.

Strwożony i blady cesarz patrzał z namiotu na te tłumy, co go opuszczały.

— Co teraz poczniemy? — pytał Groicza.

— Musimy zrobić to, co i oni — odpowiedział Wiprecht. — Pod niefortunną gwiazdą rozpoczętą wyprawę powetujemy później, dziś i my uchodzić musimy.

W duchu pomyślał może Henryk V, iż się rychlej drugi raz na Włochy wybierze, niż w te pustynie, w których życie dać trzeba, a wziąć niema co, oprócz sromu.

IX.

Dzień cały po odejściu Czechów leżał obóz na słocie jesiennej, jakby wymarły.

Opodal nieco stali na czatach konni w wodzie, spoglądając ku lasom. Obmokłe namioty wyglądały brudno; proporczyki i chorągwie grafów, rycerzy i panów, porozwieszane na drzewach, przestały powiewać wesoło. Nie słychać było szczęku broni ani rżenia koni głodnych, które napróżno paszy szukały.

Czaty przed obozem i ludzie, z namiotów wystawiając głowy, w lasy patrzyli. W tych czarnych la-

sach, jak w twierdzach niezdobytych kryła się niewidoma Bolesława potęga. Co się w nich działo, nie wiedział nikt. Słuchy chodziły po obozie, że król nawet prostą czerń pędził do wojska, aby powiększyć jego siłę, że Ruś już nadciągała.

Z niewoli się wydobywszy, Niemiec, który pieszo się przywlókł do obozu, opowiadał o ogromnych tłumach, skupionych od granic wszystkich ziem, od Pomorza, z Gniezna, Krakowa, ze wszystkich zamków oddalonych, które położenie samo broniło. Rachowano, że po odejściu Czechów, Bolesław dwakroć miał więcej wojska od cesarza.

Najśmielsi rycerze, pod namiotami leżąc, zbrojni napół, ledwie cokolwiek pancerzom popuściwszy rzemieni — nie mogąc usnąć, czuli dreszcze przechodzące po skórze, trwogę, jakby na nich wiało śmiercią. Przed oczyma ich, patrzącemi w nieprzebite ciemności, przeciągał pochód żałobny Czechów, wlókł się i nie widać było końca. Czarne wozy szły; mrok jedne okrywał, drugie z ciemności wypływały, przesuwały się, niknęły wśród nocy, a z otchłani czarnych wychodziły nowe i przeciągały powoli aż do dnia. Wiatr jesienny powtarzał śpiew żałobnych księży.

Nie było jednego namiotu, w którymby się teraz weselej zabawiano, jak to bywało, gdy z dobrą nadzieją ciągniono pod mury Głogowa. Napróżno który z rozpaczy resztkami wina się raczył, aby sen nim sprowadzić! — napój korzeniami zaprawny poruszał w głowie też same myśli, co w niej wprzód gościły, roiły się tylko i mąciły dziwniejsze jeszcze.

Pobożniejsi do modlitw się uciekali, aby ich Bóg co rychlej wyzwolił z tych obrzydłych moczarów.

Długo w noc naradzał się cesarz z Groiczem, który jeden cokolwiek lepiej znał te kraje i mógł obmyśleć, jak z nich wyjść cało.

Chciał Henryk V, aby go w jakikolwiek sposób zmuszono do odwrotu, ocalając mu wstyd dobrowolnej ucieczki; nie pragnął już nic, tylko się dobyć stąd ku Łużycom i lasom. Sasi też wzdychali do tego.

Gdy nad rankiem wycie psów ustało nieco, a słota z wichrem na lasy się poniosła, w mrokach nadchodzącego dnia zdało się czatom obozowym, jakby te lasy, co opodal stały, zbliżyły się ku nim.

Ściany jakieś ciemne, nieruchome ciasno ich opasywały dokoła. Mrok nie dawał ich dobrze rozeznać.

Niektórzy, wpatrując się kociemi oczyma wdal mroczną, dojrzeli, że ten las poruszać się zdawał, szedł, przysuwał w milczeniu. Nie wierzyli oczom swym jeszcze.

Wtem zboku uderzono w rogi na trwogę. Ten jęk powtórzyło wnet mnóstwo trębaczy. Z pod namiotów wyskoczyli żołnierze, starszyzna dosiadła gotowych koni.

Nie widać nic jeszcze było, jakby daremnie uderzono na trwogę. Wśród ciszy słyszeli tylko niby tchnienie piersi jednej potworu, a oddech ten głuchy, niewyraźny ze wszech stron nadpływał, jakby olbrzymia rozwarła się gdzieś paszczęka na pochłonięcie wojska tego, dysząc głodna.

Dzień się robił. Z za obłoków gęstych, szarych osłaniających niebiosa, światło się przeciskało blade, skąpe, stłumione. Czaty już mogły dojrzeć na ścianach ruchomych migające białe ludzkie twarze.

W obozie rogi nawoływały coraz głośniej, starszyzna latała między namiotami, krzycząc — na konie!

Cesarzowi już nawet prowadzono konia jego, żelazną pokrytego siatką dokoła. Potrząsano próżno proporce i chorągwie obmokłe, wyrywając z ziem, opadały, jakby się wstydziły pokazać swych twarzy.

Ściany czarne ze wszech stron ogarniały obóz.

Teraz już je rozeznać było można. Tłum znaczny ściśniętych, tarczami wielkiemi okrytych ludzi, posuwał się z jednej strony, tłum wielki jezdnych zbliżał się z drugiej. Pomiędzy niemi, nieco w głębi, jeżyły się włócznie i wiała chorągiew z krzyżem.

Wojsko cesarskie szykowało się do boju, z trzech stron stawiąc czoło nieprzyjacielowi, który tak powoli

szedł, że się stać zdawał. Nagle i tam piskliwe rogi odzywać się zaczęły, ściana się ruszyła żywiej.

Z pagórka, na którym cesarz stał, widać było daleko, a jak zajrzeć mogli ci, co najlepsze oczy mieli, widzieli gęste szeregi pieszych, zbite w jedno ciało niezmierne, i ponad niemi oddziały mnogie konnych.

Wprawdzie nie błyszczały tam zbroje, żelaza widać było mało, strojów wytwornych nigdzie, szaro, czarno, brunatno, jak mrowie pełzły te zastępy.

— Czerń i chłopstwo! — mruczeli z pogardą rycerze.

Z cesarskiej strony bojowy okrzyk wydali naprzód Sasi, radzi będąc, że się mają z kim bić. Zwarły się najpierwsze boki i jakby w jedną zlały bryłę. Padł jeden i drugi szereg cisnących się tarczowników od włóczni cesarskich ludzi, ale wnet i konie i ciężko zbrojni rycerze walić się o ziemię zaczęli. Który z nich padł, ten już nie powstał.

Czerń szła na nowe szeregi. Padała, na nią waliły się niemieckie hufce z łoskotem strasznym i słały się na ziemi trup na trupie.

Wtem zastęp, który szedł głęboko w pośrodku oskrzydlony, puścił się jak burza na czoło cesarskich wojsk Tu lśniły i zbroje i włócznie żelazne i lud był najsilniejszy, tu (domyślano się) król być musiał i wodzowie jego.

Wpadli jak ogromny klin żelazny, gdy ma dębową kłodę rozsadzić. Ostrym końcem wbili się wśród rycerzy cesarskich, obalili ich, wcisnęli się między szeregi, rozłamali je na dwoje, poczęli rozsadzać coraz szerzej i obalać jak wicher puszczę, gdy się w nią wedrze.

Cesarz pod hełmem zbladł trupio. Około niego cisnąć się poczęło co miał najsilniejszego, aby go od niebezpieczeństwa osłonić.

Pobojowisko wkrótce zmieniło się w jakiś straszny barłóg trupów zmieszanych — ludzi i koni, ponad któremi zwijały się gromady lekko zbrojnych, rozszalałych, jak śmierć niezwyciężonych napastników. Padali jedni, z ziemi wyrastali zastępcy.

Stojący przy cesarzu poczęli namawiać go, aby w bezpieczniejsze miejsce uchodził. Cofano się z hufcem zwartym. Groicz pobiegł zbierać i gromadzić reszty ludzi, aby ich ocalić. Zwycięstwo było już niewątpliwe. Z cesarskich wojsk ledwie część ocalała, zebrawszy się przy nim i uszła w dolinę, gdzie naprędce wozy dokoła ustawiać i ostrokoły zabijać zaczęto.

Znaczniejsza daleko liczba leżała zgnieciona pokotem z końmi na pobojowisku szerokiem, i widać już było czerń mnogą, dobijającą rannych, zdzierającą zbroje, gromadzącą łupy.

Dobrze z południa walka była skończona; resztki wojska nie wiedziały, czy do ostatniego boju wystąpić będą musiały, czy broniąc pana, uchodzić.

Cesarz zatrzymał ich przy sobie, nie chcąc się w sromotną dostać niewolę. Chodził po małym namiocie, który dlań rozbito, ręce łamał, klnąc i modląc się naprzemiany. Uczynił ślub wielkiego daru dla kościoła w Akwizgranie, jeżeliby go Bóg ocalił. Duchowieństwo odprawiło uroczyste modlitwy.

Henryk kazał przywołać Groicza. Dokoła milcząca stała rada.

— Jedź ty — rzekł — układaj się, jako chcesz z nimi, bylebym wyszedł stąd cały! Czyń, co można, a ocal cześć cesarskiej korony! Pomszczę się na tym złoczyńcy! Dziś, dziś osobę moją, garść tych rycerzy wiernych, ciała poległych ratować trzeba. Idź! idź!

Zaledwie dziesięciu całych ludzi znaleźć mógł Groicz, aby mu towarzyszyli, trębacza z rogiem wziął, rozkazując jechać przodem z uciętą zieloną gałęzią wierzby.

Ruszyli wprost ku chorągwi Bolesławowej, powiewającej wdali, na jednej stronie której krzyż, na drugiej rycerz konny ukazywał się naprzemiany.

Widok bolesny a straszny miał Groicz przed oczyma. Przez pobojowisko przejechać nie było można. Pobożność i poszanowanie ciał chrześcijan nie dopuszczały tratować trupów, a minąć ich nie było po-

dobna. Uścielały ziemię, gdzie niegdzie leżąc jedne na drugich, jak wał zapierały drogę.

Groicz poznawał zbladłe twarze przyjaciół, które mu się wczoraj śmiały, dłonie martwe, które ściskał rano.

Zjechawszy z pobojowiska, Wiprecht popędził, dając rogiem znać przed sobą, że na rozmowę przybywa. Rycerz konny wybiegł naprzeciw niego, stanął. Czekał.

Skarbimierz to był, cały krwią oplamiony, a z pochew miecza jak zgęsła posoka kroplami ściekała jeszcze. Rozpalony bojem, dyszał, strzymując konia, który mu się rwał jak szalony, nogami ziemię rozbijał, pienił i zdawał się chcieć kąsać.

Nieco opodal widać było bez namiotu, otoczonego drużyną, stojącego króla Bolesława. Hełm zdjęty trzymał w ręku, włos rozpuszczony na ramiona mu spływał, oko świeciło triumfem. W prawo widać było ołtarz i stojący na nim krzyż, przed którym za zwycięstwo składano Bogu dzięki.

— Cesarz mnie przysyła — odezwał się Groicz — do króla jadę w poselstwie.

Skarbimierz zawrócił z nim razem.

Pomiędzy otaczającymi króla widać było wielu rannych, zawiązywano krwawe ciosy, poprawiano zbroje, jedni pili wodę, drudzy opatrywali konie pokaleczone, inni z głośnym krzykiem opowiadali dzieje dnia tego.

Gdy Groicz się przybliżył, Bolesław parę kroków postąpił ku niemu. Poseł z początku przemówić nie mógł.

— Królu — począł, tchnąwszy ciężko — Bóg za nasze grzechy dał wam zwycięstwo; bądźcie w szczęściu pomiarkowani. Cesarza pokonać możecie, — nie pokonacie cesarstwa. Przychodzę do was — pytając — czego chcecie od nas?

Bolesław stał poważny, posępny prawie. Znikło z twarzy wesele.

— Dla siebie nie chcę nic — rzekł.

— Dacie nam wyjść bezpiecznie? — zapytał poseł.

— Idźcie — odezwał się król — a nie powracajcie. Ziemia ta uboga, łupów wam nie da, lud waleczny swobody swej tak bronić będzie, jak dzisiaj.

— Dla siebie — powtórzył — nie chcę nic.

— Wspaniałym jesteś królu i szlachetnym — rzekł Groicz.

— Jestem rycerzem chrześcijańskim — odezwał się Bolko — leżącego na ziemi nieprzyjaciela nie dobijam.

— Dla siebie nie chcę nic — powtórzył raz trzeci król — lecz dla Borzywoja, szwagra waszego, żądam tego, co mu należy: czeskiej korony. Z nim od granicy spokój mieć będę.

Groicz pokłonił się.

— Dziękuję wam — rzekł — czynicie tem i dla mnie łaskę, bratu memu miłemu wracając dziedzictwo jego. Lecz możliwe-li to? Wojsko i starszyzna obrała już Ottona.

— A jutro może wybierze Władysława — przerwał Bolko — lecz cesarz ma prawo zwierzchnie nad czeską koroną, może ją dać Borzywojowi.

Wskazał na stojącego obok księcia, który mu się do ręki rzucił wzruszony. Uściskali się milczący.

— Cesarz mi to słowem swem uroczystem zaręczy — dodał Bolesław. — Borzywój niech jedzie z wami, słowo to uroczyste niech weźmie przy świadkach. Potem niech cesarz spokojnie ciągnie przez ziemie moje, — nie tknie go nikt. Dosyć już trupów legło.

Ręką wskazał na straszne pobojowisko.

Rozmowa cicha przeciągnęła się jeszcze. Tymczasem noc zapadła.

Zabrawszy z sobą Borzywoja i Sobiesława ze dworem ich, Wiprecht odjechał nazad, zdala omijając krwawe pole. Król zaraz wysłał rozkazy do wojska, aby nie ważyli się napastować cesarskich.

Strasznym był widok pobojowiska po dniu, ale stokroć okropniejszy stał się wieczorem. Czerni nic powstrzymać nie mogło od obdzierania trupów; z zaże-

gniętemi gałęźmi i pochodniami chodziła wśród nich, zabierając leżący jeszcze oręż, zbroje i odzieże. Czerwone ognie i dymy oświecały białe stosy ciał powywracanych i odartych.

Gromady psów głodnych, które wyły wczoraj, ściągały dziś, łakome na ścierw koński i na ludzkie ciała, w oczach żywych rozrywać zaczynające ledwo zastygłe trupy. Ujadanie ich słychać było wśród nocy. Odegnane przez ludzi, stada te pierzchały ze szczekaniem i wracały, gryząc się jak wściekłe, na pastwę straszną. Skomlenie, wycie i szczekanie rozlegały się przez całą noc.

W milczeniu pominęli jadący owo „psie pole", wielką mogiłę, na której gniew Pański zdawał się mścić najazdu cudzej ziemi.

Nazajutrz pod wodzą Groicza ruszyły niedobitki cesarskie w milczeniu napowrót, wioząc, jak Czesi, na czarnych wozach ciała dostojniejszych rycerzy. Była to jedyna zdobycz z tej wyprawy pamiętnej, o której dzieje cesarskie zamilczeć wolały.

Zbigniew szukał schronienia w Czechach. Dał mu je wybrany po Ottonie Władysław, który mimo słowa, danego Borzywojowi przez cesarza, na tronie się utrzymał. Henryk mógł tylko dla obu wygnanych, Borzywoja i Sobiesława, wyjednać przebaczenie i małe dzielnice.

Gdy się o to układano, przypadł i Zbigniew, błagając, aby mu Bolesław dał przynajmniej taki udział, jaki Borzywój otrzymał. Opierali się temu panowie.

Szlachetny Bolesław uległ raz jeszcze. Wyznaczono mu małą dzielnicę i zamek, w którymby mógł żyć spokojnie.

Ufając zapewne w czeskie poparcie, w łaskę i opiekę cesarską, Zbigniew powrócił do Polski nie jak ułaskawiony winowajca, ale jak książę udzielny, przy odgłosie trąb i okrzykach, na znak władzy rozkazując nieść miecz przed sobą, aby się Bolesławowi urągał.

X.

Dziesięć lat upływało od śmierci króla Władysława Hermana, w ciągu których walka dwu braci z sobą nie ustawała.

Jesiennego dnia chmurnego, na małem zamczysku w Śląsku, które grodziskiem zwano, stały wrota świeżo wyłamane, przy których widać było ślady rozpaczliwej a bezsilnej i próżnej obrony. Podwórze pełne było koni i ludzi, gwar głuchy dolatywał niekiedy z izb wewnętrznych. Kilku żołnierzy, powiązanych sznurami, jęczało, leżąc na podłodze w przedsieniu.

Zameczek lichy był i źle opatrzony, sam dworzec w nim do szopy podobny. Kawał tylko muru przypierał do niego, a i w tym widać było okna bez błon, otworem stojące i ściany od słoty popsute.

W większej izbie na dole gromada tylko co przybyłej starszyzny stała kupą, zdając się naradzać z sobą. Na czele jej był stary wojewoda Magnus, który znużony i ociężały wiekiem, na ławie przysiadł, podparł się na ręku i dyszał, a czoło mu się fałdowało, wielką troską i niepokojem. Inni dokoła stali, rozglądając się i gwarząc.

Żelisław Bezręki, Skarbimierz Jednooki, Wojsław, kilku innych wojewodów i starostów, urzędników króla i doradców, pierwsze miejsce zajmowali.

— Na sumienie nasze wziąć potrzeba ukaranie winowajcy, a raz z nim skończyć! Winien oddawna przypłacić głową. Król a pan nasz, którego on tyle lat walki, tyle srogiego niepokoju kosztuje, i teraz jeszcze ukarać go nie będzie miał serca. Naszą sprawą winien być sąd i kara!

Tak mówił powoli Skarbimierz.

— I ja z wami głosuję — odezwał się Żelisław. — Niech raz kraj wypocznie, niech się te zdrady ukrócą. Śmierć! śmierć!

Wtem wojewoda stary zapytał:

— Cóż mówił król? co mówił? Czyście go wyrozumieli?

Skarbimierz się zawahał.

— Nagliliśmy nań, aby koniec uczynił; chciałem słowa od niego, rzekł mi w ostatku: Czyńcie, co uznacie słusznem, czyńcie, co potrzeba, dla spokoju mojego i waszego, a nie pytajcie mnie i nie żądajcie ode mnie, abym na własną krew wyrok wydawał.

— Więc nam sądzić i wyrokować kazał? — wtrącił starosta Boruta — sądźmyż i wyrokujmy, jako Bóg przykazał.

— Bez sądu — zawołał inny zboku — bez wyroku, stokroć na śmierć zasłużył! Najmniejszy człek w tem królestwie wie, co czynił: na zagładę brata a króla groził i nasadzał, przysięgał pięćkroć i łamał przysięgi, z nieprzyjacioły się wiązał. Dopóki żyw — póty się nie odmieni, będzie tem, czem był — zdrajcą!

Magnus z ławy wtrącił:

— Śmierci winien, pewnie. A gdy mu ją zadać każemy, co powie pan? co powie?

— Rad będzie, że wolen zostanie — rzekł inny.

— Nie znasz ty go — począł stary wojewoda. — Na polu bitwy krwi on swej, ani cudzej nie żałuje, ale brata zgładzić, choćby brat zdrajcą był jawnym, nie zechce. Lat dziesięć się to ciągnie. W ręku go miał, u nóg go trzymał, Sąd Boży skazał, — on przebaczył. Gdy wyrok wydamy, znienawidzi nas zań. Boleć będzie.

— Niech boleje i odboli, byle raz bezpiecznym był — rzekł Skarbimierz cichym głosem. — Nie było i nie będzie końca zmowom. Słał na nas, kogo mógł, płacił, prosił; knowania nie ustawały nigdy. Mamy go w ręku. Zabić plugawego przecherę, zabić.

— Zabić! no, to zabić! — powtórzył po przestanku głosem śmiałym Boruta. — Dawno-li temu, jak mu cesarz i król czeski wyprosili tę dzielnicę, aby na niej spokojnie paskudnego życia dokończył? Zdrajca, zamiast przybyć pokornym, paść do nóg miłościwemu bratu, zajechał na dwór z wrzawą, gędźbą, lutniami, rogami, jak zwycięzca! zamiast przebłagać, stawił się zuchwale, a nazajutrz pochwycono mordercę, którego nasadził, aby króla nożem przebił.

— Tym nożem go w serce! — zawołał Skarbimierz — tym! niech żywot ohydny skończy.

Magnus ręką czoło tarł i, niemal jęcząc, wołał:

— Co czynić? co czynić? Potrzeba się go pozbyć, a nie chciałoby się na gniew pański narazić.

Boruta ramionami zżymnął.

— Nie żywić go! na pniak i koniec!

— Nie chcecie mu życia brać! — odezwał się jeden ze starszych — oczy mu kazać wyjąć i niech marnie dogorywa.

— Póki on żyć będzie, to i bez oczów siać zdrady nie przestanie — przerwał Skarbimierz. — Lepszym od niego wzrok odejmowano, temuby stryczek przystał.

— Krew to pańska! — podszepnął ktoś zcicha.

Zamilkli nieco.

Wtem na progu ukazał się duchowny w sukni zakonu benedyktynów. Mężczyzna był lat średnich, ale żywotem ascetycznym przed czasem postarzały, blady, schudzony, wątły napozór, choć wzrok jego i ruchy zdradzały tę siłę wewnętrzną ducha, która ciału daje potęgę, mogącą się oprzeć największym męczarniom. Wśród tych ludzi wojny i oręża, ciałem dzielnych, rozrosłych, nawykłych do rozkazywania i walki, człowiek ten mały, pokorny, słaby, wydał się jakby istotą z innego świata. Wejrzenie jego miało w sobie coś jasnego, przenikającego, sięgającego do głębi i zmuszającego do poszanowania.

Szedł krokiem powolnym, trzymając w rękach pod szkaplerzem książeczkę, i zdawał się szukać kogoś, gdy przeciwko niemu wystąpił Skarbimierz i, pochyliwszy się, w ramię go pocałował. Mnich spojrzał ku niemu ze smutnym półuśmiechem, oczyma zadając mu pytanie!

— Ojcze Łukaszu — odezwał się Jednooki — prosiłem was, abyście mi towarzyszyli nie nadaremnie. To, com przewidywał, ziściło się; winowajcę wielkiego, osądzonego na śmierć, mamy w rękach. Człowiek to urodzenia znacznego, ale winien zdrady, mordu, prze-

lewu krwi, i wszelakich zbrodni. Godził podstępnie na żywot pana naszego.

— Na śmierć zasłużył stokroć! — szemrali otaczający.

— Raz z nim skończyć — mówili drudzy.

— Życie dać powinien! niema dlań przebaczenia! — rzekł Boruta.

— Nie chcemy, aby ginąć mając, nieprzejednany z Bogiem poszedł przed sąd Jego — dodał Skarbimierz. — Gdyby nawet wyrok łaskawszy wypadł i oczy tylko miał stracić, któż wie, czy potem wyżyje?

O. Łukasz pilnie słuchał, wpatrując się w mówiącego.

— Nigdy z Bogiem przejednanie nie zaszkodzi — rzekł spokojnie. — Sąd i kara nie do mnie należą; co moim obowiązkiem, to spełnię.

Skłonił głowę i poruszył się, jakby bez dalszych rozpraw iść był gotów.

Magnus klasnął w szerokie dłonie. Wszedł natychmiast człek stary już, z krótko postrzyżonym włosem, w grubej odzieży, z drągiem żelaznym w ręku i nożem za pasem. Twarz miał okrągłą, poczwarnie brzydką, z wyrazem bydlęcym i osowiałym. Stanąwszy w progu, patrzał z pod brwi nawisłych, oczekując rozkazania.

Wojewoda Magnus odezwał się doń, aby księdza, który już ku progowi szedł, do więźnia prowadził. Sam, jakby go tych kilka słów zmęczyło, padł na ławę westchnąwszy, podparł się na dłoniach i zadumał. Ciężył mu wyrok wydany.

Stróż prowadził księdza, milcząc z sieni ku drzwiom, wiodącym do murowanej części zamczyska. Otworzył je z wysiłkiem, podnosząc drąg, którym były zaparte i wpuściwszy duchownego, zaryglował je ze środka. Przeszli izbą pustą, ustawioną ławami dokoła, odemknął drugie drzwi do mniejszej komory, do której wdół nieco zstępować było potrzeba. Naostatek jeszcze jedne drzwi rozwarł powoli i wpuścił przychodnia do napół ciemnej izby, której okno kratą obwarowane wysoko w ścianie było wybite.

Tu na mizernem posłaniu, wyszarzaną skórą pokrytem, leżał więzień. Usłyszawszy szelest, podniósł się nieco i przypatrywać się zaczął, zbliżającemu się powoli.

Zbigniew to był, lecz lat tych ostatkiem zmieniony straszliwie, do niepoznania prawie. Twarz mu nabrzękłą poorały gniewy, żółć zjadła skórę, występując na nią plamami ciemnemi; ciało nieforemnie się rozlało, oczy złe patrzały jak ślepia zwierzęcia, co ma się rzucić na pastwę. W rysach zgniecionych wypiętnowały się zwierzęcą niemal bezmyślnością i rozpaczą, namiętnościami, znękanie, męczarnie gniewów bezsilnych.

Po sukni poznawszy mnicha, Zbigniew począł się w niego wpatrywać coraz baczniej, drgnął, podniósł się z łoża, przystąpił i krzyknął, ręce łamiąc:

— Łukasz!

Dawny towarzysz z saskiego klasztoru poznał już był wprzódy nieszczęśliwego księcia, ale stał nieporuszony, spokojny, z oczyma wlepionemi weń, badając okropną zmianę w tym, którego znał niegdyś tak życia pełnym.

— Jam jest! — rzekł cicho. — Nie mylicie się, jam jest!

Słowa te wyrzeczone zimno, z wielkim spokojem ducha, zabrzmiały dziwnie w uszach Zbigniewa, który, pomyślawszy krótko, powrócił na łoże i rzucił się na nie, mrucząc...

Przypomniał sobie lata dawne, pomyślał pewnie, że po nim nic się spodziewać nie może.

— Czegóżeś tu przyszedł? — odezwał się książę — kto cię przysłał? Co mi przynosisz?

— Przychodzę, niosąc ci pociechę — odparł o. Łukasz — przychodzę cię pojednać z Bogiem!

— Co to ma znaczyć? — zawołał książę — mów mi jasno.

O. Łukasz zawahał się.

— Spowiedź nigdy duszy nie szkodzi, ulgę przy-

niesie — rzekł powoli, unikając wyraźniejszej odpowiedzi.

— Ha! śmierć mi gotują Bolesławowskie katy? — krzyknął Zbigniew.

— Nie wiem! — szepnął o. Łukasz.

— Ja to wiem i bez ciebie — ponuro począł książę. — Wiem! tak! śmierć mi gotują! Dostałem się w ich ręce! Czemu nie ubili mnie dawniej? Ten sam Magnus! służyłem mu za narzędzie, naówczas mi się kłaniał. Dziś ja zawadą Bolesławowi i im. Pierworodny syn królewski!

Uderzył się ręką w piersi.

— Młodszy powinien mi był ustąpić i zginąć, a ja panować! Ja winien jestem, że tego samego chciałem co on? W nim to cnotą, a we mnie zbrodnią!

Mówił, rzucając się, przerywanym głosem jak w gorączce, ksiądz słuchał, wpatrując się w niego bacznie, z wyrazem niewysłowionego smutku, żałości i politowania.

— Zwróć myśl ku Bogu! — szepnął cicho.

Głową strząsnął tylko Zbigniew, myśl jego od ziemi się oderwać nie mogła. Mówił sam do siebie:

— Śmierć? śmierć? za co? Bom szczęścia nie miał. Słyszysz, Łukaszu?... Śmierć!

— O duszy myślcie — odezwał się ksiądz łagodnie.

Wyrazów tych więzień nie słyszał lub nie zrozumiał, powtarzał łajania i przekleństwa.

— Spróbujcie modlić się ze mną... pokój spłynie na duszę — rzekł o. Łukasz i, nie czekając odpowiedzi, począł:

— „Boże wielkiego miłosierdzia miej litość nad grzeszną duszą moją"...

Zbigniew zamiast powtarzać modlitwę, zawołał gwałtownie:

— Dziś?... czy dziś mnie chcą zadławić te zbóje?

O. Łukasz ramionami poruszył.

— Błagam was — odezwał się — o duszy swej myślcie. Ja nie wiem nic, prócz, żem przyszedł ze słowem Bożem do duszy waszej.

Jakby nie rozumiał, Zbigniew zerwał się z łoża, szybko, jakąś myślą pchnięty, i przystąpił do o. Łukasza.

— Nosiliśmy suknię jedną — odezwał się — pomnicie? Znam serca wasze litościwe... Ratujcie mnie! ratujcie!

— Ratować też przybyłem — odrzekł o. Łukasz — o ile w mocy mej jest. Ratunek duszny niosę wam.

Zmarszczył się książę i nogą uderzył w podłogę.

— Ratuj mi życie, rozumiesz! — zawołał — nie dopuść gwałtu! Wstrzymaj tych katów, królowi daj znać. Bolesław mi życie daruje...

To mówiąc, dłoń położył na ramieniu księdza, który drgnął od tego dotknięcia i cofnął się nieco.

— Uspokójcie się, posłuchajcie mnie — rzekł. — Gdybym mógł, ja biedny mnich, poszedłbym pieszo prosić za wami. Uczynię, co w mej mocy... Nie przetoż powinniście duszę oczyścić!.. Módlmy się razem.

Wezwania tego Zbigniew ani chciał słuchać; poszedł ku łożu niespokojny, rzucił się na nie, zerwał, przebiegł ciasną izbę, bijąc o ściany, jak oślepły.

O. Łukasz oczyma go gonił i powtarzał napróżno:

— Módlmy się!

— Módlmy się — odparł wreszcie oszalały — modlić się?... ja kląć tylko mogę i narzekać! Ja nie mogę się modlić!

Zmęczony miotaniem się, książę przywlókł się do łoża i obalił na nie twarzą do góry. Jęczał dziko, nie mogąc słowa przemówić.

Litość poruszyła o. Łukasza, który wstał zwolna i ku niemu się zbliżył; stanął nad łożem, ujął rękę jego ostrożnie.

— Litujcie się nad sobą! — rzekł. — Co pomoże rozpacz taka, którą szatani duszę przeciw Bogu buntują?... Ukorzcie się, żałujcie grzechów, myślcie o niebie...

Zbigniew podniósł głowę i począł, zniżając głos:

— Ocal mi życie! Wiesz? Mam jeszcze zakopane skarby; oddam je zakonowi wszystkie... Wdzięję suk-

nię waszą, wyrzeknę się świata... Benedyktyny wezmą dzielnicę moją, wszystko dam na kościoły. Ocal mi życie!

Porwał księdza za rękę i gwałtownie całować ją zaczął.

— Ocal mi życie! życie mi zachowaj, bracie Łukaszu.

Kapłan odsunął się był nieco; Zbigniew, nie słysząc odpowiedzi, z łoża wstał, ukląkł przed nim i za nogi go ściskał, coraz goręcej wołając:

— Ocal mi życie!

— O, bracie mój! bracie mój! — rzekł naostatku benedyktyn. — Gdybyście tak się troskali, tak gorąco pragnęli żywota wiecznego, jak doczesnego pragniecie!

Odpowiedź ta jak zimną wodą oblała księcia, który się porwał i krzyknął z gniewem:

— Klechą przebrzydłym byłeś i będziesz!

O. Łukasz stał niewzruszony; najmniejszy wyraz gniewu nie zmienił mu twarzy pogodnej i litością tchnącej. Wśród więziennego milczenia słychać było tylko oddech i sapanie zburzonego rozpaczą i gniewem księcia.

O. Łukasz siadł na ławeczce i począł odmawiać modlitwę.

— Ojcze, miłosierdzia...

— Dajże mi pokój z tą modlitwą! — zaryczał głos z łoża! — przysłali cię, abyś mnie spowiadał?... Powiedz im, że przygotować mnie potrzeba. Zyskam na czasie... Niewyspowiadanego mnie nie zgładzą. Dosyć tego!

— Módlmy się! — powtórzył duchowny.

Zbigniew wstał i, nie zważając nań, chodzić począł; przystąpił do drzwi, uchwycił za nie, potrząsnął niemi — zawarte były.

Stróż, usłyszawszy szelest, rozwarł drzwi napół, a zobaczywszy więźnia, gwałtownie je zatrzasnął.

— Módlmy się! — błagająco mówił o. Łukasz.

— Milcz, klecho! — rzekł, stając naprzeciw niego, Zbigniew, i podnosząc pięści ściśnione — milcz! Po-

wiedz im, żem wściekły, że spowiedzi słuchać mnie nie mogłeś. Mają prawo wziąć mi życie, ale nie gubić duszę

Pochylił się ku niemu.

— Daj znać królowi! Wszystkie skarby moje benedyktynom przekażę, oddam. Suknię waszą oblekę...

— Uczynię, co mogę — odezwał się ksiądz z politowaniem — lecz dla siebie samego, na błaganie moje pomódlcie się, to wam ulgę przyniesie.

Rzucił się Zbigniew.

— Mówiłem! — krzyknął — ani się modlić, ani spowiadać nie mogę, nie chcę, nie będę! Nie będą śmieli mi zadać śmierci w stanie grzechu! Dlatego zdrajcy was tu nasłali z waszą kleszą pokorą i błaganiem, abyście mnie przygotowali im na pożarcie... Macie jak kucharz przyprawić im pastwę. Nic z tego! Nie! nie! — wołał coraz gwałtowniej.

Ksiądz Łukasz ze złożonemi rękami przykląkł przed zrozpaczonym.

— Na dawne nasze w Jezusie Chrystusie braterstwo zaklinam was — zawołał — módlmy się! Uspokójcie się, prosić będę za wami! Czas upływa!

— Chcę, by upływał! — wybuchnął Zbigniew. — Niech uchodzi!

Odsunął się od klęczącego i poszedł na łoże, wyciągnął się na skórze, głowę zakrył, milczał, dysząc ciężko.

Po kilkakroć, chcąc go jeszcze przywieść do opamiętania, ksiądz przystąpił i ręką potrząsnął; leżący wyrywał mu się gniewnie.

Nagle, jakby doprowadzony do niecierpliwości, książę zerwał się z posłania, chwycił o. Łukasza za barki i popchnął go ku drzwiom, w które obu pięściami bić zaczął. Stróż otworzył.

Zbigniew nie dając księdzu ani przemówić, ni się odwrócić, wyrzucił go za drzwi.

Chwilę jeszcze stał kapłan u drzwi z głową spuszczoną i wolnym krokiem powrócił do izby, w której byli zgromadzeni wojewodowie.

Mrok nie dozwalał już rozeznać ich twarzy, siedzieli

na ławach pod ścianami, oczekując i rozmawiali cicho między sobą. Spór i hałaśliwe rozprawy ustały.

Gdy się ksiądz ukazał w progu, Magnus podniósł się pierwszy i, postępując ku niemu, spytał:

— Spowiadał się?

— Miłościwi panowie — odezwał się poważnie kapłan — to człowiek w rozpaczy, nie władnący sobą. Ani się spowiadać, ani słuchać, ni zrozumieć nie może... Szalony jest, nieszczęśliwy! Litość nad nim mieć potrzeba.

Starszyzna spojrzała po sobie.

— Ojcze wielebny — rzekł Skarbimierz — wszelką litość wyczerpał ten człowiek... Chcemy czynić cokolwiek można dla duszy jego. Pozostańcie proszę — opamięta się może i zażąda was.

Zaczęli między sobą szeptać wojewodowie. Po chwili Magnus, Skarbimierz i Żelisław wyszli z izby. Wszyscy trzej razem skierowali się milczący do więzienia.

Gdy ostatnie drzwi otworzył im stróż, Zbigniew, leżący na posłaniu, podniósł głowę, popatrzył, zerwał się na nogi, zataczając i oczyma błędnemi wodząc po nich, wybuchnął:

— Ha! Przyszliście zbójcy po życie moje! Króla waszego krew przelać chcecie?

— Nie, — przerwał głosem ogromnym, nakazując milczenie, Magnus. — Przyszliśmy po głowę zdrajcy! Zdrajcy nie trzykrotnego, bo trzykroć i czterykroć był przebaczonym, ale niepoprawnego zdrajcy, co na życie króla, pana naszego, nastawał, który nań nasyłał morderców, któremu zapomniano jego niegodziwości, a poprawić się nie chciał... Królby wam raz jeszcze przebaczył — ziemie nasze i ziemianie nie mogą!

— Wy? mnie? Przebaczać? — zerwał się gwałtownie Zbigniew. — Wy? mnie? katy i niewolniki! Jam wasz pan prawy! ja! nie kto inny. Tamten, co się waszym królem nazywa, zasłużył na karę, bo mi wydarł prawo pierworodztwa, królestwo moje! On jest złodziejem, nie ja zdrajcą. Słyszycie!

I zaśmiawszy się, padł na posłanie.

— Milczcie! — zawołał Skarbimierz.

— Nie mówić, nie wołać, ale krzyczeć i wrzeszczeć i ryczeć będę! — odparł Zbigniew, pięści wznosząc. Niech słyszy świat cały, co za zbrodnia się tu dzieje! Ja jestem panem waszym! Ja!

— Milczeć! — powtórzył Jednooki, nogą bijąc o ziemię.

Magnus przystąpił o krok bliżej.

— Gdy wam łaska ojcowska a miłosierdzie ojca Marcina do królestwa tego przypuszczenie wyjednało, jakżeście się za to wywdzięczyli? Król na marach leżał niepogrzebiony, gdyście bunt podnieśli! Co później? Wszystkie wrogi nasze pędziliście na nas, nasyłaliście pogan, zbójców, prowadziliście nieprzyjacioły na brata! Kto Czechów, kto cesarza, kto Pomorców i Prusaków na nas burzył?

— Tak! ani się zapieram — przerwał, podnosząc się Zbigniew. — Tak! — Odarty, wyzuty, krzywdzony, upominałem się o swoje! Szukałem opieki u obcych, gdym jej u swoich nie znalazł! Tak! Ząb za ząb! Zdradzony, mściłem się zdradą!

Wojewodowie spojrzeli po sobie, nikt nie odpowiadał. Magnus począł zwolna, jakby wyrok głosił:

— Nie wolą królewską, ale sądem wszystkich ziemian, wojewodów, starszyzny, władyków, osądzeni jesteście...

— Ja? przez was? — wykrzyknął, nie dając dokończyć Zbigniew. — Alboście to wy mnie równi, byście śmieli mnie sądzić? Papież tylko, cesarz, królowie mają prawo mnie potępić, nie wy, czerń, ludzie z gminu wyszli...

Spojrzeli po sobie trzej sędziowie.

— Będziecie się na to skarżyć przed trybunałem Bożym, przed którym i my staniemy — wtrącił Skarbimierz pogardliwie. — Na sumieniu was mieć nie będziemy. Nie jednej, ale dziesięciu śmierci winniście. Więcej przeleliście wiader krwi, niż z was kropel wytoczyć można.

Zbigniew klął i bełkotał, lecz podniósł się nagle, widząc Magnusa, cofającego się ku drzwiom.

— Wojewodo! — zmienionym głosem począł — wojewodo! — Bóg nas będzie sądził! Niech tu przyjdzie ksiądz, niech przyniosą ewangelję, krzyż, hostję, przysięgnę na nich przy was... Nie chcę nic... Życie mi zostawcie. Oblekę znów habit zakonny! pójdę na wieki do klasztoru!

— Złamaliście wiele takich przysiąg uroczystych — rzekł Skarbimierz.

— Tej dotrzymam! — zawołał Zbigniew.

Była chwila strasznego milczenia.

— Życia wam nie wezmą — odezwał się Magnus.

Książę poruszył się, odetchnął, powstał.

— Więzienie? — odezwał się głosem orzeźwionym.

Nikt nie odpowiedział.

— Poddajcie się losowi waszemu — dodał Magnus. Jaki wyrok wydano, spełnić się musi.

Rzucił się książę za nimi, gdy już wyszli pośpiesznie i drzwi zatrzaśnięto.

Cicho było i ciemno. Więzień odetchnął, pot ocierając z czoła.

W przedsieniu izby u progu dały się słyszeć kroki i głosy ludzi. Trwoga ogarnęła go znowu. Z pod skóry, którą łoże było okryte, Zbigniew dobył nóż wsunięty głęboko i schował go w rękaw sukni.

U drzwi szmer i szelest jakiś się powiększał, szeptano i umawiano się. Słychać było niewyraźne, przerywane głosy dziwne i śmiechy dzikie. W więzieniu panowała ciemność, przez szparę drzwi, jak ostrze jakiegoś miecza ognistego, wpadło światło, zadrżało na podłodze, pasem nad głową jego zarysowało się na ścianie.

Zbigniew skulony na łożu, cisnąc nóż w ręku spotniałem, drżał i zęby mu się ścinały. Okiem obłąkanem powiódł ku oknu, które wysoko stało nad głową, niedosiężone dla niego. Rękami objął mur gładki, i oszarpnięte dłonie opadły. Obejrzał się dokoła: nie było ratunku, kryjówki, ujścia.

Drżenie zmieniło się w dygotanie całego ciała, głowa się trzęsła, nogi chwiały; palce to ściskały gwałtownie, to bezsilne rozchodziły, pot zimny spływał po skroniach.

Za drzwiami ciągle trwało milczenie, spór stłumionych kilku głosów. Światło przez szparę wpadające przesuwało się i chodziło po izbie, podnosiło się do góry i spadało. Po kilkakroć słychać było rękę, która chwyciła zasuwę drzwi i zsunęła się z niej zwolna. Spierano się jeszcze to głośniej, to ciszej.

Oczekiwanie jak wiek trwało długo.

Już Zbigniew uspokajać się nieco zaczynał, gdy nagle, gwałtownie, z trzaskiem opadły zasuwy drzwi, i stróż ów z niskiem czołem, z twarzą bydlęcą wpadł, wiodąc za sobą dwu pachołków i wylękłego chłopaka, który trzymał pochodnię w ręku.

Oprawca ani słowa nie odezwał się do księcia, skinąwszy na pomocników, postąpił ku niemu.

Pachołkowie rzucili się z obu stron na Zbigniewa, stojącego u łoża, chwytając za barki, lecz nim za ręce go ujęli, dobył nóż i rozpaczliwie nim miotając, zadał naprzód lekkich razów kilka stojącemu bliżej oprawcy. Zmierzył potem ku piersi tego, który z żelazem ostrem także zabierał się silną dłonią za kark go pochwycić.

Poczęła się walka straszna, nierówna, zajadła, nieludzka, mająca w sobie coś bydlęcego.

Trzech tych ludzi zwinęło się jakby w kłąb jeden, w jeden kadłub nieforemny, którego rąk i nóg poplątanych rozeznać nie było można. Jeden wreszcie piersi mu nacisnął kolanem, drugi broniące się jeszcze dłonie sznurem krępował.

Oprawca z rękami obnażonemi stał, oczekując przed nimi. Żelazo, które trzymał w ręku, mówiło, co miał począć. Śpiczaste ostrze jego niejedne już oczy, co na świat patrzały, wyjęło z pod powiek. Oprawca powoli próbował je na paznogciu.

Lecz nim kat dosiągł żelazem oka, wysiłkiem gwałtownym Zbigniew rozerwał krępujące go pęta, ode-

pchnął pachołków od siebie i nożem, którego mu wyrwać nie zdołano, uderzył oprawcę w piersi.

Raz ten, choć silny, ledwie przebił grubą suknię jego, nie syknął nawet, lecz rozwścieczony, zamiast do oczów, zmierzył w piersi Zbigniewa i żelazo w nich utopił.

Uderzenie gwałtowne dosięgło serca, książę, konając, rzucił się tylko, ręką chwycił za pierś i, drgając, opadł na posłanie. Wbite żelazo tkwiło w ranie i krew się około niego sączyła.

Ciągle milcząc, oprawca poszedł ku drzwiom. Na sukmanie jego widać było teraz sączącą się krew z lekkiej rany, którą mu zadał książę, ale nie czuł jej, ni spojrzał na nią.

Chłopak z pochodnią i pachołkowie, szepcząc między sobą, opatrując ręce swe poranione, ocierając się i wyciągając, szli za nim.

Drzwi więzienia, w którem został trup, nie zamknięto, — mrok ogarnął izbę.

Oprawca zwolna skierował się ku wielkiej jadalni, w której wojewodowie siedzieli na ławach.

Ujrzawszy go powracającego wcześniej, niż się spodziewano, idącego zwolna, i zakłopotanego, Magnus wstał i wyszedł niespokojny przeciw niemu.

— Już? — zapytał.

Długo się zbierał na odpowiedź straszny człek, trąc głowę i patrząc na ziemię.

— Nożem się bronił — rzekł — nie można było dostąpić do oczów...

Ręki ruchem pokazał, że go przebić musiał.

Wojewoda drgnął, nie mówiąc słowa, zwrócił się ku swym towarzyszom.

— Bronił się — rzekł — musiał go zabić.

— Ranił mnie — dodał oprawca, szukając na sukni śladu uderzenia i wskazując krew.

— Stało się! — zawołał Skarbimierz. — Bóg tak chciał. Dobrze się stało!

Gdy to mówił, ruszyli się wszyscy, jakby na oczy

swe widzieć i przekonać się chcieli, że królestwo od wroga, który je trapi przez lat tyle, wolnem było.

Szli wszyscy, poprzedzani przez pochodnie, które niesiono przed nimi, w izbie nie został nikt — cisnęli się w ponurem milczeniu.

Pierwszy Magnus przestąpił próg i spojrzał. Ciało leżało na łożu, jak je pachołkowie złożyli ze sznurem pod szczęką, z twarzą straszną jeszcze, na której stężał wyraz walki ostatniej. Zastygły w rysach nieszczęśliwego gniew i wściekłość, usta miał pianą ze krwią pokryte, sinieć zaczynało nabrzmiałe lice...

Wojewodowie otoczyli łoże i patrzali, nie okazując żalu, nie mówiąc słowa, nie litując się losowi człowieka.

— Tak lepiej — szepnął, wchodząc, Skarbimierz — sam sobie zgon przyśpieszył. Nikt nie winien śmierci jego. Pośpieszę do króla, aby mu oznajmić o tem.

Wracali już, gdy w sieniach spotkał ich stojący, czekający na nich, o. Łukasz. Ciekawemi oczyma badał przybywających.

— Ojcze mój — odezwał się do niego wojewoda — oddajcie mu ostatnią posługę chrześcijańską. Nie żyje.

Ksiądz weschnął, nie mówiąc nic, posunął się z twarzą smutną ku izbie więziennej i całą noc modlił się u ciała, ze spokojem człowieka, dla którego widok śmierci nic już strasznego i groźnego nie ma.

Nazajutrz pogrzeb cichy, w prostej trumnie zakończył ową długą tragedję krwawą braterskiej walki. Zwłoki królewskiego syna złożono w małym sklepiku pod kościołem — a zaledwie lat kilka ubiegło — zapomniano nawet o grobie, którego żadną pamiątkową cechą nie oznaczono.

Gdy Skarbimierz powrócił do Krakowa, jakby przeczuwając coś, król go natychmiast do siebie powołać rozkazał. Wyszedł naprzeciwko niego z trwogą na twarzy.

Spojrzenie na nią kazało wojewodzie poszanować ten niepokój serca szlachetnego, które tyle przebaczyć umiało, a do zemsty tak nieskorem było.

Król stał, pytać nie śmiejąc, — Skarbimierz odezwać się nie miał odwagi. Milczenie samo wymowne było.

— Zbigniew? — jęknął wreszcie.

— Nie żyje! — rzekł, nie ciągnąc już dłużej wojewoda. — Chciano mu oczy wyjąć tylko, ranił oprawcę i — sam się przebił na żelazie, które trzymał.

Słysząc to, król pobladł, jak chusta, pochwycił się za głowę i wyszedł szybko.

Nie widziano go już tego wieczora, nie usiadł do wieczornego stołu, mówiono, że całą noc spędził w zamkowym kościele na modlitwie.

Nazajutrz przybywający panowie znaleźli go w szatach podartych, z głową popiołem posypaną, boso, bladego, załamującego ręce, rozgorączkowanego, we łzach.

Napróżno starali się go pocieszyć.

Skazał się na post, na chleb i wodę, wdział od tego dnia prostą szarą opończę, krył się od tłumu, unikał ludzi, zmienił strasznie.

Strwożona królowa posłała panów, panowie pobiegli do biskupa Baldwina, do duchownych, wzywając ratunku.

Obawiano się stracić pana tego, na którego barkach spoczywało bezpieczeństwo królestwa, lękano się, aby dla dobrowolnej pokuty nie wyrzekł się panowania i małoletnim dzieciom, a opiekunom niepewnym państwa nie zwierzył.

Biskup Baldwin zaledwie potrafił uspokoić nieco, srodze sobie tę śmierć braterską wyrzucającego, króla. Duchowieństwo całe ofiarowało się ze skarbnicy ogólnej łask, któremi kościół rozporządzał, przyczynić się do ulżenia sumieniowi strwożonego pana.

Nie ograniczając się na tem, pobożny król całe dnie prawie przebywał w kościołach, klęcząc lub leżąc krzyżem w czasie mszy, które się za zmarłych odmawiały, i podczas śpiewania psałterza i modlitw.

Codziennie tłumy ubogich sam karmił i przyodziewał; nakoniec pod pozorem podróży dla widzenia się z królem węgierskim, udał się Bolesław na wędrówkę do kościoła Św. Idziego, patrona swego, na Węgrzech, na którego cześć kościół też w Krakowie, przez ojca rozpoczęty, dokończył.

Świadek naoczny tej pielgrzymki króla, który był pierwszym rycerzem swojego wieku i najgorliwszym wyznawcą wiary, opisuje ten pochód pokutny Bolesława, jakiemu podobne w owych wiekach tylko widywano.

Król przez cały ciąg tych dni czterdziestu żył tylko chlebem suchym i wodą. Biskupi i prałaci zmuszali go napróżno, aby tak ostry post na modlitwy lub msze zamienił.

Codziennie z rana wychodził z biskupami i kapelanami, prawie zawsze boso, przez cały dzień idąc, póki godzinek do Panny Marji, pacierzy kapłańskich, siedmiu psalmów pokutnych, litanji, psałterza całego i wigilji za umarłych nie odśpiewano.

W ciągu drogi na noclegach umywał nogi ubogim, rozdawał szaty, karmił ich, sypał jałmużny, obdarzał, kogo tylko spotkał.

Pielgrzymkę tę odbywszy, wrócił król do Krakowa, ale i tu jeszcze pielgrzymich sukni i kapicy nie zrzucił, aż dopóki nie pokląkł u grobu Wojciecha świętego w Gnieźnie.

I do tego miejsca jeszcze szedł pieszo i boso, i tu posypały się dary pańskie.

Sprawiono naówczas na relikwje apostoła Prus, patrona Polski, trumienkę złotą osiemdziesiąt grzywien ważącą, drogiemi kamieniami sadzoną. Biskup, duchowieństwo, kościoły obficie zostały obdarzone.

„Jednakże — pisze Gallus — pomimo pielgrzymki pobożnej, tak świątobliwie odbytej, dawny ucisk serca nie ustąpił mu nigdy z pamięci".

KONIEC.

+ Edo
d